



Nic nie jest takie, jak się wydaje

*Wysnzione
życie*

Cynthia Swanson



Cynthia Swanson

*Wysniewione
życie*

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



*Moim rodzicom
Dennisowi i Audrey Fisherom,
z miłością i wdzięcznością*

*Zaufaj szczęściu i bogactwu chwili,
którą właśnie przeżywasz.
Jest tak samo prawdziwa i twoja,
jak wszystko, czym żyłaś dotąd.*

— Katherine Anne Porter, *Listy*

ROZDZIAŁ I

To nie moja sypialnia.

Gdzie ja jestem? Ze zduszonym okrzykiem podciągam nieznaną mi kołdrę pod brodę, rozpaczliwie próbując zebrać myśli, ale nie potrafię wyjaśnić, skąd się tu wzięłam.

Ostatnie, co pamiętam, to środowy wieczór, gdy malowałam sypialnię na jaskrawożółto. Frieda, która zaoferowała mi pomoc, kręciła nosem na ten kolor.

– Zbyt słoneczny jak na sypialnię – orzekła tym swoim wszechwiedzącym tonem.

– Jak tu sobie pospać w takim pokoju, gdy trafi się pochmurny dzień?

Zanurzyłam pędzel w puszcze farby i starannie odcisnąwszy nadmiar, wdrapałam się na drabinkę.

– Właśnie o to chodzi – odparłam. Nachyliłam się i szybkimi ruchami zaczęłam malować wysoki, wąski pas ściany wokół okna.

Czy nie powinnam pamiętać, co było dalej? Dziwne, ale nie wiem. Nie mam pojęcia, czy malowanie zajęło nam cały wieczór i czy podziwialiśmy swoje dzieło, zanim zabrałyśmy się za sprzątanie. Nie mogę sobie przypomnieć, czy podziękowałam Friedzie za pomoc i czy się z nią pożegnałam. Nie pamiętam, abym zasypiała w tej słonecznie żółtej sypialni wypełnionej ostrym zapachem świeżej farby. A przecież to wszystko musiało się wydarzyć, skoro tu leżę. Z drugiej strony to nie wygląda jak mój dom, więc pewnie jeszcze śpię.

Zwykle nie miewam takich snów. Nocą zgłębiłam fantastyczne światy nieograniczone konwencjonalnym pojęciem czasu i przestrzeni. To, uznałam, skutek czytania tak wielu książek. Znacie powieść *Jakiś potwór tu nadchodzi?* Na półkach księgarni pojawiła się zaledwie w czerwcu, a już mówi się, że będzie jedną z najlepiej sprzedających się książek w 1962 roku. Ray Bradbury ma cudownie lekkie pióro. Wciskam tę książkę każdemu, kto wstąpi do naszej – mojej i Friedy – księgarni, szukając czegoś „naprawdę porywającego”.

– Nawet we śnie trudno się od niej uwolnić – zapewniam takich klientów. To samospelniająca się przepowiednia: przedwczoraj śniłam, że błąkam się za Willem Hallawayem i Jimem Nightshade'em, dwoma młodymi bohaterami książki Bradbury'ego, których wabił lunapark przybyły w środku nocy do miasteczka Green Town. Ostrzegałam ich, by na siebie uważali – ale zignorowali mnie, jak to trzynastoletni chłopcy. Pamiętam, że nie mogłam za nimi nadążyć, bo nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Will i Jim oddalali się ode mnie, coraz bardziej pogrążając się w mroku, aż ciemne kropki ich postaci zupełnie zniknęły, a ja mogłam już tylko bezradnie płakać.

Jak widać, nie należę do kobiet, którym śni się coś tak przyziemnego, jak pobudka w czyjejs sypialni.

Ta sypialnia ze snu jest wyraźnie większa i bardziej gustowna niż moja prawdziwa. Ściany są szarozielone, a nie intensywnie żółte. Wszystkie meble idealnie do siebie pasują, są eleganckie i nowoczesne. Starannie złożona narzuta leży u stóp łóżka, a moje ciało okrywa miękka, stylowa pościel. Wszystko tu jest wysmakowane, wręcz do

przesady.

Wślizguję się pod kołdrę i zaciskam powieki. Bo przecież wystarczy zamknąć oczy, by za chwilę znaleźć się gdzieś na Południowym Pacyfiku i żłopać whiskey z kamratami na pokładzie wielorybnika. Albo poczuć wiatr we włosach, wznosząc się wysoko nad Las Vegas na ogromnych skrzydłach, które wyrastają mi zamiast ramion.

Ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego słyszę jakiś męski głos.

– Pobudka. Katharyn, kochanie, obudź się.

Unoszę powieki i patrzę prosto w najgłębsze i najbłękitniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

I zaraz znowu je przymykam.

Czuję dotyk dłoni na ramieniu – nagim, jeśli nie liczyć cienkiego ramiączka satynowej koszuli nocnej. Już dawno żaden mężczyzna nie dotykał mnie tak zmysłowo. Ale niektórych doznań się nie zapomina, nawet jeśli nieczęsto się ich doświadcza.

Wiem, że powinnam się bać. To byłaby właściwa reakcja, prawda? Nawet we śnie dotyk dłoni nieznanego na nagiej skórze powinien przerażać.

A jednak, co dziwne, uścisk tego urojonego mężczyzny jest całkiem przyjemny. Delikatny, choć zdecydowany. Palce muskają ramię, a kciuk lekko pieści moją skórę. Rozkoszuję się tym doznaniem, nie otwierając oczu.

– Katharyn. Kochanie, proszę. Przykro mi, że cię budzę, ale Missy ma ciepłe czoło... Chce, żebyś do niej przysła. Proszę, musisz wstać.

Próbuję zrozumieć tę informację. Zastanawiam się, kim jest Missy i dlaczego miałabym się przejmować jej ciepłym czołem.

Nagle – sama nie wiem jak, bo w końcu to sen – w głowie rozbrzmiewa mi pewna popularna przed kilku laty piosenka. Słyszę melodię, choć jestem pewna, że to nie te słowa – Rosemary Clooney śpiewała coś o roziskrzonych oczach. Coś o tym, by nie dać się ogłupić miłości. Uśmiecham się na tę myśl. Trudno być bardziej ogłupiałą, niż czuję się właśnie w tej chwili.

Otwieram oczy i siadam wyprostowana na łóżku, z żalem stwierdzając, że błękitnooki mężczyzna odsuwa dłoń.

– Kim jesteś? – pytam. – I gdzie ja jestem?

Patrzy na mnie z takim samym zdziwieniem jak ja na niego.

– Katharyn, dobrze się czujesz?

Gwoli wyjaśnienia, wcale nie jestem Katharyn. Mam na imię Kitty. No dobrze – tak naprawdę to jednak Katharyn. Ale to imię nigdy mi się nie podobało.

Brzmi zbyt oficjalnie. „Kath-a-ryn” nie wymawia się tak gładko jak „Kitty”. Niestety rodzice uparli się przy nietypowej pisowni tego pospolitego przecież imienia i męczy mnie wyjaśnianie tej różnicy każdemu, kto prosi o jego przeliterowanie.

– Chyba dobrze – odpowiadam Błękitnookiemu. – Ale naprawdę nie wiem, kim jesteś i co to za miejsce. Przykro mi.

Uśmiecha się, rzucając mi roziskrzone spojrzenie. Jeśli nie liczyć tych pięknych oczu, wygląda całkiem zwyczajnie. Średniego wzrostu, średniej budowy, z niewielką oponką pośrodku. Rzednące, rudawe włosy, które powoli zaczynają siwieć. Powiedziałabym, że ma około czterdziestki, czyli jest ode mnie nieco starszy.

W powietrzu wyczuwam przyjemny, mydlano-leśny zapach, jakby przed chwilą się golił i brał prysznic. Serce zaczyna mi mocniej bić. Dobry Boże, to wszystko staje się coraz bardziej absurdalne!

– Musiałaś spać bardzo głębokim snem, kochanie – mówi. – Wiesz, kim jestem. Twoim mężem. A ty jesteś w naszej sypialni, w naszym domu. – Zatacza ręką po pokoju, jakby na potwierdzenie swoich słów. – A nasza córka, która ma na imię Missy, jeśli o tym też zapomniałaś, ma prawdopodobnie gorączkę i potrzebuje matki.

Wyciąga ku mnie rękę, a ja odruchowo podaję mu swoją.

– W porządku? – dopytuje się. – Proszę, Katharyn.

Marszczę brwi.

– Chwileczkę. Więc twierdzisz, że jesteś...

– Twoim mężem, Katharyn. To przecież ja, Lars.

Lars? Co za dziwaczne imię. Chyba nigdy w życiu nie znałam nikogo, kto by się tak nazywał. Mój umysł zasługuje na półuśmiech uznania za polot i fantazję. Nie wymyślił jakiegoś tam Harry'ego, Eda czy innego Billa. O nie, proszę państwa, mój wymyślony mąż ma na imię Lars.

– No dobrze – zgadzam się. – Daj mi jedną chwilkę.

Ściska moją dłoń, a wypuściwszy ją, nachyla się, by pocałować mnie w policzek.

– Zmierzę jej temperaturę i poczekamy na ciebie. – Wstaje i wychodzi z pokoju.

Znowu zamykam oczy. *Teraz* już na pewno przyśni mi się coś innego.

Ale kiedy unoszę powieki, wciąż tu jestem. W tej samej zielonej sypialni.

Nie mam wyboru, więc w końcu wstaję. Poddachowe świetliki nad łóżkiem, rozsuwane, szklane drzwi prowadzące, zdaje się, na coś w rodzaju tarasu i przestronna łazienka świadczą o tym, że ten pokój, gdyby istniał naprawdę, byłby częścią dość nowoczesnego lokum. Na pewno nowocześniejszego – i zapewne większego – niż ten bliźniak w dzielnicy Platt Park w Denver, w którym wynajmuję mieszkanie z jedną sypialnią z lat dwudziestych dwudziestego wieku.

Zaglądam do łazienki. Całe wyposażenie jest jasnozielone, błyszczące i z chromowanymi wykończeniami. Widzę podłużną toaletkę z dwiema umywalkami i blatem z białej formiki w złote plamki. Tworzą ją szafki z jasnego drewna, które łagodnie zwężają się ku dołowi, tak że na poziomie blatu toaletka jest szersza niż u dołu. Podłogę pokrywa mozaika z miętowych, różowych i białych płytek. Nie mam pojęcia, czy jestem w Denver, ale jeśli tak, to na pewno nie w staromodnej dzielnicy Platt Park, gdzie nie wybudowano nic nowego od czasów przedwojennych.

Podnosząc wzrok, by przyjrzeć się swemu odbiciu w lustrze wiszącym nad toaletką, spodziewam się zobaczyć zupełnie inną osobę – bo kto wie, kim jest ta cała Katharyn? Ale okazuje się, że wyglądam dokładnie tak samo. Jestem niska, mam krągłe kształty i kręcone włosy w kolorze rudawego blondu, które wiecznie sterczą mi nad czołem, choćbym codziennie chodziła do fryzjera. Przeczesując loki, zauważam, że na serdecznym palcu lewej ręki połyskuje brylant i szeroka, złota obrączka ślubna. No cóż, myślę sobie, jakżeby inaczej. Jak miło, że mój mózg wymyślił męża, którego stać na porządny kamień.

Szperając w szafie, znajduję granatowy, pikowany szlafrok, który idealnie na mnie

pasuje. Zawiązuję pasek i wychodzę na korytarz, aby znaleźć mężczyznę o cudacznym imieniu Lars i jego chore dziecko Missy.

Na ścianie naprzeciwko drzwi wisi duża, kolorowa fotografia, najwyraźniej umieszczona w tym miejscu, aby było ją widać z sypialni. Przedstawia górską scenerię: nikonące za horyzontem słońce podświetla szczyty różowo-złotym światłem. Po lewej stronie wznoszą się sosny żółte. Całe życie mieszkam w Kolorado, a jednak nie mam pojęcia, gdzie zrobiono to zdjęcie ani czy to w ogóle są Góry Skaliste.

Głowią się nad tą zagadką, gdy nagle ktoś przypada z impetem do mego prawego boku i uwiesza się na mnie. Z trudem udaje mi się zachować równowagę.

– Au! – wołam, odwracając się. – Nie rób tak. Musisz sam stać na ziemi. Jesteś już za duży i nie dam rady cię utrzymać.

Co do licha? Czyje to słowa? Przecież nie moje! W życiu nie powiedziałabym czegoś takiego. Nawet do głowy by mi to nie przyszło.

Mały chłopczyk wpatruje się we mnie, zadzierając głowę. Ma przenikliwe, błękitne oczy Larsa i krótkie, schludnie przyczesane włosy, których jeden jasnorudy kosmyk niesfornie sterczy mu nad czołem. Jego brzoskwiniowa buzia lśni czystością. Mógłby wystąpić w reklamie mleka albo lodów owocowych. Jest tak słodki, że wystarczy jedno spojrzenie, by zmiękło mi serce.

Wypuszcza mnie z objęć i przeprasza.

– Tęskniłem, mamusiu – mówi. – Nie widziałem cię od wczoraj.

Odejmuje mi mowę, ale po chwili przypominam sobie, że to sen, więc uśmiecham się do chłopca. Nachylam się i ściskam go za ramię. Postanawiam poddać się temu, co przyniesie ten sen. Dlaczego nie? Jak dotąd całkiem tu miło.

– Zaprowadź mnie do taty i Missy – proszę, ujmując mięciutką, pulchną rączkę dziecka. Idziemy korytarzem i schodami na półpiętro, do różowego pokoju z małym, drewnianym łóżkiem i niskim regałem pełnym ilustrowanych książeczek i pluszowych zwierzątek. Na łóżku siedzi drugi aniołek, równie śliczny jak ten, którego trzymam za rączkę – tyle że jest to dziewczynka. Minę ma osowiałą, a na policzkach wypieki. Jest tej samej wielkości co chłopiec. Kiepsko mi idzie odgadywanie wieku dzieci, ale powiedziałabym, że wyglądają na jakieś pięć–sześć lat. Bliźnięta?

– Mama przyszła! – woła cherubinek, wdrapując się na łóżko. – Missy, mama przyszła i zaraz wyzdrowiejesz.

Missy pojękuje. Siadam przy niej i dotykam jej czoła, które okazuje się niepokojąco ciepłe.

– Co cię boli? – pytam łagodnie.

Przytula się do mnie.

– Wszystko, mamusiu – odpowiada. – A najbardziej głowa.

– Tatusz zmierzył ci temperaturę? – Nie do wiary, jak łatwo przychodzą mi te matczyne słowa i gesty. Czuję się, jakbym robiła to od lat.

– Tak, a teraz myje ter-mon-etr.

– Termometr – poprawia ją cherubinek. – Mówi się ter-MOM-etr. A nie ter-MON-etr.

Dziewczynka przewraca oczami.

– Nie wtykaj nosa w cudze zabawy, Mitch.

W drzwiach pojawia się Lars.

– Sto jeden i sześć kresiek – obwieszcza.

Nie bardzo wiem, co to oznacza. Rzecz jasna rozumiem, że sto jeden i sześć to temperatura Missy w stopniach Fahrenheita*, ale czy to znaczy, że powinna zostać w łóżku, zamiast iść do szkoły?

Bo ja nie mam dzieci. Nie jestem matką.

Nie twierdzę, że nigdy tego nie chciałam. Wręcz przeciwnie. W dzieciństwie uwielbiałam bawić się lalkami, karmiłam je z wyimaginowanej butelki, woziłam w małym wózekczku dla lalek i udawałam, że zmieniam im pieluszki. Byłam jedynaczką i błagałam rodziców o rodzeństwo – nie dlatego, że chciałam być starszą siostrą, ale dlatego, że chciałam być dla kogoś mamusią.

Dość długo myślałam, że wyjdę za Kevina, mojego chłopaka, z którym spotykałam się w college'u. W czterdziestym trzecim wyjechał na wojnę na Pacyfiku, razem z resztą młodych mężczyzn, którzy nie zrobili tego wcześniej. Pozostałam mu wierna – wtedy dziewczęta tak właśnie robiły, pozostawały wierne. Często do siebie pisaliśmy. Wysyłałam mu paczki z ciasteczkami, skarpetkami, mydłem do golenia. Razem z innymi siostrami z mojego stowarzyszenia studenckiego zaznaczałyśmy pinezkami na mapie Pacyfiku szlak bojowy naszych chłopców-żołnierzy.

– Czekanie jest trudne, ale nasz trud się opłaci, gdy wrócą do domu – pocieszałyśmy się nawzajem. Chlipałyśmy w chusteczki na wieść, że chłopak któregoś z nas już nie wróci. A w duchu każda dziękowała Bogu, że to nie *jej* ukochany, nie tym razem.

Ku mojej wielkiej uldze Kevin wrócił z wojny cały i zdrowy, pragnąc czym prędzej dokończyć kurs przygotowujący do studiów medycznych i spełnić marzenie o zostaniu lekarzem. Dalej się spotykaliśmy, ale nigdy mi się nie oświadczył. Na każdym ślubie, na który nas zapraszano, słyszeliśmy pytanie, kiedy i my się zdecydujemy.

– Och, kiedyś na pewno! – odpowiadałam tonem nieco zbyt beztróskim i nonszalanckim. A Kevin po prostu zmieniał temat.

Mijały kolejne lata. Kevin skończył swoje studia i zaczął staż, ja pracowałam jako nauczycielka piątoklasistów. Ale w naszym związku nic się nie zmieniało. W końcu uznałam, że nie mogę dłużej czekać i postawiłam ultimatum. Powiedziałam Kevinowi, że jeśli nie chce zalegalizować naszego związku, to odchodzę.

Ciężko westchnął.

– Tak chyba będzie najlepiej – powiedział i zdawkowo pocałował mnie na pożegnanie. Niespełna rok później dowiedziałam się, że ożenił się z pielęgniarką ze szpitala, w którym pracował.

Cóż, najwyraźniej w tym świecie ze snu nie mają znaczenia ani tamte zmarnowane lata, ani bezduszne odrzucenie mnie przez narzeczonego. W tym świecie wygrałam los na loterii. „Dobra robota, Kitty”, pogratulowałyby mi siostry z Delta Zeta. „Brawo”.

Ta myśl jest tak absurdalna, że prawie wybucham śmiechem. Zawstydzona szybko zasłaniam usta. Co prawda to sen, ale mam tu chore dziecko. Powinnam być stosownie zatroskana, jak każda matka.

Podnoszę wzrok i napotykam spojrzenie Larsa. Patrzy na mnie z zachwytem i – czy

ja dobrze widzę? – *pożądaniem*. Czy małżonkowie mogą tak na siebie patrzeć? I to w chwili, gdy ich dziecko gorączkuje?

– I co teraz, Katharyn? – pyta Lars. – Ty zawsze wiesz, co się robi w takich sytuacjach.

Naprawdę? Ten sen robi się coraz ciekawszy. Zerkam w okno, za którym wstaje chyba zimowy poranek. Przez oszronione szyby widać prószący śnieg.

I wtedy nagle, w niewyjaśniony sposób, po prostu *wiem*, co trzeba zrobić. Wychodzę na korytarz i idę do łazienki. Doskonale wiem, na której półce w apteczce znajdę plastikową buteleczkę z przeznaczoną dla dzieci aspiryną marki St. Joseph. Wyjmuję papierowy kubek z przytwierdzonego do ściany podajnika i nalewam do niego trochę zimnej wody. Otwieram bieliźniarkę i sięgam po myjkę do twarzy, którą wkładam pod strumień zimnej wody, a następnie wyciskam.

Zdecydowanym krokiem wracam do pokoju Missy, niosąc buteleczkę z lekarstwem, myjkę i kubek. Przykładam i lekko przyciskam myjkę do jej ciepłego czoła. Wręczam jej dwie aspiryny, które dziewczynka posłusznie połyka, popijając je wodą. Uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, po czym kładzie się z powrotem na poduszce.

– Teraz niech odpoczywa. – Przykrywam Missy kołderką i kładę obok łóżka kilka książeczek z obrazkami. Zaczyna przeglądać *Na ratunek Madeline* autorstwa Ludwiga Bemelmansa, jeden z tomów tej uroczej serii o Madeline, uczennicy paryskiej szkoły z internatem, i jej jedenastu koleżankach z klasy. „W Paryżu, w pewnym starym domu, który był porośnięty dzikim winem, ustawiało się co rano w dwa rzędy dwanaście małych dziewczynek”**, recytuje Missy gardłowym szeptem, wodząc paluszkami po wydrukowanych wyrazach.

Lars ujmuje mnie za rękę. Uśmiechamy się do naszej córeczki i razem z naszym cudownym synkiem po cichutku wychodzimy z pokoju.

I wtedy mój sen się kończy, równie nagle, jak się rozpoczął.

Ostry dźwięk stojącego na szafce nocnej budzika rozrywa ciszę. Sięgam ku niemu z zamkniętymi oczami i mocno wciskam guzik, aby uciszyć dzwonek. Uchylam powieki i widzę, że sypialnia jest żółta. Jestem w domu.

* 38,6 stopni Celsjusza (przyp. tłum.).

** Przekład Małgorzaty Pietrzyk (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 2

Boże drogi! – mamroczę do siebie. – To ci dopiero sen. – Podnoszę się i siadam sztywno na łóżku. Aslan, mój złocisty pręgowany kot, leży obok mnie, mrucząc z przymkniętymi oczami. Nazwałam go na cześć lwa z powieści C. S. Lewisa *Lew, czarownica i stara szafa*, niezwyklej książki, zwłaszcza dla wielbicieli dziecięcego fantasy. Czytałam każdą nową powieść o Narnii, gdy tylko się ukazywała, a potem wracałam do całej serii przynajmniej sześć razy.

Rozglądam się po sypialni. Gołe okna, pozbawione firanek i rolet. Drewniane ramy wciąż oklejone taśmą malarską. Moje łóżko i szafka nocna to całe umeblowanie. Komodę i drewnianą skrzynię wyniosłyśmy wczoraj do salonu, żeby ich nie pochłapać i mieć więcej swobody podczas malowania. Pokój pachnie farbą, ale efekt jest niesamowity – jakby słońce rozświetlało całe wnętrze. Właśnie o to mi chodziło. Z uśmiechem zadowolenia na twarzy wstaję z łóżka i wkładam szlafrok, stąpając po pokrytej gazetami podłodze.

Idę do kuchni, aby zaparzyć sobie kawę, a po drodze wstępuję do salonu i włączam radio stojące na jednym z kilku odrapanych regałów, z których aż wylewają się książki i czasopisma. Przekręcam gałkę, aby podgłośnić dźwięk, i wyszukuję stację KIMN. Grają *Sherry* grupy The Four Seasons, którą w tym tygodniu słyszę w radiu co rusz – założę się, że w ten weekend znajdzie się na szczycie listy przebojów Billboard.

Napełniam zaparzaczkę wodą z kranu, a do górnego pojemniczka ze stali nierdzewnej wsypuję porcję kawy Eight O’Clock, którą trzymam w puszcze w górnej szafce.

– „...out tonight...” – nucę pod nosem, gdy piosenka zaczyna stopniowo cichnąć.

– A teraz utwór stary, ale jary – mówi gospodarz programu radiowego. – Ktoś z was to jeszcze pamięta?

Gdy rozlegają się pierwsze dźwięki, zamieram z uniesioną nad zaparzaczkę dłonią, w której ściskam miarkę do kawy. Moje niewielkie mieszkanie wypełnia głos Rosemary Clooney.

– Troszkę to upiorne – mówię do Aslana, który właśnie wszedł do kuchni, aby sprawdzić, czy już nalałam mu do miseczki jego poranną porcję mleka. Wsypuję kawę i włączam zaparzaczkę.

Ta piosenka – właśnie przypominam sobie jej tytuł: *Hey There* – ma już przynajmniej siedem lub osiem lat. Nie pamiętam, w którym dokładnie roku była przebojem, ale wiem, że często ją wtedy nuciłam. Od tak dawna o niej nie myślałam... Dopóki nie usłyszałam jej zeszłej nocy we śnie.

Przypominam sobie oczy mojego wyimaginowanego męża, przenikliwe i błękitne jak woda na pocztówce z jakiegoś egzotycznego zakątka. Pamiętam, jak pomyślałam, że *powinnam* być przerażona, a jednak wcale się nie bałam. Czy wbijałam w niego roziskrzony wzrok? Zdaje się, że można by tak powiedzieć.

Ale cóż mogłam na to poradzić? Nie odrywał ode mnie oczu. Patrzył na mnie tak, jakbym była dla niego wszystkim. Jakby świata poza mną nie widział.

W moim świecie było to tak niezwykle, że wręcz egzotyczne. Nikt, nawet Kevin, nigdy nie patrzył na mnie w ten sposób.

A przy tym jak on się do mnie zwracał! „Katharyn, kochanie, obudź się”. „Musiałaś spać bardzo głębokim snem, kochanie”. „Ty zawsze wiesz, co się robi w takich sytuacjach”.

W moim prawdziwym świecie nikt tak do mnie nie mówi. I na pewno nikt nie nazywa mnie Katharyn.

Kilka lat temu przez pewien czas próbowałam używać tego imienia. To było mniej więcej wtedy, gdy razem z Friedą otworzyłyśmy naszą księgarnię. Początek nowej kariery i nowej dekady życia – kilka miesięcy wcześniej skończyłam trzydziestkę – sprawiły, że poczułam się gotowa na wielką zmianę. Choć nie przepadałam za brzmieniem tej nieszczęsnej „Katharyn”, jakoś nie mogłam wymyślić lepszego sposobu na dokonanie wewnętrznej metamorfozy niż przyjęcie nowego imienia. Łudziłam się, że po prostu muszę się do niego przyzwyczaić.

I ruszyłam do boju. Zamówiłam sobie papeterię z nadrukiem „Katharyn Miller”. Poprosiłam Friedę i inne znajome, by nazywały mnie Katharyn. Przedstawiałam się tym imieniem swoim klientom i sklepikarzom na Pearl Street, których właśnie zaczęłyśmy poznawać. Nawet rodziców prosiłam, by używali pełnej wersji mojego imienia – niechętnie, ale się zgodzili. Zawsze mi we wszystkim ustępowali.

Z Friedą nie poszło mi tak łatwo.

– „Kitty” do ciebie pasuje – oświadczyła. – Po co ta zmiana?

Wzruszyłam ramionami i odparłam, że może czas wreszcie dorosnąć.

Nowym imieniem przedstawiałam się nawet swoim potencjalnym adoratorom. Dzięki temu czułam się, jakbym zaczynała życie od nowa. Jakbym mogła stać się kimś innym. Kimś bardziej wyrafinowanym, bardziej doświadczoneym.

Z mężczyznami mi nie wychodziło – zawsze kończyło się na pierwszej randce. Najwyraźniej zmiana imienia nie pociągnęła za sobą automatycznej zmiany osobowości, na co skrycie liczyłam.

Po kilku miesiącach wyrzuciłam resztę papeterii „Katharyn Miller” do kosza na śmieci i znowu zaczęłam mówić o sobie Kitty. Nikt tego nie skomentował.

Zanoszę kawę do salonu i stawiam filiżankę na biurku zwróconym w stronę dwóch okien. Rozsuwam zasłony. Z tego miejsca mam widok na Washington Street. Jest słoneczny, ciepły, wrześnieowy dzień. Ulicą idzie listonosz – macham do niego, gdy wrzuca pocztę do skrzynek na listy, mojej i należącej do Hansenów, właścicieli tego bliźniaka mieszkających w jego drugiej części. Listonosz się oddala, a ja idę po listy i poranne wydanie „Rocky Mountain News”.

„Lars, Lars...” – to imię ciągle powraca w moich myślach. Ale jaki Lars?

I gdzie ja je wcześniej słyszałam?

Wracam do domu, przeglądając nagłówki w gazecie. Prezydent Kennedy wygłosił wczoraj przemówienie na Uniwersytecie Rice, obiecał, że przed końcem tej dekady człowiek wyląduje na Księżycu. Uwierzę, jak zobaczę. Rzucam gazetę na stół w jadalni, planując przeczytać ją przy śniadaniu.

Moja dzisiejsza korespondencja jest raczej skromna. Prócz kilku rachunków

dostałam reklamę z kuponem na darmowe mycie samochodu – nie na wiele mi się przyda, bo nie mam samochodu – i pocztówkę od matki.

Dzień dobry, Kochanie,

mam nadzieję, że masz ładną pogodę. Tutaj jest 85 stopni i parno, ale cudownie. Nie ma piękniejszego miejsca na świecie, możesz mi wierzyć!*

Nie zapomnij, że wracamy nocnym lotem 31 października. Mamy przesiadkę w Los Angeles, a do Denver przylatujemy w czwartek, 1 listopada.

Wspaniale się tu bawimy, ale już tęsknimy za domem i za jesiennymi kolorami! I za Tobą, oczywiście.

Ściskam

Mama

PS Chciałabym jak najszybciej zajrzeć do szpitala; okropnie stęskniłam się za bobaskami. Ciekawe, ile nowych urodziło się od naszego wyjazdu...

Uśmiecham się. Moi rodzice są od trzech tygodni w Honolulu i będą tam jeszcze przez około pięć tygodni. To dla nich wielka wyprawa, największa, na jaką kiedykolwiek wyruszyli ze swojego Denver. W czerwcu minęła ich czterdziesta rocznica ślubu i aby to uczcić, wybrali się w tę podróż. Mój wuj Stanley jest starszym bosmanem w bazie marynarki wojennej Pearl Harbor. Rodzice zatrzymali się u wuja i ciotki May w ich mieszkaniu w pobliskim Honolulu.

To dla nich wspaniałe wydarzenie, niezapomniane przeżycie, ale rozumiałam, dlaczego nie chcieli – zwłaszcza moja matka – wyjeżdżać z domu na dłużej niż dwa miesiące. Odkąd sięgam pamięcią, mama jest bardzo oddana swej ochotniczej pracy na Oddziale Patologii Noworodków w Szpitalu Głównym w Denver. (Mówi o sobie, że jest „najstarszą wolontariuszką na świecie”). Tata pracował przez wiele lat w Przedsiębiorstwie Użyteczności Publicznej w Kolorado, montując liczniki energii elektrycznej w domach. W zeszłym roku, skończywszy sześćdziesiąt lat, przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Na co dzień kręci się wokół domu, czyta i dwa razy w tygodniu grywa w golfa z kolegami – nawet zimą, jeśli tylko nie spadnie śnieg.

Przypominam sobie, że gdy we śnie wyjrzałam przez okno sypialni tej dziewczynki, padał śnieg. Missy? Tak miała na imię? Tak, za oknem pokoju Missy sypał śnieg. Ciekawe, że pamiętam taki szczegół. Że też mój umysł potrafi dla przyjemności tworzyć całe śnieżne krajobrazy, gdy ja sobie śpię...

Uśmiecham się też na wspomnienie wnętrza sypialni, a w nim dwojga uroczych dzieci i mężczyzny o pięknych oczach.

Dopijając kawę, wkładam pocztówkę do teczki na dokumenty, w której przechowuję wszystkie inne kartki od matki – wysyła je trzy lub cztery razy w tygodniu. Teczke trzymam na biurku obok oprawionej w ramkę fotografii rodziców.

Wstaję i idę przygotować sobie kąpiel. To był przemiły sen, ale czas wrócić do prawdziwego życia.

Wychodzę do naszej księgarni. To tylko kilka przecznic od domu. Frieda też chodzi pieszo i czasem spotykamy się gdzieś po drodze. Jednak dzisiaj, gdy skręcam w Pearl Street, jestem sama. Zatrzymuję się na chwilę, chłonąc tę ciszę i pustkę. Wokół nie ma żywej duszy. Nie mijają mnie żadne samochody. Drogeria jest otwarta – w oknie po lewej widzę jej świecący neon. Czynny jest też sklep z kanapkami. Wiem z doświadczenia, że w ciągu poranka garstka przechodniów wstąpi do środka na kawę albo po żytnią kanapkę z salami na wynos. Ale tylko garstka.

Nie zawsze tak było.

Kiedy jesienią 1954 roku otworzyłyśmy z Friedą naszą księgarnię „Dwie Siostry”, wydawało nam się, że to idealna lokalizacja. Wtedy między Pearl Street i Broadwayem jeszcze jeździły tramwaje. Za ledwie przecznicę dalej znajduje się kino Vogue, dlatego w wieczory, kiedy odbywały się seanse, księgarnia była otwarta na użytek kinomanów przed projekcją i po niej. Zaglądało do nas wiele osób. Ludzie uwielbiali myszkować wieczorem wśród półek z książkami, zapewne licząc, że spotkają tam jakąś tajemniczą piękność lub przystojnego nieznajomego.

Teraz sprawy mają się znacznie gorzej. Zamknięto linię tramwajową łączącą nas z Broadwayem – i wszystkie inne – a tramwaje zastąpiły autobusy. Nowa linia autobusowa nie biegnie Pearl Street, więc nie ma tu już takiego ruchu jak dawniej. W kinie Vogue wciąż grają filmy, ale te nie przyciągają już tłumów. Minęły czasy, kiedy ludzie robili zakupy i szukali rozrywki w małych dzielnicach, takich jak nasza. Teraz wsiada się w samochód i jedzie do nowych centrów handlowych na obrzeżach miasta.

Rozmawiałyśmy o tym, Frieda i ja. Co z tym zrobić. Czy powinnyśmy całkowicie zwinąć interes? A może lepiej – jak sugerowała Frieda już kilka lat temu, a ja się sprzeciwiłam – przenieść księgarnię do jednej z tych galerii? Czy też raczej utrzymać obecny *status quo*, ufając, że los się w końcu odmieni, jeśli tylko będziemy trzymać się wyznaczonego kursu? Żadna z nas nie wie, co robić. Mamy za to temat do codziennych rozmów.

Przez te wszystkie lata nauczyłam się jednego – obie się tego nauczyłyśmy – że nic nie jest tak stałe, jak na początku się wydaje.

Zanim otworzyłyśmy nasz sklep, byłam nauczycielką. Uczyłam piątoklasistów i wmawiałam sobie, że mam na tym punkcie bzika. *Kocham moją pracę, kocham moją pracę, kocham moją pracę*, powtarzałam sobie w duchu każdego ranka, pokonując na rowerze drogę z domu rodziców, z którymi wciąż mieszkałam, do oddalonej o kilka mil szkoły.

Jak mogłabym jej *nie* kochać? – zadawałam sobie pytanie. Przecież uwielbiałam dzieci i książki, i naukę. Jakim byłabym człowiekiem, gdybym nie uwielbiała też uczyć?

Ale gdy stałam przy tablicy w klasie pełnej dziesięciolatków, zżerała mnie trema – jak niedoświadczoną pianistkę, która jakimś cudem znalazła się na scenie w wypełnionej

po brzegi sali koncertowej. Niepozorna i osamotniona siedzi przy fortepianie w świetle reflektorów i zbyt późno uświadamia sobie, że gdy tylko uderzy w klawisze, czar pryśnie i nie zdoła już nikogo oszukać.

Właśnie tak się czułam w mojej klasie. Pociły mi się dłonie, mówiłam zbyt szybko i zbyt piskliwie. Co rusz jakiś uczeń prosił, aby coś powtórzyć. „Proszę pani, ja nie zrozumiałem”, zaczynał jeden, a reszta natychmiast podchwytywała: „Ja też nie. Ani ja, proszę pani. Co pani powiedziała, panno Miller?”. Zdawało mi się, że żartują sobie ze mnie. Ale to nie było śmieszne i zupełnie tego nie rozumiałam.

Co roku miałam kilku wybitnych uczniów – dzięki ci za nich, Boże – którzy mogli się uczyć w każdych warunkach, byli inteligentni, łatwo się przystosowywali i chwyтали wszystko w lot, nawet bez mojej pomocy. Ale tacy trafiali się rzadko.

No i byli jeszcze rodzice. O tak, rodzice...

Pamiętam pewien wyjątkowo paskudny poranek pod koniec mojej nauczycielskiej kariery. Pani Vincent, której córka Sheila właśnie dostała ocenę niedostateczną z historii na koniec semestru, wtargnęła do klasy jeszcze przed pierwszym dzwonkiem. Wściekle wymachiwała druczkiem z ocenami córki. Sheila wlokła się za matką.

– Co ma znaczyć ta ocena, panno Miller? – domagała się wyjaśnień pani Vincent.
– Sheila twierdzi, że na lekcjach wcale nie uczy ich pani historii!

– Oczywiście, że uczę – odparłam, próbując zachować spokój. Ze złości zagryzłam wargi. Dlaczego muszę wyjaśniać coś tak oczywistego? – Przez cały semestr uczyliśmy się o wojnie secesyjnej.

– O wojnie secesyjnej? O *wojnie*? A po cóż małej dziewczynce wiedza o jakiejś zamierzonej wojnie secesyjnej?

To pytanie było tak absurdalne, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Sheila stała obok matki, patrząc na mnie wyzywająco swoimi ciemnymi oczami i uśmiechając się z satysfakcją. Miałam ochotę ją pacnąć. Wiedziałam, że tego nie zrobię, ale pokusa była ogromna. Musiałam trzymać ręce przy sobie, żeby mnie nie poniosło.

– Jest w programie nauczania – odparłam. – Moim zadaniem jest ten temat przerobić, proszę pani. – Zadzwoił dzwonek, więc podeszłam do drzwi, aby powitać moich pozostałych uczniów. – Po prostu realizuję program.

Pani Vincent uśmiechnęła się z wyższością.

– Jakże to twórcze z pani strony – rzuciła, po czym nie czekając na ripostę, obróciła się na pięcie i wyszła z klasy.

Byłam zdruzgotana. Tygodniami nie mogłam się po tym pozbierać. Z czasem zaczęłam obwiniać siebie. Owszem, robiłam, co do mnie należało. Ale skoro moi uczniowie nie umieli albo nie chcieli się uczyć, to musiała być moja wina. Mnie nauka zawsze przychodziła z łatwością, więc uznałam, że nauczanie innych pójdzie równie łatwo. A kiedy okazało się, że się myliłam, nie potrafiłam nic z tym zrobić.

W tym samym czasie Frieda, moja najlepsza przyjaciółka od czasów liceum, pracowała w firmie reklamowej. Było to zajęcie wymagające, lecz fascynujące, a ona była w tym dobra. Jej firma obsługiwała głównie lokalnych klientów, ale często były to pokaźne przedsiębiorstwa, takie jak Gates Corporation, Russell Stover Candies czy Joslins Department Store. Frieda chodziła na przyjęcia i wielkie imprezy inauguracyjne.

Nosiła przepiękne suknie wieczorowe, w których wcześniej mi się pokazywała, aby usłyszeć moje zdanie. Zawsze uważałam, że są fantastyczne.

Zdawałoby się, że Frieda powinna być zadowolona. Ale kiedy spędzałyśmy weekend tylko we dwie, całymi dniami parując w ogrodniczkach, butach na płaskim obcasie i swetrach, zwierzała mi się, że ma już tego wszystkiego dosyć. Mówiła, że to zwykła szopka i że czuje się, jakby występowała w teatrze.

– Odgrywanie jakiejś roli od czasu do czasu jest zabawne – przyznała. – Ale strasznie męczący, jeśli musisz to robić od rana do wieczora, dzień w dzień.

Dużo rozmawiałyśmy o życiu. Frieda narzekała na sztuczność i zakłamanie w pracy. Ja zwierzałam się ze swych obaw, że nie jestem w tym, co robię, taka dobra, jak mi się wcześniej zdawało.

– A gdyby tak zmienić swoje życie? – spytała Frieda pewnego niedzielnego popołudnia pod koniec marca 1954 roku, gdy wybrałyśmy się na spacer po okolicy. Miesiąc wcześniej wyprowadziłam się od rodziców. Dobiegałam trzydziestki i uznałam, że nadszedł czas, by zacząć żyć na własny rachunek, więc wynajęłam mieszkanie w Platt Park. Mieściło się niedaleko szkoły, w której uczyłam, a od domku, który Frieda kupiła dwa lata wcześniej, dzielił mnie niespełna dziesięciominutowy spacer. W Denver, jak co roku w marcu, szalały śnieżyce, a zaraz potem nastąpiła kilka ciepłych, słonecznych dni. Topniejący śnieg tworzył kałuże, a błotniste podwórka zaczynały się zielenić. Poprzedniego dnia spadło sporo śniegu – ale już w niedzielę, kiedy spacerowałam z Friedą, niebo było czyste i jasne, a temperatura przekraczała pięćdziesiąt stopni**.

Frieda przyglądała się, jak z dachu pobliskiego domu spadają na ziemię ciężkie krople roztopionego śniegu. Spojrzała na mnie i spytała:

– A gdyby nasza praca dawała nam satysfakcję?

– A gdybym nie musiała płakać niemal każdego wieczoru? – Rozmarzyłam się i ożywiłam.

Frieda powoli kiwała głową.

– W rzeczy samej, siostrze – odparła. – W rzeczy samej.

W końcu orzekłyśmy, że zamiast żyć marzeniami, powinnyśmy zacząć je spełniać. Wyczyściłyśmy swoje konta oszczędnościowe, zapożyczyłyśmy się u rodziców i zaciągnęłyśmy kredyt dla przedsiębiorców. Jako kobiety niezamężne potrzebowałyśmy konsygnatariusza-mężczyzny, na szczęście jednak ojciec Friedy zgodził się nim zostać. I tak powstała księgarnia „Dwie Siostry”.

Pamiętam naszą euforię w dniu jej otwarcia. Wreszcie zaczęłyśmy nadawać kształt swojemu życiu. Będziemy wspólnie prowadziły kwitnący interes, będziemy same decydowały o swoim losie. Odtąd nikt inny – ani nasi rodzice, ani szefowie, nie mówią już o hordzie krnąbrnych dziesięciolatków i ich matkach – nie będzie nam mówił, co mamy robić. Nikt inny nie będzie podejmował za nas żadnych decyzji, nikt poza nami samymi.

Żadna z nas nie wyszła za mąż przed dwudziestką, w przeciwieństwie do wszystkich naszych koleżanek z liceum i z college’u. Żadnej z nas panieństwo nie przeszkadza. Mój dawny cel – poślubienie Kevina – przestał mieć znaczenie. To było pragnienie młodej kobiety – właściwie dziewczyny. Dziewczyny, którą już nie jestem.

Z biegiem lat uświadomiłam sobie, że brak męża daje nam, pannom, pewną dozę wolności i ekscentryczności, których brakuje innym kobietom w naszym wieku. Zupełnie jak nietuzinkowy naszyjnik, który przyciąga wzrok w dziale biżuterii w domu towarowym – właśnie ten składający się z kolorowych, różnorodnych paciorków, a nie tradycyjny, monotony sznur pereł.

„Na co komu mężczyźni? – pytamy z Friedą zgodnym chórem. – Na co komu dzieci?” Uśmiechamy się znacząco, patrząc na rodziny w samochodach kombi, i oddychamy z ulgą, że nigdy nie wpadłyśmy w tę pułapkę.

Takie życie już od dawna nie kusi żadnej z nas.

Dzisiejszy dzień nie należy do najłatwiejszych. Rano mamy tylko dwóch klientów, a każdy z nich kupuje po egzemplarzu tej nowej powieści Bradbury’ego – ta książka to wschodząca gwiazda na naszej skromnej liście bestsellerów. Po południu przychodzi parę osób, aby poszperać na półkach, a kilka innych pyta, czy mamy *Milczącą wiosnę* Rachel Carson – to książka o zagrożeniach wynikających ze stosowania pestycydów. W tym roku drukowano ją w tygodniku „New Yorker” w postaci serii esejów, a pod koniec bieżącego miesiąca do księgarń ma trafić ich zbiór. *Milcząca wiosna* jest pozycją, na którą czeka wielu czytelników, ale niestety jej pierwsze egzemplarze dotrą do naszej księgarni dopiero w ostatnim tygodniu września.

Przez cały dzień Frieda jest podenerwowana. Jej nastrój najwidoczniej mi się udziela, bo zauważam, że drżą mi ręce, choć dzisiaj wypilałam tylko dwie filiżanki kawy. A może to skutek mojego snu, o którym wciąż nie mogę zapomnieć.

– Muszę się stąd wyrwać – mówi Frieda o wpół do piątej. – Mam dość jak na jeden dzień. Pozamykasz?

Potakuję i patrzę, jak wychodzi. Przed sklepem zapala papierosa i odchodzi, wyraźnie podminowana.

– Przykro mi, siostró – szepczę, choć już nie może mnie usłyszeć. – Przykro mi, że idzie nam coraz gorzej.

I wtedy gdy rolety w oknach są już opuszczone, a ja wydaję skromną sumkę z kasy, aby przenieść ją do sejfów na zapleczu, nagle coś sobie przypominam.

Wiem, gdzie wcześniej słyszałam to imię. Lars.

To było jakieś osiem lat temu, niedługo po tym, jak zaczęłam używać imienia Katharyn, tuż przed otwarciem Dwóch Sióstr. Wtedy z wielkim zainteresowaniem czytywałam dział drobnych ogłoszeń w „Denver Post”. W końcu zamieściłam tam swoje ogłoszenie. Uznałam, że po zmianie pracy i imienia będzie to kolejna odważna rzecz, jaką zrobię w ramach własnej metamorfozy.

Lars był jednym z mężczyzn, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że Lars był właśnie *tym* mężczyzną.

Chodzi o to, że należał do ośmiu czy dziewięciu kandydatów wybranych z około dwudziestu, z którymi rozmawiałam przez telefon, i do tych kilku, z którymi umówiłam się na randkę (z żadnym nie spotkałam się po raz drugi i raczej tego nie żałowałam) – z tych wszystkich mężczyzn Lars był jedynym, o którym pomyślałam, że mógłby zostać moim wybrankiem.

Jak wszyscy inni, Lars napisał do mnie list, w którym się przedstawił. Ale

w przeciwieństwie do innych listów, które otrzymałam, nie składał się on z kilku linijek nabazgranych na kawałku papieru bez większego zastanowienia. Byłam pewna, że napisanie tego listu zajęło mu sporo czasu i wymagało z jego strony refleksji.

Lubię przechowywać różne rzeczy. Mam w domu pokaźną szafkę na dokumenty i trzymam w niej każdy kawałek papieru, który kiedykolwiek coś dla mnie znaczył. Mam tam listy, przepisy, plany podróży, artykuły prasowe – wszyściuteńko.

Nic więc dziwnego, że kiedy pędzę po pracy do domu i przeglądam całą tę kolekcję, szybko znajduję teczkę z napisem „Odpowiedzi na ogłoszenie”. W środku jest kilka listów i karteczek z imionami i numerami telefonów. Jest też poźółkły wycinek z gazety z moim ogłoszeniem:

Panna, lat 30, Denver. Optymistka wierząca w siebie, rodzinę, przyjaciół i swoje zdolności. Uczciwa, prostolinijna, lojalna. Szuka dżentelmena wesolego, lecz nie lekkomyślnego. Z zainteresowaniami (aktywny wypoczynek, muzyka, książki). Powinien cenić rodzinę i ciepło domowego ogniska, ale także lubić przygody, podróże i zabawę. Jeśli taki jesteś, napisz do mnie.

Myślę o tym, co napisałam w swoim ogłoszeniu. Jak zaprezentowałam się światu. Teraz widzę, jak zmieniłam się od tamtego czasu. Wtedy myślałam jeszcze o małżeństwie. Kevin zniknął z mojego życia kilka lat wcześniej, ale myśl o znalezieniu kogoś odpowiedniego, z kim mogłabym ułożyć sobie życie i stworzyć rodzinę – cóż, najwyraźniej w pięćdziesiątym czwartym ta myśl wciąż chodziła mi po głowie.

To, co mam teraz – księgarnię, niezależność, życie pracującej, niezamężnej kobiety... Cóż, może i chciałam założyć wspólny interes z Friedą. Po tej katastrofie, jaką skończyła się moja kariera nauczycielki, chyba zapragnęłam otoczyć się książkami i żyć na *moich* warunkach.

Najwyraźniej jednak nie spodziewałam się, że moje życie potoczy się w taki sposób, w jaki faktycznie się potoczyło.

Przerzucam resztę kartek w teczce i w końcu znajduję list od Larsa:

Szanowna Pani,

wiem, że mnie Pani nie zna, i wiem, że większość ludzi uważa ten sposób zapoznawania się za niemądry. Słyszałem, że to nigdy nie kończy się powodzeniem. W zasadzie zgadzam się z tą opinią, bo nie znam zbyt wielu osób, którym to się udało. Ale przeczytałem Pani ogłoszenie (szczerze mówiąc, przeczytałem je ze dwanaście razy) i na podstawie Pani opisu przypuszczam, że moglibyśmy do siebie pasować.

Napisała Pani, że szuka kogoś wesolego, lecz nie lekkomyślnego. Oto kilka moich ulubionych zajęć: lubię odwiedzać siostrzeńca i siostrzenicę i grać z nimi w piłkę na ulicy. Proszę się nie martwić, gramy miękką piłką i jeszcze nie zdarzyło nam się rozbić szyby w samochodzie – dzieci mają dwanaście i osiem lat, więc uważają na nadjeżdżające pojazdy. Lubię też majsterkować. Kiedy dzieci siostry były jeszcze małe, zbudowałem dla nich huśtawkę na podwórku za domem. Zrobiłem budę dla psa mojego znajomego, aby zwierzę nie musiało spędzać nocy na chłodzie. Być może trudno uznać te rzeczy za wesole,

ale sprawiają innym przyjemność i wtedy się uśmiecham.

Wspomniała Pani o podróżach. Dotąd nie miałem okazji, by podróżować tak często, jakbym chciał. Moja rodzina wyemigrowała ze Szwecji do Stanów Zjednoczonych, kiedy byłem nastolatkiem. Musiałem ciężko pracować, aby poradzić sobie w nowym kraju, ale teraz sprawy mają się lepiej i stać mnie na wygodniejsze życie. Mam nadzieję, że w przyszłości będę częściej podróżował po kraju i wyjeżdżał za granicę. Była Pani w Europie? Ja nie odwiedzałem Starego Świata od czasu wyjazdu ze Szwecji, ale chciałbym kiedyś jeszcze raz tam pojechać, najchętniej w towarzystwie kogoś, kto umiałby docenić jego piękno i historię.

Lubię także amerykański sport, a zwłaszcza baseball. Być może to Pani nie interesuje, bo w ogłoszeniu nie wspomina Pani o sporcie. Mam jednak nadzieję, że jeśli się spotkamy i lepiej poznamy, wybaczy mi Pani tę słabość. Podobno baseball to narodowa rozrywka Amerykanów, a skoro sam jestem teraz Amerykaninem, ten sport stał się także moim ulubionym hobby.

Cieszę się, że nie wahała się Pani napisać, iż szuka mężczyzny, który chce założyć rodzinę. Mam wrażenie, że wiele kobiet boi się do tego przyznać, jakby uważały, że wtedy mężczyźni nie będą nimi zainteresowani. Być może wynika to z faktu, że często mężczyźni (zwłaszcza w pewnym wieku) są albo niezdecydowani, albo stanowczo nie chcą mieć dzieci. Ja myślę inaczej. Zawsze chciałem założyć rodzinę i mam nadzieję, że nie jest na to za późno! (Mam dopiero 34 lata, więc chyba mam dość czasu).

Właśnie dlatego Pani ogłoszenie zwróciło moją uwagę. Mam nadzieję, że Pani odpisze. Bardzo chciałbym Panią poznać.

Z wyrazami szacunku

Lars

Czytam ten list po raz drugi. Wpatruję się w numer telefonu, który widnieje w postscriptum. A potem przeglądam treść listu jeszcze parę razy. Oczywiście, żaden z niego Szekspir. Ale to jasne, dlaczego chciałam go poznać. Jego słowa coś w sobie miały; wystarczyło tych kilka akapitów, abym wyczuła, że coś nas łączy.

Później, krojąc warzywa na obiad, dzwonię do Friedy. Boję się, że wciąż będzie w złym humorze, ale muszę z nią porozmawiać. Być może – myślę, wykręcając numer – ten żwawy spacer rozjaśnił jej umysł.

Odbiera po trzecim dzwonku, a słysząc mój głos, pyta:

– Stęskniłaś się za mną? Wiem, wiem, nie widziałyśmy się od prawie dwóch godzin.

Wybucham śmiechem.

– Oczywiście – odpowiadam. – Ale dzwonię też z innego powodu. – I dodaję, nie owijając w bawełnę: – Pamiętasz faceta o imieniu Lars? Z ogłoszenia. – Nie odpowiada, więc powtarzam pytanie.

– Zastanawiam się – mówi Frieda. – Był twój czy mój?

Po przejrzeniu kilku pierwszych odpowiedzi na moje ogłoszenie zdałam sobie sprawę, że nie każdy piszący będzie nadawał się na mojego adoratora. Jeden z wielu mówiących listów obwieszczał zwięźle: „Jestę fspaniały. Zadzwoń do mnie”. Nie był to, niestety, przypadek odosobniony.

Były też inne listy, których autorzy – choć zdołali sklecić kilka prostych zdań – nie wznieśli we mnie isierki zainteresowania. Z różnych powodów: jeden za wysoki, drugi gaduła, jeszcze inny zbyt ugrzeczniwy.

Pewnego wieczoru Frieda wpadła z wizytą i wspólnie przejrzałyśmy wszystkie listy po kolei. Podzieliłyśmy je na trzy stosy: „Kitty”, „Frieda” i „Do wyrzucenia”. Na mój stosik trafiły listy, które mnie zaintrygowały.

– W końcu to *moje* ogłoszenie – powiedziałam ze śmiechem. – Zaklepuję sobie najlepszych.

Na drugi stosik trafiły zatem te listy, które mnie nie poruszyły. Frieda wybrała sobie kilka z nich, aby skontaktować się z ich autorami.

– Czemu nie? – stwierdziła. – Inaczej wylądują tutaj. – I machnęła ręką w stronę kupki „Do wyrzucenia”.

Jak na ironię, miała więcej szczęścia niż ja. Umówiła się na kilka randek i nawet przez kilka miesięcy była w związku z mężczyzną poznanym właśnie przez moje ogłoszenie. Myślałam, że przerodzi się to w coś poważnego, ale widać nie było im to pisane. Mówiąc mi, że zerwali ze sobą, Frieda nonszalancko wzruszyła ramionami.

– Czegoś mu brakowało – oświadczyła. – Nie miał o mnie tak wysokiego mniemania jak ty, Kitty.

Imię mojej najlepszej przyjaciółki mogłoby komuś sugerować, że ma szorstkie, rude włosy i jest nieco egocentryczna jak Frieda z komiksu *Fistaszki*. Ale choć moja Frieda bywa zadufana w sobie – jak każdy z nas – to jednak wyglądem w niczym nie przypomina tej bohaterki historyjek obrazkowych. Wysoka, o długich, prostych, ciemnych włosach, stanowi niemal moje przeciwieństwo. Jest wysportowana i silna; w liceum grała w softball i należała do drużyny pływackiej, a obecnie kilka razy w tygodniu chodzi na basen przy hali sportowej Uniwersytetu w Denver. Nawiązuje rozmowę z każdą napotkaną osobą, z nastolatką sprzedającą bilety w kinie Vogue i ze zdeorientowanym przechodniem, który wstępuje do naszej księgarni, aby zapytać o drogę do zupełnie innej części miasta. Inni sklepikarze na naszej ulicy mówią o Friedzie „handlarka”. Ja jestem „molem książkowym”.

– Lars był jednym z moich – odpowiadam teraz. – Wiem, że moich nie pamiętasz aż tak dobrze.

Wybucha śmiechem.

– Ledwo pamiętam zeszły tydzień, a ty chcesz, żebym przypomniła sobie, z kim się umawiałaś... Kiedy to było? Osiem lat temu?

Wyjmuję z lodówki marchewkę i zaczynam ją obierać.

– Miałam nadzieję, że coś pamiętasz.

– Dlaczego? Spotkałaś go gdzieś?

– W pewnym sensie. – Ale nie wyjaśniam, co mam na myśli, bo nawet Friedzie mogłoby się to wydać dziwaczne.

– Zamieściłaś kolejne ogłoszenie?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Kroję marchewkę w talarki. – Słuchaj, muszę kończyć. Robię obiad. Zobaczymy się jutro.

Rozłączam się i jeszcze raz czytam list od Larsa i moje ogłoszenie. Czytam je raz za razem, odkąd wróciłam z pracy.

I nagle przypominam sobie coś jeszcze. Rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy przez telefon.

Tylko jeden raz. Zadzwoiłam do niego, bo w tej nietypowej sytuacji było to najrozsądniejsze, co mogłam zrobić – tak orzekła Frieda.

– W ten sposób – powiedziała – nawet jeśli któryś z nich zacznie bredzić, jakby przed chwilą uciekł z wariatkowa, nic wielkiego się nie stanie. Przecież nie będą mogli oddzwonić.

Zatem tamtego wieczoru, kiedy kilkakrotnie przeczytałam list od Larsa, wzięłam głęboki oddech, podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer, który mi przysłał. Odebrał natychmiast.

– Mówi... Katharyn – powiedziałam, wypróbując swoje nowe imię. Poczułam rzeźkość i mrowienie na języku, jakbymssała miętówkę. – Z... ogłoszenia.

– Katharyn. – W jego ustach to imię brzmiało magicznie, wyjątkowo. – Wiedziałem, że to pani dzwoni.

Trochę mnie to przestraszyło.

– Skąd pan wiedział? – spytałam nerwowo.

Roześmiał się. Miał przyjemny śmiech.

– Po prostu wiedziałem.

Przyciszyłam radio, żeby wyraźniej słyszeć jego głos w słuchawce. Wielkie nieba, teraz pamiętam, kiedy ta piosenka Rosemary Clooney była na szczytach list przebojów.

Słyszałam ją w radiu właśnie tamtego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

„Czyjeś roziskrzzone oczy” – oczywiście!

Lars zapytał, jak mi minął dzień, co robiłam w pracy.

– Tak się składa, że właśnie zmieniam pracę – odparłam, a potem opowiedziałam mu o księgarni, którą planowaliśmy otworzyć za kilka tygodni.

– Bardzo ekscytująca perspektywa – uznał. – Imponuje mi pani, Katharyn.

Imponuję. Jestem pewna, że nigdy wcześniej nikt tak o mnie nie powiedział. Mądra, tak. Życzliwa, jak najbardziej. Ale że mogę komuś imponować? Chyba nawet ja sama nigdy bym tak o sobie nie pomyślała.

– Ja też myślę o tym, aby otworzyć coś swojego – dodał Lars. – Ale nie jest to tak pasjonujące, jak pani plan. Zwyczajne biuro architektoniczne.

Roześmiałam się.

– Mnie to się wydaje bardzo pasjonujące – powiedziałam. – Jak pan trafił do tej branży?

– Och, zajmuję się tym od lat – odparł. – Zawsze lubiłem budować. W Szwecji mój ojciec był stolarzem, a ja pomagałem mu w pracy. W takim małym miasteczku, w jakim mieszkaliśmy, gdy budujesz komuś dom, najpierw musisz go zaprojektować. Tutaj, po śmierci rodziców, pracowałem dorywczo. W końcu zaoszczędziłem dość pieniędzy, aby pójść na studia. Wtedy już wiedziałem, że chcę studiować architekturę. College skończyłem dość późno, w czterdziestym czwartym, kiedy miałem już dwadzieścia cztery lata. Znalazłem pracę w małej firmie w moim mieście, a reszta poszła jak z płatka.

– W czterdziestym czwartym. – Zastanawiałam się przez chwilę. – Nie służył pan w wojsku? – Wszyscy moi znajomi, Kevin i inni młodzi ludzie, których znałam z liceum, ze studiów na Uniwersytecie w Denver, z kościoła i z sąsiedztwa, w czterdziestym czwartym służyli w wojsku.

Milczał przez chwilę.

– Larsie? Jest pan tam jeszcze? – spytałam łagodnie.

– Nie mogłem służyć – odparł cicho. – Miałem kategorię E.

– Dlaczego?

Słyszałam, jak bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

– Mam chore serce... arytmie – odparł i szybko dodał: – To nie takie straszne, jak się wydaje. Ale oznacza, że... moje serce... bije nieregularnie. – Znowu na chwilę umilkł. – To znaczy, że mam słabe serce.

Teraz ja milczałam. Pomyślałam o moim ojcu, największym patriocie, jakiego kiedykolwiek znałam. W czasie wojny jego fabryka strajkowała, a on jako jedyny robotnik przemaszerował przez kordon pikietujących i poszedł pracować ramię w ramię z zatrudnionymi na miejsce strajkujących. Jakiś czas wcześniej fabryka przerwała produkcję liczników energii elektrycznej, a robotnicy zajmowali się montażem sprzętu elektronicznego w ramach cywilnej pomocy na rzecz wojny. Ojciec powiedział, że to, co zrobił, aby pomóc naszym żołnierzom, było warte więcej niż kilka dodatkowych centów w kieszeni. Zastanawiałam się, co pomyślałby o mnie, gdyby się dowiedział, że spotykam się z mężczyzną, który w czasie wojny został w domu ze względu na kategorię E.

– Katharyn?

– Tak?

– Czy to pani nie przeszkadza? Że nie walczyłem?

Milczałam jeszcze przez kilka sekund. A potem odpowiedziałam:

– Cóż, przecież nie mógł pan nic na to poradzić. Proszę opowiedzieć mi więcej o swojej pracy architekta – dodałam z uśmiechem.

– Zajmuję się projektami komercyjnymi – wyjaśnił. – Biurowcami i tym podobnymi budynkami. Nie jest to praca tak prestiżowa, jak projekty mieszkaniowe, ale jest na nią większe zapotrzebowanie. Dzisiaj mnóstwo domów buduje się z prefabrykatów, według jednego wzoru. Chciałbym kiedyś zaprojektować i wybudować swój własny niepowtarzalny dom. – Westchnął. W jego głosie wyraźnie czułam wielką żarliwość. Opowiedział mi jeszcze o biurze architektonicznym, które planował założyć. – Umiem tyle samo, co szefowie firmy, w której obecnie pracuję – wyjaśniał. – Jedyne, co

nas od siebie różni, to nazwisko na wizytówce na drzwiach i suma na pasku wypłaty.

– Świetnie! – odparłam i mówiłam to szczerze. Podziwiałam go za to pragnienie, by zacząć pracę na własny rachunek. Wiedziałam z doświadczenia, własnego i Friedy, że już sama myśl o takim skoku na głęboką wodę jest niezwykle trudna.

Rozmawialiśmy przez ponad godzinę. W końcu zauważyłam, że robi się późno.

– Było mi naprawdę miło – powiedział Lars. – Chętnie jeszcze bym z panią porozmawiał, Katharyn.

Zawahałam się chwilę, a potem wypaliłam:

– Może lepiej byłoby się spotkać? Zamiast znowu rozmawiać przez telefon. Powinniśmy się poznać osobiście i wtedy zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

– Naprawdę? – Wydawał się zaskoczony.

– Oczywiście.

– Cóż, w takim razie, Katharyn, umówmy się na randkę. – I umówiliśmy się na kawę za dwa dni wieczorem.

– No dobrze – powiedział, kiedy już to ustaliliśmy. – Czyli teraz chyba się pożegnamy.

– Chyba tak.

– Katharyn...

Chwila ciszy.

– Tak?

– Nic... – odparł łagodnie. – Ja tylko... Naprawdę bardzo się cieszę na to spotkanie.

– Ja także.

Umilkł, słyszałam tylko jego przyspieszony oddech.

– Czy coś jeszcze...? – spytałam.

– Nie, ja... – odparł powoli. – Nie, raczej nie. Dobranoc.

– Dobranoc – pożegnałam się i oboje się rozłączyliśmy.

Siedzę przy biurku, wyglądając przez okno. W ręku trzymam listy, kilka innych kartek i teczkę. Zaciskam usta, czując, jak wzbiera we mnie złość.

Bo właśnie coś sobie przypomniałam.

Lars nie przyszedł na naszą randkę.

* Około 29 stopni Celsjusza (przyp. tłum.).

** 10 stopni Celsjusza (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 3

Wiem, to głupie. Takie rzeczy są pewnie na porządku dziennym. Umawianie się z kimś z ogłoszenia to niepewna sprawa. Dostałam nauczkę, że świat pełen jest różnych dziwaków – mężczyzn, którzy wydają się zupełnie normalni, gdy czytasz ich listy albo nawet rozmawiasz z nimi przez telefon, ale wystarczy znaleźć się z nimi w jednym pomieszczeniu, a od razu wyczuwasz, że coś jest nie tak. Może nie wiedzą, co to znaczy być dżentelmenem. Może już kogoś mają. Może *wydaje im się*, że chcą się z kimś związać, choć w rzeczywistości chcą tylko zapewnić matkę, siostrę albo jeszcze kogoś innego, że się starają. Jednak w głębi ducha chcą, by zostawiono ich w spokoju. Ostatnie, czego pragną, to stała dziewczyna lub, Boże uchowaj, żona.

Byłam więc rozczarowana, ale nie zaskoczona, kiedy tamtego wieczoru, osiem lat temu, siedziałam samotnie w kawiarni, sącząc kawę i czekając piętnaście minut, dwadzieścia, trzydzieści pięć. Przyglądałam się ludziom za oknem: spacerującym parom, starszym paniom z pieskami na smyczkach wysadzanych kryształami górskimi, matkom z pucułłowatymi bobasami w wózkach. Zastanawiałam się, czy Lars nie siedzi skulony w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie ulicy, skąd może mnie obserwować. Być może uznał na podstawie mojego wyglądu – który wcale nie był taki zły, bo przecież po południu byłam u fryzjera, a przed wyjściem z domu starannie umalowałam usta – że nie warto tracić godziny na kawę ze mną.

W końcu, po dwóch dolewkach kawy, wstałam, ubrałam się i wyszłam z kawiarni z wysoko uniesioną głową i dzielnym uśmiechem na twarzy. Jeśli naprawdę mnie obserwował, chciałam, by wiedział, że się nie przejęłam.

Po kolacji przez godzinę porządkuję sypialnię. Zdieram taśmę malarską, którą przed malowaniem sypialni okleiłam okna i listwy przypodłogowe, zbieram rozłożone na podłodze gazety oraz zawieszam zasłony i rolety. Kusi mnie, by samodzielnie poprzesuwać meble, ale koniec końców stwierdzam, że nie warto. Wskakuję do łóżka i choć zasypiam błyskawicznie, początkowo nic mi się nie śni.

A potem nagle przenoszę się do sypialni z zieloną tapetą na ścianach. Szarawe światło poranka sączy się do środka, a przez drzwi prowadzące na taras widzę, że znowu pada śnieg. Czy tu zawsze pada śnieg?

Leżymy na łyżeczkę, a Lars obejmuje mnie prawą ręką w pasie. Czuję jej ciężar na moim ciele i ciepły oddech na szyi.

Obracam się ostrożnie, aby na niego spojrzeć.

„Kim jesteś? – pytam w myślach, bojąc się wypowiedzieć te słowa na głos, aby go nie obudzić. – I co ja tu z tobą robię?”

Otwiera te swoje olśniewające, błękitne oczy, jakby mnie usłyszał.

– Dzień dobry, kochanie – mówi, ujmując moją twarz i kierując ją ku sobie, by mnie pocałować. Jego pocałunek jest ciepły i smakuje znajomo. Czuję się tak, jakbyśmy całowali się codziennie od lat.

– Dzień dobry – mamrocze. Jest mi tak przyjemnie; chciałabym cieszyć się tym

uczuciem jak najdłużej.

Odwracam się, a gdy mocno się do niego przytulam, czuję na udzie dotyk jego twardego członka. Waham się. A potem, przypomniawszy sobie, że to tylko sen, więc nic, co mówię i robię, nie ma żadnego znaczenia, pytam:

– Która godzina? Czy my... możemy... – jąkam się, nie wiedząc, jak to powiedzieć, nawet w tym nierzeczywistym świecie.

– Jeśli się pospieszymy. – Uśmiecha się. – Uwielbiam soboty.

I zaczynamy kochać się namiętnie i dyskretnie, tak jak w moich wyobrażeniach robią to pary małżeńskie, kiedy wczesnym rankiem mają trochę czasu. Muszą się spieszyć, aby zdążyć, zanim dzieci się obudzą.

Jego doświadczony, utalentowany dłoń czule pieścą całe moje ciało. Odpina dwa górne guziki mojej koszuli nocnej i obejmuje wargami moje sutki. Z cichym jękiem wyprężam się, by znaleźć się jeszcze bliżej niego. Zapomniałam już, jakie to cudowne uczucie.

Wślizguje się we mnie, a ja zaczynam poruszać biodrami – na początku powoli, a potem coraz szybciej, gdy zaczynam się odprężać. Wkrótce wstrząsa mną dreszcz rozkoszy potężniejszy niż jakiegokolwiek inne seksualne doznanie w moim życiu. Jestem zdumiona siłą tego uczucia, które przenika całe moje ciało. Z ust wyrывa mi się okrzyk, więc zagryzam wargi, bojąc się, że robię za dużo hałasu.

Lars nie przerywa. Słyszę, jak jego oddech przyspiesza, a serce bije coraz mocniej. I wtedy, zupełnie nagle, on spowalnia tempo – tak bardzo, że prawie zastyga w bezruchu.

– Coś nie tak? – pytam z niepokojem. – Dobrze się czujesz?

Znowu lekko przyspiesza, jego pchnięcia są nieco szybsze, ale już nie tak gwałtowne, jak tuż przed moim szczytowaniem.

– Nic mi nie jest – odpowiada. – Muszę tylko... trochę zwolnić...

Poruszam się pod nim w milczeniu, starając się dopasować do jego rytmu.

Dochodzi i zsuwa się ze mnie, a potem poprawia sznurek spodni od piżamy i leży cicho u mego boku. Poprawiam koszulę nocną, zakrywając nogi, po czym zwijam się w kłębek obok Larsa i kładę mu dłoń na piersi.

Czuję, jak jego serce wali.

– Dobrze się czujesz? – dopytuję się.

– Nic mi nie jest. – Uśmiecha się, patrząc mi w oczy. – Wiesz przecież, że czasem muszę zwolnić... Wtedy jest lżej...

– Jak to... lżej? – pytam ostrożnie.

Klepie się po klatce piersiowej, jego ciepłe palce dotykają moich.

– Lżej tutaj – odpowiada. – Serce tak nie szaleje. – Przyciąga mnie i szepcze: – Przecież wiesz, kochanie.

Przez chwilę oboje milczymy. Przyglądam mu się z uwagą, obserwując, jak jego oddech wraca do normy.

– Było cudownie – mówię. – Poczułam się... spełniona. – Krzywię się. Pewnie pomyśli, że zwariowałam.

– Byłaś taka namiętna – stwierdza. – Jakby od ostatniego razu minęło sporo czasu. A nie minęło. – Patrzy na mnie w zamyśleniu. – Ledwo kilka dni, prawda?

Gdyby tylko wiedział.

– Cóż, zdaje się, że czasem mnie ponosi.

Ktoś niepewnie puka do uchylonych drzwi i mówi cichutko:

– Zapukałem. Tak jak mówiliście. Pamiętałem i zapukałem.

Lars uśmiecha się.

– Wejdz, kolego – woła.

Drzwi otwierają się na oścież i do pokoju wślizguje się jasnowłosy Mitch, który podchodzi prosto do mnie.

– Już po siódmej – melduje.

– Rzeczywiście. – Lars rzuca okiem na budzik stojący na szafce nocnej.

– Zaczekałem, tak jak prosiliście.

– Dobra robota – chwalę go.

Nie jestem pewna, czy powinnam – bo czy mam jakiegokolwiek pojęcie o zasadach panujących w tym domu? – niemniej jednak ogarnia mnie ochota, aby przytulić tego dzieciaka. Odsuwam kołdrę i zachęcam Mitcha, żeby pod nią wskoczył. Wdrapuje się z zapalem na łóżko i zarzuca mi ramionka na szyję.

– Wysusiałeś się? – pytam, zastanawiając się jednocześnie, skąd u mnie ta przytomność umysłu, żeby coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy.

Mitch kiwa głową.

– Tylko ty wstałeś? – pyta Lars, wstając z łóżka, a chłopiec jeszcze raz potakuje. – Idź po książkę, kolego. Mama ci poczyta. Prawda, kochanie?

– Oczywiście. – Podnoszę się i układam wygodnie na poduszkach.

Lars nachyla się, by mnie pocałować.

– Zacznę przygotowywać śniadanie.

I tak oto znajduję się w uroczej, stylowej sypialni. Za oknami prószy śnieg, i przytulam chyba najrozkoszniejszego chłopczyka na świecie, czytając mu książkę o różnych środkach transportu.

Mitch najwyraźniej uwielbia pojazdy. Wszelkiego rodzaju. Samoloty. Pociągi. Stare samochody. Liniowce transoceaniczne.

– Kiedyś zostanę kapitanem liniowca – ogłasza dumnie. – Będę pływał dookoła świata. Będę ze sobą zabierał całą rodzinę i będziecie mieć kabiny pierwszej klasy.

Uśmiecham się i przytulam go jeszcze mocniej.

Jesteśmy w samym środku ewolucji kolei – czy wiesz, że w 1804 roku Anglik Richard Trevithick skonstruował pierwszy silnik parowy? Ja nie wiedziałam o tym do dzisiaj – kiedy drzwi otwierają się po raz drugi i do sypialni wchodzi Missy.

– Tatusi mówi, że śniadanie już prawie gotowe – obwieszcza. Obraca się wokół własnej osi w swojej różowej koszuli nocnej z naszytym z przodu wizerunkiem księżniczki w żółtej sukni.

Nachyla się, by dostać buziaka. Cmokam ją i pytam:

– Jak ci się spało w nowej koszuli z księżniczką? – *Skąd ja o tym wiem?*

W odpowiedzi uśmiecha się od ucha do ucha.

– Kapitalnie! Jest taka wygodna. A kiedy obudziłam się w nocy i zobaczyłam, że

księżniczka jest na moim brzuszku, to zaraz znowu zasnęłam. – Missy obdarza mnie szybkim uściskiem. – Jeszcze raz dziękuję, mamusiu – dodaje. – Jesteś najlepszą uszywaczką!

– Szwaczką – poprawiam ją.

Niestety nie jestem. Od czasu gdy uczęszczałam na zajęcia z gospodarstwa domowego ponad dwadzieścia lat temu, zdarzyło mi się co najwyżej przyszyć obluźowany guzik bluzki. A mimo to w tym życiu uszyłam dziecięcą koszulę nocną (a przynajmniej przyszyłam do niej wizerunek księżniczki). Gdzie się tego nauczyłam?

– Zmykajcie oboje – mówię – i powiedzcie tatusiowi, że zaraz przyjdę.

Przed wyjściem z sypialni, uważnie rozglądam się wokół.

Mój wzrok przyciąga wielki portret ślubny wiszący na zachodniej ścianie. Nie rzuca się w oczy, bo pokój jest nieoświetlony, a w taki śnieżny dzień wydaje się nawet ciemniejszy. Zdjęcie jest czarno-białe – nie kolorowane, jak to czasem robi się ze starymi fotografiami, i nie zostało zrobione na tak popularnej w dzisiejszych czasach kolorowej kliszy. Zwykle czarno-białe zdjęcie, jakby celowo nieostre, a przez to bardziej stonowane. Mimo to wyraźnie rozpoznaję na nim siebie jako trzydziestolatkę i młodszego niż obecnie Larsa – ma na głowie nieco więcej włosów i mniejszy obwód w pasie. Noszę prostą, białą suknię z krótkimi, koronkowymi rękawkami, dopasowaną w talii i sięgającą do połowy łydki. Stojący tuż za mną Lars obejmuje mnie, a jego dłoń spoczywa lekko na moim biodrze. Trzymam bukiet jasnych róż – różowych albo żółtych – urozmaicony gipsówką. Nie da się nic powiedzieć o miejscu, gdzie pozowaliśmy. Gładkie tło uwydatnia postacie nowożeńców, ale nie zdradza, gdzie zrobiono zdjęcie.

Obok portretu ślubnego wisi jeszcze jedna fotografia: scena uliczna, najpewniej w Paryżu. Nigdy nie byłam w tym mieście; zawsze chciałam tam pojechać, ale jak dotąd nie wyjeżdżałam w tak odległe miejsca. Jednak każdy, kto nie spędził całego życia na Syberii, rozpozna Paryż ze zdjęcia w mgnieniu oka. Jak na wielu fotografiach z tego miasta, tak i na tej w tle widać kawiarnię, stację metra, wąskie uliczki. Rower z przymocowanym do kierownicy wielkim, wiklinowym koszykiem pełnym kwiatów stoi oparty o ogrodzenie z kutego żelaza. Stylowo ubrani mężczyźni i kobiety przechodzą przez ulicę, sprawiając wrażenie, jakby spieszyli do jakiegoś egzotycznego i ekscytującego miejsca.

„Czy to tam spędziliśmy miesiąc miodowy?”, zastanawiam się.

Obracam się ku podłużnej, niskiej komodzie. Cichaczem zaglądam do kolejnych szuflad. Są w nich kobiece ubrania, ale nie należą do mnie. Z wiekiem mój gust nabrał bardziej eklektycznego charakteru i – jak by to ująć? – *chaotycznego*, podsuwa usłudnie głos Friedy w mojej głowie. Mam kolorowe bluzki, mnóstwo apaszek i biżuterii. Równie często jak spódnice noszę spodnie, choć czasami moi klienci – nie mówiąc już o rodzicach – patrzą na to krzywym okiem.

– Jest sześćdziesiąty drugi – mówię moim starszkom. (Oczywiście nigdy nie odezwałabym się tak do klienta). – Kobiety się zmieniają. Wszystko się zmienia.

A jednak w tym 1962 – jeśli faktycznie jest tutaj 1962 – moje gusta są zdecydowanie konwencjonalne. Przeciągam palcami po delikatnych, kaszmirowych swetrach w odcieniach szarego brązu i burgunda. Ostrożnie podnoszę cieliste

i jasnobrązowe pończochy, aby sprawdzić, czy pod tymi starannie ułożonymi rzędami nie znajdę czegoś ciekawszego. Nie ma tam nic szczególnie ekscentrycznego ani oryginalnego, ale zdaje się, że sporo czasu, nie mówiąc już o pieniądzach, poświęcam swojej garderobie. Wszystko jest dobrej jakości; wszystko starannie ułożone w szufladach. Potem otwieram podwójne drzwi szafy, a tam taki sam porządek na wieszakach. Witają mnie równiuteńkie rzędy sukienek, bluzek i spódniczek, posegregowane według kolorów i stopnia odświętności.

Przypominam sobie maleńką szafę w sypialni w moim bliźniaku na Washington Street, istną eksplozję sukienek, spódniczek i spodni wieszanych byle jak, aby tylko upchnąć je wszystkie w tej za ciasnej dziupli. Co rano odprawiam ten sam rytuał, przekopując się przez całą szafę, aby znaleźć właściwe ubranie, a resztę niedbale rzucając na łóżko. Często gdy wracam z pracy, zastaję Aslana zwiniętego w uroczy, mruczący kłębek w samym środku moich pomiętych ubrań.

Wygląda na to, że w tej garderobie sprawy mają się zupełnie inaczej i wszystko zawsze jest na swoim miejscu. W tak wielkiej i tak sensownie zorganizowanej szafie z pewnością można błyskawicznie znaleźć każdą rzecz na każdą okazję.

Wkładam niebieski szlafrok, który jest bardzo wygodny, co zauważyłam już podczas poprzedniej wizyty w tym miejscu, choć jak na mój gust trochę nijaki. Zawijam pasek i cicho otwieram drzwi sypialni.

Domyślam się, że ten dom jest dwupoziomowy. Jest nowoczesny, z pewnością wybudowany po wojnie, a być może w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nasza sypialnia, moja i Larsa (ależ to dziwnie brzmi!), mieści się na pierwszym piętrze i ma przyległą łazienkę. Zupełnie jak w tych nowomodnych domach, gdzie do łazienki przechodzi się przez główną sypialnię. *En suite*, tak się to nazywa. Obok łóżka znajdują się szklane, rozsuwane drzwi, a za nimi chyba taras i ogródek. Wyglądam z sypialni i po lewej widzę korytarz, na końcu którego są uchylone drzwi, prawdopodobnie do gabinetu. Po prawej jest salon i drzwi frontowe. Ściany są jasnozłote, a drzwi turkusowe. To już lepiej, myślę sobie; przynajmniej w wystroju wnętrza widać jakieś wyczucie kolorów. Z głębi domu dobiegają mnie głosy Larsa i dzieci – zapewne z kuchni, której nie widać z korytarza. Z poprzedniego razu pamiętam, że sypialnie dzieci mieszczą się na półpiętrze schodów prowadzących z holu. Schody biegną też w dół, gdzie na półpiętrze mieści się pewnie pralnia albo bawialnia, a może jedno i drugie.

Zamiast iść w stronę rodziny i hałasów, przemykam się korytarzem w lewo. Na ścianach wiszą zdjęcia. Wszystkie, oprócz jednego – tego, które było widać z sypialni – przedstawiają ludzi. Tamta fotografia – scena w górach – wciąż mnie fascynuje. Cofam się, aby jeszcze raz się jej przyjrzeć, ale nadal nie potrafię określić, gdzie ją zrobiono.

W tym momencie uświadamiam sobie jednak, że to zdjęcie nie znalazło się w tym miejscu przypadkowo. Inne ukazują dzieci, przodków i spotkania rodzinne, ale to właśnie tę fotografię specjalnie powieszono właśnie w tym, a nie innym miejscu. Była widoczna nie tyle z sypialni, ile z *łóżka*. W przeciwieństwie do zdjęć dzieci czy dziadków. Sprytnie, gratuluję sobie – o ile to faktycznie był mój pomysł.

Uważnie oglądam pozostałe zdjęcia. Dziwne, ale nie widzę na nich Mitcha ani Missy. Wszystkie są czarno-białe i wyglądają, jakby zrobiono je bardzo dawno temu.

Może to przodkowie Larsa?

Nagle zatrzymuję się i gwałtownie wciągam powietrze. W połowie korytarza znajduję fotografię dobrze mi znaną. Nie pamiętam samego wydarzenia, choć znajduję się na samym środku zdjęcia. Falujące blond włosy okalają mi twarz. Mama zawsze powtarzała, że jako dziecko miałam przepiękne loczki. Zaczęły tak irytująco sterczeć, dopiero kiedy poszłam do szkoły.

Siedzę na piknikowym kocu z rodzicami. Mama mnie przytrzymuje – mogłam mieć najwyżej pół roku – i czarująco się uśmiecha. Ojciec siedzi obok niej, wyciągając przed siebie długie nogi. Jesteśmy w parku Waszyngtona, niedaleko mojego domu z czasów dzieciństwa przy York Street w dzielnicy Myrtle Hill w Denver. Obecnie Myrtle Hill jest nazywane Wschodnim Parkiem Waszyngtona, ale wtedy ta dzielnica miała własną nazwę, niezwiązaną z parkiem.

Wiem, że gdy zrobiono to zdjęcie, moja matka była w ciąży – sama mi o tym powiedziała kilka lat temu. Spodziewała się pierwszego z trojga dzieci, które urodziła po mnie. Wszystkie były chłopcami i wszystkie urodziły się martwe.

– Lekarze nie wiedzieli dlaczego – opowiadała cicho swoją smutną historię. – A skoro stało się tak kilka razy... Cóż, poradzono nam, abyśmy już nigdy więcej... Abyśmy nie starali się o kolejne dziecko. – Wzruszyła ramionami, spuściła wzrok i umilkła.

Nie pamiętam jej pierwszych dwóch ciąż, ale pamiętam tę ostatnią. Musiałam mieć wtedy sześć albo siedem lat. Pamiętam, że przeszkadzał mi jej wystający brzuszek, gdy co wieczór wdrapywałam się na jej kolana, aby zgodnie z zaleceniem mojej nauczycielki poćwiczyć czytanie tekstów z elementarza. Pamiętam, jak ojciec zabrał mamę do szpitala, a ze mną została ciotka May, wówczas młoda i niezamężna, a nawet jeszcze niezaręczona z wujem Stanem. Kiedy po wielu godzinach ojciec wrócił do domu, ciężko powłóczył nogami. Usiadł na sofie i przytulił mnie, przyciskając nieogolony policzek do mojej gładkiej buzi. Wyszeptał mi do ucha, że mój braciszek poszedł do nieba.

– To znaczy, że dzidzius nie będzie tu z nami mieszkał? Nigdy? – spytałam, przytulając się do jego szorstkiej twarzy.

– Tak – odparł ochryplym głosem, a ja poczułam na skórze ciepłą wilgoć jego łez. – Odszedł na zawsze, kochanie.

Pamiętam, że byłam zła na lekarza mamy. Powinien był uratować mojego braciszka, myślałam. Czy lekarze nie są od tego, by wszystkich ratować?

Teraz, patrząc na zdjęcie moich młodych rodziców i siebie jako niemowlę, czuję w sercu jakiś ból. Z piersi wyrywa mi się szloch. Nagle ogarnia mnie smutek.

– Mamo, tato – mówię cicho. – Dlaczego wasze zdjęcie jest w tym domu? – Rozglądam się wokół. – I dlaczego *ja* jestem w tym domu?

Ruszam dalej, przyglądając się pozostałym fotografiom. Tak, są tu obce mi osoby, starsze i młodsze, dzieci i dziadkowie... Kto wie, kim są. Ale nie wszystkie twarze są nieznajome. Na niektórych zdjęciach widzę swoich krewnych. Widzę ciotkę Beatrice, która obejmuje ramieniem moją mamę, obie są tu nastolatkami. Jest zdjęcie, na którym stoję wciśnięta między moje kuzynki Grace i Carol Louise – ja pucułowata i z nierozwiniętymi jeszcze piersiami przepasanymi górą od stroju kąpielowego, one

patykowate i w luźnych kostiumach, a wszystkie trzy mamy na głowach gumowe czepki i mrużymy oczy przed słońcem. W tle widać jezioro i piaszczystą plażę. Pamiętam te wakacje, które nasze rodziny spędziły nad jeziorem McConaughy w Nebrasce.

Są tu też moi dziadkowie, którzy na swej ślubnej fotografii wydają się sztywni i oficjalni – babcia wygląda na więcej niż dziewiętnaście lat, które wtedy miała, i znacznie dojrzałej niż każda dzisiejsza dziewiętnastolatka. To zdjęcie też pamiętam. Mama często mi je pokazywała i opowiadała o ich ślubie, jak o mały włos do niego nie doszło, bo pastor jechał z Kansas City, a śnieżycy spowodowała opóźnienie pociągu.

– W trakcie tego czekania dziadka zaczął oblatywać strach – mówiła mama, gładząc palcami zdjęcie w skórzanej ramce. – Ale jego brat... Pamiętasz wujka Artie'ego? Umarł, gdy miałaś dziesięć lat. Jego brat porządnie go zbeształ. Powiedział mu, że dobre kobiety są rzadkością, zwłaszcza na wsi we wschodnim Kolorado w 1899 roku. I dodał, że jeśli dziadek nie ożeni się z babcią, to on sam to zrobi. – Mama zawsze opowiadała to z uśmiechem. – Cóż, więcej dziadkowi nie było trzeba. Dobrze wiedział, że wuj Artie nie żartuje. Pastor przyjechał i ślub się odbył. – Z uśmiechem patrzyła na twarz swej matki. – I wtedy zrobiono to zdjęcie.

Gdy oglądam te fotografie, oczy zachodzą mi łzami. Wiele z tych osób zbyt rzadko widuję, na przykład moje kuzynki. Inne, jak ciotka Beatrice i moi dziadkowie, już zupełnie zniknęli z mojego życia. Nagle uświadamiam sobie, co oznacza starzenie się. Znaczący, że wszyscy, których kochaliśmy w młodości, stają się już tylko fotografiami na ścianie, słowami opowieści, wspomnieniem w sercu.

– Dzięki Bogu za was – szepczę do zdjęcia moich rodziców i mnie jako niemowlęcia. – Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Idę dalej korytarzem i wchodzę do pokoju na jego końcu. To rzeczywiście gabinet, duży i słoneczny, z panoramicznym oknem na wschodniej ścianie i stojącą pod nim deską kreślarską. W metalowym pojemniku przymocowanym z prawej strony znajduje się mnóstwo ołówków i przyborów kreślarskich. W kącie pokoju stoi mały barek z rzędem czystych szklaneczek i kilku kieliszków do shotów oraz baterią butelek – niektóre przezroczyste, inne zielone, a wszystkie wypełnione mniej więcej do połowy. Butelki i akcesoria barowe z rżniętego szkła mienią się w promieniach słońca, wpadających tu przez okno.

Na środku pokoju stoi biurko z wiśniowego drewna, na nim telefon w jednym rogu, w drugim dwie fotografie oprawione w ramki, a na środku podkładka. Obok telefonu leży wizytownik. Sięgam po jedną z wizytówek. „Andersson Architecture and Design. Lars Andersson, prezes”, głosi napis. „Architektura komercyjna, biznesowa, mieszkaniowa”. Uśmiecham się, przypomniawszy sobie, jak kilka lat wcześniej Lars wspominał mi, że planuje zajmować się raczej projektami biznesowymi niż mieszkaniowymi; ciekawe, czy ten trzeci punkt oferty pozostaje tylko pobożnym życzeniem. Na wizytówce widnieje też adres w centrum Denver i numer telefonu. Zapamiętuję go, a karteczkę chowam do kieszeni szlafroka, z niemądrą nadzieją, że przeniesie się ze mną do prawdziwego świata, gdzie spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o Larsie Anderssonie.

Nachylam się, by uważnie przyjrzeć się fotografiom. Jedna z nich, formatu osiem na dziesięć cali, przedstawia mnie. Gdyby była prawdziwa, a nie wymyślona na potrzeby

snu, miałyby zapewne kilka lat; widzę na niej znajome zmarszczki wokół ust i oczu, takie same, jak te, które co rano widuję w lustrze w moim prawdziwym świecie. Na swej twarzy dostrzegam pewną powściągliwość, jakbym chciała uśmiechać się na tyle, by sprawiać wrażenie miłej i serdecznej, a jednocześnie nie pogłębiać zbyt swoich zmarszczek. Moje kręcone włosy są przygładzone u góry. Mam na sobie sukienkę w kolorze indygo z dekoltem w łódkę, wokół szyi perły, a na głowie odpowiednio dobrany toczek. Styl Jackie Kennedy, myślę sobie; najwyraźniej w tym świecie ze snu wzoruję się na Pierwszej Damie. Parskam śmiechem. Lubię Kennedych i głosowałam na Jacka. Wciąż głęboko wierzę w jego zdolności, mimo obaw, jakie ostatnio żywią Amerykanie: że prezydent sam nie wie, jak pokonać komunistów i że jeszcze przed końcem tego roku wysadzą nas wszystkich w powietrze. Jednak bez względu na podziw, jaki czuję do jej męża, w prawdziwym świecie nikt nie pomyliłby mnie z Jacqueline Bouvier Kennedy.

Biorę do ręki drugą ramkę. Co ciekawe, w środku nie ma żadnych zdjęć. Są tylko trzy odrębne otwory. Czy wcześniej były w nich fotografie dzieci? A jeśli tak, to dlaczego Lars je usunął? I dlaczego trzy, a nie dwa?

– Mamo! – Słyszę, że Mitch powłóczy nogami na korytarzu, a po chwili pojawia się w drzwiach do gabinetu. – Czekamy i czekamy na ciebie – mówi oskarżycielskim tonem. – Tatuś kazał mi to przynieść, ale ostrożnie. – Podaje mi kubek napęczniony w trzech czwartych kawą – prawie czarną, tak jak lubię, z odrobiną śmietanki. Uśmiecham się i upijam łyk, ciesząc się jej lekko słodkim smakiem. Czyli Lars wie też, że słodzę kawę jedną kostką cukru.

– Przepraszam, kochanie. Powiedz tatusiowi, że zaraz przyjdę.

– Dobrze. – I pędzi z powrotem.

ROZDZIAŁ 4

Znowu budzę się wśród żółtych ścian, obok Aslana, w domu.

– Co za uroczy sen – mówię do niego. – Ale nie mam pojęcia, gdzie ty się podziałeś, kolego. – Drapię go za uszkiem. – Wiesz, może jednak tam jesteś – zastanawiam się. – To dość duży dom. Może chowasz się w piwnicy.

Uśmiecham się i wstaję, by zacząć nowy dzień.

Późnym rankiem, gdy Frieda wychodzi do toalety, dzwonię pod zapamiętany ze snu numer, ten z wizytówki Larsa. Wykręcam go ukradkiem, czując się jak dziecko, które podkrađa ciasteczko ze słoja, gdy matka wychodzi na chwilę z kuchni. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli ktoś odbierze. Ale nagrany głos telefonistki informuje mnie, że nie ma takiego numeru.

Potem wykręcam numer domowy Larsa sprzed ośmiu lat, ten, który podał mi w liście. Mało prawdopodobne, że wciąż należy do niego, ale warto spróbować, choćby tylko po to, by się o tym przekonać. Jeśli tak, to pewnie będzie dzwonił bez końca, bo o tej porze Lars raczej nie odbierze. O tej godzinie w powszedni dzień będzie w pracy. A jednak dłonie mi się pocą, gdy wybieram ten numer po raz drugi w życiu. Palcem wskazującym lewej ręki dotykam widełek, gotowa, by się rozłączyć, gdy tylko ktoś odbierze. Ale ten sam nagrany głos raz jeszcze informuje mnie, że nie ma takiego numeru.

Szybko sięgam na półkę pod ladą po książkę telefoniczną. Przeglądam numery firm, szukając biur architektonicznych z nazwiskiem Andersson w nazwie. Nie ma takich – z nazwiskiem Anderson też nie (to jego częstsza wersja). A już na pewno nie z nazwiskiem Anderssonowie.

Sprawdzam numery prywatne. Nie znajduję Larsa Anderssona ani L. Anderssona. Wcielając się w rolę pani Andersson, szukam nawet Katharyn Andersson i K. Andersson, na wypadek gdyby nasz telefon był zarejestrowany na moje nazwisko. Ale nic z tego.

Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić. Wsuwam rękę do kieszeni sukienki, do której włożyłam dzisiejszą pocztówkę od matki. Nie wiem dlaczego, ale dziś postanowiłam mieć jej słowa przy sobie przez cały dzień, zamiast jak zwykle schować kartkę do teczki. Nie muszę nawet na nią patrzeć, aby przypomnieć sobie umieszczone na niej zdjęcie – podobiznę roześmianej, ciemnowłosej tancerki hula z wiankiem z gardenii na głowie i spódniczką z trawy wokół bioder. Równie dobrze pamiętam słowa mamy, umieszczone na odwrocie pocztówki.

Najdroższa Kitty,

myślałam o Tobie przez cały dzień. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. Ciotka May ciągle o Ciebie pyta – czy jesteś szczęśliwa, czy ułożyło Ci się w życiu. Powtarzam jej, że tak, oczywiście. Że gdyby mojej Kitty czegoś brakowało, znalazłaby sposób, żeby to zdobyć. Wierzę, że tak jest, kochanie. Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz. Możesz być kimkolwiek zechcesz.

Mam nadzieję, że wiesz, co próbuję Ci powiedzieć.

Ucałowania

Mama

– Co, mamó? – szepczę głośno w ciszy sklepu. – Co próbujesz mi powiedzieć?
Mam szukać gdzieś indziej? Coś mi umyka?

Przypominam sobie moje ogłoszenie, myślę o tamtej gazecie z jesieni 1954 roku.
Czy gdybym ją przejrzała, znalazłabym jakąś wskazówkę?

– Muszę trochę poszperać – mówię do Friedy podczas przerwy na kawę o dziesiątej. To nie jest prawdziwa przerwa, bo nie zamykamy sklepu. Gdyby ktoś wszedł, to oczywiście zostałby obsłużony. Ale jeśli akurat nikogo nie ma, sadowimy się na swoich stołkach za ladą, popijamy kawę i gawędzimy. Czasem rozmawiamy o interesach, czasem o tym, co właśnie czytamy. A czasem po prostu plotkujemy: o tym, kto z kim wychodził z kina Vogue poprzedniego wieczoru, co inni sklepikarze robią, aby przyciągnąć klientów na naszą uliczkę, jak okrutnie postąpiły władze miasta, likwidując naszą linię tramwajową.

Frieda dmucha na gorącą kawę.

– Niby w czym chcesz poszperać? – pyta.

Czuję, że się rumienię.

– Chodzi o pewną osobę. O... mężczyznę. – Gdy mówię to na głos, brzmi to dość głupio.

W oku Friedy pojawia się błysk.

– Coś przede mną ukrywasz! Poznałaś kogoś nowego? Gdzie? Kiedy?

Kręcę głową.

– Nic z tych rzeczy.

Rozpaczliwie pragnę się jej zwierzyć. Od ponad dwudziestu lat nie mam przed nią żadnych sekretów. Ale *to* wydaje się nie tylko niemądre, ale też takie... osobiste. Jakbym nie mogła się tym podzielić z nikim. Jakby należało tylko do mnie.

– To ktoś, o kim słyszałam – odpowiadam. A potem ją okłamuję, dodając pospiesznie: – Autor. Pisze książki historyczne.

Wiem, że teraz całkowicie straci zainteresowanie. Frieda nie znosi historii. W przedostatniej klasie liceum, mimo że próbowałam jej pomóc, o mały włos nie oblała historii Ameryki: od Kolumba do pierwszej wojny światowej – najłatwiejszych zajęć, na jakie kiedykolwiek ucześniezałam. Ale dla Friedy liczy się terażniejszość.

– Więc wyjdę na wcześniejszy lunch i zajrzę do biblioteki w centrum, jeśli nie masz nic przeciwko. – Dopijam kawę i podnoszę się z krzesła.

Macha ręką.

– Jasne. Nigdzie mi się nie spieszy.

Idę na ulicę Broadway, żeby złapać autobus do centrum, do wielkiej biblioteki

główniej otwartej zaledwie kilka lat temu. W archiwum prasowym proszę bibliotekarkę o mikrofilm zawierający wydania „Denver Post” z października 1954 roku. Jego znalezienie i przygotowanie mi stanowiska zajmuje trochę czasu. Czekam, przeglądając regały, i myśląc, że biblioteka jest zarazem wrogiem i przyjaciółką księgarni. Mają tu wszystko – więc po co ktoś miałby *kupować* jakąś książkę? Z drugiej strony tylko biblioteka może uświadomić czytelnikowi nieskończone możliwości słowa pisanego.

Wreszcie stanowisko z mikrofilmem, o który prosiłam, jest gotowe. Kręcę korbką, przesuwając kolejne slajdy, szukając drobnych ogłoszeń, które znajdują się na ostatniej stronie każdego numeru.

Jest i moje ogłoszenie. Ukazywało się przez tydzień, od niedzieli 10 października do następnej soboty.

Uśmiecham się smętnie, czytając o młodszej mnie, która wciąż jeszcze miała nadzieję na *tę* część swego życia.

Zastanawiam się, co tamta *ja* pomyślałaby o mnie teraz. Czy byłaby zaskoczona, że choć minęło osiem lat, nie zmieniłam się aż tak bardzo? Że wciąż rano tańczę w domu, słuchając popularnych przebojów? Że wciąż przekopuję szafę w poszukiwaniu odpowiedniego stroju, zostawiając w sypialni okropny bałagan jak nastolatka? Czy trzydziestoletnia Kitty zganiłaby mnie za to? Czy byłaby zaskoczona, że jej ogłoszenie nie zmieniło niczego w jej życiu?

Nie wiem. Ale wiem, że moje ogłoszenie w najmniejszym stopniu nie pomogło mi odkryć, co stało się z Larsem Anderssonem.

Powoli przeglądam pozostałe strony. Przez chwilę jestem zniechęcona, bo znalezienie mojego ogłoszenia nic mi nie dało, ale potem zanurzam się w świecie przeszłości. Huragan Hazel uderzył w wybrzeże Karoliny Północnej piętnastego i zaczął wędrować na północ, niszcząc wszystko na swojej drodze. W Anglii strajkowali dokerzy. Na pierwszej stronie sobotniego wydania z 16 października opublikowano zdjęcie kobiety z małym chłopcem na kolanach. To biedne dziecko zginęło, postrzelony się z broni znalezionej w domu. Pod zdjęciem widnieje informacja, że zrobiono je kilka miesięcy przed wypadkiem. Walka bokserska, podobno „największa, jaką widziało Denver”, odbyła się 19 października w Auditorium Arena. W numerze z 20 października zamieszczono zdjęcie królowej zjazdu absolwentów Trinidad Junior College i jej świty. Wszyscy są beztroscy, radośni i bardzo, bardzo młodzi.

A potem w numerze z 21 października natykam się na nekrologi.

Andersson, Lars, lat 34, z Lincoln St., Englewood. Przyczyna śmierci: zatrzymanie akcji serca. Pozostawił siostrę Linneę (żonę Stevena) Hershalla z Denver, siostrzenicę i siostrzeńca. Syn zmarłych Jona i Agnes Anderssonów. Nabożeństwo żałobne w piątek o 10:00 w zborze Betania Szwedzkiego Kościoła Ewangelicko- Luterskiego w Denver, a następnie pochówek na cmentarzu Fairmount.

ROZDZIAŁ 5

Więc to tak. Teraz rozumiem, co się stało. Lars Andersson wcale nie wystawił mnie do wiatru. Nie mógł tego zrobić, bo nie żył.

Wychodząc z biblioteki i zmierzając powoli na przystanek autobusowy, zastanawiam się, co począć z tą informacją. Przepelnia mnie wielki smutek na myśl o tym człowieku, którego nigdy nie spotkałam – a raczej którego spotkałam dopiero teraz, w moich snach. A jednocześnie nie mogę powstrzymać się od uśmiechu, bo przecież mój zwariowany umysł wykreował w snach cały świat, w którym wiodę wspólne życie z tym mężczyzną.

Z mężczyzną, którego nieszczęśliwym zrządzeniem losu nigdy nie spotkałam osobiście.

Tego wieczoru wręcz nie mogę się doczekać, aby już się położyć i zasnąć, tak jestem ciekawa, co może się wydarzyć i co może mi się przyśnić. Śmiejąc się z samej siebie, nalewam sobie pokąsną porcję whiskey na dobranoc z nadzieją, że dzięki temu szybciej zmorzy mnie sen.

Ku mojemu zaskoczeniu we śnie przenoszę się nie do dwupoziomowego domu, ale do jakiejś restauracji oświetlonej przyćmionym światłem. Na stołach leżą obrusy w kratkę; ściany i linoleum na podłodze są ciemnoczerwone. Sala jest zatłoczona, a przed stanowiskiem hostessy stoi kilka par czekających na wolny stół. Sądząc po panującym tu ruchu, musi to być weekendowy wieczór.

Po mojej prawej siedzi Lars. Wydaje się szczęśliwy, a w swoim garniturze i krawacie wygląda bardzo nobliwie. Lewą ręką obejmuje mnie zaborczym gestem za odsłonięte ramię. Mam na sobie jedwabną sukienkę bez rękawów w kolorze leśnej zieleni; na plecach i żebrach czuję dotyk śliskiego materiału. Siedzimy w boksie, twarzą do wejścia. Miejsca po drugiej stronie stolika są puste.

– Witaj z powrotem – mówi Lars, wpatrując się we mnie swoimi jasnymi oczami.

– Zdaje się, że na chwilę odpłynęłaś do krainy marzeń.

Uśmiecham się z zakłopotaniem.

– Przepraszam – kajam się. – Chyba rzeczywiście śniłam na jawie.

– O bardziej beztroskim życiu? – Szczerzy zęby w uśmiechu.

Mój uśmiech gaśnie.

– Dlaczego tak mówisz?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chyba każdy tak czasem robi? – Uśmiecha się z nutką zadumy. –

A zwłaszcza ty i ja.

A cóż to ma znaczyć, na litość boską?

Z głośników nad naszymi głowami rozlega się muzyka. Wszędzie rozpoznam ten czysty, donośny głos – to Patsy Cline, jedna z moich ulubionych wokalistek. Mimo że większość jej piosenek opowiada o zawodach miłosnych – a może właśnie dlatego – uwielbiam kadencję głosu Patsy, jej musicalowe zacięcie. Słuchając jej piosenek, lubię czuć, że bez względu na przyczynę mojego smutku, ona mnie rozumie. Gdybym mogła

się jej wyzalić, siedząc przy drinku w jakimś zadymionym barze dla kowbojów, Patsy Cline pocieszyłaby mnie, że wszystko będzie dobrze. Podałaby mi chusteczkę i zamówiła następną kolejkę. Dodałaby, że sama przechodziła przez podobne – albo i gorsze – rzeczy i zawsze stawała się potem silniejsza.

Mam wszystkie płyty Patsy Cline. Ale nigdy wcześniej nie słyszałam tej melancholijnej piosenki. Jak wiele innych jej utworów, opowiada o zerwaniu. O tym, że jeśli jej ukochany zamierza ją opuścić, wołałaby to wiedzieć już teraz, wołałaby mieć to już za sobą.

If you got leavin' on your mind... Tell me now, get it over...

– To nowa piosenka? – rzucam raptownie.

– Co mówisz, kochana?

– Ta piosenka. – Marszczę brwi. – Ta, którą właśnie słyhać. Czy to nowy utwór Patsy Cline?

Uśmiecha się.

– Sądzę, że tak. Właściwie to chyba ty mi o tym powiedziałaś, wczoraj albo przedwczoraj, kiedy usłyszeliśmy ją w radiu.

Serio? Uśmiecham się w duchu. Więc teraz mój mózg układa wymyśloną listę przebojów. Jest naprawdę wszechstronnie utalentowany.

Lars zerka w stronę drzwi, a potem na zegarek.

– Zaraz powinni tu być – mówi. – Bill jest zwykle punktualny. – Jeszcze raz wzrusza ramionami. – Ale jego żony nie znam.

Nie jestem pewna, co na to powiedzieć, więc po prostu przytakuję.

Lars kręci szklaneczką z drinkiem i pociąga łyk.

– O, już są.

Wstaje na powitanie zbliżającej się do naszego stolika pary. Oboje są w naszym wieku, może odrobinę młodszy. Kobieta ma kruczoczarne włosy, przygładzone do tyłu i przytrzymane opaską ze strasów. Na ramiona zarzuciła obszytą futrem pelerynkę. Towarzyszy jej wysoki mężczyzna – znacznie wyższy od Larsa. Reprezentuje typ sportowca o kwadratowej twarzy, który w liceum grał pewnie w futbol. Tacy zawsze chcieli umawiać się z Friedą, ale ona zazwyczaj odprawiała ich z kwitkiem. Właściwie Frieda nigdy nie przepadała za randkami, nawet z największymi przystojniakami. Mam wrażenie, że czasem próbuje się zmusić, aby to zmienić – jak kilka lat temu, gdy umówiła się z kilkoma mężczyznami, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie, ale ja nie byłam nimi zainteresowana. Zasadniczo jednak randkowanie nie należy do jej życiowych priorytetów.

– Billu, poznaj moją żonę, Katharyn. – Lars odwraca się do mnie, więc podaję Billowi rękę nad stołem (wychodzenie z boksów byłoby kłopotliwe), a on wita się ze mną mocnym uściskiem.

– A to moja żona, Judy – mówi, puszczając moją dłoń. Wymieniamy się uprzejmościami. Wciąż próbuję odgadnąć, kim są ci ludzie. Prawdopodobnie współnikami w interesach. A może klientami? Kręcę głową. Byłoby łatwiej, gdybym znała takie szczegóły, ale ponieważ to sen, przypuszczam, że cokolwiek powiem czy

zrobię, i tak będzie to bez znaczenia.

Po zamówieniu drinków dla Billa i Judy oraz kolacji dla wszystkich, zaczynamy gawędzić. Okazuje się, że Bill to jednak klient. Chce postawić biurowiec w centrum miasta, który właściwie ma być czymś więcej: na górnych piętrach mają powstać biura, a na dole będą sklepiki. To natychmiast wzbudza moje zainteresowanie, zwłaszcza ta część dotycząca sklepików. Może powinniśmy z Friedą przenieść się do centrum? Nigdy dotąd nie brałyśmy tego pod uwagę. Ciekawe, ile wynosiłby czynsz w takim miejscu. Może dowiem się tego z dalszej rozmowy.

– Genialne posunięcie. – W głosie Larsa brzmi aprobata. – To będzie świetny biznes. Budynek będzie harmonijny i nowoczesny, a przy tym dostępny dla zwykłego człowieka. Będzie przyciągał zarówno biznesmenów, jak i przechodniów – dla każdego coś miłego. Interes będzie kwitł od samego początku. Zobaczysz, że będziesz wybierał sobie najemców.

Bill pociąga łyk szkockiej.

– Zgadzam się całkowicie, Larsie. – Odstawia szklaneczkę. – I muszę przyznać, że po wielu rozmowach z architektami, którzy chyba wciąż żyją w epoce wiktoriańskiej, przyjemnie wreszcie spotkać kogoś, kto potrafi spojrzeć w przyszłość, tak jak ja.

Lars triumfalnie ściska pod stołem moją dłoń, a ja jego.

Judy odkrawa sobie kromkę chleba i smaruje ją masłem.

– Dość już o interesach, chłopcy – odzywa się. – Możecie o tym porozmawiać kiedy indziej. – Uśmiecha się do mnie, więc automatycznie oddaję jej uśmiech, choć jestem trochę wkurzona. Chętnie usłyszałabym więcej na temat tego nowego budynku.

– Judy, masz stuprocentową rację – przytakuje Lars. Jest nie w ciemną bitę; doskonale zdaje sobie sprawę, że aby dostać zlecenie od męża, musi też pogawędzić z żoną. – Zmieńmy temat – proponuje.

– Słusznie – zgadza się wesoło Judy. – Chciałabym lepiej poznać Katharyn. Jak się poznaliście?

Lars patrzy mi w oczy.

– To dość niezwykła historia.

– Racja – zgadzam się, a że nie wiem, co dalej, dodaję: – Może ty ją opowiesz, mój drogi.

Lars kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Wierzcie lub nie, ale ta ślicznotka chciała poznać kogoś przez ogłoszenie zamieszczone w kąciaku samotnych serc. – Opowiada o moim ogłoszeniu, o swoim liście, który pisał przez kilka dni, bo chciał, żeby był absolutnie idealny. – Czekałem na jej telefon – ciągnie – bojąc się, że zbyt długo zwlekałem z wysłaniem listu. Może już kogoś poznała, myślałem. – Wzrok ma spuszczone, ale i tak widzę, że w oczach błyskają mu wesołe ogniki. – I pewnego wieczoru zadzwoniła.

– Rozmawialiśmy godzinami – podejmuję jego opowieść. – A wreszcie postanowiliśmy się spotkać. – Nie wiem, co jeszcze powinnam dodać. Na razie cała ta historia jest prawdziwa, ale tylko we śnie mogła się skończyć tutaj, w tej restauracji, inaczej niż skończyła się naprawdę: śmiercią Larsa, o której nie miałam pojęcia, czekając na niego w kawiarni.

– I nagle, gdy już kończyliśmy rozmowę, poczułem silny ucisk w klatce piersiowej – kontynuuje Lars. – Nie mogłem oddychać. Katharyn musiała usłyszeć to w moim głosie, bo spytała, co się dzieje. Odparłem, że czuję ból w piersi. „Dobry Boże, gdzie jesteś?”, spytała, a ja ostatkiem sił podałem jej adres. Zaraz potem straciłem przytomność.

Gapię się na niego zszokowana. To się nie wydarzyło.

W prawdziwym świecie pożegnaliśmy się i odłożyliśmy słuchawki. A dwa dni później on nie pojawił się w kawiarni.

Teraz wszystko nabiera sensu. W prawdziwym świecie Lars miał atak serca i umarł, tak jak napisano w nekrologu w gazecie.

Nie zdawałam sobie tylko sprawy – do teraz – że stało się to właśnie tamtego wieczoru.

Zaledwie kilka sekund po naszej rozmowie.

Gdybym oglądała to w kinie albo w telewizji, to w tej chwili mogłabym wybuchnąć śmiechem. Pokręciłabym głową. Może pomyślałabym, że to zbyt absurdalne, by oglądać dalej. Zastanowiłabym się, czy nie lepiej wstać i wyjść z kina albo wyłączyć telewizor.

A jednak nie mogę tego zrobić. Muszę zostać tu, gdzie jestem. Nie mam wyboru, jak mucha złapana na lep.

Sytuacja jest absurdalna i niewiarygodna, ale ja nie mogę tak po prostu wyjść. Nie mogę uciec z tego snu.

Judy nachyla się ku mnie.

– A to ci historia – mówi. – Powiedz, Katharyn, co było dalej?

I nagle, w jednej chwili – jak to się dzieje tylko we śnie – dokładnie wiem, co się potem wydarzyło.

– Wiedziałam, że dzieje się coś poważnego – zaczynam. – Wiedziałam, że muszę działać szybko. Zapisałam adres Larsa na kartce i pobiegłam do sąsiadki. Nie chciałam odkładać słuchawki swojego telefonu, na wypadek gdyby Lars odzyskał przytomność. Zapukałam do drzwi, a gdy tylko sąsiadka otworzyła, rzuciłam się do jej telefonu i zadzwoniłam na policję. Kiedy wyjaśniłam, co się stało, obiecali, że niezwłocznie wyślą wóz patrolowy i karetkę. Pokróćce opowiedziałam też o wszystkim sąsiadce. Potem wróciłam do siebie, podniosłam słuchawkę i zawołałam jego imię, ale nie odpowiedział. W końcu usłyszałam, jak ktoś dobija się do jego drzwi, a potem je włamuje. Potem słychać było liczne głosy i różne hałasy, z których wywnioskowałam, że ktoś wykonuje jakieś zabiegi medyczne, choć, rzecz jasna, nie miałam pojęcia jakie.

Judi robi okrągłe oczy, trzymając w dłoni kieliszek martini.

– Boże, musiałaś być śmiertelnie przerażona!

– Byłam! – potwierdzam i mówię dalej: – Znowu zaczęłam wołać do słuchawki, aby ktoś podszedł do telefonu. W końcu odezwał się jakiś mężczyzna. Kiedy dowiedział się, że to ja wezwałam pomoc, oznajmił, że Lars miał atak serca. Spytałam, dokąd go zabierają, a on odparł, że do Porter Hospital.

Nie zastanawiając się, złapałam płaszcz, wezwałam taksówkę (wtedy nie miałam samochodu) i wybiegłam z domu. Kiedy dotarłam na oddział ratunkowy, podałam nazwisko Larsa i próbowałam dowiedzieć się, jak on się czuje, ale nikt nie chciał mi powiedzieć. Nie wiedziałam, co robić, więc usiadłam w poczekalni. Nie było tam nikogo

więcej. Zdawało mi się, że minęła wieczność, zanim pojawiło się dwoje ludzi. Kobieta powiedziała, że do szpitala przywieziono jej brata z atakiem serca. Wpuszczono ją na oddział. Mężczyzna chciał iść z nią, ale złapałam go za ramię.

Oczy Larsa błyszczą.

– Dodam, że dość zuchwale, jak na nią.

– „Zuchwałość” nie miała z tym nic wspólnego – odpowiadam łagodnie. – Po prostu chciałam wiedzieć, co się dzieje. Wyjaśniłam, kim jestem, powiedziałam, że to ja wezwałam pomoc. Wtedy mężczyzna przedstawił się jako Steven, szwagier Larsa. Kazał mi poczekać, a sam wszedł na oddział. Więc usiadłam i czekałam. Już miałam zrezygnować, kiedy Steven wrócił. „Odzyskał przytomność, a jego stan jest stabilny”, powiedział. „Chciałby się z panią zobaczyć”.

Więc pozwolono mi go zobaczyć. Leżał na łóżku w gabinecie zabiegowym, podłączony do różnych urządzeń i monitorów. Jego siostra siedziała obok. Kiedy weszłam, wstała i uściśniła mi dłoń. Podziękowała mi ze łzami w oczach i dodała, że ocaliłam mu życie. Wtedy Lars uniósł powieki... – Mówiąc to, patrzę mu głęboko w jego błękitne oczy. Nie mogę oderwać od nich wzroku. Wreszcie mi się udaje i znowu mogę spojrzeć na Judy i Billa. – Popatrzyliśmy na siebie, a on wyciągnął do mnie rękę i wyszeptał: „Dziękuję, Katharyn. Dziękuję”.

Pociągam łyk wina i rozglądam się wokół z radosnym uśmiechem.

– I tak to właśnie wyglądało – podsumowuje Lars ciepło. – Odwiedzała mnie codziennie, dopóki mnie nie wypisali. Kiedy wróciłem do domu, oficjalnie opiekowała się mną moja siostra Linnea, ale tak naprawdę to dzięki Katharyn wróciłem do zdrowia. Rzuciłem palenie (oboje to zrobiliśmy) i zaczęliśmy regularnie ćwiczyć. Uwielbiam wędrówki, więc często wyjeżdżaliśmy w góry, zwłaszcza zanim urodziły nam się dzieci. Zaczęliśmy też grać w tenisa; nadal grywamy w lidze deblowej. Oczywiście nie mogę się zbyt przemęczać: zwykle gram przy siatce, a Katharyn pilnuje tylnej części kortu. – Tłumi śmiech. – Możecie mi wierzyć, backhand tej pani jest niebezpieczny.

Wpatruję się w niego, zastanawiając się, czy wyglądam na tak speszoną, jak się czuję. Rakiety tenisowej nie miałam w ręku od czasów liceum. W głowie mi się nie mieści, że mogłabym być choć trochę dobra w sporcie tak wymagającym, jak tenis.

Lars ściska mnie za ramię.

– Katharyn i ja byliśmy nierozłączni od dnia, w którym się poznaliśmy. Pobraliśmy się niespełna rok później i od tamtej pory jesteśmy szczęśliwi jak dwa gołąbki.

– Zdumiewająca historia! – wykrzykuje Judy. – Chyba nigdy nie słyszałam czegoś bardziej romantycznego.

Lars przytakuje.

– Wciąż zadajemy sobie pytanie – dodaje – co by się stało, gdybyśmy się nie spotkali. Gdybyśmy wtedy rozłączyli się kilka minut wcześniej? Odpowiedź jest przerażająco prosta: nie żyłbym. Nie siedzielibyśmy tu dzisiaj.

Trzęsą mi się ręce, a całe ciało sztywnieje.

Sen trwa dalej. Zajadamy się spaghetti i pijemy chianti. Dowiadujemy się, jak oni się poznali (nic szczególnie ekscytującego; zostali sobie przedstawieni przez wspólnych znajomych w college’u), a gdy wszyscy delektujemy się kawą, Bill i Judy zapalają po

papierosie. Lars opowiada naszym gościom, że jego lekarze wyprzedzili swoje czasy, ponieważ zauważyli związek palenia papierosów z chorobami serca. Właśnie wskutek ich nalegań postanowił rzucić ten nałóg, a ja zrobiłam to samo.

I nagle coś sobie przypominam: ja *naprawdę* rzuciłam palenie jesienią pięćdziesiątego czwartego. Wtedy nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego. Po prostu czułam, że muszę to zrobić. Frieda twierdzi, że przewidziałam to, co dopiero teraz potwierdzają badania: że palenie powoduje raka, ataki serca i inne choroby. Żałuje, że nie rzuciła razem ze mną. Pali dwie paczki dziennie i nigdy nawet nie próbowała przestać, więc wątpię, żeby to się kiedykolwiek zmieniło.

Przed restauracją życzymy Judy i Billowi dobrej nocy i idziemy do samochodu. Ciekawa jestem, czym jeździmy. Okazuje się, że mamy stary model cadillaca w kolorze srebrnobłękitnym, z białą tapicerką. Prawdopodobnie należy do Larsa, bo jeśli nie został dzisiaj dokładnie wyszorowany, to raczej nie widać, by wożono nim dzieci. Czy to znaczy, że mam własne auto, którym jeżdżę na zakupy i wożę dzieci? Albo tak jest, albo wszędzie chodzę z dziećmi pieszo, co jest mało prawdopodobne. Ciekawe, jak może wyglądać mój samochód. Zabawne. Umiem prowadzić – ojciec nauczył mnie, kiedy jeszcze chodziłam do liceum – ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym kupić sobie auto, a co dopiero jeździć nim na co dzień.

– Przyjemny wieczór – stwierdza Lars, wyjeżdżając z parkingu. – Jak sądzisz?

– Chyba dobrze się bawili.

Kiwa głową.

– Mam nadzieję. Byłoby świetnie dostać to zlecenie.

Pod wpływem nagłego impulsu chwytam go za rękę.

– Dostaniesz – mówię. – Jestem tego pewna.

W odpowiedzi ściska moją dłoń, tak jak to zrobił wcześniej, pod stołem w restauracji.

– Dziękuję, że we mnie wierzysz. To wiele dla mnie znaczy. Wiesz o tym, prawda?

Waham się przez chwilę, zanim odpowiadam:

– Tak. Wiem.

Cadillac gładko wyjeżdża na ulicę University Boulevard. Dokładnie obserwuję naszą trasę. Jedziemy na południe, cały czas tą samą ulicą i przejeżdżamy pod autostradą Valley Highway. W bardziej zaludnionej okolicy, w pobliżu kampusu mijamy Evans Avenue; gdybyśmy skręcili w tym miejscu w prawo, na zachód, zmierzalibyśmy w stronę mojej dzielnicy. Ale zamiast tego, jedziemy dalej ulicą University – jeszcze przez jakąś milę czy dwie – a potem skręcamy w lewo, w Dartmouth Avenue, aleję biegnącą tuż przy południowej granicy miasta.

Sporo się tu teraz buduje. Chyba nie jeździ tędy żaden autobus. Oczywiście jest ciemno, ale i tak widzę, że jest tu bardzo ładnie, prawie jak na wsi. Ulice noszą nazwy miast ze Środkowego Zachodu: Milwaukee, Detroit, St. Paul.

Skręcamy w prawo, w Springfield Street. Domy są rozsiane po okolicy; nie wszystkie działki są zajęte. Gdziekolwiek widać tabliczki zachęcające do ich kupna. Sporo domów jest w trakcie budowy; ich cienie majaczą w ciemności jak długie, chude szkielety.

Wjeżdżamy na podjazd w pełni wykończonego, dwupoziomowego domu. Przyglądam mu się, próbując zapamiętać, jak wygląda z zewnątrz. Jest ciemno, więc niewiele widać, ale wydaje mi się, że jest zbudowany z różowo-pomarańczowej cegły. Zapamiętuję numer 3258 ułożony z mosiężnych cyfr obok turkusowych drzwi frontowych.

W środku wita nas śniada kobieta w średnim wieku w stroju pokojówki. Mamy pokojówkę? W poprzednich snach tego nie zauważyłam, ale nie dziwi mnie to. I nie dziwi mnie, że nasza służąca pochodzi prawdopodobnie z jakiegoś hiszpańskojęzycznego kraju – może z Meksyku, jak wielu mieszkańców Kolorado. W Denver nie mieszka zbyt dużo osób czarnoskórych ani Azjatów, a choć niewiele wiem o służących, idę o zakład, że białe kobiety rzadko przyjmują tego rodzaju pracę. Chyba że nie znajdą niczego lepszego.

Niemniej jestem rozczarowana – nie dlatego, że mój mózg stworzył pokojówkę, bo zatrudnienie służby w tak dużym domu i w tak eleganckiej okolicy wydaje się słuszną decyzją. Wolałabym jednak, aby moje *ja* w tym śnie było nieco bardziej postępowe. Skoro już mam pokojówkę, myślę sobie, to przynajmniej powinnam okazać tyle przyzwoitości, by pozwalać jej ubierać się swobodniej, zwłaszcza kiedy opiekuje się dziećmi po godzinach pracy.

– Wszystko w porządku, Almo? – pyta Lars.

– *Sí, señor. Todo estaba bien. Śpią jak los ángeles.* – Alma wyjmuje płaszcz z szafy w holu i ubiera się. Sięga po dużą torbę, z której wystaje czasopismo zatytułowane „Vanidades”.

– Późno już – mówi Lars, otwierając portfel. – Przyjedzie po ciebie Rico?

– *Sí*, dzwonię, jak pan wjeżdża na podjazd. – Zapina płaszcz aż pod szyję i otwiera drzwi.

– Proszę, zaczekaj w środku – mówię. Nie jestem pewna, czy tak wypada czy nie, ale wydaje mi się okrucieństwem pozwalać jej wyjść na ten nocny ziąb.

Kręci głową.

– *Eso está bien, señora.* Rico będzie lada chwila. A świeże powietrze bardzo zdrowe.

– W takim razie dobranoc – mówi Lars, wręczając Almie cienki plik banknotów. – Do poniedziałku.

– *Buenas noches, señor, señora.* Miłego weekendu.

Można by się spodziewać, że w tym momencie sen się skończy, ale tak się nie dzieje. Zdjąwszy płaszcz i odwiesiwszy je do szafy, wyglądamy przez okno i widzimy Almę wsiadającą do samochodu, który właśnie przyjechał. Lars gasi światło w salonie, a ja nie mogę powstrzymać ziewnięcia.

– Idź, szykuj się do spania – mówi Lars, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Ja zajrzę do dzieci.

Ruszam do łazienki przy szarozielonej sypialni. W szafce nad prawą umywalką znajduję wszystkie akcesoria niezbędne podczas wieczornej toalety. Oliwka dla niemowląt, żeby zmyć tusz do rzęs. Pond's Cold Cream, aby umyć twarz. Specjalny krem na noc o nazwie Źródło młodości, który Frieda odkryła wiele lat temu w dziale kosmetycznym w domu towarowym Joslins; uparła się, że też powinnam go wypróbować

i odtąd ciągle go używam. Szafka wygląda tak, jakbym sama ją zapełniła. Ale przecież tak właśnie było, prawda?

Ostrożnie odwieszam śliczną, zieloną sukienkę do szafy i przebieram się w koszulę nocną znaną w szufladzie podłużnej komody z orzecha włoskiego. Wpełzam pod kołdrę i czekam na Larsa.

– W porządku? – pytam, kiedy wchodzi do pokoju.

– Głęboko śpią i pewnie coś im się śni. – Uśmiecha się i wchodzi do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Nie jestem pewna, co mam robić. Choć po winie i o tak późnej porze ogarnia mnie senność – w końcu jestem w świecie ze snu – ze wszystkich sił staram się nie zamknąć oczu. Boję się, że jeśli to zrobię, sen się skończy, a ja obudzę się w swoim łóżku. I wtedy ominie mnie to, co za chwilę może nastąpić.

Jak łatwo się domyślić, przez te wszystkie lata od pamiętnego zdarzenia jesienią 1954 roku miałam niewielu kochanków. Po tamtym doświadczeniu (a raczej jego braku) z Larsem odechciało mi się romansów. Anulowałam ogłoszenie. Odrzucałam propozycje wyswatania mnie z takim czy innym znajomym. Gdy do księgarni zaglądał jakiś miły pan bez złotej obrączki na palcu – witałam go z uśmiechem, pomagałam znaleźć książkę, której szukał, i uprzejmie go żegnałam. To nie ma sensu, myślałam sobie. Nic na siłę, już nigdy więcej.

Kilka razy – na imprezie albo w barze ze znajomymi – zdarzyła się okazja na coś szybkiego i łatwego, więc pozwoliłam się poderwać. Przyznaję, w ciągu tych paru lat miewałam jakieś przelotne przygody. Fizyczne pożądanie i drinki robiły swoje. Nie miałam ochoty oglądać żadnego z tych facetów po raz drugi. Nie robiłam tego, aby znaleźć męża.

Dopiero teraz to rozumiem.

Przez te wszystkie lata wydawało mi się, że ta transformacja z młodej, pełnej nadziei marzycielki w zgorzkniałą starą pannę zachodziła powoli. Ale teraz widzę, że ta zmiana wcale nie była stopniowa. W rzeczywistości doszło do niej dość gwałtownie.

Nagle zrozumiałam, że odkąd Lars wystawił mnie do wiatru, już nigdy nie chciałam z nikim się wiązać. Szczerze mówiąc, w ogóle przestałam o tym myśleć. Zupełnie jakby ta możliwość zniknęła na zawsze tego wieczoru, kiedy nie pojawił się na spotkaniu w kawiarni.

A teraz czekam na niego, leżąc w jego łóżku.

Otwiera drzwi łazienki i gasi światło. Ma na sobie tylko spodnie od piżamy. Jego klatkę piersiową pokrywa piękny rudawo-brązowy gąszcz. Mam wielką ochotę zanurzyć w nim palce.

Kładzie się obok mnie. Obejmuje mnie i całuje mocno, głęboko.

– Czekałem na to przez cały dzień – szepcze ochryplym głosem w przerwie na zaczerpnięcie powietrza.

To zabrzmiało banalnie, ale gdy zrzucamy nocną bieliznę, a nasze ciała łączą się w jedno – tak naturalnie, jakbyśmy robili to regularnie od lat – wiem, dlaczego nikt inny nigdy mnie nie pociągał.

Bo moje miejsce jest tutaj.

ROZDZIAŁ 6

I oczywiście budzę się w domu. Ogarnia mnie poczucie melancholii. Po raz pierwszy, odkąd zaczęłam miewać te sny, czuję się samotna w swoim łóżku, we własnym domu.

Cóż za niekomfortowe uczucie i jakże idiotyczne. Wstaję, zrzucając z siebie kołdrę.

– Może więcej tam nie wrócę – mówię do Aslana. Idzie za mną do kuchni i łąsi się do nóg, prosząc, by go nakarmić. Nalewam mu mleka do miseczki, a sobie robię kawę i z głębokim westchnieniem zaczynam na nowo przyzwyczajać się do *tego* świata.

Po spokojnym i niestety znowu niezbyt owocnym finansowo dniu Frieda i ja zamykamy księgarnię o piątej. Właśnie przekręcamy klucz w zamku, gdy w wejściu prowadzącym do mieszkania nad sklepem wyłania się Bradley. Zatrzymuje się, aby zapiąć swój beżowy, obszarpany sweter z połatanymi rękawami. Uśmiecha się przyjaźnie, ale i tak wymieniamy z Friedą niespokojne spojrzenia.

Bradley to właściciel budynku, w którym prowadzimy księgarnię. Zajmuje jedno z mieszkań na górze, a pozostałe wynajmuje, tak jak i dwa lokale na dole: w jednym mieści się nasz sklep, a w drugim, tuż obok, niewielka kancelaria prawnicza. Jest wdowcem po sześćdziesiątce i ma kilkoro wnucząt. Kiedy go odwiedzają, schodzi do księgarni i przegląda dział literatury dziecięcej. Najczęściej pozwalamy mu wybrać coś za darmo. Jest uczciwym człowiekiem i dobrze traktuje swoich najemców. Przykro mi, że ostatnio tak cienko przedziemy – wiem, że Frieda czuje to samo. Nie mamy pojęcia, jak uda nam się zapłacić paździenikowy czynsz, a termin spłaty upływa za dziesięć dni.

– Życzę paniom miłego wieczoru – mówi Bradley. – Cieszcie się ciepłą pogodą, póki trwa. Zima przyjdzie szybciej, niż się spodziewamy.

Posyła nam długie spojrzenie, którego znaczenia nie umiem do końca rozszyfrować, a które budzi we mnie panikę i sprawia, że głos więźnie mi w gardle. „Czy on wie?“, zastanawiam się, przelżykając ślinę. Na pewno. Przecież nie jest ślepy, więc gdy wygląda przez okno, widzi, jak niewiele osób odwiedza naszą księgarnię.

Tak czy owak, obie z Friedą zgodnie kiwamy głowami.

– My też życzymy panu miłego wieczoru – odpowiada Frieda, po czym odwracamy się i ruszamy w dół Pearl Street.

Przez chwilę milczymy. Nie chcę mówić ani o sklepie, ani o czynszu i coś mi się zdaje, że Frieda też nie ma na to ochoty. Po chwili zaczyna gwizdać – to chyba *Soldier Boy* Shirelles, choć słuchając fałszowania Friedy, trudno mieć pewność.

Zatrzymujemy się na rogu ulic Pearl i Jewell, zanim każda z nas ruszy w swoją stronę.

– Miłego wieczoru – mówię.

– Wzajemnie – odpowiada, szukając w torebce papierosów i zapalniczki. – Masz jakieś plany?

Przewracam oczami.

– Nic specjalnego – mamroczę. – A ty?

Wzrusza ramionami i zapala papierosa.

– Zwyczajnie, po staropanieńsku, trochę poczytam i pójdę spać.

Uśmiecham się i obejmuję ją na pożegnanie, a ona ściska mnie jedną ręką, drugą, z papierosem, trzymając z dala ode mnie.

– Więc baw się dobrze – dodaję. – Do jutra.

Idę ulicą Jewell, ale nie skręcam w stronę Washington, gdzie mieszkam. Rzucam okiem przez ramię, aby upewnić się, że Frieda poszła swoją drogą i już mnie nie widzi. Mijam kilka przecznic i skręcam w Evans Avenue. Na przystanku po drugiej stronie ulicy czekam na autobus, który kursuje do wschodniej części miasta.

Przesiadam się przy University Boulevard i jadę na południe. Nie jestem pewna, gdzie zatrzymuje się autobus tej linii; w prawdziwym świecie nigdy nie zapuszczałam się w tę część miasta. Wiedziałam, że powstaje tu wiele nowych budynków, ale do tej pory jakoś mnie to nie interesowało. Nie ma tu niczego ciekawego, jeśli nie liczyć nowych, ogromnych domów, szkół i kościołów.

Autobus dojeżdża aż do Yale Avenue. „Ostatni przystanek”, woła kierowca; jestem jedyną pasażerką. Wsiadam i patrzę, jak autobus zawraca na pustym placu i odjeżdża na północ, ulicą University Boulevard. Idę w przeciwnym kierunku, mijam kilka przecznic i skręcam na wschód, w Dartmouth Street. Tablica z kutego żelaza informuje, że jestem w dzielnicy Southern Hills. Po lewej mijam szkołę podstawową, okazały, jednopiętrowy budynek z cegły. Wygląda na nowy, jak wszystko tutaj.

Docieram do Springfield Street i skręcam na południe. Wszystko wygląda tak samo, jak w moim śnie: są tu domy już wybudowane – w większości dwupoziomowe albo parterowe w stylu ranczo – i takie w trakcie budowy. Nie pamiętam dokładnie, które z nich widziałam, a których nie – we śnie było ciemno – ale cała ta okolica wywiera na mnie takie samo wrażenie jak wczoraj w nocy.

Mimo że nigdy dotąd nie byłam na tej ulicy. Rozglądam się za numerem 3258. Widzę 3248 i 3268. Ale pomiędzy nimi znajduje się tylko pusta, bezdrzewna i dość nierówna działka.

Wpatruję się w nią. Oczyma wyobraźni widzę dom z różowo-pomarańczowej cegły. Dokładnie wiem, jak byłby rozplanowany na tym terenie, wyobrażam sobie niższą część mieszkalną z dobudowanym garażem i tę drugą, wyższą. Na podwórku rosną młode drzewka, a przy drzwiach frontowych krzaki jałowca. Widzę podjazd, na którym Lars gładko zawracał i parkował cadillaca, a także drewniany słup latarni, obok którego stała Alma, czekając na samochód.

Ale żaden dom tu nie stoi ani nawet nie jest budowany – w każdym razie ja nic takiego nie widzę. Tylko trawa preriowa, kurz i chwasty.

Niedaleko spaceruje jakiś mężczyzna ze spanielem bez smyczy. Właściciel psa zauważa mnie i uchyla kapelusza.

– Dobry wieczór pani. – Końce jego jasnych, bujnych wąsów unoszą się, gdy posyła mi lekki uśmiech.

– Dobry wieczór – odpowiadam, skinąwszy głową.

Najwyraźniej dostrzega moją konsternację, bo pyta:

– Mogę pani w czymś pomóc?

Przechyliłam głowę i wskazuję na pustą działkę.

– Ja chyba... pomyliłam adres. Szukam domu numer 3258 przy South Springfield Street.

Patrzy w tę samą stronę, co ja.

– No cóż, gdyby tu był jakiś dom, miałby właśnie ten numer – odpowiada. – Ale jak pani widzi, niczego tu nie ma.

– Ma pan rację. – Odwracam się i spoglądam na góry rysujące się na horyzoncie. – Mieszka pan w tej okolicy?

Przytakuje, kierując wzrok w głąb ulicy.

– Na rogu.

– Od dawna?

– Dom wybudowano w pięćdziesiątym szóstym, więc minęło już parę lat.

– Mieszka tu gdzieś rodzina o nazwisku Andersson? Pan Lars Andersson z żoną?

Kręci głową.

– Pewności nie mam. Nie znam tu wszystkich, choć moja żona zawsze stara się przywitać nowych sąsiadów i zapoznać ich z resztą mieszkańców. – Wzruszył ramionami.

– Ale chyba nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

– A ta działka – właśnie ta – nigdy nie stał na niej żaden dom? Nigdy tu nic nie zbudowano?

Jego wąsy znowu się unoszą.

– Nie od pięćdziesiątego szóstego, proszę pani.

Oddaję mu uśmiech.

– No dobrze. Dziękuję panu. Musiałam jednak pomylić adres.

– Życzę powodzenia w szukaniu państwa Anderssonów. Miłego wieczoru. – I odchodzi z psem biegnącym przy nodze.

– Dziękuję – odpowiadam jego oddalającej się postaci. – Wzajemnie.

Nie ma tu nic więcej do oglądania. Opuszczam Southern Hills, czując konsternację i pustkę w środku. Powoli wracam na róg ulic University i Yale. Po dwudziestu minutach czekania na przystanku zaczynam podejrzewać, że wieczorami autobusy nie kursują na obrzeżach miasta. Tutaj i tak wszyscy mieszkańcy mają samochody, z czego zdaję sobie sprawę, widząc mijające mnie najnowsze modele forda, chevroleta i dodge'a. Więc się poddam i ruszam pieszo na północ ulicą University, aż docieram do Evans, gdzie wsiadam do autobusu jadącego na zachód. W sumie od początku tej przygody przeszłam pieszo już ze trzy–cztery mile, a moje buty nie nadają się do dłuższych spacerów. Usiadłszy, częściowo zsuwam szpilki z poobcieranych stóp. Wyglądam przez okno, dopóki autobus nie zatrzymuje się na moim przystanku. Wtedy wkładam z powrotem buty, wsiadam i ruszam w górę Washington Street.

Idąc, zaczynam machać rękami. Zanim zdaję sobie sprawę, co właściwie robię, biorę zamach prawą ręką, jakbym trzymała rakiety tenisową. Ten ruch sprawia mi satysfakcję i jest wręcz instynktowny, jakbym miała wrodzoną siłę i odpowiedni talent, by go wykonać. Stopy już mnie nie boją, jak gdyby mój długi spacer wcale nie miał miejsca. Śmieję się z siebie, kręcąc głową. Bzdura. Kompletna bzdura; to mój mózg płata mi figle, wmawiając ciału coś takiego.

Trwa rześki, letnio-jesienny wieczór i część moich sąsiadów siedzi na werandach.

– Dobry wieczór, panno Kitty – woła pan Morris, mieszkający w domu na rogu. Pali cygaro i kołysze się w swoim rozpadającym się drewnianym fotelu na biegunach z wyplatany oparciem. Dobiega już setki. Przyjechał tu z Ohio z rodzicami i siostrami w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, chodził do jednego z pierwszych liceów w Denver i ukończył studia, kiedy uniwersytet w tym mieście był jeszcze w powijakach. Swego czasu pracował jako dziennikarz prasowy i założył rodzinę, a teraz mieszka z owdowiałym synem, który sam nie jest już pierwszej młodości. Pan Morris twierdzi, że pamięta, jak jego ojciec wrócił z wojny secesyjnej – choć jeśli dodać dwa do dwóch, można by się zastanawiać, czy aby na pewno człowiek, który wrócił do rodziny, był tym samym, który go spłodził.

– Dobry wieczór, panie Morris. – Macham do niego, ale nie wstępuję na jego werandę, żeby pogawędzić. Czasem to robię, ale dzisiaj za dużo myśli kłębi mi się w głowie.

Inni sąsiedzi też witają mnie z uśmiechem, gdy mijam ich domy. Lubią mnie. Mogę sobie wyobrazić, jak ktoś z nich opisałby mnie nowemu mieszkańcowi: „Zdziwaczała stara panna, bez dwóch zdań, ale dość miła i prowadzi przytulną księgarnię na Pearl Street! Koniecznie proszę tam zajrzeć i poszperać na półkach”.

Zbliżając się do domu, porównuję moje sąsiedztwo z Southern Hills. Tam jest tyle ziemi, tyle przestrzeni między domami. I tak niewiele wysokich drzew. W większości ogródków rosło jakieś młode drzewko, może nawet dwa, ale nie uświadczysz tam strzelistych świerków i topoli, które rosną wzdłuż mojej ulicy.

Platt Park, dzielnica, którą uważam za swój dom, powstała na początku wieku. Zamieszkały tu religijne rodziny, które przybyły z Holandii do Małej Holandii, jak niektórzy nazywają to miejsce. Taką nazwę uzasadniają holenderskie dachy dwuspadowe na wielu tutejszych domach, nie mówiąc już o licznych kościołach Chrześcijańskiego Kościoła Reformacyjnego. Dzisiaj mieszkają tu głównie „niebieskie kołnierzyki”, czyli konserwatorzy i sprzątaczkę zatrudnieni na uniwersytecie, robotnicy z fabryki na South Broadway oraz sekretarki i pracownice sklepów, które w dawnych czasach dojeżdżały tramwajem do centrum miasta.

Dzisiaj, rzecz jasna, dojeżdżają autobusem. Autobusem, który nie zatrzymuje się przed naszą księgarnią, więc nie przywozi nam klientów.

Wiem, że powinnam poszukać jakiegoś rozwiązania. Frieda nie myśli o niczym innym.

Nie mogę jednak zapomnieć o Springfield Street i tamtejszych nowoczesnych domach. Mają swój urok. Są takie przestronne. Aż chciałoby się odetchnąć pełną piersią.

Gdy zbliżam się do mojego domu, widzę, że przed drzwiami frontowymi stoi Greg Hansen, syn moich sąsiadów, właścicieli budynku. Ma osiem albo dziewięć lat i jest jedynakiem. Odbija dużą, czerwoną, gumową piłkę o ceglana ścianę bliźniaka – po mojej stronie, co zauważam z pewną irytacją. Lepiej żeby uważał na okna.

Rety, ależ ze mnie maruda.

– Cześć, Gregu. – Wchodzę po schodach i podnoszę leżące na progu popołudniowe wydanie „Denver Post”. Jestem maniaczką prasy; jedna gazeta dziennie mi nie wystarczy,

więc rano czytuję „Rocky”, a wieczorem „Post”.

– Hej, panno Miller. – Greg nie przerywa sobie zabawy.

– Co porabiasz? – pytam, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kluczy.

Wzrusza ramionami.

– Mama mnie przegoniła. Mówi, że i tak nie odrabiam lekcji, więc mam się przynajmniej nie plątać pod nogami.

Znajduję klucze i zapinam torebkę.

– A dlaczego nie odrabiasz lekcji?

Jeszcze raz wzrusza ramionami.

– Bo nie lubię. – Piłka odbija się o ścianę: raz, dwa, trzy razy. – Nie lubię szkoły, psze pani. – Patrzy w górę. – Ale fajny zachód słońca – zachwyca się. – Chyba jeszcze nigdy nie widziałem tak pomarańczowego nieba.

Odłożywszy torebkę na zielono-żółty, aluminiowy bujany fotel z oparciem z nylonowej plecionki, który trzymam na swojej części werandy, wychylam się przez balustradę. Greg ma rację; zachód jest dzisiaj olśniewający: odcienie pomarańcza i różu mieszają się ze sobą, a słońce w szkarłatnej glorii powoli znika za górami. Ale takie spostrzeżenie wydaje się dość niezwykle w ustach dziecka, w dodatku chłopca. Być może, myślę sobie, Greg ma zadatki na artystę.

Przyglądam mu się z uwagą. Jest chudym piegusem o ciemnych włosach. Brudny biały T-shirt i ogrodniczki wiszą na nim jak na wieszaku. Długa grzywka wpada mu w oczy.

– Gregu – zagajam. Zerka na mnie, potem z powrotem na niebo, a w końcu na ścianę. – A są jakieś lekcje, które lubisz?

Zastanawia się przez chwilę i wraca do rzucania piłką.

– Matma jest okej. Czasem wszystko robię dobrze. – „Łup, łup”. – Reszta jest naprawdę trudna.

– To znaczy? Co jest najtrudniejsze?

Podnosi na mnie wzrok.

– Czytanie – mówi niechętnie. – Bo ja... no, nie wiem, psze pani, ale jakoś mi to nie idzie. Czytam bardzo powoli i... – Zawstydzony, odwraca wzrok.

– A czy... – Nie bardzo wiem, jak to ująć. – Na pewno twoja nauczycielka chętnie ci pomoże.

– Z całym szacunkiem, psze pani, ale w klasie jest dzieci co niemiara. Nie wiem, ile dokładnie, ale dużo. Moja nauczycielka czasem nawet nie pamięta, jak mam na imię.

Kiwam głową ze zrozumieniem. Pamiętam to uczucie z czasów, kiedy sama uczyłam. Tyle dzieci, a każde z nich potrzebuje pomocy, nawet jeśli niechętnie się do tego przyznaje. Te wszystkie wbite we mnie spojrzenia. Niektóre zupełnie pozbawione wyrazu, w niektórych błyska jakaś iskierka. Kilkoro dzieci słucha tego, co mówi nauczyciel. W przeciwieństwie do większości.

Ale niezależnie od ich zdolności odpowiedzialność za ich wykształcenie spada na nauczyciela. A któż jest w stanie pomóc każdemu dziecku w tak licznej grupie? Czy są tacy nauczyciele?

A jeśli Greg nie nauczy się czytać? Jaka przyszłość go czeka, skoro nawet czytać

nie potrafi?

– Gregu – mówię stanowczym tonem. – Mam w domu kilka wspaniałych książek dla dzieci. Niektóre napisane specjalnie dla chłopców. *Bracia Hardy*, znasz ich? I jeszcze kilka zabawnych książek o chłopcu, który nazywa się Henry Huggins i ma psa o imieniu Ribsy. Chciałbyś przyjść do mnie wieczorem i rzucić na nie okiem? Możemy je obejrzeć razem i zobaczymy, czy znajdziesz coś, co chciałbyś przeczytać. – Uśmiecham się do niego. – Mogłabym ci pomóc – dodaję zachęcająco. – Myślę... myślę, że to byłaby dobra zabawa dla nas obojga.

Odbija piłkę kilka razy, przygryzając przy tym wargę.

– Pomyślę o tym.

Nie patrzy na mnie. Czekam jeszcze chwilę, po czym wchodzę do domu i zamykam za sobą drzwi.

Po kolacji stanowczo odsuwam na bok wszelkie myśli o Springfield Street i mężczyźnie ze snu – a także o jego dzieciach i służącej. Skupiam się na małym Gregu Hansenie i przeglądając regały, zdejmuję z półek wszystkie książki dla dzieci, które nadają się dla początkujących czytelników. Nie wiem, jak poważny jest jego problem z czytaniem, jakie ma zaległości i czy w ogóle będę mogła mu pomóc. Ale jeśli tylko zechce spróbować, chętnie mu pomogę. Przed ósmą rozlega się pukanie. Biegnę otworzyć i widzę Grega, stojącego w półmroku werandy z wyrazem niepewności i niepokoju na twarzy.

– Pomyślałem... – Spuszcza wzrok. – Pomyślałem, że może pokazałaby mi pani te książki.

– Oczywiście. – Uśmiecham się i wpuszczam go do środka.

ROZDZIAŁ 7

Otacza mnie zieleń. Mam półprzymknięte oczy, ale przez wąskie szparki między powiekami widzę, że światło jest tu przytłumione. Poruszam się lekko i czuję dotyk wody opływającej moje ciało.

Otwieram oczy, spodziewając się ujrzeć zieloną łazienkę w domu przy Springfield Street. Ale okazuje się, że to pomieszczenie jest znacznie mniejsze. Podobnie jak łazienka w tamtym dwupoziomowym domu, ta też ma zielone ściany i wyposażenie, które składa się z sedesu, umywalki na postumencie i niewielkiej wanny, w której właśnie leżę zanurzona w ciepłej wodzie. Kran przy wannie jest ozdobiony misternie wygrawerowanymi literami C i H z mnóstwem zawijasów. Na drewnianej półce przy umywalce stoi gruba, żółta świeca w przezroczystym, szklanym świeczniku, a jej migotliwy płomień rozświetla półmrok. Biały ręcznik leży starannie złożony na zamkniętej desce sedesowej, abym po skończonej kąpieli mogła się wytrzeć do sucha. Na haczyku przytwierdzonym do drzwi wisi krótki, ciemnoczerwony, koronkowy peniuar. Wielkie nieba, myślę sobie, a któż to ma niby nosić?

Okno skrzydłowe z matową szybą jest lekko uchylone, a z zewnątrz dobiegają mnie dźwięki ruchu ulicznego i muzyki – akordeonu? Dziwne!

Wyciągam przed siebie ręce i lekko poruszam dłońmi. Uśmiecham się, podziwiając pierścionki na swoich palcach. Dzisiaj przyglądam się im dokładniej niż poprzednio, kiedy po raz pierwszy odwiedziłam ten świat. Szeroka, złota obrączka ślubna, a do tego pierścionek z brylantem w złotej oprawie. Może nie znam się na brylantach, ale ten kamień wydaje mi się całkiem spory. Nie aż tak wielki, żeby uznać go za krzykliwy i niegustowny, ale wystarczająco duży, aby mieć pewność, że nie był tani.

Moje dłonie wyglądają lepiej niż kiedykolwiek – są mniej pomarszczone, jakby należały do kogoś młodszego. Zniknęły te nieszczęsne postrzępione skórki, a paznokcie pokrywa blad różowy lakier.

Słyszę pukanie do drzwi i Lars nieśmiało wsuwa głowę do łazienki.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku, słonko – mówi. – Nie zaśnij w tej wannie.

Uśmiecham się do niego z uwielbieniem.

– Wejdz, posiedź ze mną.

Śmieje się.

– Raczej nie zmieszczę się do tej wanienki. – Wchodzi do łazienki, zamyka za sobą drzwi i rozgląda się wokół. – Zauważyłaś, że we Francji nic nie jest zbyt duże? Z wyjątkiem obfitych posiłków. – Klepie się po brzuchu. – To dopiero była kolacja! Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze zjadłem.

– Tylko nie przesadzaj z ciastami – ostrzegam go żartobliwie. Nie mam pojęcia, co mają znaczyć te słowa ani dlaczego w ogóle je wypowiadam. To się po prostu dzieje. I wtedy nagle zauważam, że Lars też wygląda młodziej. Włosy ma gęstsze, a wśród nich tylko kilka siwych. W zwykłych spodniach, białej koszuli i bez krawata wydaje się

szczuplejszy, bardziej odprężony i swobodny. Gdy się uśmiecha, wokół jego błękitnych oczu pojawiają się zmarszczki, ale nie tak głębokie, jak te, które pamiętam z wcześniejszych snów.

– Świetnie wyglądasz – mówię. – Tak młodo i zdrowo.

Nachyla się, aby mnie pocałować.

– Ty też wyglądasz cudownie. – Powoli lustruje moje zanurzone w wodzie nagie ciało. – W najdrobniejszym szczególe.

Nagle przypominam sobie fotografię wiszącą na ścianie naszej sypialni na Springfield Street – i już rozumiem. Właśnie trwa nasz miesiąc miodowy. Jesteśmy w Paryżu.

– Och! – wyrywa mi się.

Znowu wybucha śmiechem.

– Olśnienie? Podzielisz się?

Uśmiecham się.

– Raczej nie. – Rozglądam się wokół. – Ale powiem ci coś innego. Kiedyś chcę mieć taką zieloną łazienkę. Chcę, aby całe wyposażenie było właśnie w tym kolorze. Nigdy nie kąpałam się w ładniejszym miejscu.

– Dobry pomysł. – Uważnie lustruje całe wnętrze. – Ale może niech będzie troszkę większa niż ta, jak myślisz?

Poruszam się lekko w wodzie.

– Może troszkę.

– Jeśli zaraz nie wyjdiesz z wody, będziesz pomarszczona jak suszona śliwka.

– Masz rację. Zaraz wychodzę. – Zerkam na peniuar wiszący na drzwiach.

Lars uśmiecha się z czułością.

– Należę nam po kieliszku przed snem. – Wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Pamiętam swój poprzedni sen, w którym leżeliśmy razem w łóżku, a ja bałam się zamknąć oczy – bałam się, że jeśli to zrobię, ten uroczy, wymyślony świat zniknie, a ja obudzę się w domu. To samo czuję teraz, skąpana nie tylko w wodzie, ale i w szczęściu. Nie chcę się obudzić z tego snu we śnie.

Najwidoczniej jednak przysypiam, przynajmniej na krótką chwilę, bo gdy otwieram oczy, znajduję się w tej drugiej zielonej łazience, tej w Denver. W domu, który nie istnieje i w którym mieszkam z nieistniejącymi ludźmi.

Przyglądam się swoim dłoniom. Na palcach nadal mam te same pierścionki – błyszczą się trochę mniej, ale to ten sam komplet ślubny. Z przykrością zauważam, że zmarszczki wróciły. Mam też rozstępy na bokach. Czyli wróciliśmy do 1962 roku.

Znów słyszę pukanie do drzwi łazienki, a potem głos Larsa:

– Wszystko okej, Katharyn?

– Tak – odpowiadam – Nic mi nie jest.

– Mogę wejść?

– Jasne.

Do łazienki wchodzi Lars w średnim wieku, do którego jestem przyzwyczajona. Niemniej wciąż jest niesamowicie przystojny. Może ma mniej włosów i większy brzuch, ale jego roziskrzone, błękitne oczy wcale się nie zmieniły. I wiem, że gdy na mnie patrzy,

nie widzi moich zmarszczek ani rozstępów. Po prostu widzi mnie, a w jego oczach wciąż jestem piękna.

– Kocham cię – wyrywa mi się. – Absolutnie i zdecydowanie kocham w tobie wszystko.

Uśmiecha się.

– Spokojnie, spokojnie. – Zdejmuje ręcznik z wieszaka i kładzie go na krawędzi toaletki, skąd łatwiej go dosięgnę, gdy skończę kąpiel. – Siedzisz tu już od dłuższego czasu – mówi. – Będziesz pomarszczona jak suszona śliwka.

Śmieje się.

– Ty i te twoje śliwkowe żarciki.

Spogląda na mnie ze zdziwieniem.

– Pamiętasz nasz miesiąc miodowy? – pytam. – Pamiętasz tę zieloną łazienkę w Paryżu?

– Oczywiście. To dlatego chciałaś mieć w domu zieloną łazienkę. Dokładnie taką, jak tamta. Tylko większą.

– To prawda – zgadzam się. – I wiesz co, Larsie? Pamiętam, jak to mówiłam. Pamiętam! – Wiem, że prawdopodobnie brzmi to dziecinnie i komicznie, ale nic na to nie poradzę.

Lars wybucha śmiechem.

– Cieszę się, że znowu jesteś taka jak dawniej. – Zniża głos do szeptu. – Martwiłem się o ciebie Katharyn – dodaje. – Wszyscy się martwiliśmy.

– Dlaczego? – pytam. – Co cię tak zmartwiło?

– Kochanie. – Podchodzi bliżej i całuje mnie w czubek głowy. – Odpręż się i dokończ kąpiel. Najważniejsze, abyś ty postarała się nie martwić.

– Nie martwię się. Jestem zakochana.

Kręci głową.

– Jesteś dzisiaj taka słodka. – Odwraca się do drzwi i dodaje: – Dokończ kąpiel, a ja naleję nam po kieliszku przed snem.

Sen we śnie. Sen o drobnym – aczkolwiek przyjemnym – przeżyciu, które nigdy nie miało miejsca. I to w samym środku snu o całym życiu, które nigdy się nie zdarzyło.

Gdy budzę się w domu, sama w swoim łóżku, uświadamiam sobie coś niepokojącego.

Zakochałam się w duchu.

ROZDZIAŁ 8

Muszę przestać o tym myśleć. Te sny nie mogą zaprzętać mojej uwagi na jawie. Mącą mi w głowie, są żalodne i nie dają mi niczego dobrego.

Na szczęście mam inne sprawy na głowie. Z rozmysłem odsuwam od siebie myśli o Larsie – dumna, jakbym odmówiła sobie dokładki deseru, kiedy staram się zrzucić zbędne kilogramy – i wspominam wczorajszy wieczór, który spędziłam z Gregiem Hansenem.

Zaczęliśmy od *Braci Hardy* i książek Beverly Cleary, ale chłopiec i tak miał trudności z kilkoma pierwszymi stronami każdej z nich.

– Spójrz na obrazki, może podpowiedzą ci, o czym jest tekst – poradziłam mu, bo pomyślałam, że skoro dostrzegł piękno zachodu słońca, to może naukę ułatwią mu pomoce wizualne. Ale gdy tylko to powiedziałam, zrozumiałam, że ta rada jest kompletnie bezużyteczna. Byłoby inaczej, gdyby chodziło o książkę z obrazkami, taką jak *Na ratunek Madeline*, którą czytała Missy, gdy po raz pierwszy śniłam o moim drugim życiu. Ale książki o braciach Hardy i powieści Beverly Cleary, choć dotyczą tematów, które mogłyby zainteresować Grega, mają zaledwie po kilka ilustracji, nie na każdej stronie.

Odłożyłam te trudniejsze książki na bok i sięgnęłam na półkę po moje stare elementarze z Dickiem i Jane. Na widok ich okładek Greg prychnął z pogardą.

– To książki dla dzieci. Nuda – oświadczył.

– Umiesz je przeczytać?

Wzruszył ramionami. Otworzyłam jedną i postukałam palcem w pierwszą stronę. Zerknął spod zmrużonych powiek.

– „Spot ma piłkę” – wyrecytował. – „Spójrz, jak Spot biega za piłką”. – Podniósł na mnie wzrok. – Widzi pani? Umiem to przeczytać.

– Greg. – Zamknęłam elementarz, aż zaszeleściły kartki. – Czy mi się zdaje, czy ty już widziałeś tę książkę?

Zaczerwienił się.

– Może tak, a może nie. Ale umiem ją przeczytać! – odparł obronnym tonem.

– Okej. – Położyłam książkę na brzegu stołu stojącego obok mojej rozkładanej kanapy. – Poszukam czegoś innego. – Spojrzałam mu w oczy. – Wrócisz innym razem, jeśli znajdzie coś, co ci się bardziej spodoba?

Wzruszył ramionami.

– Może.

Pamiętając o wieczornej rozmowie z Gregiem, rano nabieram ochoty, aby pójść do księgarni. Listonosz przychodzi dokładnie w chwili, kiedy wychodzę z domu; szybko sięgam po pocztówkę od matki i czytam ją po drodze.

Kitty, moja droga,

dopadła nas tu paskudna pogoda. Muszę powiedzieć, że cyklony tropikalne przerażają mnie dużo bardziej niż burze na lądzie. Te wzburzone fale, te wszystkie rzeczy,

które spadają na plażę... Wczoraj, gdy burza minęła, poszłam na spacer i znalazłam na piasku damski naszyjnik. Bardzo prosty i skromny, zwykle paciorki. Powiesiłam go na krzaku przy wejściu na plażę, choć wątpię, by ktokolwiek po niego wrócił. Takie incydenty sprawiają, że zaczynasz się zastanawiać, jakie jeszcze tajemnice kryje głębia oceanu.

Mroczne myśli, jak na pocztówkę z raju od matki! Kochanie, mam nadzieję, że twoje dni są słoneczniejsze.

Ściskam

Mama

Biedna mama. Przykro mi, że jest w tak melancholijnym nastroju; to do niej niepodobne. Otwierając sklep, postanawiam, że jeszcze tego wieczoru, po pracy, napiszę do niej długi list.

Nie mamy w księgarni zbyt wielkiego wyboru książek dla dzieci, tylko kilka klasycznych historii i parę nowszych książeczek zamówionych z katalogu wydawnictw, tych, które wydają nam się ciekawe i na które jest popyt. Ale przecież, myślę sobie, przeczesując dział z literaturą dziecięcą, na pewno mamy coś, co przemówi do Grega, na poziomie, który będzie dla niego zrozumiała.

Ku mojemu zaskoczeniu nie znajduję niczego odpowiedniego. Książki, które uznałby za ciekawe, byłyby dla niego za trudne. A te, które mógłby przeczytać, są zbyt nudne, by utrzymać jego uwagę.

Podczas przerwy na lunch idę do biblioteki Decker Branch, która znajduje się kilka przecznic od Pearl Street. I natykam się na ten sam problem. Mnóstwo książek dla początkujących czytelników... o ile są nimi pięcio- lub sześciolatkowie. Wypożyczam kilka książek Dr. Seussa. Wiem, że ten wybór go nie zachwyci, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Niewiele lepsze od tych wczorajszych – narzeka Greg tego wieczoru po kilku stronach książeczki *Kto zje zielone jajka sadzone*. – Przykro mi, panno Miller, wiem, że próbuje mi pani pomóc, ale... – Zawstydzony spuszcza wzrok.

– Gregu – mówię, bo nagle coś mi przychodzi do głowy. – Gdybyś mógł przeczytać książkę na dowolny temat, to o czym by była?

– O baseballu – odpowiada bez wahania. – Bardzo chciałbym przeczytać opowiadanie o baseballu.

Kiwam głową.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Oczywiście nie ma opowiadań o baseballu dla dziewięciolatków, którzy nie umieją czytać. Przeglądam nasze katalogi, jeszcze raz odwiedzam Decker, a nawet jadę do biblioteki w centrum miasta – po raz drugi w dość krótkim czasie, choć tym razem z zupełnie innych powodów. Ale i tam nie znajduję książek, które zainteresowałyby

Gregu.

Więc postanawiam sama coś dla niego napisać.

Zaczynam od zadania mu kilku pytań.

– Jak właściwie gra się w baseball, Gregu? Jakie są zasady?

Przewraca oczami.

– Wszyscy znają zasady baseballu, panno Miller.

– Więc udajmy, że ja nie znam. Udajmy, że wyjaśniasz je komuś, kto nigdy nie słyszał o tej grze. Może komuś z innego kraju, gdzie nie gra się w baseball.

Wygląda na zdumionego.

– To nie wszędzie grają?

Uśmiecham się, kręcąc głową.

– Nie wszędzie.

Jest ciepły wieczór, więc siedzimy na werandzie: on na balustradzie, a ja w swoim aluminiowym fotelu na biegunach. Na kolanach trzymam notatnik i zapisuję wszystko, co mówi chłopiec.

– Pierwsza liga składa się z dwóch lig: American League i National League – zaczyna. – Obecnie najlepszą drużyną w National League są Giganci z San Francisco. To faworyci w serii.

– W serii?

Prycha kpiąco.

– W finale World Series, panno Miller. Ale to zabawne... – dodaje z namysłem – że finał nazywają serią światową, skoro nie gra się w baseball na całym świecie. – Wzrusza ramionami. – Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Jeszcze raz się uśmiecham.

– Szczerze mówiąc, mi też nie.

– W każdym razie – ciągnie, patrząc na mnie – moim ulubionym zawodnikiem jest Willie Mays. Jest kolorowy i niektórzy w szkole mówią, że nie powinno się go lubić, bo jest kolorowy, ale ja myślę, że to głupie. – Mruży oczy. – Jeśli zawodnik umie odbijać piłkę, to co kogo obchodzi kolor jego skóry? Mi nie robi to różnicy. Powinna pani zobaczyć, jak odbija piłkę. Potrafi posłać ją daleko poza Candlestick Park, tam właśnie grają Giganci w San Francisco. – Greg zadziera głowę i patrzy w zmierzchające niebo. – Wszystko bym dał, *wszyściuteńko*, żeby choć raz być na stadionie podczas meczu pierwszej ligi i zobaczyć, jak Mays odbija piłkę i zalicza wszystkie cztery bazy.

– Wszyściuteńko – powtarzam, gryzmołąc w notatniku. – To dopiero byłoby coś!

Wieczorem dwa dni później pukam do drzwi Hansenów. Otwiera mi Greg.

– Przepraszam za te kiepskie rysunki – mówię, podając mu zszyty plik zapisanych odręcznie kartek. – Żadna ze mnie artystka. Ale myślę, że opowiadanie i tak ci się spodoba. – Posyłam mu uśmiech. – Dobrze, żeby historyjka miała obrazki, nawet jeśli są okropne. – W przeciwieństwie do innych książek, które próbował czytać, autorstwa Beverly Cleary i opowiadań o braciach Hardyach, postarałam się, aby w książeczce, którą sama dla niego napisałam, na każdej stronie znalazł się choćby maleńki rysunek.

Greg przerzuca kartki.

– To o baseballu – mówi, oglądając ilustracje, a być może, *być może!*, nawet

niektóre wyrazy.

Przytakuję.

– I o Williem Maysie. – Teraz przegląda plik kartkę po kartce. – Wiem, jak się pisze jego nazwisko z nagłówek gazetowych w dziale sportowym. Napisała pani opowiadanie o Maysie... i... i... – Jeszcze uważniej wpatruje się w kartki. – Tu jest też *moje* imię. – Podnosi na mnie wzrok. – Co ja robię w tym opowiadaniu?

– Cóż. – Uśmiecham się. – Chyba musisz je przeczytać, żeby się dowiedzieć.

– Nigdy nie widziałem książki o baseballu, którą umiałbym przeczytać. – Greg aż promienieje. – W dodatku takiej o Williem Maysie i o mnie.

Sięgam do kieszeni sukienki i wyjmuję coś jeszcze: plik około dwunastu kart katalogowych. Przedziurkowałam każdą z nich i związałam je sznurkiem. Na każdej karcie napisałam jeden wyraz: bazy, miotacz, strike, łapacz. Obok każdego dodałam rysunek – bardzo prosty – który ilustruje jego znaczenie.

– Te karty pomogą ci przeczytać książkę – wyjaśniam. – Jeśli jakiś wyraz sprawi ci trudność, spróbuj go tu znaleźć. Gdy już nauczysz się je wszystkie rozpoznawać, czytanie stanie się łatwiejsze, bo przecież nie będziesz musiał zastanawiać się nad wyrazami, które już znasz.

Przyjmuje plik, zamyka książkę, a wszystko wkłada sobie pod pachę.

– Dziękuję, panno Miller – mówi. – Nie mogę się doczekać, żeby zacząć.

Jego słowa są miodem na moje serce.

Te lekcje czytania sprawiają mi dużo radości, ale płynie z nich jeszcze inna korzyść: już od ponad tygodnia ani razu nie przyśnił mi się ten sen. Każdej nocy śpię jak kamień i nic mi się nie śni.

W ciągu dnia aż tryskam energią. Krzątam się po księgarni, przestawiam to i owo i przygotowuję jesienną wystawę w oknie: rozrzucam artystycznie (przynajmniej tak sobie wmawiam) liście wycięte z żółtego, czerwonego i brązowego kartonu, układam malownicze stosy bestsellerów i rozwieszam własnoręcznie wykonany transparent z napisem: „Nadchodzą chłody! Potrzebny ci przytulny kąć i dobra książka!”.

Frieda przewraca oczami i powtarza, że robię się coraz bardziej irytująca.

– Wolałam, gdy byłaś zrzęda, jak ja – mamrocze.

– Wezmę to pod uwagę – odcinam się.

Greg połyka swoją książeczkę w jeden dzień.

– Przeczytałem od początku do końca – obwieszcza z dumą. – Bardzo mi pomogły te wyrazy na kartach. Wszystkie już znam. Gdy skończyłem czytać, zacząłem od nowa, a potem przeczytałem całą książkę mamie. Powiedziała... – Rumieni się i spuszcza wzrok z zażenowaniem. – Powiedziała, że jest ze mnie bardzo dumna.

– Ja też jestem z ciebie dumna – mówię. – Bardzo dumna. – Kładę mu dłoń na ramieniu. – Mam napisać następną? – pytam. – Chciałbyś? Karty też mogę zrobić. Możemy powiększyć twoją kolekcję słów.

– Chcę. Bardzo – odpowiada Greg. – Dziękuję, panno Miller. Bardzo pani dziękuję. – Nagradza mnie szerokim uśmiechem, podskakując z entuzjazmem na naszej wspólnej werandzie, a potem wraca do domu, radośnie zatraskując za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 9

Moje nocne wizje wracają po ponadtygodniowej przerwie.

Znowu jesteśmy poza domem, Lars i ja. Mój Boże, jakże bogate życie towarzyskie prowadzimy w tych snach! W moim prawdziwym świecie wychodzę wieczorem ze dwa-trzy razy w miesiącu. Od czasu do czasu idę na jakiś film z dawnymi koleżankami z pracy w szkole, ale wiele z nich musi takie wyjście bez męża i dzieci zaplanować nawet kilka tygodni wcześniej. Czasem jadam kolację z Friedą w restauracji, a czasem zaglądamy do jakiegoś domu towarowego albo jednej z większych księgarń, gdzie jakiś autor podpisuje swoją książkę. Tego typu wydarzenia zawsze odbywają się w dużych sklepach; nasza księgarenka nie przyciąga popularnych autorów – tych niepopularnych też nie, prawdę mówiąc.

Jednak większość wieczorów spędzam w domu – leżę zwinięta na sofie z Aslanem u boku i czytam książkę albo oglądam telewizję. Ciekawe... Czyżbym podświadomie chciała spędzać więcej czasu na mieście, wystrojona, jak w tych snach?

Tak czy inaczej, teraz jestem z Larsem na jakimś koktajlu. On ma na sobie garnitur i krawat, a ja koralową, satynową sukienkę – w prawdziwym życiu też trochę lubię ten kolor – z dekoltem w kształcie serca, szerokim dołem i kokardą w talii. Przypomina mi suknię, w której niedawno widziałam Jackie Kennedy w magazynie „Life”; najwyraźniej w tym świecie wzoruję się na modowych gustach Pierwszej Damy. Na nogach mam spiczaste szpilki kolorystycznie dobrane do sukienki. Z głośników błyszczącego zestawu stereo stojącego w kącie pokoju rozlega się muzyka. Kingston Trio śpiewa, że nie potrzebują alkoholu, żeby się dobrze bawić; podobno uśmiech na twarzy kobiety działa tak samo jak solidny drink. No cóż. Nie jestem pewna, czy moje senne ja może powiedzieć to samo o sobie. W dłoni trzymam do połowy opróżniony kieliszek martini. W przeciwieństwie do Friedy, która uwielbia dobre martini, w prawdziwym życiu rzadko je pijam; niemniej teraz upijam łyček. Jest zaskakująco słodkie. Pewnie oprócz ginu i wermutu zawiera coś jeszcze. Biorę kolejny łyk, myśląc, że mogłabym się przyzwycząić do tego smaku – oczywiście gdyby to się działo naprawdę. Obok nas stoi rudowłosa kobieta w czarnej, satynowej, ołówkowej sukni, również trzymając w ręku kieliszek martini. W pokoju roi się od par: mężczyzn w garniturach i kobiet w sukienkach koktajlowych. Rozglądam się za Billem i Judy, z którymi jedliśmy kolację kilka snów temu. Uśmiecham się w duchu; nawet we śnie miło byłoby zobaczyć znajomą twarz. Ale nigdzie ich nie widzę.

Jesteśmy w czyimś domu, równie nowoczesnym jak nasz. Salon zajmuje całą szerokość frontowej części domu, a sięgające od podłogi do sufitu okna wychodzą na ulicę. Patrząc przez ramię, widzę jadalnię połączoną z kuchnią, a w niej szklane rozsuwane drzwi, które prowadzą prawdopodobnie do ogródka – niewątpliwie równie obszernego, jak wszystko w tym świecie.

– Katharyn, do twarzy ci w tym kolorze – mówi rudowłosa, kierując moją uwagę na toczącą się rozmowę.

Uśmiecham się i upijam łyk owocowego drinka.

– Dziękuję... – Oczywiście nie mogę się do niej zwrócić po imieniu, bo go nie znam. Wprawia mnie to w zakłopotanie. Mama zawsze powtarzała mi, żeby zapamiętywać imiona innych. „Wtedy zawsze będziesz miała wielu przyjaciół i niestraszna będzie ci nuda”, mawiała, gdy byłam jeszcze nastolatką. Nie jestem pewna, czy miała rację, bo choć mam niezłą pamięć do imion, to – przynajmniej w prawdziwym świecie – moje życie towarzyskie praktycznie nie istnieje. Parskam śmiechem i nagle zdaję sobie sprawę, że trochę kręci mi się w głowie. Ciekawe, ile martini już wytrąbiłam.

Delikatnym, lecz zdecydowanym gestem Lars ujmuje mnie za łokieć.

– Jean, zawsze powtarzam Katharine, że do twarzy jej w różowym. – Unosi brwi. – Oczywiście gdy powiedziałem jej to dziś przed wyjściem z domu, oświadczyła, że to wcale nie różowy, tylko koralowy. – Unosi ramiona w żartobliwym geście męskiej bezradności. – Który mężczyzna może wiedzieć takie rzeczy?

Śmieję się wesoło.

– Jean – podchwytyję, natychmiast zapamiętując jej imię. – Twoim zdaniem to bardziej koralowy czy brzoskwiniowy? Sprzedawczyni upierała się, że sukienka jest brzoskwiniowa, ale... – Wolną ręką muskam satynę. – Ja uważam, że jest raczej koralowa.

– Zdecydowanie koralowa – zgadza się Jean. – Brzoskwiniowy byłby delikatniejszy, czyli nieodpowiedni na tę porę roku. A ta sukienka... – Przygląda mi się uważnie. – Jest doskonała, moja droga. – Zerka w mrok za oknami. – Tylko nie zapomnij porządnie się opatulić, wracając do domu. Ale burza! Chyba nie przyszlście pieszko?

– Oczywiście, że tak – odpowiada Lars. – To jedna przecznica stąd.

Podchodzi do nas mężczyzna z wąsami i podaje Jean nowego drinka.

– Proszę, to dla ciebie – mówi, wyjmując jej z ręki pusty kieliszek. Zauważam, że ich palce stykają się przez kilka sekund.

– Ach, George. – Jean posyła mu szelmowskie spojrzenie. Ma wielkie, zielone oczy ocienione sztucznymi rzęsami. – Cóż za troskliwy gospodarz.

Nagle uświadamiam sobie, kim on jest. To ten mężczyzna z psem, którego widziałam na ulicy w pobliżu miejsca, gdzie miałby stać nasz dom. Gdy byłam tam w prawdziwym świecie.

Czyli świat ze snu zamieszkują też ludzie żyjący w tym prawdziwym. To spostrzeżenie wydaje mi się tak zabawne, że wybucham śmiechem. Wszyscy patrzą na mnie ze zdziwieniem.

– Powiedziałam coś zabawnego? – pyta Jean.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiadam czym prędzej. – Po prostu jestem dziś w doskonałym humorze. – Wznoszę kieliszek. – Wspaniale być tu z wami wszystkimi!

Lars wciąż mocno trzyma mnie za łokieć.

– Katharyn, może chciałabyś usiąść?

Nagle czuję, że muszę pójść do łazienki. Jak to możliwe, skoro to sen, a nie jawa? Znowu wybucham śmiechem, zastanawiając się, czy aby w tej właśnie chwili nie moczę łóżka w prawdziwym świecie.

– Nie, dziękuję – odpowiadam Larsowi. – Idę przypudrować noskę. – Uwalniam się z jego uścisku i ruszam na tyły domu, z nadzieją, że gdzieś tam znajdę łazienkę, jeśli

tylko będę miała oczy szeroko otwarte.

W kuchni chmara służących przygotowuje jedzenie i układa je na tacach. Ku mojemu zdziwieniu, widzę wśród nich Almę, naszą gosposię. Wszystkie kobiety są Meksykankami. Choć to sen, a ja jestem lekko wstawiona, ta sytuacja wydaje mi się przygnębiająca. Ten świat, w którym osoby o ciemniejszej karnacji obsługują białych... Nie tak wygląda moje prawdziwe życie. Przyznaję, że w świecie, w którym jestem Kitty, nie znam osobiście zbyt wielu ludzi innych ras. Ale w moim przekonaniu wszyscy są równi. Do naszej księgarni zagląдают czasem klienci, którzy nie są biali, a ja traktuję ich tak samo, jak białych. Tak mnie wychowano. To tylko kwestia dobrego smaku i zwykłej ludzkiej przyzwoitości, mawiała moja matka i miała rację. Mój ojciec pracował z mężczyznami i kobietami różnego pochodzenia; matka, która pracuje jako wolontariuszka w szpitalu, opiekuje się dziećmi o różnych kolorach skóry. Owszem, skończyłam college i obracam się w lepiej wykształconych kręgach niż moi rodzice, ale to właśnie robotnicze wychowanie uczyniło mnie człowiekiem, jakim jestem.

To znaczy: jakim jestem w prawdziwym życiu.

W każdym razie cieszę się, że widzę znajomą twarz na tym przyjęciu.

– Almo – szepczę, aby zwrócić jej uwagę. Podchodzi do stołu w jadalni, którego się przytrzymuję.

– Dobrze się pani czuje, *señora* Andersson? Podoba się pani *lo borlo*?

Chichoczę.

– Nic mi nie jest. Świetnie się bawię!

– *No bronca*? Żadnych problemów, *señora*?

Macham ręką i prawie wywracam tacę z przystawkami, która leży na stole. Alma zręcznie ją przytrzymuje.

– Jes... mały... roblem... – mamroczę niewyraźnie. – Nie mogę... za nis sobie... szypomnieć, gdzie to jes... – Rozglądam się wokół. – Łazienka. Może ty wiesz?

Alma się uśmiecha. Ma miłą twarz – ciepły uśmiech i duże, białe zęby. Gdy się śmieje, robią jej się zmarszczki wokół oczu, tak jak mnie. Ciekawe, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– *No hay pedito, señora*. Zaprowadzę panią.

Idę za nią korytarzem. Jak przez mgłę widzę, że na ścianach wisi kilka dużych abstrakcji, oświetlonych specjalnymi lampkami umieszczonymi nad każdym płótnem. Mijamy kilkoro eleganckich drzwi z ciemnego, zdobionego drewna, bez szklanych elementów – wszystkie zamknięte. Za nimi są pewnie szafy i sypialnie. Alma delikatnie puka do trzecich drzwi po prawej. Nikt nie odpowiada, więc otwiera je przede mną.

– *Lo baño* – mówi, aby mnie upewnić. – Wszystko dobrze?

– Pewnie, złotko. Pierwsza klasa. – Wślizguję się do środka i zamykam za sobą drzwi.

Załatwiwszy potrzebę, myję ręce i lekko ochlapuję twarz zimną wodą. Zaglądam do torebki – jest całkiem ładna, nieduża, ze złotym połyskiem i z zamkiem z kryształu górskiego – i ze środka wydaję puderniczkę i szminkę. Pudruję nos, zauważając przy okazji rumieńce na policzkach, i uważnie nakładam na usta szminkę kolorystycznie dopasowaną do sukienki. Moje włosy wyglądają wyjątkowo dobrze. Sterczące kosmyki

zostały ujarzmione i układają się w pokaźne fale, przytrzymywane na swoim miejscu dzięki sporej ilości lakieru. Najprawdopodobniej musiałam być u fryzjera, myślę sobie, dziękując bogom snu, czy kto tam przeniósł mnie do tego zwariowanego świata, że skoro już spędzam wieczór poza domem, przynajmniej moje włosy wyglądają olśniewająco.

Niepewnym krokiem wychodzę na ciemny korytarz i zderzam się z jakąś niewyraźną postacią.

– Lars? – pytam.

– Niestety – słyszę wesołą odpowiedź. – To tylko miły pan domu, który chce sprawdzić, czy dobrze się czujesz. – Robi krok naprzód i widzę George'a, tego od wąsów i spaniela.

– Wszystko w porządku, dziękuję – zapewniam go, ale gdy chcę go wyminąć, zachodzi mi drogę.

– Katharyn – mówi niskim głosem. – Wyglądasz dziś przepięknie. – Lekkim, lecz nieustępliwym gestem kładzie mi rękę na prawym biodrze.

Odsuwam się od niego, zaskoczona.

– Tak, to samo powiedział mój mąż. – Dziwnie się czuję, wypowiadając to słowo; jakbym mówiła w innym języku. Ale ma to swoją moc. Przypominam sobie tę satysfakcję, kiedy na lekcji hiszpańskiego w liceum wywołana do odpowiedzi przez señorę Torrez, pewnym głosem i bezbłędnie recytowałam jakiś zwrot.

George cofa rękę.

– Och, daj spokój – mówi. – To był komplement. Nie bierz tego tak poważnie.

– George. – Zza jego pleców dobiega ostry głos i George odsuwa się ode mnie. Szybkim krokiem podchodzi do nas kobieta ubrana w dopasowaną do ciała, ciemną sukienkę w prążki. – Katharyn, dobrze się czujesz?

– Och... Tak, oczywiście. – Czy to pani domu? Dobry Boże, co za niezręczna sytuacja.

– George – mówi kobieta. – Przynieś więcej lodu z chłodziarki na tarasie.

Rzuca jej skruszone spojrzenie i oddala się chyłkiem.

Pani domu ujmuję mnie za ramię.

– Wstyd – mówi, kręcąc głową. – Ten mój mąż ma oko na ładne kobiety, ja ci to mówię. Ale żeby we własnym domu... i jeszcze po tym, co przeszłaś. – Posyła mi długie, zaniepokojone spojrzenie. – Powiedz, moja droga, jak sobie radzisz?

Jak sobie radzę? Chodzi jej o to, że jestem pijana? Dobry Boże, ależ to żenujące.

– Ja... wszystko w porządku – odpowiadam. – Naprawdę. Muszę się tylko napić wody.

Jej oczy łagodnieją.

– Oczywiście. Chodźmy do kuchni. – Ujmuję mnie za ramię i wyprowadza z korytarza. – I, Katharyn – dodaje, nachylając się ku mnie. – Bardzo ci dziękuję, że pożyczyłaś mi Almę. Ależ ta dziewczyna jest pracowita!

Nie wiem, ile dokładnie lat ma Alma, ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że jest ode mnie starsza o pięć–dziesięć lat – a ja z kolei jestem przynajmniej o tyle samo starsza od pani tego domu. Dlatego dość dziwne wydaje mi się nazywanie Almy „dziewczyną”. Niemniej w odpowiedzi uśmiecham się tylko, dodając:

– Kiedy tylko zechcesz.

Wkrótce potem przyjęcie dobiega końca. Pani domu – której imienia nie poznałam – podaje paniom ich śniegowce, a panom kalosze. Służące rozdają płaszcze przyniesione z sypialni. Większość gości bierze je z ich rąk bez słowa. Alma podaje mi mój.

– Och, dziękuję, Almo! *Muchas gracias!* – wołam, chyba nieco za głośno. Wszyscy na mnie patrzą, ale nie dbam o to.

Śnieg kłębi się wokół nas, kiedy wychodzę z Larsem na podjazd.

– Powolutku – mówi, przytrzymując mnie za ramię. – Może należało jednak wziąć samochód. – Wychodzimy na ulicę i brniemy przez zwały śniegu. Od domu dzieli nas zaledwie przecznica. Absurdem byłoby przyjeżdżać na to przyjęcie samochodem.

Gdy docieramy na miejsce, wchodzę do domu, a Lars zostaje na zewnątrz. Opiekunka do dziecka, która wygląda mi na licealistkę, wstaje z kanapy i podchodzi do telewizora.

– Dobry wieczór, pani Andersson – mówi, wyłączając odbiornik. Przed oczami migają mi Paul Newman i Joanne Woodward w namiętym uścisku. To chyba *Długie, gorące lato*, nakręcona kilka lat temu adaptacja powieści Faulknera. Dziewczyna pewnie oglądała „Sobotni wieczór w kinie”, program, który sama doskonale znam w prawdziwym życiu. Większość sobotnich wieczorów spędzam samotnie w domu, oglądając film, który akurat nadaje stacja NBC.

– Jak minął państwu wieczór? – pyta opiekunka.

– Było miło. – Zastanawiam się, dlaczego Lars nie wchodzi do domu i czy mam jej zapłacić. A jeśli tak, to ile? Nie mam pojęcia o takich sprawach.

– A jak tobie minął wieczór? – pytam. Rzucam okiem na zewnątrz przez oszklone drzwi werandowe i widzę, jak Lars odśnieża ścieżkę szybkimi, sprawnymi ruchami.

– Bardzo dobrze. Bezproblemowo. – Uśmiecha się do mnie. – To naprawdę grzeczne dzieciaki – dodaje uprzejmie.

Zamiast mnie uspokoić, jej słowa każą mi się zastanowić, czy przypadkiem inni nie uważają tych dzieci za niegrzeczne. A jeśli tak, to dlaczego?

– To dobrze. – Zdejmuję płaszcz. – Dziękuję. – Przez drzwi werandowe widzę, że Lars skończył odśnieżanie i teraz stoi bez ruchu na schodach przed domem, wpatrując się w wirujący w powietrzu śnieg. Jego ramiona unoszą się i opadają, w rytmie przyspieszonego oddechu. Z niepokojem myślę o jego sercu. Jeszcze raz się zastanawiam, dlaczego nie wchodzi do środka, aż wreszcie domyślam się, że pewnie czeka, aby odprowadzić albo odwiedzić opiekunkę do domu.

Dziewczyna otwiera szafę i wyjmuje brązową, wełnianą kurtkę z przyszytym na plecach napisem SPARTANS, wykonanym ze złotego filcu. Z przodu, na lewej połowie widzę kilka niewielkich plaketek, symbolizujących różne sporty i zajęcia, takie jak softball, hokej na trawie i cheerleading. Na lewej połowie wyhaftowano złotą nitką imię TRISHA.

– Dziękuję ci, Trisho – mówię. – Och, i poproś pana Anderssona, żeby ci zapłacił. Nie mam przy sobie tyle drobnych. – W duchu gratuluję sobie tego pomysłu.

Trisha zapina kurtkę i wkłada buty.

– Nie ma sprawy, pani Andersson. Miłego wieczoru.

– Nawzajem. Nie zmarznij. – Otwieram przed nią drzwi. Lars właśnie otrzepuje szuflę ze śniegu, uderzając nią o betonowy schodek.

– Wracam za dziesięć minut – mówi, dając mi szybkiego całusa. Wskazuję na torebkę i kręcę głową, a on potakuje na znak, że rozumie. Nie mogę się nadziwić naszemu porozumieniu bez słów; można by pomyśleć, że robimy tak od lat. Patrzę, jak odprowadza Trishę ośnieżoną ścieżką.

Odwiesiwszy płaszcz do szafy i zdjawszy buty, chwiejnym krokiem idę do sypialni. W środku pali się mała lampka stojąca na komodzie. Ku mojemu zaskoczeniu, na łóżku drzemie Aslan. Na jego widok czuję ogromną ulgę, jakbym właśnie spotkała bliskiego przyjaciela po wielu latach rozłąki.

– Mój słodki kiciuś. – Podbiegam, siadam przy nim i głaszczę jego mięciutkie, złociste futerko. Patrzy na mnie swoimi wielkimi, zielonymi oczami i głośno mruczy.

Po chwili słyszę, jak Lars wchodzi do domu. Zostaję na łóżku, kontemplacyjnie pieszcząc Aslana i słuchając, jak Lars wchodzi po schodach, otwiera i zamyka najpierw jedne drzwi, a potem drugie. Schodzi na dół. Słyszę, jak odkręca i po chwili zakręca wodę w kuchni. Widzę, jak w korytarzu gasną kolejne światła, aż jedyną zapaloną lampą w domu pozostaje ta, która stoi na pobliskiej komodzie. Zwabiony jej światłem Lars wchodzi do sypialni, gdzie na niego czekam.

– Czujesz się lepiej? – pyta, podchodząc do mnie ze szklanką wody w rękę. – Pomyślałem, że chce ci się pić.

– Dziękuję. – Przyjmuję szklankę i pociągam łyk. Nagle czuję się zażenowana, że się upiłam, choć to przecież tylko sen. – Przepraszam, że tyle piłam.

Wzrusza ramionami.

– To zrozumiałe, Katharyn.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc milczę. Przyglądam się, jak rozluźnia krawat i rozpina guzik przy kołnierzyku, a potem otwiera szafę i odwiesza marynarkę i krawat.

Gdy znowu się ku mnie odwraca, patrzę na swoje odbicie w lustrze nad komodą.

– Larsie – mówię miękko.

Siada obok mnie.

– O co chodzi?

Dotykam swojej sukienki, nie odrywając wzroku od lustra. W tym przyćmionym świetle jej kolor jest olśniewający – wyglądam jak aktorka albo balerina wystrojona na premierę przedstawienia.

– Wiesz, gdzie kupiłam tę sukienkę? – pytam.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– W domu towarowym May-D&F – odpowiada. – Tam, gdzie kupujesz większość ubrań.

Powoli kiwam głową.

– A włosy? – pytam, dotykając swoich idealnych loków. – Kto mi je układa? Do którego salonu chodzę?

– Katharyn. – Uśmiecha się niepewnie. – Chodzisz do Beauty on Broadway, oczywiście. Tam, gdzie pracuje Linnea. Czesze cię, odkąd się poznaliśmy.

– Linnea. – Zastanawiam się przez chwilę. – To twoja siostra, prawda?

– Katharyn. – Obejmuje mnie. – Naprawdę sporo dzisiaj wypijaś, co?

Kręcę głową, śmiejąc się cicho.

– Cóż, chyba tak – odpowiadam. Przytulam się do niego i unoszę podbródek, rozchylając wargi do pocałunku.

ROZDZIAŁ 10

Nietrudno znaleźć Beauty on Broadway. Trudniej natomiast umówić się na wizytę do Linnei Hershall.

– Przykro mi, ale Linnea ma już zajęte wszystkie terminy na najbliższy tydzień – informuje mnie recepcjonistka, z którą rozmawiam przez telefon, w duchu gorąco przepraszając Veronicę z Modern Hair, do której chodzę regularnie przynajmniej od dwunastu lat.

– Czy mogę zostawić swój numer, na wypadek gdyby ktoś odwołał wizytę? – pytam. – Mogę przyjść o każdej porze. – Urywam. – Ktoś mi ją bardzo polecał.

– Chwileczkę, zapytam. – W słuchawce zalega cisza, a po chwili znowu rozlega się znajomy głos recepcjonistki: – Czy może pani przyjść we wtorek po południu o wpół do drugiej? Myślę, że zdąży panią przyjąć, jeśli to nic skomplikowanego.

Uśmiecham się i zaciskam pięść w geście triumfu.

– Mogę przyjść – zapewniam i podaję swoje imię i nazwisko.

Do wtorkowej wizyty zostało jeszcze kilka dni, więc tymczasem wybieram się do centrum do May-D&F, gdzie odwiedzam dział odzieży formalnej. Przeglądam wszystkie wieszaki, ale nigdzie nie widzę tej koralowej sukienki.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – pyta sprzedawczyni.

– Szukam sukienki, którą... widziałam u znajomej. – Podkreślam, że ma być „koralowa, choć jej kolor można by też określić jako brzoskwinowy”.

Sprzedawczyni zastanawia się przez chwilę.

– Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie takiej sukienki – mówi w końcu. – Jest pani pewna, że pani znajoma kupiła ją tutaj?

– Tak mi powiedziała.

– A kiedy to było?

Zdaję sobie sprawę, że nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Zważywszy tamtą zamieć, było to zimą. Ale po raz pierwszy, odkąd zaczęły się te sny, pomyślałam, że te wydarzenia, o których śnię, niekoniecznie dzieją się w 1962 roku. Na pewno nie dzieją się teraz, w pierwszym tygodniu października. Co prawda czasem się zdarza, że śnieg spadnie w Denver już w październiku, ale to nigdy nie są takie zawieruchy – a już na pewno nie jedna za drugą, jak to miało miejsce w tych snach. Najwięcej śniegu i burz mamy tu pod koniec zimy, w lutym albo w marcu. Jeśli więc czas w moich snach jest mniej więcej zbieżny z rzeczywistym, to śnię albo o zimie, która nadejdzie za kilka miesięcy, albo o tej zeszłorocznej. Możliwe jednak, że śni mi się zupełnie inny okres. To w końcu sen, na litość boską! To, co przedstawia, może dziać się w dowolnym czasie albo zupełnie poza nim.

– Wie pani – mówię powoli. – Właściwie to nie jestem pewna, czy moja znajoma mówiła o May-D&F. Może jednak chodziło o inny sklep.

– Cóż, mamy wspaniałą nową kolekcję przygotowaną specjalnie na przyjęcia świąteczne. Pierwsze z nich już są dostępne, a wkrótce spodziewamy się kolejnych. Może

zainteresuje panią coś innego...

– Nie – kręcę głową. – Na razie dziękuję. – Odwracam się w stronę ruchomych schodów. – Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Oczywiście. Proszę wrócić za kilka tygodni. Wtedy będziemy już mieli całą kolekcję bożonarodzeniową i noworoczną.

Wchodząc do Beauty on Broadway, denerwuję się, jakbym przyszła na pierwszą randkę. Całe wnętrze utrzymane jest w kolorze fiołkowego rózu z ciemnofioletowymi akcentami. Salon jest duży; widzę osiem stanowisk fryzjerskich. Większość z nich zajmują już klientki. Pod tylną ścianą stoi rząd suszarek do włosów, prawie wszystkie wydają radosny szumek. Manikiurzystka uważnie nakłada lakier na paznokcie jednej z kobiet suszących włosy; inne przeglądają żurnale albo czytają dział rozrywki w czasopismach.

Recepcjonistka prosi o moje nazwisko, prowadzi mnie do pustego stanowiska i odchodzi. Czekam, przyglądając się własnemu odbiciu. Światła po obu stronach lustra podkreślają bladość mojej skóry. Szczypię policzki, aby poróżowiały. Powinnam była nałożyć więcej szminki na usta.

Zadręczam się tymi drobiazgami, gdy nagle widzę w lustrze podchodzącą do mnie szatynkę w średnim wieku. Obracam się razem z krzesłem w jej stronę, a ona podaje mi rękę.

– Jestem Linnea Hershall – przedstawia się z lekkim zaśpiewem w głosie, zapewne pozostałością szwedzkiego akcentu z młodości. – Pani ma na imię Kitty, prawda?

Nagle oniemiała, potakuję, przełykając ślinę. Z bliska jej podobieństwo do Larsa jest uderzające. Ma te same błękitne oczy, ten sam kpiący uśmiech, ten sam okrągły nos. Na jej widok łzy cisną mi się do oczu. Nie mogę uwierzyć, że patrzę na prawdziwą, żywą krewną mojego wyśnionego mężczyzny. Widząc moje skrępowanie, Linnea mówi łagodniejszym tonem:

– Niech zgadnę. Pierwszy raz od wielu lat u nowej fryzjerki. – Podnosi i zaraz opuszcza brwi. – Mam rację?

Uśmiecham się mimowolnie.

– Uhm... tak. To prawda.

– Proszę się nie martwić. – Obraca moje krzesło, tak że znowu siedzę twarzą do lustra, a potem delikatnie przeczesuje moje sterczące kosmyki. – Łatwo jest popaść we „włosową rutynę”, jak to nazywam. A potem trudno z niej wyjść. To może deprymować. – Przechyliła głowę, uważnie przyglądając się mojemu odbiciu. – Domyślam się, że chciałaby pani ujarzmić te niesforne loczki i przydać im nieco elegancji.

Potakuję.

– O tak, właśnie o to mi chodzi.

Biorę głęboki wdech, próbując się uspokoić, aby móc nacieszyć się tym doświadczeniem. Nawet dłonie Linnei przypominają mi dotyk Larsa: są silne i zręczne; można by złożyć w nie całe swoje życie, ufając, że odtąd nie spotka cię nic złego. Już w trakcie mycia głowy prawie się w niej zakochuję.

Gdy znów zasiadam przed lustrem, Linnea w zadumie przeczesuje grzebieniem moje włosy, a potem sięga do pojemnika z wałkami. Przyjrząwszy mi się uważnie,

próbuję najpierw jeden rozmiar, potem inny, aż wreszcie znajduje małe wałeczki odpowiednie do niektórych części fryzury i większe na górę, by uzyskać efekt grubych fal. Zanurza palce w dużym słoju z zielonym żelem Dippity-Do, wmasowuje go w moje włosy, a następnie nawija kolejne partie włosów na wałki i zreżnie je przypina.

Przychodzi jej to wszystko z widoczną łatwością, więc ośmielam się nawiązać rozmowę.

– Linnea – zaczynam niepewnie. – To ładne imię. I niezwykle.

Podnosi wzrok i uśmiecha się do mojego odbicia w lustrze.

– Szwedzkie – wyjaśnia. – Wyemigrowałam tu z małego miasteczka niedaleko Borls, które też nie jest zbyt duże; większość Amerykanów nigdy o nim nie słyszała. Przyjechałam tu jeszcze jako dziewczynka.

Trzęsą mi się dłonie, więc szybko je splatam.

– Daleka przeprowadzka – mówię w końcu. – Pani rodzina... też się tu przeprowadziła?

Potakuje, nawijając kosmyk włosów na mały, niebieski wałeczek i przypinając go szpilką.

– Moi rodzice i brat. – Przygryza wargę. – Ale wszyscy już zmarli.

– Och, bardzo mi przykro. – Czuję, jak cała się trzęsę. – To bardzo smutne. Czy... chorowali?

Linnea znowu potakuje.

– Rodzicom nie szło zbyt dobrze – odpowiada. – Na początku zamieszkaliśmy w Iowa, gdzie mieliśmy dalekich krewnych. Ale trwał kryzys, praca była ciężka, a serce mojej matki... cóż, nie wytrzymało. – Odwraca na chwilę wzrok. – To samo można by pewnie powiedzieć o moim ojcu.

Trudno mi dalej ją wypytywać. Nie potrafię sobie wyobrazić, że sama tracę rodziców. Może dlatego, że są tacy młodzi – matka nie przekroczyła jeszcze sześćdziesiątki – ale życie bez nich jest dla mnie nie do pomyślenia. Nawet te dwa miesiące, kiedy są ode mnie tak daleko, okazały się dla mnie trudniejsze, niż przypuszczałam. Już sama myśl, że znajdują się tysiące mil od domu, jest dla mnie udręką. Przypominam sobie pocztówkę, którą dostałam od mamy dziś rano.

Moja droga Kitty,

jesteśmy tak daleko od domu. Wczoraj spytałam May, jak daleko jest z Honolulu do Denver – okazało się, że ponad 3000 mil. Tylko pomyśl! Obwód Ziemi to około 25 tysięcy mil; czyli od domu dzieli nas prawie 1/8 obwodu Ziemi.

Czasami gdy budzi mnie słońce, patrzę na wschód i myślę o Tobie. W tym czasie u Ciebie ranek jest już w pełnym rozkwicie i pewnie pijesz kawę z Friedą w Waszej uroczej księgarce.

Czy wiesz, jak jestem z Ciebie dumna, kochana Kitty?

Kocham Cię

Mama

Czytając te słowa w domu, prawie uległam chęci, by podnieść słuchawkę i zadzwonić do niej, nie zważając na różnicę stref czasowych i wysokość opłaty za rozmowę zamiejscową. Chciałam tylko usłyszeć głos mamy. Szczerze mówiąc, podniosłam słuchawkę i nawet zaczęłam wykręcać numer, ale wtedy przypomniałam sobie, że u nich jest kilka godzin wcześniej i pewnie jeszcze śpią, więc zmusiłam się, aby odłożyć słuchawkę, zanim nastąpiło połączenie.

Wracam myślami do rozmowy z Linneą. Boję się zadać jej następne pytanie, ale muszę to zrobić. Biorę głęboki oddech.

– A pani brat? – pytam. – Co się z nim stało?

Linnea kręci głową.

– Też kłopoty z sercem – odpowiada. – To bardzo smutne... Był młody, miał tylko trzydzieści cztery lata.

– Tak mi przykro – szepczę. – Tak bardzo mi przykro.

Robi krok do tyłu i potrząsa głową, jakby chciała oczyścić umysł.

– No i proszę – mówi z uśmiechem. – Właśnie złamałam dwie najważniejsze zasady, których uczą w każdej szkole piękności. Zasada numer jeden: nie opowiadaj klientce o sobie, dopóki sama nie dowiesz się o niej wszystkiego. I zasada numer dwa: jeśli już opowiadasz o sobie, zawsze mów o czymś wesołym.

Oddaję jej uśmiech.

– Przepraszam za ten kiepski początek – kajam się. – W takim razie proszę opowiedzieć mi o sobie coś wesołego.

Grozi palcem mojemu odbiciu.

– O nie, nic z tego, Katty Miller – mówi stanowczo. – Najpierw dowiem się wszystkiego o pani.

Więc opowiadam jej o sobie, o moich rodzicach i o ich wielkiej wyprawie. Odpowiada, że pewnie cudownie jest pojechać w tak egzotyczne miejsce jak Hawaje, a do tego odwiedzić rodzinę, u której można za darmo się zatrzymać. Kiwam głową z uśmiechem, bo mama powiedziała to samo.

Linnea mówi, że zawsze marzyła o podróżach, ale mając dwójkę dzieci, dom i rachunki do opłacenia, najlepsze, na co mogli sobie z mężem pozwolić, to był jakiś rodzinny wyjazd samochodem od czasu do czasu. Dzieci, Joe i Gloria, mają teraz odpowiednio dwadzieścia i szesnaście lat.

– Joe jest na studiach w Boulder. – Linnea wzrusza ramionami. – Mieszka w całkiem ładnym kampusie. Mam tylko nadzieję, że czegoś się tam uczy. – Kręci głową. – No i Gloria. Boże, ta to ma pełne ręce roboty: szkoła, przyjaciółki, kluby, chłopcy... Lata jak kot z pęcherzykiem.

Patrzę ze zdziwieniem na jej odbicie w lustrze.

– Pomyliłam coś? – Znowu wzrusza ramionami. – Mieszkam tu i mówię po

angielsku już prawie trzydzieści lat, a wciąż zdarza mi się coś poplątać.

Wybucham śmiechem, a ona mi wtóruje. Uwielbiam jej śmiech. Jest kobiecą wersją śmiechu Larsa.

Opowiadam jej o księgarni i o tym, jak założyłyśmy ją razem z Friedą, gdy nasze pierwotne plany zawodowe nie wypaliły.

– Wspaniała sprawa – stwierdza Linnea. – Pójść za głosem serca. Jakie książki sprzedajecie?

– Różne. – Sięgam do kieszeni spodni po wizytówkę księgarni „Dwie Siostry”. – Beletrystykę, książki podróżnicze, historyczne, poezję, albumy ze sztuką.

– Klasykę też? – pyta Linnea, przyjmując wizytówkę. – Ja uwielbiam klasykę.

– Naprawdę? – Uśmiecham się. – Kto jest pani ulubionym autorem?

– Och. – Linnea macha ręką, tą, w której akurat nie trzyma mojej wizytówki. – Trudno wybrać tylko jednego. Chyba Szekspir. Uwielbiam czytać jego sonety i niektóre sztuki, choć są wśród nich też bardzo smutne. Podziwiam też Henry’ego Jamesa; bardzo podobał mi się *Portret damy*. Z bardziej współczesnych autorów najbardziej lubię chyba Johna Steinbecka. Właśnie skończyłam czytać *Zimę naszej goryczy*. Wielu czytelników nie przepada za tą książką i rozumiem dlaczego, to nie jest przyjemna lektura. Ale myślę, że pokazuje to, co w Ameryce rozczarowuje. – Marszczy brwi. – Może Amerykanie nie chcą o tym czytać – dodaje z namysłem.

Przytakuję. Przeczytałam *Zimę naszej goryczy* w zeszłym roku, jak tylko się ukazała, i wywarła na mnie takie samo wrażenie. Po lekturze kilku recenzji, których autorzy wieszczili, że bezwstydną moralność Steinbecka stanie się równią pochyłą jego kariery, zadawałam sobie to samo pytanie, co Linnea: czy drażni nas ten moralizatorski styl, czy też autor trafia w samo sedno, ale tematyka jego nowej powieści jest dla nas niewygodna?

– Uczyłam się angielskiego, czytając – wyjaśnia Linnea. – To najlepszy sposób, naprawdę.

– Cóż, mamy mnóstwo Szekspira, Jamesa i Steinbecka – zapewniam. – I wiele innych książek. A jeśli czegoś nie mamy na półce, możemy zamówić. Proszę nas kiedyś odwiedzić. – W moim głosie słychać błagalną nutę i modłę się, aby Linnea była zbyt pochłonięta swoim zajęciem, by ją zauważyć. – Z przyjemnością panią oprowadzę.

Pieczołowicie odkłada wizytówkę na swój stolik.

– Przyjdę – obiecuje. – I przyprowadzę Głorię. Ona też lubi czytać. – Linnea robi krok do tyłu, aby ocenić moją pokrytą wałkami głowę i z zadowoleniem kiwa głową. – Gotowe. Teraz może pani usiąść pod suszarką.

Gdy wracam do Dwóch Sióstr, na mój widok Friedzie wyrывa się z piersi okrzyk.

– Wyglądasz oszałamiająco – mówi, nie mogąc oderwać wzroku od mojej fryzury. – Serio, Kitty, nigdy nie wyglądałaś lepiej. – Nurkuje pod ladę po swoją torebkę, z której wyjmuje puderniczkę i przypudrowuje sobie nos. – Aż sama mam ochotę się odświeżyć – wyjaśnia z przeproszającym uśmiechem. Zamyka puderniczkę z głośnym trzaskiem i dodaje: – Czy nie powtarzam ci od lat, żebyś dała sobie spokój z tą Veronicą i poszła do kogoś innego?

– Owszem. – Przeglądam się w lustrze wiszącym nad ladą. Nie mogę się na siebie

napatrzeć. Wyglądam dokładnie tak, jak we śnie. Tyle że jestem trzeźwa i nie tak wystrojona.

– Och, o mały włos zapomniałabym ci powiedzieć. – Frieda wychodzi zza lady i schyla się, aby poprawić książkę, która przewróciła się na półce z klasyką, *Opowieści kanterberyjskie* Chaucera, dość opasły tom, który powinien bez trudu utrzymać się w pionie. To pewnie wina tej bezczelnej Damy z Bath.

Frieda poprawia książkę obiema rękami. Zastanawiam się, czy Linnea, która tak lubi Szekspira, czytała też Chaucera. Postanawiam przejrzeć półki i wybrać coś dla niej – Chaucera i może Edmunda Spensera, skoro lubi klasykę, Josepha Conrada albo George’a Bernarda Shawa, jeśli lubi literaturę z przełomu wieków, a do tego coś pióra współczesnych pisarek, takich jak Katherine Anne Porter i Flannery O’Connor, bo mam wrażenie, że dotąd Linnea czytywała głównie książki napisane przez mężczyzn.

– Był tu ten chłopak Hansenów – mówi Frieda. – Ten, który mieszka obok ciebie. Powiedział, że mam ci jeszcze raz podziękować i że „czyta to na okrągło”. I że nie może się doczekać następnego. – Odsuwa się od półki i czeka przez chwilę, sprawdzając, czy Chaucer znowu się przewróci, ale teraz już chyba stoi stabilnie. Frieda odwraca się ku mnie. – O co mu chodziło?

ROZDZIAŁ II

Mamusiu!

Otwieram oczy i rozglądam się. Wszystko widzę jak przez mgłę.

– Mamusiu, słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

Czuję, że ktoś lekko głaszcze mnie po prawym rękawie. Koncentruję się i twarz Missy nabiera ostrości. Dziewczynka patrzy na mnie z niepokojem. Jej spojrzenie przypomina mi wyraz twarzy pewnego aktora, który grał psychiatrę w sztuce telewizyjnej. Jego pacjentką była kobieta, która potknęła się na chodniku i uderzyła głową o kamienny mur; całkowicie straciła pamięć i nie mogła sobie przypomnieć nawet własnego imienia. Lekarz przyglądał się pacjentce, jakby jej stan nie tylko go niepokoił, ale też wzbudzał jego wielkie współczucie.

Missy patrzy na mnie dokładnie w taki sam sposób. Jej rudawo blond loczki zaplecione są po obu stronach głowy w warkoczyki i związane czerwonymi wstążeczkami dopasowanymi kolorem do sukienki w szkocką kratę. Unosi brwi, co sprawia, że wydaje się starsza, niż jest w rzeczywistości – a ja nagle zdaję sobie sprawę, że nie wiem, ile ona ma lat. Uznałam, że dzieci mają jakieś pięć–sześć lat, ale tak naprawdę nie wiem, kiedy się urodziły. Co więcej, wciąż zakładam, że są bliźniakami – jak dotąd nie miałam powodu myśleć inaczej – ale przecież nie mam co do tego pewności. Ależ mam zwariowaną wyobraźnię. Wciąż śni mi się cała wyimaginowana rodzina, w dodatku jest to *moja własna* wyimaginowana rodzina, a ja nie znam wieku i dat urodzenia tych *moich* dzieci ani nawet kolejności, w jakiej przyszły na świat.

– Ja... nic mi nie jest, słonko. – Rozglądam się wokół. Wróciła mi jasność widzenia i zdaję sobie sprawę, że znajdujemy się w dziale z butami w jakimś dużym sklepie. Nie jest to żaden ze znanych mi domów towarowych. Większość zakupów robię w Monkey Wards na Broadwayu albo w May-D&F w centrum, w tym, który odwiedziłam w moim prawdziwym świecie, aby zapytać o koralową sukienkę. Ten sklep trochę przypomina May-D&F, choć nigdy nie byłam w dziale podobnym do tego. Jaskrawożółte, czerwone i niebieskie półki, a także równo ułożone lakierki, tenisówki i gumowce świadczą o tym, że jesteśmy w dziale butów dla dzieci. Przez te wszystkie lata, kiedy robię zakupy w May-D&F, chyba nigdy nie zajrzałam do działu butów dla dzieci, ale wiem, gdzie się znajduje – na drugim piętrze, niedaleko działów z lepszymi sukienkami i płaszczami. Żadnego z nich nie widzę w pobliżu, co prawdopodobnie oznacza, że to jednak zupełnie inny sklep.

Dziarskim krokiem podchodzi do nas sprzedawca obładowany tekturowymi pudełkami w żywych kolorach. Na jego plakietce widnieje imię Richard, a nad nim widzę znajome, niebieskie logo May-D&F, z tym charakterystycznym rysunczkiem trójkątnego dachu zamiast myślnika. A zatem to *jest* dom towarowy May-D&F – ale jeśli ostatnio nie było tu żadnych przeróbek, to chyba nie jest to sklep w centrum. Ciekawa jestem, gdzie w takim razie się znajdujemy, ale nie mogę o to zapytać, bo zabrzmiałoby to absurdalnie.

– Przyniosłem po kilka rodzajów dla każdego dziecka – informuje mnie Richard,

a ja po raz pierwszy oglądam się w lewo i widzę Mitcha, który siedzi bosy i rozgląda się po sklepie. – To dobry moment na zakup butów do szkoły. Właśnie wyprzedajemy kolekcję jesienną, a kolekcji wiosennej jeszcze nie ma. Nasze ceny z pewnością uzna pani za okazyjne.

Uśmiecham się.

– Cóż, nie da się przewidzieć, kiedy dzieci wyrosną z butów i będą potrzebowały nowej pary. – Te słowa – jak wiele innych w moich snach – należą do kategorii „Skąd, na Boga, wiem takie rzeczy?”.

– Najpierw dla tej młodej damy... – Richard otwiera pudełko i wyjmuję parę brązowych Mary Janes. Uroczo i delikatnie, jak Kopciuszek, który ma przymierzyć szklany pantofelek, Missy unosi stopę. Sprzedawca wsuwa but zapinany na klamerkę na podbiciu. Missy ma ładne, drobne stópki, podobne do moich, a te zawsze były dla mnie źródłem dumy; to jedna z części ciała, które najbardziej u siebie lubię. Sądząc po tym, jak buciki ładnie leżą na stopach mojej wyimaginowanej córki, prawdopodobnie i ona będzie się miała czym szczyścić.

Richard szczypie czubek jej buta. Zastanawiam się, po co; nie robi się czegoś takiego, kiedy dorosły kupuje buty. Domyślam się, że w ten sposób sprawdza, czy rozmiar jest odpowiedni.

– I jak się w nich czujesz, złotko? – pytam, gdy sprzedawca wkłada jej na nogę drugi but.

– Dobrze – odpowiada, wstając. – Są wygodne.

– Przespaceruj się – proponuje Richard.

Missy przechodzi z jednego końca sklepu na drugi.

– Mam też czarne, jeśli pani woli – zwraca się do mnie sprzedawca.

Kręcę głową.

– Nie, brązowe są ładne.

Missy wraca i siada obok mnie.

– Są dobre – mówi. – Ale czy mogę przymierzyć też inne, tak na wszelki wypadek?

Uśmiecham się. Robiąc zakupy, zachowuję się dokładnie tak samo. Nawet jeśli jestem zadowolona z pierwszej przymierzonej rzeczy, zawsze muszę sprawdzić inne, bo przecież któraś z nich mogłaby spodobać mi się jeszcze bardziej. Po przymierzeniu dwóch kolejnych par, Missy wraca do brązowych Mary Janes. Zrobiłabym tak samo, myślę sobie, kiwając głową z aprobatą.

Teraz Richard i ja zajmujemy się Mitchem. Chłopiec przymierza kilka par sznurowanych butów, ale za każdym razem twierdzi, że są niewygodne. Widzę, że niespokojnie patrzy na ręce Richarda, za każdym razem, gdy ten zawiązuje mu sznurówki.

– Mitch – mówię, robiąc przegląd wystawionych przed nami butów. – A co powiesz na mokasyny? – Posyłam mu uśmiech. – Wystarczy je wsunąć na nogę. Nie trzeba zawiązywać.

Na jego twarzy pojawia się wyraźna ulga.

– Byłoby wspaniale, mamo.

Wychowywanie dzieci nie jest takie trudne, myślę sobie. Mogłabym to robić, gdybym musiała. Potrzeba tylko odrobiny intuicji i spostrzegawczości.

– Betty nabije to na kasę – mówi Richard, kiedy buty są już wybrane. Wstaje i zbiera pozostałe pudełka. – Urocze dzieci, proszę pani. Musi pani być z nich dumna.

– To prawda – odpowiadam z uśmiechem.

I rzeczywiście. Choć to zupełnie nieracjonalne, *jestem* dumna z tych dwojga wymyślonych maluchów.

Sięgam do torebki i znajduję książeczkę czekową. W lewym górnym rogu każdego czeku widnieją wydrukowane nazwiska: „Mr. Lars K. Andersson” i „Mrs. Katharyn Andersson”. Wypisując czek za buty, zdaję sobie sprawę, że nie znam aktualnej daty, więc w odpowiedniej linii wpisuję jakieś nieczytelne liczby.

Wrywam czek z książeczki i podaję go stojącej za ladą Betty, która przyjmując go, pyta:

– Nie chce pani dopisać tego do rachunku, pani Andersson?

– Do rachunku?

– Tak, do pani rachunku w naszym sklepie.

– Och. – Czuję, że lekko się rumienię. Oczywiście, że powinnam mieć tu swój rachunek. – Nie, dzisiaj nie. – Posyłam jej miły uśmiech i odbieram paragon.

Mitch ciągnie mnie za rękaw płaszcza, gdy chowam książeczkę czekową do torebki.

– Byliśmy grzeczni? – pyta.

– Proszę?

– Byliśmy grzeczni? Missy i ja, byliśmy grzeczni?

– Oczywiście, że tak. – Uśmiecham się do niego, przypominając sobie słowa opiekunki z poprzedniego snu. „To naprawdę grzeczne dzieciaki”. No pewnie, czy to nie oczywiste? Więc co to, u licha, miało znaczyć?

Mitch podskakuje z podekscytowania.

– Hura! – woła. – To możemy pójść, tak?

Nie mam pojęcia, o czym on mówi, więc tylko niepewnie kręcę głową.

– Do Bluebell Toys – wyjaśnia Missy. – Nie pamiętasz, mamusi? Obiecałaś, że jeśli będziemy grzeczni podczas zakupów, to pójdziemy do Bluebell Toys i... no wiesz. Pooglądamy.

Obiecałam im? Czy obiecałam też, że coś im kupię? Czyżby dostawały zabawki za to, że są grzeczne, kiedy ze mną wychodzą? Nie mam pojęcia, jak to zwykle wygląda. Szkoda, że nie ma tu Larsa, by pomóc mi wybrnąć z tej sytuacji.

– Cóż, to prawda – odpowiadam. – W takim razie, prowadźcie.

Gdy zjeżdżamy schodami ruchomymi, instynktownie szukam wzrokiem działu księgarskiego na parterze. May-D&F w centrum ma dość porządną księgarnię. Zapraszają tam autorów, którzy podpisują swoje książki – ja i Frieda też chciałybyśmy organizować tego typu spotkania, ale żaden pisarz o krajowej czy choćby tylko regionalnej renomie nie zaszczycił swoją obecnością naszej księgarenki; próbowałyśmy, ale ich agenci nigdy nie odpowiadali na nasze zaproszenia. To nas zniechęciło. Pod wieloma względami dział księgarskie w domach towarowych – a także drogerie, które sprzedają wydania w miękkiej oprawie po dziesięć centów – są dla nas groźniejszą konkurencją niż inne małe księgarnie.

Schodzimy ze schodów i ruszamy w stronę szerokiego wyjścia, które najwyraźniej prowadzi na zewnątrz, do mniejszych sklepików w centrum handlowym. Nie jestem przyzwyczajona do robienia zakupów w takich miejscach; w prawdziwym życiu nigdy tego nie robię.

Już mamy wyjść, kiedy Missy wskazuje palcem w kierunku działu odzieży formalnej dla pań.

– Popatrz, mamusiu, twoja sukienka – woła. – Ta, w której ostatnio szłaś na przyjęcie. – Uśmiecha się. – Oczywiście tak naprawdę, to nie twoja sukienka – poprawia się. – Twoja jest w domu, w szafie. Ale taka sama jak twoja.

Ma rację. Na wieszaku wisi koralowa sukienka, której kilka dni temu bezskutecznie szukałam w May-D&F w centrum. To niewątpliwie ta sukienka – chociaż nie da się nie zauważyć, że jest częścią ekspozycji przeznaczonych na wyprzedaż.

– Pamiętasz, kiedy ją kupiłam? – pytam.

– Pewnie – odpowiada. – Tuż po Święcie Dziękczynienia. Włożyłaś ją na przyjęcie bożonarodzeniowe w biurze tatusia. A potem na to przyjęcie u państwa Nelsonów.

Potakuję w zamyśleniu. Ta sukienka musi być z kolekcji świątecznej, o której ostatnio wspominała sprzedawczyni w centrum. A skoro w tym śnie trwa wyprzedaż, to znaczy, że teraz przeniosłam się w przyszłość, tak jak podejrzewałam.

Ciekawe, jak daleko? Może tylko o kilka miesięcy i jest rok 1963? A może jeszcze dalej?

– Pobawmy się w zgadywanek – proponuję, kiedy wychodzimy ze sklepu. Na zewnątrz jest zimno, ale na twarzy czujemy ciepłe promienie słońca. – Wiecie, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Mitch i Missy wybuchają perlistym śmiechem.

– Jasne, że wiemy, mamó – odpowiada Mitch. – Pan Kennedy. A pan i pani Kennedy mają córeczkę. I jeszcze chłopczyka.

– A ty zawsze powtarzasz, że chciałabyś ubierać się tak modnie jak pani Kennedy – dorzuca Missy. Z jej słów tryska entuzjazm jak woda z uszkodzonego kranu.

Kręcę głową, zdając sobie sprawę, że nie ma sensu przepytywać dzieci w ten sposób. Nazwisko prezydenta niczego nie dowodzi. Mógłby być rok 1963, 1965 albo nawet 1968. Mimo powszechnych obaw związanych z Kubą i tymi strasznymi komunistami, nie mam wątpliwości, że Jack Kennedy zostanie ponownie wybrany w sześćdziesiątym czwartym. Nikt w to nie wątpi. Więc to może być którykolwiek rok jego prezydentury.

Powinłam była spytać wprost, który mamy rok, ale z drugiej strony mogliby uznać to pytanie za nedorzeczne i pomyśleć, że zblikowałam.

Idziemy betonową ścieżką w centrum handlowym. Muzyka sączy się gdzieś z góry; zdaje się, że to ta piosenka o kwiatach i dziewczynach, i żołnierzach, którą napisał Pete Seeger, a którą potem nagrało wielu artystów. Jej liryczna melodia wpada w ucho i nawet w taki chłodny dzień jak dziś zachęca do niespiesznego przechadzania się od sklepu do sklepu – a może i do kupienia tego i owego, na co zapewne liczą handlowcy. Zastanawiam się, czy i w naszej księgarni nie powinna grać w tle cicha muzyka. Czy wówczas klienci chętniej przeglądaliby zawartość półek, a w rezultacie kupowaliby więcej książek?

Moje dzieci z zapalem prowadzą mnie szerokim bulwarem, wzdłuż którego, co kilka kroków, ustawiono beżowe, kamienne żardiniery z okazałymi krzakami jałowca. Jakieś kobiety oglądają połyskujące witryny sklepów i żywo je komentują. Dzieci biegają z piskiem w tę i w tę, a ich matki ostrym tonem przywołują je do porządku. Mężczyzn jest tu niewiele. Najwyraźniej ten kawałek świata należy do kobiet.

Teraz rozumiem, dlaczego Frieda napomyka czasem, że powinniśmy zamknąć sklep na Pearl Street i przenieść się do centrum handlowego. Nasza księgarnia jest w niewłaściwym miejscu. Nie ma już tamtego świata z tramwajami, w którym obie dorastałyśmy. Nastal czas jasnych, czystych centrów handlowych z nowoczesnymi sklepami i lśniącymi pasażami. Może Frieda ma rację. Może właśnie tu powinniśmy być, jeśli chcemy przetrwać.

– To tutaj! – Mitch i Missy gapią się na rzęście oświetlone duże, kobaltowe litery układające się w napis Bluebell Toys. Mimo chłodu panującego na zewnątrz, podwójne drzwi do sklepu są otwarte, a tuż za nimi widać olśniewającą, kuszącą ekspozycję najróżniejszych zabawek. Wydają się wręcz żywe, a ich długie ramiona wyciągają się ku dzieciom, jakby chciały wciągnąć je do środka.

– Chodźmy, mammo! – Mitch i Missy ciągną mnie niecierpliwie za ręce, więc wchodzimy do sklepu.

Bluebell Toys to istny raj dla dzieci. Gry planszowe, lalki, pukawki i wszelkiego rodzaju kostiumy od szat księżniczki po strój kowboja. Mitch natychmiast rusza do działu z samochodzikami i ciężarówkami, gdzie zaczyna bawić się wielką, metalową wywrotką, warcząc i jeżdżąc nią po wykładzinie. Missy, jak we śnie, wkracza do krainy Barbie, gdzie ogląda ubranka zaprojektowane specjalnie dla tej modnej, plastikowej lalki. Stojąc w głównym wejściu, mam na oku oboje, więc nie ruszam się stamtąd, jednocześnie przeglądając miniaturowy dział z książkami dla dzieci. Tylko tyle ich tu mają? Nie zauważyłam żadnej księgarni w May-D&F, ale niewykluczone, że mieści się gdzieś na wyższym piętrze. Ciekawe, czy w całym centrum handlowym jest jakaś księgarnia oferująca większy wybór zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych.

Właśnie mam zapytać o to kasjerkę, kiedy za mną rozlega się czyjś okrzyk:

– Katharyn! Ty tutaj?

Odwracam się, by stanąć twarzą w twarz z gospodynią przyjęcia koktajlowego z mojego poprzedniego snu. Zamiast satynowej sukienki w prążki, dziś ma na sobie skromny, brązowy płaszcz i bordową, jedwabną apaszkę, a na szyi parę okularów na łańcuszku. Ten ostatni element nieco ją postarza – choć, co zauważyłam już na koktajlu, prawdopodobnie jest ode mnie o dobre dziesięć lat starsza. Trzyma za rękę małego chłopczyka – już nie malucha, ale młodszego niż moje dzieci.

– Dzień dobry. – Oczywiście nadal nie znam jej imienia. Rozglądam się za Missy i gestem przywołuję ją do nas. Może wybawi mnie z opresji.

Missy posłusznie podchodzi.

– Dzień dobry, pani Nelson. – Schyla się, aby przywitać się z chłopcem. – Cześć, Kenny. Jak się masz? – Pieszczotliwie szczypie go w policzek, tak jak to zwykle robią babcie. Boże drogi, toż to istna stara maleńka. Tak bardzo przypomina mi mnie samą jako dziecko, że aż się wzruszam. Mam ochotę ją uściskać, porwać w objęcia i nie wypuszczać.

Ze wszystkich sił staram się powstrzymać, aby się nie schylić i nie zanurzyć twarzy w jej włosach.

Gdy tak na nią patrzę, uderza mnie pewna myśl. Oddałabym wszystko – cały świat – żeby to dziecko, to moje serduszek, było prawdziwe. Prawdziwe i moje.

Jednak fakt, że Missy nazywa tę kobietę panią Nelson, w niczym mi nie pomaga. Pani Nelson i ja jesteśmy sąsiadkami i dorosłymi – nie wspominając już o tym, że niedawno jej mąż przystawiał się do mnie w słabo oświetlonym korytarzu. To jasne, że mówimy sobie po imieniu. Ale Missy, która jest dzieckiem, i to dobrze wychowanym, będzie się, oczywiście, zwracać do tej kobiety po nazwisku. No i mam kłopot.

– Robicie zakupy czy tylko się rozglądacie? – zwraca się do mnie znajoma. Missy podnosi na mnie wzrok, niecierpliwie czekając na odpowiedź.

Nie muszę się nad tym długo zastanawiać. Nagle przestaje mnie obchodzić, co pomyśli Lars albo jakie zwyczaje panują w naszym domu. To grzeczne dzieci i zasługują na nagrodę.

– Robimy zakupy – odpowiadam zdecydowanie. – Missy, wybierz sobie jedno ubranko dla Barbie. I powiedz Mitchowi, że możemy kupić jakiś samochodzik albo ciężarówkę. O ile kosztuje mniej niż trzy dolary. – Nie mam pojęcia, jaki samochodzik można kupić za trzy dolary, ale chyba za tę sumę da się wybrać coś porządnego.

– To jakaś specjalna okazja? – pyta pani Nelson, gdy Missy się oddala. – Chyba nie ich urodziny?

Aha, czyli jednak słusznie podejrzewałam, że to bliźniaki.

Wzruszam ramionami.

– Ależ nie – odpowiadam. – Po prostu czasem trzeba je troszkę porozpieszczać... prawda? – kończę niepewnie. Moje wcześniejsze zdecydowanie przegrywa z brakiem doświadczenia. Kto wie, może właśnie popełniam ogromny błąd.

Pani Nelson unosi brwi.

– Cóż, w tych okolicznościach, całkowita zgoda. – Kładzie mi rękę na ramieniu. – Wiesz, Katharyn – ciągnie, zniżając głos – muszę ci powiedzieć, że w niedzielę po południu, dzień po naszym koktajlu, widziałam twojego Larsa z dziećmi na polu golfowym. Były porządnie opatulone i ciągnęły za sobą sanki. Rozkoszny widok. Widziałam też, że wracali po dobrych dwóch godzinach. Wiem, oczywiście, że mój Kenny jest jeszcze mały... – Patrzy na niego z czułością i mocniej ściska go za rączkę, gdy on próbuje się uwolnić. – A mimo to jakoś nie mogę sobie wyobrazić, aby George zajmował się Kennym przez całe popołudnie. – Wzrusza ramionami. – W moim domu to wręcz nie do pomyślenia.

Kenny zaczyna pojękiwać, więc pani Nelson podnosi go i usadza na swoim biodrze.

– Twój Lars to dobry człowiek – mówi, jakby sama tego nie wiedziała. – Trafił ci się jeden porządny, Katharyn. Bo zwykle nie są... – Jęki Kenny'ego stają się coraz głośniejsze; wyraźnie chce pójść pobiegać po sklepie razem ze starszymi dziećmi. Pani Nelson stawia go z powrotem na ziemi. – Mężowie nie są tacy jak twój – kończy. – Szczęściara z ciebie, wiesz?

– Szczęściara. – Tak, chyba nią jestem. A właściwie byłabym, gdyby to wszystko było prawdą.

– Och! – Pani Nelson zakrywa dłonią usta. – Och, ja nie chciałam... – Jej twarz robi się czerwona. – Przepraszam. Nie powinnam tak mówić, to było nietaktowne.

Serio? Moim zdaniem to było miłe.

– To znaczy, po tym... wszystkim. – Wzrusza ramionami, najwyraźniej czując, że zagoniła się w kozi róg, choć nie mam pojęcia dlaczego. – Chciałam tylko powiedzieć, że Lars to dobry człowiek i dobry ojciec – dodaje szybko. – Wiem, że wszyscy... każdy z nas... ma coś, za co może być wdzięczny, i coś... coś...

Z tej kłopotliwej sytuacji ratuje ją mały Kenny. Zaczyna płakać tak głośno, że nie można kontynuować rozmowy.

– Lepiej go stąd zabiorę – mówi pani Nelson, biorąc chłopca na ręce. – Zje kolację i położę go wcześniej spać.

– Tak – potakuję. – Rozumiem.

– Nie wątpię. Pomyśleć, że ja mam jedno dziecko. Nie mogę sobie wyobrazić, co działo się w waszym domu, kiedy dzieci uczyły się chodzić! – Pani Nelson unosi rękę i porusza palcami na pożegnanie. – Do widzenia, Katharyn. Miłego dnia. – Znika, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Kupujemy wybrane przez dzieci zabawki – dostawszy prezenty bez żadnej okazji, Mitch i Missy wyglądają, jakby wygrali los na loterii – i wracamy betonową ścieżką na parking. Rozglądam się wokół i nagle uświadamiam sobie, że wiem, gdzie jesteśmy. To przecież centrum handlowe w University Hills przy Colorado Boulevard, po wschodniej stronie miasta. Powstało jakieś dziesięć lat temu, ale May-D&F ma tu swój sklep dopiero od kilku lat. Byłam tu raz czy dwa, ale szczerze mówiąc, łatwiej mi dojechać autobusem do centrum miasta albo pójść pieszo na Broadway. Aby dotrzeć tutaj, trzeba mieć samochód – który w tym życiu najwyraźniej mam.

– Pamiętacie, gdzie zaparkowaliśmy? – pytam bliźniaki. Słońce zniknęło za chmurą, więc schylam się, aby ochronić dzieci przed wiatrem: zapinam płaszczyk Missy i poprawiam wełnianą czapkę Mitcha.

– Mama-gapa! – Radośnie wymachując swoimi torbami z zabawkami, każde z nich podaje mi wolną rączkę, a ja ujmuję je, choć przeszkadza mi w tym przewieszona przez ramię torba, w której niosę pudełka z butami. Dzieci prowadzą mnie do zielonego chevroleta kombi z wykończonymi drewnem drzwiami.

– Zamawiam przednie siedzenie! – woła Mitch. Otwiera drzwi od strony pasażera i wdrapuje się na brązowy, winylowy fotel. Missy jęczy, że to niesprawiedliwe. Rzucam jej złowieszcze spojrzenie, a ona niechętnie otwiera tylne drzwi i wsuwa się do samochodu, po czym zagląda do torby, aby obejrzyć suknię wieczorową, którą wybrała dla swojej Barbie.

Znalazłszy kluczyki w torebce, siadam za kierownicą. Dziwnie się czuję na tym miejscu. Od lat nie jeździłam samochodem – ostatnio, gdy jeszcze byłam z Kevinem; od czasu do czasu pożyczał mi swoje auto, jeśli akurat sam go nie potrzebował. Modląc się, bym wciąż umiała zmieniać biegi, jednocześnie operując sprzęgłem, przekręcam kluczyk w stacyjce.

Jadę przez parking i idzie mi całkiem nieźle, gdy nagle ogarnia mnie fala paniki. Gwałtownie wciskam hamulec. Niestety, zapominam o sprzęgle i silnik gaśnie.

– Mamo! – Dziećmi szarpnęło do przodu, a ja instynktownie wyciągam ramię przed przednie siedzenie, aby Mitch nie uderzył głową w tablicę rozdzielczą.

– Nic wam nie jest? – pytam. – Przepraszam... Nie chciałam tak gwałtownie zahamować. Ja tylko... tylko...

Nie wiem, co powiedzieć. Dzieci wpatrują się we mnie pytającym wzrokiem.

– Ja tylko... – powtarzam słabo. – Nagle... Ja nie pamiętam... Gdzie jest Michael? Dlaczego nie ma go z nami?

Michael? Kim jest Michael? O czym ja mówię?

Missy kręci głową.

– Mama-gapa! – mówi, klepiąc mnie pieszczotliwie po ramieniu. – Naprawdę zapomniałaś? Tatusz wrócił dziś wcześniej z pracy, żebyś mogła wziąć mnie i Mitcha na zakupy. – Puszczą moje ramię i opiera się z powrotem o swój fotel. – Wszystko w porządku, mamo – zapewnia mnie łagodnym głosem. – Michael jest bezpieczny w domu, z tatusiem.

ROZDZIAŁ 12

Wielkie nieba, to było stresujące – zwierzam się Aslanowi po przebudzeniu. – Dobrze, że wróciłam, bo tu przynajmniej wszystko ma sens. – Aslan spogląda na mnie obojętnym wzrokiem, po czym wstaje, obraca się dwa razy i układa się na kołdrze, głośno mrucząc.

Pada lekki, lecz nieustępliwy deszcz. Deszczowy poranek w Denver zapowiada zwykle całodniowe opady. Częściej zdarzają się tutaj popołudniowe burze z piorunami, zwykle latem i wczesną jesienią, ale są one nagłe i gwałtowne – krótkie ulewy, które sprawiają, że z dachów leją się strugi deszczu, a czasem woda występuje z brzegów rzeki South Platte i okolicznych parowów. Lekki, całodzienny deszczyk jest tu taką rzadkością, że kiedy już się zdarzy, staje się wręcz atrakcją.

Wstaję i wkładam bawełniany szlafrok, nieco bardziej wytarty niż ten niebieski, pikowany ze snów. Jest natomiast bardziej kolorowy – w jasnym odcieniu fioletu z fuksjowym wzorem kwiatów wiśni. W łazience zdejmuję chustkę, którą zakładałam na noc na głowę, aby nie popsuć niezwykłego dzieła Linnei. Minęło zaledwie kilka dni od mojej wizyty w jej salonie, ale i tak planuję wkrótce zadzwonić i umówić się na kolejną. Wrócę tam, nie mam co do tego cienia wątpliwości. Nawróciłam się na Linneę Andersson Hershall.

Wychodzę przed dom, aby sprawdzić pocztę, i z żalem stwierdzam, że nie dostałam kartki od mamy. Podnoszę zawilgoconą gazetę „Rocky Mountain News” z wycieraczki i kartkuję ją, wchodząc z powrotem do domu. W pierwszej kolejności zaglądam na strony ze sportem. Greg miał rację: Giganci z San Francisco zdobyli mistrzostwo, pokonując we wczorajszym meczu Dodgersów z Los Angeles, zdobywszy cztery punkty w dziewiątej rundzie. Finał World Series, w którym Giganci zagrają przeciwko Jankesom z Nowego Jorku, zaczyna się już teraz. To mnie dziwi, bo ja pozwoliłabym zawodnikom na chwilę odpoczynku. Ale co ja wiem o sporcie? Z rozmów z Gregiem w ciągu ostatnich kilku tygodni dowiedziałam się o baseballu więcej niż przez całe życie.

Idąc do kuchni, aby zrobić sobie śniadanie, rozmyślam o opowiadaniach, które mogłabym napisać dla mojego małego sąsiada w trakcie rozgrywek finałowych. Nie myślę już o Mitchu, Missy ani tajemniczym Michaelu, kimkolwiek jest.

Stojąc w drzwiach do księgarni, otrząsam parasol. Już w środku zdejmuję płaszcz i kapturek przeciwdeszczowy, które wieszam na zapleczu. Rzucam okiem w lustro nad zlewem w łazience i jeszcze raz podziwiam swoją fryzurę. Strząsam kilka kropli deszczu z rąbka ciemnoniebieskiej spódnicy, do której dobrałam swój ulubiony żółtozielony sweter i długi sznur niebiesko-żółtych szklanych paciorków; te wesołe kolory mają ożywić deszczowy dzień.

Frieda stoi przy ladzie, popijając kawę i paląc papierosa. Macham jej ręką przed nosem.

– Wolałabym, żebyś nie paliła w sklepie.

Zaciąga się i wypuszcza dym.

– Ja też życzę ci miłego dnia.

– Serio. – Nalewam sobie filiżankę kawy, celowo odsuwając od niej stół, by znaleźć się poza zasięgiem dymu. – To zniechęca klientów, Friedo.

Parska śmiechem.

– Od kiedy?

– Od zawsze. – Sama nie wiem, dlaczego wdaję się z nią w sprzeczkę. Po prostu jestem poirytowana. I niespokojna.

Frieda ma przed sobą rozłożoną na ladzie gazetę. Przegląda ogłoszenia z działu „Poszukiwana pomoc”.

– Szukasz pracy? – pytam, zadowolona z pretekstu do zmiany tematu.

Kręci głową.

– Szukam inspiracji. – Rozgląda się wokół. – Musimy coś zrobić, Kitty. W tym miesiącu ledwo uciulałyśmy na czynsz; nie wiem, jak sobie poradzimy w listopadzie. A jeśli tu nie zostaniemy, powinniśmy powiedzieć o tym Bradleyowi już teraz.

Ma rację. Z trudem udało nam się zarobić na październikowy czynsz. Zdaniem Friedy w tym miesiącu trzeba będzie wstrzymać się ze spłatą kolejnej raty kredytu, licząc na mały zastrzyk kapitału przed piętnastym, kiedy kończy się termin. Cieszę się jednak, że przynajmniej zapłaciliśmy Bradleyowi. Zawsze źle się czuję, gdy zalegamy z czynszem.

Mimo to – choć czasem nie płacimy w terminie, a kilka razy w ogóle mu nie zapłaciliśmy – wiem, że Bradley nie chciałby nas stracić. Być może nie tak łatwo byłoby znaleźć następnego najemcę, zważywszy na spory ubytek klienteli na Pearl Street w dzisiejszych czasach.

– Może uda nam się wynegocjować niższy czynsz – proponuję. – To byłoby chyba lepsze dla Bradleya niż nasze odejście, prawda?

Frieda wzrusza ramionami.

– Nie wiem – burczy w odpowiedzi. – Zresztą co nam to da? – Rozgląda się wokół.

– Jak długo się tu utrzymamy bez klientów? Zastanów się, Kitty.

Przypominam sobie sen o centrum handlowym w University Hills. Nie wymyśliłam go, ono istnieje naprawdę.

– Byłaś kiedyś w University Hills? – pytam Friedę. – To na południe od nas. Jest tam takie centrum handlowe na Colorado Boulevard.

– Raz – odpowiada, gasząc papierosa. – Jest dość daleko od miasta. – Zastanawia się nad czymś. – Ale teraz chyba wszystko jest poza miastem.

Przytakuję.

– May-D&F ma tam swój sklep i zdaje się, że sprzedają też książki. Ale ciekawa jestem, czy jest też gdzieś jakaś inna księgarnia.

Frieda przygląda mi się z uwagą.

– Mówisz poważnie? – pyta. – Storpedowałaś pomysł przeniesienia się do centrum handlowego, i to nieraz, Kitty. – Wstaje z miejsca i patrzy na deszcz za oknem. – Skąd ta zmiana zdania?

Wzruszam ramionami.

– Wszystko się zmienia, prawda? – mówię cicho. – Świat się zmienia. – Robię krok

w stronę Friedy, czując ciepło emanujące z jej ciała i zapach dymu pomieszany z zapachem jej perfum. Paskudny, ale znajomy. – Musimy nadążyć – dodaje. – Bo inaczej ktoś nas uprzedzi.

Tego popołudnia zamykamy wcześniej i wybieramy się na małą wycieczkę do University Hills. Aby tam dojechać, po drodze musimy się przesiąść do innego autobusu, a że przez cały czas pada, obie jesteśmy przemoczone, zanim docieramy na miejsce. Wsiadamy z autobusu i lustrujemy rozległy parking.

– Sporo samochodów – mówi Frieda, kręcąc głową ze zdumieniem. – Skąd przyjeżdżają?

Wskazuję na zachód i na południe, gdzie nowe domy i dzielnice wyrastają jak grzyby po deszczu.

– Stamtąd – odpowiadam. – Szkoda, że tego nie widziałaś. Nie uwierzyłybyś własnym oczom.

Zerka na mnie.

– A ty widziałaś?

Potakuję z nadzieją, że nie będzie mnie o to wypytywać. Deszcz powoli ustaje i zza chmur zaczyna wyglądać słońce. Odwracamy się i ruszamy ścieżką przed siebie. Centrum handlowe znajduje się w tym samym miejscu, co w moim śnie. Betonowe żardiniery i dobiegająca z góry muzyka. Spacerujące matki z dziećmi. Prawie spodziewam się ujrzeć siebie samą z Mitchem i Missy idących z naprzeciwka.

Obok jednej z żardinier znajduje się spis sklepów mieszczących się w centrum. Studiujemy go, szukając księgarni, ale nie znajdujemy ani jednej.

– Sprawdźmy, czy są tu jakieś lokale do wynajęcia – niemal szeptem proponuje Frieda, a gdy ruszamy, nagle łapie mnie za rękę. – Kitty – mówi. – Dziękuję, że tu jesteśmy.

Wzruszam ramionami.

– Wiem, że tego chcesz. – Lekko ściskam jej dłoń. – No i tylko się rozglądamy, prawda? Nie rób sobie jeszcze nadziei.

Frieda powoli kiwa głową, ale w jej oczach widzę isierki.

– Rozglądamy się – mówi rozmarzona. – Tylko się rozglądamy.

ROZDZIAŁ 13

Budzę się sama w szarozielonej sypialni. Strona łóżka, po której sypia Lars, jest pusta, a pościel pomięta. Wyciągam rękę i czuję ciepło na prześcieradle, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą, jak się domyślam, leżał. Mam wrażenie, że ta chwila trwa wieki.

W końcu jednak wstaję, wkładam szlafrok i wychodzę, kierując się do salonu. Po lewej widzę jadalnię. Jest to nie tyle oddzielne pomieszczenie, co raczej przedłużenie salonu – ten typowy dla wielu nowoczesnych domów układ widziałam też u Nelsonów. Zarówno w jadalni, jak i w salonie ściany są bladozłote, a sufit wykończony jest fasetami. Z zadowoleniem zauważam, że turkusowa wykładzina o krótkim włosie pasuje kolorem do drzwi frontowych. W jadalni stoi lśniący, dębowy stół, a wokół niego sześć krzeseł obitych turkusową, supelkową tkaniną. U szczytu stołu, pod oknem, ustawiono drewniane biureczko szkolne, podobne do tych, które zapełniały klasy, kiedy jeszcze uczyłam w szkole. W powietrzu unosi się lekko kwaśny zapach, ale nie potrafię go bliżej zidentyfikować.

Na tylnej ścianie jadalni ciągnie się rząd ażurowych drzwiczek z ciemnego drewna; dwoje z nich wygląda jak okiennice zawieszane nad wystającym kontuarem, a trzecie to wahadłowe drzwi, jak w wejściu do saloonu – prawdopodobnie prowadzą one do kuchni. „Okiennice” są zamknięte, ale domyślam się, że łączą kuchnię z jadalnią. To całkiem praktyczne rozwiązanie, gdy posiłek przygotowywany jest w jednym pomieszczeniu, a podawany w drugim.

W kuchni wesoło pogwizduje mężczyzna, fałszując przy tym jak Frieda. Uśmiecham się. Przechodzę przez pokój i popycham te wahadłowe drzwi. W kuchni jest Lars, razem ze swoją promiennością i błękitnymi oczami. Podbiegam do niego i mocno się przytulam.

– Hej, cześć, ślicznotko – szepcze. – Czujesz się dziś lepiej?

– Świetnie. – Unoszę głowę, by przyjąć jego pocałunek. Lars całuje mnie długo i namiętnie, a ja marzę, by nie przestawał. Czuję, że on też chciałby mnie całować bez końca, ostatecznie jednak, niechętnie, odrywa wargi od moich ust.

– No! No! – mówi bez tchu. – Niezłe powitanie.

– Tęskniłam za tobą – odpowiadam. – I chciałam... cię poczuć. – Jeszcze raz się do niego przytulam. – Poczuć, że jesteś prawdziwy.

Śmieje się.

– Jestem, jestem. – Odwraca się z powrotem do blatu i bierze do ręki oliwkowy, elektryczny zaparzacz.

– Masz ochotę na kawę, kochana?

– Tak, poproszę. – Lars nalewa napój, a ja rozglądam się po kuchni. Blaty są z pomarańczowej formiki, a kuchenka i lodówka – beżowe. Przez okno nad zlewem wpada do środka poranne słońce; na parapecie stoi wielki słój w połowie wypełniony monetami. Zaslona w oknie idealnie pasuje do tapety; obie są szarobrązowe w radosny

wzorek z kawałkami owoców – bananów, jabłek, pomarańczy i limonek. Meble są ciemnobrązowe, gładkie, bardzo proste, z lśniącymi, mosiężnymi uchwytami. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to że bez trudu można utrzymać je w czystości. Ja bez końca próbuję doczyścić dekoracyjne żłobienia na meblach kuchennych w moim mieszkaniu na Washington Street, ale choćbym nie wiem jak się starała, i tak nie potrafię usunąć tych wieloletnich, zaskorupiałych zabrudzeń.

Przechodząc przez wahadłowe drzwi i przez jadalnię, idę do salonu. Mój wzrok przyciąga wielkie, panoramiczne okno z widokiem na ulicę. Podchodzę bliżej i wyglądam na zewnątrz. Jest słoneczny, zimowy poranek. Dlaczego tutaj panuje zima, skoro w prawdziwym świecie trwa jesień? Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Nowoczesne domy i ciemne, bezlistne drzewa na tle czystego, białego śniegu, w górze olśniewająco błękitne niebo, a w oddali góry – aż się chce głęboko odetchnąć i delektować tą świeżością.

– Twoja kawa. – Lars podchodzi do mnie od tyłu i wręcza mi ciepły kubek. Chwytam go obiema dłońmi. – Mamy coś nowego i fascynującego za oknem?

Kręcę głową, popijając kawę.

– Ale jest tak ładnie.

Obejmuje mnie w pasie.

– Pewnie. Uwielbiam ten widok.

Śmieję się.

– Widok na domy sąsiadów?

– Ja tu widzę potencjał – odpowiada. – Przyszłość.

Ściska mnie za ramię i wraca do kuchni.

Właśnie zaczynam się zastanawiać, dlaczego to Lars robi śniadanie, a nie ja – czy to nie jest zadanie żony? – kiedy staję się obiektem ataku.

– Mamamamamamamamamama!

– Udaje mi się nie upuścić kubka, ale część gorącej kawy jednak się wylewa. Na szczęście nie na mojego napastnika ani na mnie, tylko na okno i wykładzinę.

Odwracam się, by ujrzeć chłopczyka w okularach i z szerokim uśmiechem na buzi. Jednak w tym uśmiechu jest coś dziwnego i nagle uświadamiam sobie, o co chodzi: dziecko aż promienieje, ale jego oczy nie są skierowane na mnie. Patrzy w bok, przez grube szkła swoich okularów – na kanapę, na stolik do kawy, a może na podłogę.

A może na nic.

– Jezu Chryste! – krzyczę na niego. – Co ty wyprawiasz?

I wtedy z gardła chłopca wyrywa się dźwięk, który trudno nazwać ludzkim. To pisk cierpiącego zwierzęcia, wiedzącego, że zostało schwytane przez drapieżnika i zaraz zostanie pożarte. Widywałam różne niepokojące ataki u dzieci – w restauracjach i tym podobnych miejscach – ale nigdy w życiu nie słyszałam, aby dziecko tak krzyczało. Zataczam się do tyłu i wybałuszam na niego oczy.

Lars przybiega z kuchni. W tej samej chwili Mitch i Missy zbiegają po schodach i też wpadają do salonu.

Lars stanowczym ruchem chwytając krzyżące dziecko za barki. Trzyma je mocno, ale nie przytula go ani nie przybliża się do niego bardziej niż na długość ramienia. Zamiast

tego zaczyna powtarzać łagodnym tonem:

– Idź nad rzekę, zejź nad rzekę, idź nad rzekę, zejź nad rzekę...

Robię krok w tył i stoję jak sparaliżowana. Mitch cicho podchodzi do mnie.

– Zawsze jest taki? – pytam go szeptem.

Potakuje i oboje wytrzeszczamy oczy. W końcu, po kilku minutach, choć wydaje się, że minęła wieczność, krzyk przechodzi w kwilenie. A potem zapada cisza.

Lars powoli zdejmuje ręce z barków chłopca.

– Mitch – mówi, odwracając się do bliźniaków. – Może ty i Missy zabierzecie Michaela na górę? Śniadanie będzie za kilka minut. – Zaciska usta.

Missy i Mitch odprowadzają trzecie dziecko, idąc po obu jego stronach, jak miniaturowi, troskliwi rodzice. Wszyscy troje mają identyczny kolor włosów i wszyscy są tego samego wzrostu. Przyglądam się, jak bez słowa wchodzi po schodach.

Lars w milczeniu wbija we mnie wzrok. W jego zmrużonych, niebieskich oczach po raz pierwszy w życiu widzę iskry gniewu. Przeszywa mnie nieruchomym spojrzeniem, a ja nagle uświadamiam sobie, że on wcale nie jest wściekły na to dziecko, które właśnie wyszło z pokoju.

Jest wściekły na mnie.

– Katharyn – odzywa się wreszcie. – Do diabła, co z tobą?

ROZDZIAŁ 14

I znowu, zanim zdążę zareagować, już jest po wszystkim. Budzę się w swoim mieszkaniu.

Jest ciemno i cicho. Zerkam na stojący przy łóżku mały budzik z zielonym wyświetlaczem. Czwarta rano. Aslan leży przy mnie i mruczy z zadowoleniem.

Obracam się na drugi bok, poprawiam kołdrę i próbuję ponownie zasnąć.

– To tylko głupi sen – mamroczę do Aslana. – To tylko sny. Nie mają żadnego znaczenia.

A jednak są takie *realne*. Czuję się tak, jakbym naprawdę to wszystko przeżywała. Dokładnie pamiętam rozkoszny dotyk pikowanego szlafroka na moim ciele, pocałunek Larsa i ciepło jego ust na moich wargach, śnieg za oknem... Wszystko to jest takie żywe w mojej głowie. Wciąż czuję smak kawy w ustach.

A przed oczami mam tych troje dzieci.

Tę rozkoszną dwójkę. I tego przerażającego chłopca.

Kręcę głową w ciemności. To nie fair, mówię sobie. Nie masz pojęcia, dlaczego to dziecko zachowywało się w ten sposób. Owszem, coś z nim było nie tak. Coś nie tak z jego głową. To było widać od razu – nie patrzył mi w oczy i przechylał się na bok, jakby nie potrafił stać prosto.

No i ten wrzask. Nigdy czegoś takiego nie słyszałam. Ale to dziecko – tak jak Lars, Mitch i Missy – jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Po prostu mój umysł płata mi figle. Choćbym nawet wcześniej miała co do tego jakieś wątpliwości, teraz nie mam żadnych.

Bo jaka matka może tak całkowicie zapomnieć o własnym dziecku? Jaką byłabym matką – gdybym w ogóle nią była, a ten świat byłby prawdziwy – gdybym zapomniała o istnieniu Michaela?

Ani przez chwilę nie wątpię, że Michael jest moim dzieckiem. Wiem – zawsze wiedziałam, odkąd zaczęły się te sny – że w tym wymyślonym świecie jestem matką Mitcha i Missy. Tak samo wiem, że Michael jest mój. Nie mam pojęcia, skąd wiem takie rzeczy, ale tak jest. W tym świecie, w świecie, który nie istnieje, to są moje dzieci. Moje i Larsa. I wszystkie są w tym samym wieku; to trojaczki. Jestem tego pewna.

Wyciągam rękę, aby pogłaskać ciepłe futerko Aslana. Jego materialność daje mi poczucie rzeczywistości.

Muszę zapomnieć o tamtym świecie. Muszę się z tym przespać.

Zamykam oczy i zapadam w głęboki sen bez zwidów i majaków.

W porze lunchu przeglądam w księgarni gazetę, a Frieda wychodzi załatwić jakieś sprawy. Przebiegam wzrokiem najświeższe wiadomości o przejściu władzy przez komunistów na Kubie – podkomisja senacka stwierdziła, że przynajmniej jeden urzędnik Departamentu Stanu już dawno powinien był o tym wiedzieć i ostrzec przełożonych – przechodzę do działu sportowego. Wspaniała wiadomość: szósty mecz World Series, opóźniony o cztery dni z powodu ulewnego deszczu, odbył się w końcu wczoraj

wieczorem w San Francisco. Wygrali Giganci, kończąc serię wynikiem trzy do trzech. Greg pewnie skacze z radości, myślę, czytając pobieżnie o szczegółach meczu. Zaczynam wyobrażać sobie książeczkę, którą mogłabym dla niego napisać o tym meczu i o kibicach w San Francisco – do nich, rzecz jasna, zalicza się też Greg – którzy zostali wynagrodzeni po kilku dniach cierpliwego czekania.

Po chwili odkładam gazetę. Pod wpływem impulsu podnoszę słuchawkę telefonu i wykręcam numer ciotki May. Honolulu jest bardzo daleko. Frieda zmyje mi głowę za prywatną rozmowę zamiejscową ze sklepu, ale nie dbam o to.

– A czemuż to zawdzięczam ten honor? – pyta matka, słysząc mój głos.

Śmieję się.

– Tak sobie dzwonię – odpowiadam. – Po prostu za tobą tęsknię. Nie mogę się już doczekać, kiedy się zobaczymy.

– Ja też – mówi mama. – Ta wycieczka jest wspaniała, naprawdę, ale ja chyba jestem domatorką. – Urywa. – Tęsknię za domem. I za tobą.

Rozlega się dzwonek wiszący nad drzwiami i do sklepu wchodzi klientka. To kobieta w niebieskim kapeluszu i kostiumie, podobnym do tego, który nosiłam na fotografii w gabinecie Larsa. Rety, chyba wszystkie chcemy być Jackie Kennedy.

Kobieta trzyma za rękę małą dziewczynkę, może nieco starszą niż moje dzieci ze snu. Dziecko ma blond warkocze, a ubrane jest w różową sukienkę i odpowiednio dobrany rozpinany sweterek z perłowymi guzikami. Patrzy w bok, a potem wbija wzrok w ziemię.

Uśmiecham się i macham do klientki, która odpowiada skinieniem głowy. Zaczyna przeglądać książki, nie wypuszczając dłoni dziewczynki. Wracam do rozmowy z mamą.

– Cóż, wasza wycieczka dobiega już końca – mówię. – I zdaje się, że chętnie wrócisz do domu.

Śmieje się. Uwielbiam jej śmiech, to najwspanialszy dźwięk na świecie. Zupełnie jakby jednocześnie rozdzwaniały się dzwonki o różnych tonach.

– Tak, bardzo chętnie – odpowiada. – Choć nie powiedziałabym, że tęsknię za zimą. Twój ojciec też nie. Ale przetrwamy burzę. A raczej wiele burz. Miło będzie wrócić do domu, do swoich pieleszy. – Słyszę szcęk, jakby właśnie przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. – Podlewasz mi kwiatki?

Mama nie jest zapaloną ogrodniczką, ale ma kilka roślin w doniczkach – zielistkę, bluszcz i filodendrona – a do jej powrotu to ja jestem ich oficjalną opiekunką.

– Dwa razy w tygodniu – uspokajam ją. – Mają się świetnie.

– Grzeczna z ciebie dziewczynka, Kitty.

Słyszę łoskot, a potem ostry, przeciągły jęk spomiędzy regałów, gdzie wchodziła kobieta z dzieckiem.

– Mamo, muszę kończyć. Mam klientkę. – Przed odłożeniem słuchawki dodaje jeszcze: – Odliczam dni, mamo. Bardzo tęsknię.

Rozłączamy się, a wtedy biegnę ku regałom. Dziecko wciąż płacze, wydając z siebie wysoki dźwięk, który przywodzi mi na myśl krzyk zapamiętany z niedawnego snu. Dziewczynka siedzi na podłodze, dziwnie krzyżując nogi i bardziej przypominając przycupniętą żabę niż dziecko. Kołysze się na boki, a przed nią wala się na podłodze

z tuzin książek. Kilka dni temu ułożyłam z nich piramidę – teraz stwierdzam, że nie był to zbyt dobry pomysł – na otwartym regale, stojącym na końcu alejki. Wśród nich znalazło się sporo egzemplarzy *Milczącej wiosny*, które dotarły do nas pod koniec września, tak jak się spodziewaliśmy, a także inny, dobrze się zapowiadający tytuł, *Siedem dni w maju*. To thriller rozgrywający się w niedalekiej przyszłości, w której wojsko przejmuje władzę po podpisaniu przez prezydenta USA traktatu rozbrojeniowego ze Związkiem Radzieckim. Obie te książki cieszą się obecnie znacznym zainteresowaniem, a układając z nich wystawę, chciałam ułatwić klientom ich znalezienie – i zachęcić ich do zakupów, rzecz jasna. Nie pomyślałam, że taka aranżacja może okazać się zbyt niestabilna.

Pochylająca się nad dzieckiem kobieta, jest zwrócona tyłem do mnie.

– Wszystko w porządku. Proszę, przestań. Proszę, przestań już.

Dziewczynka krzyczy jeszcze głośniejsze.

Stoję bez ruchu, niepewna, czy powinnam się wtrącić. Kobieta, która najwyraźniej wyczuwa moją obecność, odwraca się ze zbolałym spojrzeniem.

– Tak mi przykro – mówi głośno, próbując przekrzyczeć hałas. Zaczyna zbierać książki, a wtedy dziecko zaczyna piszczeć z jeszcze większym zapamiętaniem i kurczowo chwyta matkę za ramię. Pozbierane książki wypadają kobiecie z rąk i ponownie rozsypują się na dywaniku.

– Proszę się nie martwić książkami – mówię. – Czy mogę jakoś pomóc?

Kobieta kręci głową.

– Ona... one... ona je przypadkiem strąciła i chyba przestraszyła się hałasu. – Sznuruje usta. Obejmuje dziewczynkę ramionami, a ta po kilku chwilach zaczyna się uspokajać. Zamyka oczy i opiera głowę na ramieniu matki.

– Nie powinnam była tu wchodzić – kobieta zniża głos niemal do szeptu. – Ale tak przyjemnie spędziłyśmy ten dzień. *Ona* tak dobrze się czuła. Więc pomyślałam... że tylko na chwilę... chciałam znaleźć pewną książkę, nową powieść Katherine Ann Porter, ktoś mi ją polecił. Pomyślałam, że to nie zajmie zbyt wiele ... – Milknie.

– Pewnie chodzi pani o *Statek szaleńców* – domyślam się. – Czytałam ją. Jest całkiem dobra, zbiera same pozytywne recenzje. Mam jeden egzemplarz na ladzie. – Wskazuję ręką w odpowiednim kierunku. – Mogę ją dla pani zapakować... sprawdzę tylko cenę...

Kobieta kręci głową.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli już pójdę – mówi. – Może przyjdę innego dnia. – Podnosi swoje za duże dziecko, które wiotczeje w jej ramionach jak szmaciana lalka, gołymi nogami owijając matkę w pasie. – Przepraszam za te książki na podłodze – woła jeszcze kobieta przez ramię.

Wyprzedzam ją, aby otworzyć przed nią drzwi. Dziewczynka bawi się kapeluszem matki, wciąż cichutko pojękując.

– Czy ona... Wiem, że to pytanie jest bardzo niegrzeczne, ale czy pani córka... – Urywam, bo nie wiem, jak dokończyć.

Kobieta rzuca mi ostre spojrzenie.

– Ma autyzm – mówi. A potem zamaszystym krokiem wychodzi, nie oglądając się za siebie.

Autyzm.

Chyba o tym słyszałam. Wiem, że to jakieś zaburzenie umysłowe. Ale nie jestem pewna, co to dokładnie oznacza.

Na szczęście mogę to łatwo sprawdzić.

W księgarni panuje cisza. Podchodzę do działu z książkami o psychologii. Wybór jest raczej skromny. Jesteśmy księgarnią wielotematyczną, ale niewielką, więc w działach z literaturą faktu oferujemy głównie książki zawierające podstawy wiedzy. Tylko takie pozycje, które mogą trafić do szerokiego kręgu czytelników. Każdą inną książkę możemy natomiast zamówić, co też często robimy dla naszych stałych klientów. Jednak na regałach znaleźć można to, co przemawia do zwykłego czytelnika, do kobiet, do osób o przeciętnym intelekcie. Nic szczególnie dogłębnego.

Omiotam wzrokiem tomy poświęcone psychologii. W przeciwieństwie do działu z beletrystyką, którą uporządkowałyśmy według nazwisk autorów, literaturę faktu ułożyłyśmy według kategorii (do których należy też psychologia), a w obrębie każdej kategorii – według tytułu. Z doświadczenia wiemy, że w tym dziale klienci łatwiej znajdują to, czego szukają, po tytułach niż po autorach, bo większość czytelników po prostu nie zna ich nazwisk.

Sięgam po książkę zatytułowaną *Podstawowe wprowadzenie do współczesnej psychologii*. Przeglądam indeks w poszukiwaniu interesującego mnie hasła i znajduję kilka pomocnych akapitów.

Autyzm, zwany też schizofrenią dziecięcą, jest zaburzeniem charakteryzującym się ograniczeniem zdolności społecznych i komunikacyjnych u niemowląt i dzieci. W licznych udokumentowanych przypadkach chorzy wykazują wysoce ograniczone i nadmiernie powtarzalne wzorce zachowań. Autystyczne niemowlęta i dzieci uczące się chodzić zazwyczaj nie reagują na swoje imię. Rzadko się uśmiechają i nie nawiązują kontaktu wzrokowego; nie naśladują też zachowań innych dzieci ani dorosłych. Starsze dzieci wydają się niezdolne do zrozumienia podstawowych norm i sygnałów społecznych. Trudność sprawia im dzielenie się i współpraca z innymi. Zwykle nie rozumieją i nie czerpią przyjemności z zabaw opartych na wyobraźni. Dzieci autystyczne mają skłonność do wybuchów emocji, które wydają się sytuacyjnie nieuzasadnione.

Zgadza się. To przypomina zachowanie Michaela i tej dziewczynki. Jednak następna linijka paraliżuje mnie i wręcz mrozi krew w żyłach. „Przyczyny autyzmu są niejasne. Przypuszcza się, że jest powodowany chłodem emocjonalnym rodziców, a zwłaszcza matki”.

ROZDZIAŁ 15

Mamo.

Gwałtownie wraca mi świadomość.

– Mamo! – Ton głosu staje się bardziej natarczywy.

Odwracam głowę i widzę go. Tego przerażającego chłopca. Michaela. Próbuję uchwycić jego wzrok, ale on na mnie nie patrzy. Mimo to dostrzegam, że ukryte za okularami oczy są błękitne – jak u Larsa, Mitcha i Missy. Najwidoczniej żadne z tych dzieci ze snu nie odziedziczyło moich orzechowych oczu. Nie wiem, czy to skutek tych grubych szkieł, czy po prostu kolor tęczy Michaela jest mniej nasycony niż u jego rodzeństwa – niemniej jego oczy wydają mi się zamglone, a spojrzenie rozproszone.

Potrząsa mnie za ramię. Jego długie, chude palce wpijają się w moją skórę jak maleńkie ostrza.

Rozcieram bolące miejsce.

– Au! Michaelu, to boli.

Ignoruje moją skargę.

– Mamo, wołałem cię, a ty nie odpowiadałaś.

– Przepraszam – mówię, choć wcale nie jest mi przykro.

Rozglądam się wokół. Siedzimy na ławce obok placu zabaw, po lewej stronie widać niewielkie jezioro. Obracam głowę, szukając gór na zachodzie – to najlepszy sposób orientacji w terenie w Denver. Odnalazłszy je wzrokiem, lokalizuję pozostałe kierunki świata. Jezioro znajduje się na północ od nas. Na wschodzie i na zachodzie widzę ciągnące się wzdłuż ulic rzędy domów. Na południu rozpościera się pokryte śniegiem pole, a za nim drugie, równie niewielkie jezioro. Na jego drugim brzegu mającą korty tenisowe otoczone wysoką, ledwo widoczną stąd siatką. W oddali, nad drzewami, wznosi się wieża zegarowa z czerwonej cegły.

Uświadamiam sobie, że jesteśmy w Washington Park. Wieża zegarowa należy do South High School, liceum, które ukończyłam ponad dwadzieścia lat temu. Szkoła znajduje się po drugiej stronie ulicy, za południową granicą parku; jako uczniowie chodziliśmy tam na lekcje WF-u i biegaliśmy krętymi ścieżkami albo ćwiczyliśmy uderzenia rakieta tenisową.

Od domu na Springfield Street, gdzie mieszkam z Larsem i dziećmi, dzieli nas pewnie dobre pięć–sześć mil, ale tylko kilka przecznic od domu moich rodziców na York Street. Fotografie wiszącą w korytarzu domu na Springfield Street – przedstawiającą moich rodziców i mnie jako dziecko na pikniku – zrobiono właśnie w tym parku. Nie byłam tu od lat, ale w dzieciństwie spędziłam w Washington Park niejedną szczęśliwą godzinę, bawiąc się na placu zabaw i pływając w jeziorze Smith Lake. Razem z innymi dziećmi z okolicy opowiadaliśmy sobie przerażające historie o morskich potworach żyjących w jego głębinach.

– Nie wypływaj za daleko – straszylismy się nawzajem – bo dopadnie cię jednooki stwór.

Park i plac zabaw zmieniły się od tamtego czasu. Huśtawki wyglądają na nowe, a kilka lat temu władze miasta zamknęły kąpielisko; jezioro było małe, a korzystało z niego zbyt wiele osób i woda zmętniała. Być może, myślę sobie teraz, mieliśmy wtedy rację i w tych mrocznych odmętach naprawdę krył się jakiś potwór.

Na placu zabaw jestem tylko ja i Michael. Jezioro jest częściowo zamrożone, powietrze jest chłodne, a niebo szare. Nie pada śnieg, ale już krąży w chmurach nad nami. Wyczuwam go, tak jak pies wyczuwa zbliżającego się intruza.

Co my tu właściwie robimy? I gdzie reszta dzieci?

– Michael, gdzie są Mitch i Missy? – pytam.

Przewraca oczami – nie patrzy jednak na mnie, lecz na huśtawki oddalone od nas o kilka stóp.

– Wiesz, gdzie są, mamó. Tam gdzie zawsze w ciągu dnia.

– To znaczy gdzie?

Teraz szczyrzy zęby; chyba myśli, że to taki żart.

– Serio – nalegam. – Gdzie oni są?

– Mamó! – Śmieje się na głos. Co zaskakujące, ten dźwięk wydaje mi się rozkoszny. Jest taki dźwięczny i radosny. W osobliwy sposób przypomina mi śmiech mojej matki.

– Mama-gapa. Oni są w szkole.

– Och. – Opieram dłonie w gienzowych rękawiczkach na zielonej ławce, po obu stronach ciała. – A ty? – pytam. – Dlaczego ty nie jesteś w szkole?

Znowu wybucha śmiechem i niezgrabnie zeskakuje z ławki.

– Teraz to się wygłupiasz – mówi. – Wiesz przecież, że nie chodzę do szkoły, mamó.

Och.

Chłopiec podbiega do huśtawki. Siada na niej i zamiera w bezruchu. Wyraźnie widzę, że nie wie, jak się odepchnąć, żeby zacząć się kołysać.

– Popchnij mnie, mamó.

Wstaję z miejsca i podchodzę do huśtawki. Opieram dłonie o jego plecy i lekko go popycham. Nie wiem, jak wysoko chce się bujać, ale za każdym razem popycham go trochę mocniej. Michael śmieje się z zachwytu. Gdy znajduję tempo, które mu się podoba, staram się je utrzymać.

– Łaaaaa! – radośnie krzyczy chłopiec, gdy huśtawka przecina powietrze.

Przyglądam mu się z uwagą. Ma na sobie zielone, sztruksowe spodnie, kraciastą, wełnianą kurtkę i grubą, granatową, zrobioną na drutach czapkę, która przykrywa mu uszy. Ciekawe, czy to moja matka zrobiła tę czapkę. Jego okulary – grube szkła w rogowej oprawie – mocno siedzą mu na nosie. Mam wrażenie, że nigdy się z nimi nie rozstaje.

Jest szczuplejszy niż Mitch i Missy, którzy odziedziczyli kręłą budowę ciała po Larsie i po mnie. Michael jest smukły, ma patykowate nogi i sterczące pod kurtką kościste łokcie. Czy to jego naturalna budowa, czy po prostu grymasi przy jedzeniu? Kolorem włosów i rysami twarzy przypomina Mitcha, całkiem możliwe, że to bliźnięta jednojajowe. Nie mam pojęcia, jakie jest prawdopodobieństwo poczęcia trojaczków ani czy często zdarza się, że dwoje z nich to bliźnięta jednojajowe. W prawdziwym świecie

nigdy nie miewałam takich dylematów.

Zamykam oczy i lekko dotykam palcami brzucha. Próbuję sobie wyobrazić, jakie to uczucie mieć w środku troje dzieci naraz, ale nie potrafię. Przypominam sobie, jak panna Potts, która prowadziła kółko teatralne w liceum, zawsze powtarzała: „*Poczuj swoją postać. Bądź swoją postacią*”. Frieda uwielbiała tę radę i biorąc ją sobie głęboko do serca, stawiała się tragiczną Lady Makbet albo dziarską, ambitną aktorką Terry Randall ze sztuki *Obcym wstęp wzbroniony*. Ale ja nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Nie potrafiłam zapomnieć, że bez względu na to, kogo grałam na scenie, pod tym misternym kostiumem i grubą warstwą makijażu zawsze kryła się zwykła, dawna Kitty.

Tak samo czuję się teraz, wyobrażając sobie siebie w ciąży trojacznej. *Mogłabym* zagrać tę rolę, gdybym musiała, ale nikogo bym nie oszukała. Wszyscy wiedzieliby, że nie noszę w brzuchu żadnych dzieci, że to tylko poduszka pod spódnicą. Zdejmuję dłoń z brzucha i dalej popycham huśtawkę.

Nagle coś mi przychodzi do głowy.

– Hej, Michaelu.

Nie odwraca głowy.

– Co?

– Kiedy mamusia była gapą... – Wiem, że wchodzę na grząski grunt i waham się przez chwilę. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak bym sobie poradziła sama, bez niczyjej pomocy, gdyby znowu zaczął urządzić scenę. Niemniej biorę głęboki oddech i skaczę na głęboką wodę. – Kiedy zadawała ci te niemądre pytania... Podobało ci się?

Jego ramiona lekko unoszą się i opadają.

– Nie wiem – odpowiada obojętnym tonem.

– A czy... mogę zadać jeszcze kilka takich niemądrych pytań?

Jeszcze raz wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

W tej chwili chyba oboje wolimy na siebie nie patrzeć.

– Spróbujmy – proponuję. – Może na początek: ile masz lat, Michaelu?

Nie odpowiada, a ja wstrzymuję oddech, modląc się, żeby chłopiec nagle nie wybuchnął złością.

– Michaelu? Słyszałeś, o co pytałam?

– Myśle! – krzyczy. – Nie widzisz, że myślę, mamu?

Wzdrygam się i o ułamek sekundy za późno wyciągam ręce, aby popchnąć huśtawkę.

– Przepraszam – szepczę.

Żadne z nas nie odzywa się przez kilka minut. Odzyskuję równowagę i dalej miarowo kołyszę chłopca. Nagle Michael odzywa się cicho:

– Wiesz, która godzina?

Zerkam na nadgarstek, żeby sprawdzić, czy noszę zegarek. Okazuje się, że tak: gustowny zegarek z kamieniami i czarnym, aksamitnym paskiem.

– Jest dziesiąta trzydzieści.

– Dokładnie dziesiąta trzydzieści?

Śmieję się.

– Okej. Jest dziesiąta trzydzieści dwie.

– To w takim razie – mówi – mam sześć lat, trzy miesiące, czternaście dni, dwanaście godzin i osiemnaście minut. Mitch ma sześć lat, trzy miesiące, czternaście dni, dwanaście godzin i piętnaście minut. Missy ma sześć lat, trzy miesiące, czternaście dni, dwanaście godzin i jedenaście minut. Ja jestem najstarszy! – kończy z dumą.

Z wrażenia odejmuje mi mowę.

Lekko odwraca głowę i teraz patrzy raczej na zachód niż na wprost, na południe.

– Mamo? Masz inne pytania?

– Tak – odpowiadam. – Jaki dziś mamy dzień?

– Jest środa, dwudziesty siódmy lutego.

– Którego roku?

Chichocze.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego, mamo.

Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci. Czyli *przenieśliśmy się* w przyszłość, choć tylko o kilka miesięcy.

– Co jeszcze robimy dzisiaj rano? – pytam, zmieniając temat. – To znaczy oprócz zabawy w parku.

Jego ramiona sztywnieją.

– Mamo, jest środa.

Czekam.

– Jest *środa* – powtarza z większym naciskiem.

– Pamiętaj, Michaelu, że to taka gra – uspokajam go. – Dlatego teraz zapytam: co zwykle robimy w środy?

– Och! – znowu chichocze. – Kupujemy jedzenie, mamo.

Aha.

– Czy mama robi listę zakupów? – dopytuję się.

– No, oczywiście – odpowiada. – Wszystkie mamy je robią.

Przypuszczam, że to prawda. Nawiasem mówiąc, trzydziestoosmioletnie, niezamężne kobiety nie robią list zakupów. Wpadają do sklepów spożywczych, kiedy mają puste szafki i lodówkę, kupują wszystko, co wygląda na dobre i nie wymaga długich przygotowań, i zanoszą to do domu.

– Kto u nas gotuje? – pytam. – Alma czy ja?

– Czasem ty, a czasem Alma – odpowiada Michael.

– A czy Alma... Czy przychodzi do nas codziennie?

Rechocze, jakbym zadała mu jakieś wyjątkowo idiotyczne pytanie.

– Oczywiście, że nie – mówi. – Przychodzi trzy razy w tygodniu. W poniedziałki, środy i czwartki. Zaczyna o dziewiątej rano, a wychodzi, jak skończy robić obiad. Tylko czasem przychodzi w piątek zamiast w czwartek i wtedy zostaje na wieczór, gdy ty i tata gdzieś wychodzicie. Ale wy nigdy nie wychodzicie... – Urywa. – Dopóki ja nie położę się spać.

Hmm. To ciekawe. Uznaję, że lepiej znowu zmienić temat.

– Czyli Almy nie ma w domu rano, kiedy tatuś idzie do pracy... A Mitch i Missy idą do szkoły. – Zastanawiam się nad tym przez chwilę. – Czy mama robi śniadanie? –

Jakoś nie wyobrażam sobie, że przygotowuję smaczne, zdrowe śniadanie dla pięciu osób. W prawdziwym świecie często jest tak, że ledwo położę na stole jajko, tost i sok, a już powinnam wychodzić do księgarni. W tym świecie zapewne co rano serwuję płatki Froot Loops.

Niemniej Michael potakuje.

– Robisz śniadanie – potwierdza. – Oprócz weekendów. W weekendy tatuś robi. – Nie widzę jego twarzy, ale wręcz czuję, jak się rozjaśnia, tak jak czasem wyczuwa się słońce pod cienką zasłoną chmur. – Szwedzkie naleśniki w soboty i gofry w niedziele.

– Naprawdę? – uśmiecham się, gdy sobie to wyobrażam: Lars w fartuszkach wylewa ciasto na patelnię, a potem we właściwym momencie zręcznie podrzuca i obraca złocisty naleśnik. To znaczy, że ostatnio byłam w tym domu właśnie w weekend. Tego ranka, kiedy ujrzałam Michaela po raz pierwszy, Lars był w kuchni.

To mi podsuwa kolejne pytanie.

– Michaelu – mówię spokojnie. – Bardzo kochasz tatusia, prawda?

Michael wzdycha z zadowoleniem.

– Tak – odpowiada. – O, tak!

„A mnie?”, chciałabym zapytać. Czy mnie też kochasz, Michaelu?

Ale tego pytania nie mogę zadać. Za bardzo boję się odpowiedzi. Zamiast tego mówię więc:

– Jeszcze jedno niemądre pytanie. – Rozglądam się. – Często przychodzimy do tego parku?

Pochyla się do przodu.

– Kiedyś nie – odpowiada. – Ale ostatnio tak.

Zamykam oczy i skupiam się na popychaniu huśtawki. Spodziewam się zakończenia snu, bo zwykle kończą się one w krytycznych chwilach, takich jak ta. Jednak tym razem tak się nie dzieje. Otwieram oczy i wciąż jestem w parku, wciąż czuję chłodny powiew, wciąż bujam drewnianą huśtawkę, na której siedzi chudy Michael.

– Mamo, jest już jedenasta? – pyta Michael.

Patrzę na zegarek.

– Prawie.

– Chodzimy na zakupy o jedenastej – informuje mnie.

– Och. Racja. No dobrze, w takim razie zeskakuj i chodźmy do samochodu.

Podskakując, prowadzi mnie na parking, gdzie stoi chevrolet kombi. Wdrapuje się na miejsce pasażera, a ja przekręcam kluczyk w stacyjce.

– Czy powinniśmy... – mówię, zerkając z ukosa na Michaela. – Jak myślisz, czy powinniśmy pojechać obok domu babci i dziadka, skoro jesteśmy w pobliżu?

Nie patrzy na mnie – nie żebym się tego spodziewała.

– Jak chcesz – mamrocze, patrząc pod nogi.

Ostrożnie wyjeżdżam z parku. Ostatnio siedziałam za kierownicą też we śnie i trwało to zaledwie kilka chwil, bo gdy gwałtownie zahamowałam, aby spytać Mitcha i Missy, gdzie jest Michael, sen się skończył. Dzisiaj sen się nie kończy, a ja jadę dalej. Lekcje jazdy, których wiele lat temu udzielał mi ojciec, przypominają mi się szybciej, niż mogłabym oczekiwać. To chyba tak, jak z jazdą na rowerze. Ta myśl wywołuje na mojej

twary uśmiech, bo w prawdziwym świecie jeżdżę właśnie na rowerze, i to dość często – zawsze, gdy nie idę pieszo ani nie jadę autobusem. Ciekawe, czy w tym życiu w ogóle mam rower.

Jadę na wschód, potem skręcam na południe, w York Street. Kilka przecznic dalej zatrzymuję się przed małym, zbudowanym z cegieł bungalowem moich rodziców, który stoi po zachodniej stronie ulicy.

Wokół domu panuje cisza. Rolety są opuszczone. Ktoś odgarnął śnieg z chodnika przed domem, ale nie z czterech betonowych stopni ani ze ścieżki wiodącej na werandę; całe to przejście pokrywają płaty zmarzniętego śniegu, które wyglądają, jakby leżały tam już od pewnego czasu. Zdażyłam się przyzwyczaić do ciszy panującej wokół tego domu. Jest tak, odkąd rodzice wyjechali na długie wakacje, a ja przychodzę tu podlewać ich kwiatki. Ale czy to nie powinno się już skończyć? Chciałam zaparkować samochód, wejść do domu i ujrzeć twarze rodziców. Jadąc tu, czułam się tak lekko na myśl o ich znajomych głosach. Już prawie pociągałam nosem, spodziewając się charakterystycznego zapachu, który zawsze przenika ten dom – nigdy nie umiałam określić go dokładniej niż jako osobliwe połączenie pieczonej dyni piżmowej i suszonej lawendy.

Nie mogłam się doczekać, aby zobaczyć, jak ojcu zaświecą się oczy, gdy zobaczy mnie i Michaela idących w stronę domu. Wyobrażałam sobie mocny i serdeczny uścisk, którym powita mnie matka, a na policzku muśnięcie jej miękkiego, żółtego, wełnianego, ręcznie robionego szala, który zarzuca sobie na ramiona w domu, bo ojciec oszczędza na opale do kominka.

Czy moi rodzice lubią Michaela? Czy wiedzą, co mówić i co robić, aby go nie zdenerwować? Oczywiście nie mam co do tego pewności, ale mam dobre przeczucia. Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonana, że Michael kocha moich rodziców, że w ich towarzystwie czuje się bezpiecznie i swobodnie, tak samo, jak przy Larsie.

Nagle coś mi się przypomina, w mojej głowie pojawia się przebłysk wyimaginowanego zdarzenia.

Jest środek lata, słońce przypieka, panuje upał, krzewy uginają się pod ciężarem bujnego listowia. Razem z trojgiem dzieci wchodzę po schodkach do domu moich rodziców. Lars wysiada z mojego samochodu po stronie kierowcy i idzie za nami. Oboje mamy na sobie białe stroje do tenisa, a w przewieszonych przez ramię torbach niesiemy rakiety.

Wszyscy szczerzymy zęby w uśmiechu, gdy otwierają się drzwi i wychodzi mój ojciec. Szybko podbiega do dzieci, schyla się i obejmuje całą trójkę naraz. Przytulają się do niego z wielkim entuzjazmem.

Nawet Michael.

– Moi najdrożsi! – mówi ojciec zadyszczonym głosem, wypuszczając dzieci z objęć.
– Kiedy ja was ostatnio widziałem? Wieki temu!

Missy chichocze.

– W zeszły weekend, dziadku.

– Tak niedawno? – Rzuca jej przesadnie niedowierzające spojrzenie. – Ależ na pewno się mylisz, Missy. Minął już chyba cały rok. A może nawet dwa lata.

Michael wybucha śmiechem, patrząc na mojego ojca. Prosto w oczy.

– Dziadku – mówi poważnym tonem. – Ale z ciebie żartowniś.

Teraz na werandę wychodzi moja matka, rzuca okiem na mnie i Larsa, a potem na swój zegarek.

– Wy dwoje zmykajcie – mówi. – Bo spóźnicie się na mecz. – Jedną dłoń kładzie na ramieniu Michaela, a drugą na ramieniu Mitcha, łagodnie kierując ich w stronę domu. Ojciec ujmuję rękę Missy.

– Poradzimy sobie – zapewnia mnie matka. – Jak zawsze, kochanie... poradzimy sobie.

Kiwam głową.

– Wiem.

Lars i ja rozdajemy wszystkim wkoło całusy i ruszamy w dół ulicy, w stronę parku. Wzdycham z błogością, czuję się beztroska i radosna.

– Co byśmy bez nich zrobili? – mówię, oglądając się na dom rodziców. – Jak byśmy sobie poradzili bez moich rodziców?

Lars potakuje i mocniej ściska moją dłoń.

To wspomnienie wywołuje na mojej twarzy uśmiech. A mimo to jakoś wcale nie chcę wchodzić teraz do tego domu. Nie dzisiaj. Nie znam powodów, ale nagle czuję, że to ostatnie miejsce, w którym chciałabym się teraz znaleźć.

– Zmieniłam zdanie, chyba lepiej od razu pojedziemy na zakupy – zwracam się do Michaela, zdejmując nogę z hamulca i odjeżdżając. Chłopiec nie odpowiada ani nawet nie podnosi wzroku.

Skręcam na Louisiana Avenue, potem stoję na światłach na University Boulevard.

– Skoro tak dobrze ci idzie odpowiadanie na pytania, Michaelu, przekonajmy się, czy poradzisz sobie z tym: jaką drogą najlepiej dojechać stąd do sklepu spożywczego?

Kieruje mnie do sklepu Safeway, niedaleko centrum handlowego w University Hills, gdzie byłam z Mitchem i Missy, a zarazem blisko domu przy Springfield Street. Wjeżdżamy na parking, a ja szukam torebki i listy zakupów. Jest! Po prawej stronie dokładnie wypisałam menu obiadowe na cały tydzień, podkreślając każdy dzień tygodnia i wyszczególniając pod spodem danie główne i przystawki. Po lewej stronie, w kilku kategoriach, takich jak owoce i warzywa, nabiał i mięso, wypisałam wszystkie artykuły potrzebne do przygotowania tych posiłków, a także śniadań i lunchów, czyli chleb, masło orzechowe i jajka. Nie mogąc się nadziwić swoim zdolnościom organizacyjnym, wchodzę z Michaeliem do sklepu.

Kolejno obchodzimy wszystkie alejki i idzie nam całkiem nieźle, gdy nagle słyszę moje imię.

– Katharyn, to ty?

Oczywiście nigdy wcześniej nie widziałam kobiety, która się do mnie zwraca – ani w prawdziwym życiu, ani we wcześniejszych snach. Ma ciemne włosy, zaczesane do tyłu w duży, pleciony kok nad karkiem. Nosi ciemnoniebieski płaszcz samochodowy z czarnym, futrzanym kołnierzem, a jej usta i paznokcie są wręcz jaskrawoczerwone.

– Tak myślałam, że to ty. Cudownie cię zobaczyć. – Uśmiecha się do Michaela. – A co słyhać u *ciebie*?

Chłopiec patrzy pod nogi i coś mamrocze.

Kobieta przenosi wzrok na mnie.

– Przepraszam – mówi głośnym, dramatycznym szeptem. – Nigdy nie wiem, co powinnam...

– Ja to słyszę! – krzyczy Michael na całe gardło. – Ja to słyszę, ja to słyszę. Ja! To! Słyszę!

W trakcie tego wybuchu, nie odrywa wzroku od podłogi. Ludzie zatrzymują wózki i patrzą w naszą stronę.

– W porządku – mówię, przykucnąwszy przy nim. – Rzeka – dodaję gorączkowo, przypominając sobie, co robił Lars. – Rzeka, rzeka, Michael...

– Nie mówisz tego jak trzeba! – Wrywa mi się i biegnie alejką, a skręcając za róg, przewraca wystawę z pudełek z przecenionymi płatkami śniadaniowymi Wheaties. Pędzi w stronę drzwi.

– Och, ja... – Urywam i wybiegam ze sklepu, zostawiając wózek na środku alejki.

Piszczą hamulce samochodów, gdy Michael biegnie na oślep przez parking. Wbrew moim przewidywaniom, nie zmierza do naszego auta, lecz w kierunku przeciwnym. Jest zdumiewająco szybki, czego bym się po nim nie spodziewała. Sądziłabym raczej, że jest za słaby i zbyt niezdarny jak na biegacza, ale jego nogi wydają się żyć własnym życiem. Przerazona wsiadam do samochodu i jadę za nim, modląc się, aby nie uderzył w niego żaden pojazd.

Zajeżdżam mu drogę, a on niemal wpada na zderzak. Wyskakuję, łapię go za ramię i ciągnę do samochodu. Chłopiec krzyczy nieskładnie, a ja modlę się, żeby ten sen się wreszcie skończył. Przypinam go do siedzenia, mając nadzieję, że nie umie odpiąć pasa. Blokuję drzwi po stronie pasażera i obiegam samochód. Wskakuję za kierownicę, zatrząskuję drzwi i wyjeżdżam z parkingu.

Dość dobrze orientuję się, gdzie jesteśmy, więc łatwo odnajduję drogę do domu przy Springfield Street. Choć to niedaleko, tych kilka minut mogę uznać za jedne z najgorszych w moim życiu – tym prawdziwym i tym wyimaginowanym. Krzyk osiąga apogeum. Zanim dojeżdżam na miejsce, głowa mi pęka i nie słyszę własnych myśli. To się musi zaraz skończyć, myślę. Zaraz się obudzę.

Ale tak się nie dzieje. Gaszę silnik i czekam, żeby zobaczyć, co teraz robi Michael. Nie przestaje krzyczeć. To krzyk bez słów, a raczej wysoki wrzask dobywający się z głębi jego płuc. Nie wiem, czy mam spróbować zaprowadzić go do domu, czy zostawić w samochodzie, dopóki się nie uspokoi.

Nagle otwierają się drzwi frontowe i pojawia się w nich Alma, naciągając na siebie płaszcz. Otwieram okno i wychylam się z samochodu.

– *Señora Andersson* – mówi Alma. – *¿Estas bien?*

Czuję, że oczy mi zachodzą łzami.

– W porządku – odpowiadam. – Po prostu cudownie. – Zerkam na Michaela. – Proszę, powiedz mi, co mam zrobić, żeby przestał – błagam Almę.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, *señora* – mówi szorstko. – Przecież pani nie pozwala mi się zbliżyć do *el niño*.

Nie? Ależ dlaczego?

– No cóż – mówię, otwierając drzwi samochodu i stając obok niej na podjeździe. – A gdyby to było twoje dziecko, to co byś zrobiła?

Wzruszenie ramion.

– Chyba to, co robi *señor* Andersson.

– Chodzi o tę piosenkę o rzece? Próbowałam, ale nie podobało mu się.

– A czy pani... – Obejmuje się ramionami. – *¿Abrazarlo?* Trzymała go?

– Bałam się go dotknąć!

– *Señor* Andersson... Wiem, *señora*, że pani nie lubi tego robić, ale *señor* Andersson go trzyma.

Tak, cholera, nie lubię tego.

Alma kręci głową.

– *Señora*, w domu włączone żelazko. *Por favor*, ja wracam?

Kiwam głową.

– Tak, Almo, idź.

– Chce pani, żebym *llamar por teléfono* *señor* Andersson?

Waham się przez chwilę. Czy chcę, aby zadzwoniła do Larsa? Czy chcę się przed nim przyznać – nawet jeśli to tylko sen – że sobie nie radzę?

– Nie – mówię wolno. – Dziękuję, ale nie. *Gracias*, Almo.

Służąca wraca do domu.

Nogi mi się trzęsą, gdy podchodzę do samochodu od strony pasażera. Kluczykiem odblokowuję drzwi, ale zanim je otwieram, stukam w okno.

– Michaelu, kochanie, słyszysz mnie?

Ze zdumiewającą siłą chłopiec zaczyna łomotać w szybę z szybkością karabinu maszynowego. Prawie boję się, że ją rozbije.

Może i jest niewyrośnięty, ale to nie znaczy, jak widać, że słaby. Otwieram drzwi i pochylam się ku niemu. Wciąż młóci pięściami, ale teraz już nie w szybę, ale we mnie. Cofam się o krok, rozcierając ramię. Jak mam go przytrzymać, skoro rzuca się na mnie, za każdym razem, kiedy się do niego zbliżam?

W końcu wracam na miejsce kierowcy. Obrywam tylko kilka ciosów, zanim szybkim ruchem odpinam mu pas bezpieczeństwa.

– Chcesz krzyczeć, to siedź tutaj i krzycz, ile dusza zapagnie – mówię do Michaela.

– Ale pas jest odpięty, a drzwi otwarte, więc jeśli wolisz, możesz wejść do domu.

Po czym, oddalając się od źródła krzyku, podchodzę do drzwi frontowych i zostawiam je szeroko otwarte.

W telewizji akurat nadawany jest serial *Światelko w ciemności*, Alma prasuje. Gdy wchodzi do salonu, podnosi na mnie wzrok, ale żadna z nas się nie odzywa.

Idę do gabinetu Larsa, podchodzę prosto do barku i nalewam sobie sporą szklaneczkę whiskey. Zabieram ją ze sobą do kuchni, dolewam wody i wrzucam do środka lód, a potem mieszam drinka czystym nożem do masła, który wyjmuję z suszarki do sztucców. Przemykam obok Almy i podchodzę do panoramicznego okna, aby zobaczyć, co robi Michael.

Przez chwilę nic się nie dzieje. Wciąż słyszę jego krzyki, nieco stłumione przez grube szyby. I pewnie słyszą je wszyscy sąsiedzi. Ale nie dbam o to.

– Jak myślisz, długo tak wytrzyma? – pytam Almę, sącząc drinka.
Wzrusza ramionami, nie podnosząc oczu.
– Bywało dłużej, *señora*. ¿*Si*?
Tak, Almo, nie wątpię.
Zaciskam usta. Whiskey zaczyna mnie odpręzać. Biorę głęboki oddech.
– Próbowałam go dotknąć – mówię, wciąż wyglądając przez okno. – Uderzył mnie.
Alma kiwa głową, ale nie odpowiada.
Odwracam się do niej.
– Ale chyba nie ucieknie, prawda?
– Na razie nie uciekał. ¿*No*?
– Nie. – Upijam kolejny łyk whiskey. – No cóż – dodaję. – Nie mam więcej pomysłów. Czas zadzwonić po męża.

ROZDZIAŁ 16

Ale nie mam okazji, aby zadzwonić do Larsa, bo sen wreszcie się kończy.

– No, tym razem dostałam z grubej rury – żalę się Aslanowi, który ziewa, odsłaniając swoje popękane, pożółkłe zęby. Wstaje, przeciąga się po kociemu i na nowo układa się na moim łóżku. „Moja ty przydługa chudzino”, powtarzam mu zawsze, „złota, pręgowana, bojowa machino”. To taki nasz żarcik, bo Aslan nie jest ani długi, ani chudy, ani bojowy. Mój podstarzały, gruby kocur nie jest w stanie upolować nawet muchy.

No i wróciłam tu, gdzie jest miło i spokojnie, gdzie mogę sobie pożartować ze swoim kotem. Znowu w prawdziwym, realnym świecie.

Uśmiecham się do siebie, myśląc, że wcale nie jest tu tak źle.

– Jesteś w dobrym humorze – zauważa Frieda kilka godzin później. Nucę sobie pod nosem, odkurzając górne półki w tylnej części sklepu. Ona stoi przy ladzie, zajmując się inwentaryzacją.

– W nocy niezbyt dobrze mi się spało, ale chyba w końcu odechciało mi się snu. – To zabawne; oczywiście, że nie spałam dobrze. Nikt, komu przyśniłoby się coś tak szalonego, nie mógłby się wyspać. Ten ciąg myślowy sprawia, że wybucham śmiechem. Frieda kręci głową z uśmiechem i wraca do swojej pracy.

Zgodnie z moją sugestią, wstawiliśmy do księgarni gramofon, który kupiłam w lombardzie na South Broadway. Każda z nas przyniosła z domu płyty i odtąd codziennie gra u nas cicha muzyka. W tej chwili Ella Fitzgerald śpiewa, jak to byłoby miło, gdyby naszym jedynym zajęciem w życiu było zakochiwanie się. Przechyliłam głowę w bok, wsłuchując się w te słowa. W piosence to brzmi dobrze, myślę sobie – ale w prawdziwym życiu wszystko zależy od okoliczności, czyż nie?

Spoglądam na Friedę. Na ladzie obok niej, na drewnianej podstawce leży egzemplarz *Statku szaleńców*, który chciałam sprzedać mojej niedawnej, niedoszej klientce. Tej, która przysłała z autystyczną córką. Obok książki ustawiłam niewielką tabliczkę, na której starannie wykaligrafowałam napis: POLECAMY! BESTSELLER!

Powieść tę napisała Katherine Anne Porter, autorka opowiadań i dziennikarka. Przeczytałam ją kilka miesięcy temu. Moim zdaniem narracja, jak tytułowy statek, czasem jakby dryfuje – sądzę jednak, że jest to efekt zamierzony, a już na pewno nie osłabia stężenia konfliktów między bohaterami. Porter z niezwykłą wnikliwością dowodzi, że ludzie zamknięci w ograniczonej przestrzeni mogą dowiedzieć się o sobie nawzajem znacznie więcej, niżby chcieli.

Pamiętam scenę, w której jedna z bohaterek mówi coś takiego: „Proszę mi o sobie nie opowiadać, nie będę słuchać. Nie chcę pana poznać, nie życzę sobie tego”. Nie jest to dokładny cytat, ale tak to mniej więcej brzmiało. Przychodzi mi na myśl moja wymaginowana rodzina. Rodzina, którą poznaję w swoich snach coraz lepiej, czy tego chcę, czy nie.

Z tego, co słyszałam, Katherine Anne Porter płynęła kiedyś – było to w latach trzydziestych – statkiem podobnym do tego opisanego w powieści; zdaje się, że niewiele rozmawiała ze współpasażerami, robiła za to szczegółowe notatki. Przeleżały one

w szufladzie wiele lat, zanim powstał *Statek szaleńców*. Od dawna podziwiam pisarstwo Porter. Być może wyczuwam w niej pokrewną duszę, bo przez pewien czas mieszkała w Denver. Słyszałam nawet, że prawie tu umarła podczas pandemii hiszpanki w 1918 roku.

Coś mi przychodzi do głowy. Gdyby Porter umarła w 1918 roku, nie napisałaby *Statku szaleńców*. A w takim razie tamta kobieta nie szukałaby tej powieści w mojej księgarni. Nie miałabym tej dość żenującej okazji, by zapytać ją, co dolega jej córce. A w rezultacie nie dowiedziałabym się – przynajmniej nie w taki sposób – co dolega mojemu własnemu dziecku w tym świecie ze snu.

Czy to nie dziwne? Wystarczy drobiazg, aby zmienić bieg wydarzeń. Analogicznie, gdyby tamtego wieczoru moja telefoniczna rozmowa z Larsem trwała o chwilę dłużej – gdybym usłyszała, że ma atak serca, gdybym go uratowała – nic w moim życiu nie byłoby takie, jakie jest. To znaczy nic w tym życiu. Bo moim prawdziwym życiem byłoby to, które wiodę z nim i z dziećmi.

Kręcę głową i schodzę z drabinki. Podchodzę do lady, sięgam po gazetę i otwieram ją na dziale sportowym. Muszę sprawdzić wynik wczorajszego meczu finałowego World Series.

– Psiakrew – przegrali! – wykrzykuję.

Frieda podnosi wzrok.

– Kto przegrał?

– Giganci. Przegrali serię w siódmym meczu. I o czym mam teraz pisać dla Grega?

– O czym ty mówisz? – dziwi się, kręcąc głową.

– Nieważne. – Rzucam jej chmurne spojrzenie i ruszam do drzwi. Potrzebuję świeżego powietrza.

Wychodzę, by pozamiatać schody. Jest piękny, jesienny dzień i cieszę się, że mogę go przeżywać w tym prawdziwym świecie. Nie wiem, dlaczego te sny rozgrywają się w przyszłości; skoro Michael tak uczynnie podał mi datę, wiem, że ta różnica w czasie wynosi zaledwie kilka miesięcy. To nie ma sensu. Ale z drugiej strony tamten świat nie jest realny, więc dlaczego miałby mieć sens?

– Wybierzemy się dziś wieczorem na kolację? – pytam Friedę, gdy już wracam do środka.

– Po co?

Wzruszam ramionami.

– Bez powodu. Po prostu dawno nie byliśmy na „randce”, siostrzo.

Zwracamy się do siebie „siostrzo” prawie od zawsze. Stąd też wzięła się nazwa naszej księgarni, to jasne – kiedy po raz pierwszy rozmawiałyśmy o jej otwarciu, obie równocześnie wpadłyśmy na ten sam pomysł. Zaczęłyśmy używać tego powiedzonka w liceum, gdy żałowałyśmy, że nie jesteśmy prawdziwymi siostrami. Frieda była najstarszą z czworga rodzeństwa i jedyną dziewczyną w rodzinie; ja byłam jedynaczką, która pochodziłaby z podobnej rodziny – gdyby moi trzej bracia nie urodzili się martwi. Przez całe dzieciństwo każda z nas pragnęła mieć siostrę.

Frieda i ja poznałyśmy się we wrześniu 1938 roku. Byłyśmy pierwszorocznicami w liceum South High, to był nasz pierwszy dzień w szkole. South było wtedy prawie

nowe; od jego powstania upłynęło dopiero jakieś dziesięć lat. Linoleum, którym wyłożono korytarze, wciąż jeszcze lśniło, niepopękane okna błyszcząły, a cegły mieniły się żywą czerwienią, nieskalane jeszcze wpływem pogody i czasu. My, pierwszoklasiści, chodziliśmy grupkami za starszymi uczniami, którzy znali cały budynek jak własną kieszeń. Niektórzy z nich rozmawiali ze sobą z ożywieniem, inni wydawali okrzyki radości i wymieniali uściski, ciesząc się ze spotkania po letniej rozłące. Jeszcze inni wybuchali śmiechem, wspominając wspólnie spędzone wakacje: „A pamiętasz Dzień Niepodległości? To dopiero była zabawa!”.

Oczywiście pierwszorocznicy zazdrościli swoim starszym kolegom. Choć niektórzy z nas znali się z podstawówek, wszyscy czuliśmy się dość obco. Nasze rozmowy były niezręczne i krótkie. „Mam nadzieję, że miło spędziłaś lato”, „Wiesz, gdzie jest sala 106?”. Gdy tylko cały tłum wepchnął się do budynku szkoły, w jednej chwili pojęliśmy, że to, co nas czeka w tych murach, jest wielką niewiadomą. I nie byliśmy pewni, czy los, który nas tu spotka, będzie zgodny z naszymi oczekiwaniami.

I wtedy w sam środek tej mieszanki niepewności i obcości wkroczyła Frieda – z podniesionym czołem i długimi, brązowymi włosami zaczesanymi do tyłu i przytrzymanymi szylkretową opaską. Miała na sobie prostą, szarobrazową spódnicę i bluzkę bez rękawów w kolorze kości słoniowej odsłaniającą opalone i uroczo piegowate ramiona. Ciemne oczy połyskiwały tajemniczo. Gdy szła korytarzem, oglądali się za nią nie tylko pierwszorocznicy, lecz także starsi chłopcy. Sama nie mogłam oderwać od niej wzroku; gapiałam się na nią, dopóki nie zniknęła mi z oczu, wchodząc do jakiejś klasy.

Traf chciał, że była to sala, w której i ja miałam mieć lekcję. Gdy weszłam do środka, zauważyłam, że – choć to niebywałe – miejsce po jej prawej stronie jest wolne. Nie mając pojęcia, skąd wzięło się we mnie aż tyle odwagi, śmiało je zajęłam i wyciągnęłam rękę.

– Jestem Kitty Miller – przedstawiłam się. – Miło mi cię poznać.

Skinęła głową. Jej dłoń była ciepła, a uścisk stanowczy.

– Frieda Green. Mnie również miło cię poznać.

Porównaliśmy swoje rozkłady zajęć, które szkoła przysłała nam pocztą tydzień wcześniej. Okazało się, że prawie wszystkie zajęcia mamy razem.

– Co za ulga – powiedziała Frieda. Nachyliła się do mnie i konspiracyjnie szepnęła: – Trochę się bałam, że sama się tu zgubię, a ty?

Oczywiście, że też się tego bałam. Ale byłam zdumiona, że ona tak szczerze się do tego przyznała. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, skinęłam głową i uśmiechnęłam się.

– Razem się nie zgubimy, prawda?

Odpowiedziała mi szerokim uśmiechem.

– Jasna sprawa, Kitty Miller.

Z biegiem czasu dowiedziałam się o Friedzie wszystkiego. Pochodziła z bogatej rodziny. Jej dziadek ze strony matki zbił fortunę na kolei w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, rodzina jej ojca posiadała zaś dużą firmę budowlaną. Jego rodzina zaczęła pracować na swoją pozycję, gdy Denver było jeszcze młodym miastem, i od tej pory zawsze wiedli prym.

Od pierwszej do ósmej klasy Frieda uczęszczała do szkoły prywatnej, ale jej ojciec

uznał, że powinna uzupełnić swoje wykształcenie w publicznym liceum, gdzie pozna ludzi pochodzących z wszystkich klas społecznych. Wyznawał zasadę, że jego dzieci, choć uprzywilejowane, powinny kształtować swój charakter w kontaktach z ludźmi z różnych środowisk. W rezultacie chodziła więc do naszego liceum, którego uczniowie pochodzili głównie z klasy średniej, ale mieszkała z rodzicami i braćmi w dużym, trzypiętrowym domu z cegły w tej części miasta, w której mieścił się Country Club. To ekskluzywne osiedle pełne było takich okazałych budynków, a znajdowało się jakieś dwie mile na północ od skromnej dzielnicy Myrtle Hill, w której mieszkała moja rodzina. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam Friedę i odruchowo nazwałam jej dom „rezydencją”, zaczęła chichotać.

– Jesteś przeurocza, Kitty Miller – powiedziała, przyjacielsko kładąc mi dłoń na ramieniu.

Minęło już tyle lat, a ja wciąż pamiętam ten uścisk – zaborczy, a jednocześnie przyjemny. Choć to niepojęte, Frieda Green – mimo wszystkiego, co miała i kim była – chciała być moją przyjaciółką.

Kilka miesięcy zbierałam się na odwagę, aby ją o to zapytać. Co właściwie sprawiło, że to *ja* zostałam jej najdroższą i najbliższą przyjaciółką, choć mogła przecież zaprzyjaźnić się z każdą pierwszoroczną, a nawet z którąś z dziewczyn ze starszych klas, gdyby tylko zechciała?

Frieda roześmiała się, słysząc to pytanie.

– Bo ty to *ty*, Kitty – odparła po prostu. – Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam, wiedziałam, że będziesz lojalna, szczerą i zawsze po mojej stronie.

Zadałam jej to pytanie pewnego niezwykle ciepłego jak na listopad dnia, podczas przerwy między zajęciami, kiedy stałyśmy na trawniku przed szkołą. Frieda dramatycznie machnęła swymi smukłymi ramionami, jakby chciała objąć całą brać uczniowską, która wyległa na zewnątrz, by nacieszyć się słońcem i ciepłem.

– W nikim innym nie widziałam takiej szczerości. Przynajmniej nie tak od razu. – Wzruszyła ramionami. – Po co więc miałabym się narażać na rozczarowanie?

Jak mogłabym nie kochać kogoś, kto ma o mnie tak wysokie mniemanie? Nikt inny poza moimi rodzicami nie myślał o mnie w ten sposób.

A Frieda – jak mogłaby nie kochać kogoś, kto był jej tak wierny? Bo miała rację. Nigdy, przenigdy nie mogłabym jej zdradzić.

Czyż to nie cudowne, myślę, podchodząc teraz do niej, stojącej za ladą naszej księgarenki – czyż to nie cudowne, że mimo upływu lat wciąż kochamy się bardziej niż kogokolwiek innego, nie licząc naszych rodzin?

Jesteśmy siostrami.

I nagle przychodzi mi do głowy coś niepokojącego: w tych moich snach nie wiem, gdzie jest Frieda. Rzecz jasna w ostatnim śnie byłam z Michaelem, więc nie mogłam pracować, jak co rano, w sklepie. Czy to znaczy, że *w ogóle* tu nie bywam? Czy *my* w ogóle *mamy* tę księgarnię w tamtym świecie?

Wzdrygam się na samą myśl, że mogłoby być inaczej. Nie wyobrażam sobie życia bez naszej księgarni. Ani bez Friedy, z którą codziennie spędzam cały dzień.

Dzięki Bogu, myślę, gdy tymczasem ona zaczyna wymieniać nazwy restauracji:

„Rockybilt? Masz ochotę na burgera? A może C.J.’s Tavern? Wiem, że to byłaby cała wyprawa, ale chętnie zjadłabym coś meksykańskiego, a ty?” – dzięki Bogu, że tamten świat to tylko mój wymysł.

C.J.’s Tavern, wbrew swojej nazwie i wbrew temu, że niewielki bar otwiera się na salę restauracyjną, nie jest właściwie tawerną. To restauracja meksykańska na Santa Fe Drive. Żeby tam dojechać, musimy się dwa razy przesiadać, ale warto, jak mówi Frieda. Każdy, kto dorasta w Denver, musi pokochać kuchnię meksykańską, a C.J.’s ma najlepszą *chile relleño* w mieście.

Przy kolacji dopisuje nam humor. Jestem przeszczęśliwa, że mogę być tu z nią i nie muszę myśleć o tym drugim świecie. A Frieda jest po prostu zadowolona i beztroska. Wiem, że martwi się o nasz sklep, więc miło mi widzieć ją tak ożywioną.

Rozmawiamy o wolnym lokalu, który widziałyśmy w centrum handlowym w University Hills. Kilka dni temu Frieda zadzwoniła do kierownika i umówiła nas na spotkanie, żeby dokładniej obejrzyć to miejsce.

– To całkiem niegłupi pomysł, wiesz? – mówi. – Owszem, za czynsz zapłacimy więcej niż teraz. Dużo więcej. Ale jeśli wszystko podliczyć... Myślałam o tym i zrobiłam parę kalkulacji... Sądzę, że już za kilka miesięcy zaczniemy osiągać zyski.

– A co do tego czasu? – pytam. – Skąd weźmiemy kapitał?

Upija łyk wina.

– Nie mogę poprosić rodziców o pieniądze. Musiałybyśmy wziąć kolejny kredyt w banku. – I dodaje, zanim zdążę otworzyć usta, by zaprotestować: – Wiem, że mój ojciec był konsygnatariuszem poprzedniej pożyczki. Wiem, że jeszcze jej nie spłaciłyśmy. I wiem, że bez zgody ojca bank może odrzucić nasz nowy wniosek. Wszystko to wiem. – Odstawia kieliszek. – Ale jeśli uda nam się przekonać bank, że to dobra inwestycja, że dzięki temu nie pójdziemy z... – Wzrusza ramionami. – Nie sądzisz, że będą woleli powiększyć nam kredyt, niż przejąć naszą księgarnię?

Upijam wielki łyk z mojego kieliszka. To brzmi tak zniechęcająco. I pachnie ryzykiem. Znacznie większym niż osiem lat temu, kiedy otwierałyśmy naszą księgarńkę. Jakbyśmy miały postawić wszystko na jedną kartę.

Frieda patrzy rozmarzonym wzrokiem.

– Mogłybyśmy się rozwijać – mówi, pochylając się w moją stronę. – To mógłby być dopiero początek. Takich centrów handlowych pojawia się coraz więcej. A sklepy, które zarabiają duże pieniądze... Każdy z nich ma swój styl, coś, czego klient może oczekiwać, przekraczając ich próg. – Jeszcze raz wzrusza ramionami. – Czegoś takiego jeszcze na rynku księgarskim nie było, przynajmniej w Denver. Ale przecież można to zmienić, prawda? Kto powiedział, że sieć księgarń nie może się sprawdzić? Skoro ten system sprawdza się w przypadku hamburgerów i różnego sprzętu, to dlaczego z książkami miałyby być inaczej?

Faktycznie, dlaczego nie? Ma rację. Nie da się zaprzeczyć.

A jednak – mam wrażenie, że to *jej* bajka, nie moja. Że mogłaby te plany zrealizować niezależnie od mojego udziału. Ma dość pewności siebie, by to zrobić. Mogłaby osiągnąć każdy cel, jaki sobie postawi.

– Naprawdę to wszystko przemyślałaś, co? – pytam.

Wzrusza ramionami.

– Myślę o tym od lat, Kitty.

Nie wiem, co powiedzieć. Odgryzam kawałek *chile relleño* i gmeram w ryżu na talerzu.

Frieda spogląda nad moim ramieniem.

– Nie oglądaj się teraz – szepcze. – Ale muszę ci powiedzieć, kto siedzi samotnie przy barze.

– Kto?

Unosi brwi.

– Kevin.

Kevin? Dobry Boże, nie widziałam go od ponad dziesięciu lat.

– Jak wygląda? – pytam.

Przygląda mu się kątem oka.

– Jest zmęczony – mówi w końcu. – I stary. – Uśmiecha się. – Wygląda staro, Kitty. Powinnaś się z tego cieszyć.

Śmieję się.

– Cóż, ja też wyglądam staro.

Frieda opróżnia swój kieliszek i zapala salema.

– Na pewno nie w tej nowej, olśniewającej fryzurze.

Dotykam włosów. Dzieło Linnei cały czas dobrze się trzyma, ale i tak umówiłam się już na następną wizytę w przyszłym tygodniu. Rzeczywiście, Kitty, którą ostatnio widzę w lustrze, jest atrakcyjniejsza i bardziej rześka niż zwykle. Ale na ile jest to zasługa nowej fryzury, a na ile faktu, że nocą, kiedy śpię, jestem szaleńczo zakochana w moim idealnym mężu ze snu?

– Chyba Kevin właśnie mnie zauważył – mówi Frieda. – Ciebie też. Wstaje. – Zniża głos. – Weź głęboki oddech, siostró. Idzie tutaj.

Podnosi na niego wzrok i uśmiecha się, co daje mi pretekst, aby też odwrócić głowę. Udaję zaskoczenie, ale jestem pewna, że nie dał się nabrać.

– Hej. Tak właśnie myślałem, że to wy. – Kevin pochyla się nad naszym stolikiem. Jest tak samo wysoki i tyczkowaty, jak kiedyś, i ma takie same, spadziste ramiona. Budową ciała wciąż przypomina wyrostka. Uświadamiam sobie, że już się przyzwyczaiałam do szerokich pleców i ramion Larsa oraz jego krępej sylwetki, która tak dobrze pasuje do mojej. Kevin i ja nigdy nie byliśmy dobrze dobrani pod względem fizycznym. Gdy tańczyliśmy, on był dla mnie zbyt wysoki; czubkiem głowy sięgałam mu ledwie do obojczyka i musiałam wyciągać szyję, żeby na niego spojrzeć. Zawsze namawiał mnie do noszenia jak najwyższych szpilek, żeby dorównać mu wzrostem, ale to tylko pogarszało sytuację, bo na koniec wieczoru strasznie bolały mnie stopy. Poza tym uważał, że jestem zbyt pulchna, choć podobały mu się moje obfite piersi. Pomimo tych godnych uwagi atutów, wciąż namawiał mnie do odchudzania.

W przeciwieństwie do Larsa, Kevin zachował swoją bujną czuprynę. Wciąż ma ciemne, falujące włosy, ale jego oczy w kolorze ciepłego brązu stały się nieco szkliste. Widać, że za dużo pije.

Frieda wskazuje puste krzesło między nami, po czym gasi papierosa

w popielniczce.

– Siadaj, Kev.

Przysuwa sobie krzesło i siada. Rzucam Friedzie pytające spojrzenie, ale ona wpatruje się w swe splecione dłonie, które opiera o blat przed sobą. Ledwo widocznym ruchem małego palca prawej ręki wskazuje na palec serdeczny lewej. Zerkam na lewą dłoń Kevina i stwierdzam, że nie nosi obrączki.

Aha. Czy ona to zauważyła z drugiego końca sali? Czy raczej się domyśliła, widząc, że późnym wieczorem siedzi tu sam? Żonaci – a przynajmniej szczęśliwie żonaci – nie przesiadują wieczorami samotnie w barach. Zostają w domach ze swoimi żonami, dziećmi i psem.

– Kopę lat – mówi Kevin. Przyniósł swojego drinka, którego teraz dopija i zaraz gestem prosi kelnerkę o następnego. – Mogę wam postawić kolejkę, dziewczyny?

A to ci niespodzianka. Zawsze był sknerą. Nie mówię, że nie płacił za mnie na randkach, ale miałam wrażenie, że zawsze zabierał mnie do najtańszych knajpek, które były jeszcze do zaakceptowania, i wydawał na mnie jak najmniej. Nawet na urodziny i na Gwiazdkę dostawałam takie drobiazgi, jak buteleczka perfum albo przeceniona apaszka czy kapelusz. Za każdym razem powtarzał, że oszczędza na naszą wspólną przyszłość. Cóż, chyba jednak trochę się przeliczył.

Frieda przyjmuje propozycję drinka. Kelnerka przynosi Kevinowi kolejną szkocką i butelkę wina, z której dolewa nam do kieliszków.

– Na mój rachunek – zaznacza Kevin. Kelnerka rzuca mnie i Friedzie sztywny uśmiech, po czym odchodzi.

– Jak wam się wiedzie, dziewczyny? – Kevin rozsiada się na swoim miejscu i przez chwilę wydaje mi się, że zaraz się wywróci. Wielkie nieba, ile on już wypił? Można by sądzić, że w dzień powszedni, w miejscu publicznym – no i nie zapominajmy, że teraz już pan doktor... Czy lekarz z problemem alkoholowym nie powinien być nieco dyskretniejszy?

– Całkiem nieźle – odpowiada Frieda. – Mamy księgarnię na South Pearl Street.

Kevin kiwa głową. Wyciąga paczkę pall mallów z kieszeni marynarki i zapala jednego. Frieda natychmiast się przyłącza, wyjmując salema ze swojej paczki leżącej na stoliku. On wyciąga w jej stronę zapalniczkę, a ona przysuwa się z papierosem w ustach. Obserwuję ich w milczeniu, próbując rozluźnić napiętą twarz i zmarszczone brwi.

– Słyszałem o niej – mówi Kevin, zatraskując zapalniczkę. – Już dawno miałem do was zajrzeć.

Akurat. Rzucam mu gniewne spojrzenie i upijam łyk wina. Nie mogę wyjaśnić, dlaczego czuję do niego taką niechęć. To było tak dawno temu. A teraz wystarczy na niego spojrzeć. Czy naprawdę chciałabym być żoną tego człowieka?

Nie. Oczywiście, że nie. Chcę być żoną człowieka, który nie istnieje.

Zmuszam się, by trochę ochłonąć.

– A co u ciebie? Jak ci się powodzi?

Patrzy na mnie dłuższą chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Och – mówi w końcu. – Jakoś sobie radzę. Mam dobrą praktykę jako internista, pracuję w Szpitalu Świętego Józefa. – Wzrusza ramionami. – No i jestem sam. Może

słyszałaś.

Kręcę głową.

– Nie. Nie słyszałam.

– Cóż. – Miesza palcem w szklance. Pamiętam, że zawsze tak robił. – Niektóre rzeczy nie są nam pisane. – Uśmiecha się ponuro. – Ale przynajmniej mam dwójkę dobrych dzieciaków. Chcecie obejrzeć zdjęcia?

Ja wolałabym nie, ale Frieda uprzejmie odpowiada:

– Oczywiście, że chcemy.

Kevin wyjmuje i otwiera portfel. Ze szkolnych fotografii patrzą na nas dwie uśmiechnięte dziewczynki; tej mniejszej brakuje dwóch przednich zębów.

– To Becky, ma dziesięć lat – mówi Kevin, wskazując na starszą. – A Nancy skończyła osiem.

– Urocze. – Frieda wyciąga szyję, by rzucić okiem na zdjęcia, po czym odchyła się na oparcie swego krzesła i mocno zaciąga się salemem, uważnie mi się przyglądając.

– Tak, urocze – powtarzam. – Na pewno jesteś z nich bardzo dumny, Kevinie.

Przytakuje.

– Cóż, rzadko je widuję – ich matka trzyma je pod kluczem – ale tak, chyba dobrze sobie radzą. – Wzrusza ramionami i gasi papierosa. – Mają ojczyma; porządny z niego facet. Lepszy dla nich niż ja, serio.

Boże drogi, to wszystko brzmi jak banały z filmu klasy B. Poszło się złą drogą, kolego? I proszę, spójrz, dokąd cię zaprowadziła. Pijany i samotny w barze wpadasz na byłą dziewczynę, która z pewnością lepiej by cię potraktowała niż ta jędza, z którą się ożeniłeś.

Nagle wydaje mi się to tak zabawne, że aż muszę stłumić uśmiech. Zawstydzona zasłaniam twarz dłonią, mając nadzieję, że Kevin tego nie zauważył.

A jednak zauważył. Rzuca mi złowrogie spojrzenie.

– To cię bawi, Kitty?

Kręcę głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Przykro mi, że twoje małżeństwo się nie udało.

Pociąga długi łyk szkockiej.

– Tak – mówi chłodno. – Na pewno. – Wstaje i dopija drinka. – Niepotrzebnie do was podchodziłem – rzuca ze złością. – Sam nie wiem, po co to zrobiłem. Przepraszam, że przerwałem wam kolację, dziewczyny. – Odstawia z trzaskiem pustą szklankę na stół i sztywnym krokiem wraca do baru. Patrzymy w milczeniu, jak płaci rachunek, sięga po płaszcz i wychodzi, nie oglądając się za siebie.

– A niech mnie – mówi cicho Frieda. Przytakuje i obie wbijamy wzrok w drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Kevin. – Biedak – wzdycha po chwili i rzuca mi spojrzenie znad kieliszka. – Ale ty pewnie masz satysfakcję.

– Właściwie to nie – odpowiadam i ukrywam twarz w dłoniach. – Freeds, jestem zmęczona – dodaję. – Za dużo wypiałam. Muszę wracać do domu.

– Ja też, siostró – przytakuje. – Ja też.

ROZDZIAŁ 17

W domu wczółguję się do łóżka i owijam kołdrą, a potem przyciągam do siebie Aslana i przytulam go do piersi. Wyłączam lampkę nocną i biorę głęboki oddech, rozkoszując się spokojem i samotnością.

Jestem przekonana, że te sny już nie wrócą. Chyba zobaczyłam już wszystko, prawda? Widziałam, jakim dzieckiem jest Michael. Widziałam, z czym musiałabym się zmagać, gdyby właśnie tamto życie było moim prawdziwym.

– Rozumiem – mówię głośno w ciemnościach. Wiem, że to niemądre, ale chcę, aby ten przekaz dotarł do mojej podświadomości. Chcę mieć pewność, że ona wie, że ja rozumiem.

Idealne życie nie istnieje. Ani tu, na jawie, ani tam, we śnie.

Naprawdę nie spodziewam się, że jeszcze raz obudzę się w tamtym domu z Larsem i dziećmi, gdzie toczy się moje drugie życie.

A jednak tak właśnie się dzieje. Tym razem siedzimy w jadalni i jemy lunch. Wokół stołu widzę całą rodzinę: Larsa, Missy, Mitcha i Michaela. Okienko do kuchni jest otwarte. Widzę przez nie tapetę z motywem owoców wiśni i promienie słońca wpadające do środka przez południowe okno.

Napotykam spojrzenie Larsa siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Co tam słyhać w tym innym świecie? – pyta.

– Co? – Wzdrygam się tak gwałtownie, że wszyscy podskakują. Dzieci wpatrują się we mnie, trzymając w dłoniach nadgryzione kanapki. Lars rzuca mi zaciekawione spojrzenie.

– Przepraszam – mówi. – Wyglądałaś, jakbyś była gdzieś daleko stąd.

– Och – uśmiecham się. – Chyba tak było.

Dzieci wracają do swoich kanapek. Zdaje się, że z masłem orzechowym i dżemem winogronowym, sądząc po fioletowych śladach na ich buziach. Na talerzu każdego z nich leży stosik marchewek i resztkę frytek; najwyraźniej dzieci jadły je, zanim zabrały się za kanapki i warzywa. Mitch i Missy jedzą ostrożnie, trzymając swoje kanapki koniuszkami palców, jak małe niedźwiadki liżące porcję miodu. Michael nie je, tylko dzieli kromkę na małe kawałeczki i lepi z nich kulki, które następnie starannie układa wokół talerza. Odwracam wzrok, mając nadzieję, że na mojej twarzy nie widać niesmaku. Równocześnie wstydzę się, że czuję coś takiego w stosunku do własnego – choćby i wymyślonemu – dziecka.

Spuszczam wzrok i zerkam na talerz Larsa. Oboje jemy sałatkę szefa kuchni. Czy to ja ją zrobiłam? Wygląda dość wykwintnie: starannie ułożone plastry szwajcarskiego sera, jajko na twardo, oliwki, szynka delikatesowa i indyk podane na liściach sałaty lodowej. W prawdziwym życiu nigdy nie zrobiłabym na lunch czegoś tak wymyślnego. Frieda i ja zwykle jemy kanapki kupione w sklepie na naszej ulicy albo przynoszę z domu to, co w tej chwili jedzą dzieci: kanapkę z masłem orzechowym i dżemem.

– Co mamy w planach na popołudnie? – pyta Lars. Odkłada widelec na pusty talerz

po sałatce i wyciera usta papierową serwetką w niebieskie kwiatki.

– Celebrity Lanes, tato! – krzyczy Mitch, a Missy entuzjastycznie przytakuje.

Michael pozostaje obojętny.

Słyszałam o tym miejscu, choć nigdy tam nie byłam. Znajduje się kilka mil na północ, w University Hills przy Colorado Boulevard, gdzie mieści się też centrum handlowe. Celebrity Lanes otwarto kilka lat temu. Zdaje się, że oficjalna nazwa brzmi Celebrity Sports Center i oprócz kręgielni mają tam też basen, automaty do gry i inne atrakcje. Na pewno warto tam zajrzeć, jeśli masz dzieci albo lubisz kręgle. Ale ponieważ w moim prawdziwym życiu nie mam dzieci i nie gram w kręgle, nie miałam okazji odwiedzić Celebrity Lanes. Zresztą – tak jak i do tamtejszego centrum handlowego – trudno się tam dostać, nie mając samochodu.

– Może będzie tam Miki – mówi Missy, a ja przypominam sobie artykuł z „Denver Post”, w którym napisano, że właścicielem tego miejsca jest Walt Disney, więc często pojawiają się tam bohaterowie jego kreskówek.

Lars przechyla głowę z namysłem.

– Będzie tam sporo ludzi. Musielibyśmy długo czekać na tor.

– To cierpliwie poczekamy – obiecuje Missy. – A w międzyczasie możemy robić coś innego.

– W międzyczasie – poprawiam ją. – Nie mówi się „w międzyczasie”, Missy, tylko „w międzyczasie”.

Zbesztana dziewczynka spuszcza głowę.

– Przepraszam, mamó.

Lars się uśmiecha.

– Mama-nauczycielka. – Patrzy na mnie z iskierką w oku z drugiego końca długiego stołu. – Kto raz uczył, zawsze uczył będzie, prawda Katharyn?

Unoszę brwi.

– To było dawno temu.

Podnosi szklanekę i upija łyk wody.

– W zupełnie innym życiu.

Nie odpowiadam. Wstaję, żeby sprzątnąć ze stołu, a w tej samej chwili Michael wymachuje ręką i przewraca szklanekę z mlekiem.

– Michael! – wołam szorstko. Chłopiec krzywi się i czuję, że za chwilę zaczniesz pisać.

Zasłaniam usta dłonią.

– W porządku – reflektuję się. – Zdarza się. Posprzątam.

Lars podchodzi do nas i kładzie obie dłonie na ramionach Michaela, próbując go uspokoić, zanim wybuchnie.

Idę do kuchni. Sięgam po ścierekę do naczyń, gdy za mną pojawia się Lars i obejmuje mnie w talii.

– Z Michaeliem wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, nic mu nie jest. Zdążyłem.

Kiwam głową z ulgą. Lars muska nosem moją szyję.

– Chyba nie jesteś zachwycona planami na popołudnie.

Wzruszam ramionami.

– Kochanie. – Obraca mnie ku sobie. – Mogę sam z nimi pojechać. A ty zrób sobie wolne. Pojeżdż gdzieś, gdzie miło spędzisz czas.

Słyszając to, aż się rozjaśniam.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

Śmieje się

– Oczywiście. Potrzebujesz tego, kochanie. Miałaś ciężki tydzień.

Przygryzam wargi.

– To prawda – odpowiadam. – I jest parę spraw... Muszę załatwić to i owo, więc tak... Dziękuję.

– Nie spiesz się – dodaje. – Weź cadillaca. Pojeżdż na zakupy. Odwiedź Linneę, zrób sobie fryzurę.

Jednak zakupy i fryzura – nawet zrobiona przez Linneę, którą bardzo chcę poznać w tym świecie, choćby po to, by porównać ją z Linneą w moim drugim świecie – to ostatnie rzeczy, którymi chcę się teraz zajmować. Choć pewien szczególny sklep faktycznie planuję odwiedzić.

Oczywiście jeśli istnieje.

Chciałam zapytać Larsa, jaki mamy dzień, ale takie pytanie zabrzmiałoby chyba zbyt dziwnie. Skoro jest w domu w ciągu dnia, to musi być weekend. Mam nadzieję, że to sobota, a nie niedziela. Jeśli jest sobota, księgarnia powinna być czynna. Kilka lat temu postanowiłyśmy otwierać w soboty. Skróciłyśmy sobie weekendy, ale z punktu widzenia interesów była to rozsądna decyzja. W dzisiejszych czasach wiele kobiet pracuje zawodowo, a nasza oferta jest skierowana także do nich, nie tylko do gospodyń domowych. Dlatego teraz otwieramy „Dwie Siostry” od wtorku do soboty. W niedzielę księgarnia jest oczywiście zamknięta, jak wszystkie sklepy na naszej ulicy. Zamykamy też w poniedziałki, które stały się naszymi prywatnymi sobotami.

Pomachawszy rodzinie na do widzenia, idę do garażu, siadam za kierownicą samochodu Larsa i ostrożnie wyjeżdżam tyłem na podjazd.

Cadillac prowadzi się jak marzenie. Ma chyba wszystkie możliwe udogodnienia: solidne, lecz wygodne siedzenia, system ogrzewania, który uruchamia się i ogrzewa wewnątrz w ciągu kilku minut od uruchomienia silnika, oraz automatyczną skrzynię biegów. Wystarczy, że przesunę dźwignię na tryb R, aby wycofać na podjazd, a potem na D, by ruszyć naprzód. Układ kierowniczy jest niezwykle czuły; wystarczy lekko poruszyć kierownicą, a samochód już skręca w lewo, w Dartmouth Avenue. To pewnie dzięki wspomaganiamu kierownicy, o którym tak tęsknie wspominał mój ojciec – mój ciężko pracujący ojciec, który nie kupił nowego samochodu od co najmniej dwunastu lat. Uśmiecham się, zastanawiając się, czy w tym świecie ze snu Lars pozwala mu pojeździć swoim cadillakiem. Byłby w siódmym niebie, mogąc usiąść za kierownicą tego auta.

Włączam radio i nastawiam na stację KIMN. Grają tę nową piosenkę Patsy Cline, którą słyszeliśmy w restauracji, gdzie byliśmy na kolacji z klientami Larsa. Cicho sobie podśpiewuję.

Samochód sunie gładko wzdłuż University Boulevard. Skręcam w lewo, w Evans Avenue i jadę na zachód. Wszystko wygląda tak samo, jak zawsze. Te same tawerny,

drogerie i stacje benzynowe, te same budynki na terenie kampusu. Wydaje mi się to nieco zaskakujące. A więc cały świat nie stanął na głowie tylko dlatego, że zmieniło się *moje* życie.

Na Pearl Street skręcam w prawo i jadę na północ. Ruch uliczny jest niewielki. Powietrze jest rześkie, a niebo bezchmurne – nie pada śnieg i chyba żadne opady nie są przewidywane, przynajmniej tutaj, w mieście. Góry wznoszące się w oddali po lewej jaśniej świeżą bielą; nawet stąd widać, jak połyskują w słońcu.

Przez naszą ulicę przejeżdżam bardzo powoli. Jestem skonsternowana, choć nie do końca zaskoczona tym, co widzę: nie ma tu księgarni „Dwie Siostry”. Kancelaria prawnicza Bennett i Synowie wciąż ma swoją siedzibę po prawej stronie budynku. Ale witryna po naszej stronie jest zamknięta na głucho, a na drzwiach wisi tabliczka z odręcznym napisem „Do wynajęcia”. Poniżej widnieje numer telefonu Bradleya. Napis jest wyblakły i podniszczony; wygląda na to, że wisi tam już od dawna. Od kilku miesięcy, a może i lat.

Parkuję po przeciwnej stronie ulicy i podchodzę do miejsca, które kiedyś było moją księgarnią.

Nie za bardzo wiem, co w tej sytuacji zrobić. Oszklone drzwi frontowe nie są zasłonięte, więc zaglądam do środka. Pusto. Nigdzie nie widzę naszych półek ani lady. Na linoleum brakuje tureckich dywaników, które kupiliśmy w sklepie ze starociami. Ze ścian zniknęły plakaty reklamujące najnowsze książki i filmy. Drzwi prowadzące na zaplecze są otwarte, lecz w środku jest zbyt ciemno, aby zobaczyć, co jest za nimi. Ale i tak wiem, co bym tam ujrzała – nic.

Podchodzę do wejścia znajdującego się z boku budynku. Za nim znajdują się schody prowadzące do mieszkania Bradleya nad sklepem. Jego numer widnieje na tabliczce „Do wynajęcia”, co oznacza, że wciąż jest właścicielem tego budynku. Ale czy nadal mieszka na górze? Ostrożnie wchodzę po schodach i pukam do drzwi jego mieszkania.

Przez całe pięć minut nikt nie otwiera. Już mam odejść, kiedy wreszcie drzwi powoli się otwierają. Tutaj Bradley wygląda na starszego niż w tym drugim świecie. Jest przygarbiony, a jego życzliwe, brązowe oczy patrzące zza okularów zapadły się w ziemiste oczodoły. Nie od razu mnie rozpoznaje.

– Niech mnie kule biją – mówi w końcu. – Toż to panna Kitty.

Słyszając swoje imię – to prawdziwe w tym nieprawdziwym świecie – czuję, jak łzy napływają mi do oczu i muszę kilka razy zamrunąć.

– Panie Bradley. – Mój głos załamuje się ze wzruszenia. – Cieszę się, że pana widzę.

Otwiera szerzej drzwi.

– A czemuż to zawdzięczam tę przyjemność?

Wzruszam ramionami.

– Byłam... w okolicy i po prostu... – Spuszczam oczy, patrzę w bok, a wreszcie znów spoglądam na niego. – Pomyślałam, że wstąpię.

– Cóż, proszę wejść. – Otwiera drzwi na całą szerokość. – Właśnie robiłem herbatę. Napije się pani?

– Będzie mi bardzo miło. Dziękuję, panie Bradley.

Podczas gdy on jest w kuchni, rozglądam się po jego mieszkaniu. Z ulgą zauważam, że nic się w nim nie zmieniło. Ta sama stara, liniejąca, szara sofa, ten sam tweedowy fotel przy oknie, przysunięty nieco bliżej telewizora, niż pamiętam. Ten sam poobijany, drewniany stół z czterema krzesłami. Miejsca dość, powtarzał zawsze, dla niego i jego trojga wnucząt.

Bradley wraca z kuchni, niosąc w trzęsących się dłoniach filiżanki z herbatą. Podchodzę do niego i przyjmuję jedną z nich. Gdy nasze ręce się stykają, czuję, jak szorstka jest jego skóra – to skutek zimowych chłodów i starości.

– Proszę, niech pani usiądzie – zaprasza, wskazując mi krzesło.

Siadam, a on stawia na stole swoją filiżankę i zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

– Jak się pani miewa? – pyta, sadowiąc się wygodnie. – I pani miły mąż i dzieci – jak się wszyscy miewacie?

Uśmiecham się i upijam łyk herbaty.

– Wszyscy mamy się dobrze. Bardzo dobrze. – Odstawiam filiżankę. – Tyle tylko, że trochę się pogubiłam i mam nadzieję, że pan może mi pomóc. Nie bardzo wiem, co się stało i dlaczego już nie prowadzimy naszej księgarni. – Wpatruję się w podłogę. – No i gdzie jest Frieda – dodaję, podnosząc wzrok. – Nie wiem, gdzie ona jest.

Nie mogę uwierzyć, że prowadzę tę rozmowę – ale właściwie co mi szkodzi? I tak za chwilę się skończy, a ja znajdę się w swoim mieszkaniu. Więc mogę mówić, co mi się podoba.

Bradley spogląda na mnie przez dłuższą chwilę.

– Nie wie pani, gdzie jest Frieda?

Kręcę głową.

– Czy coś się stało? Coś, co sprawiło, że pani... nie pamięta?

– Nie wiem! – wybucham. – Wydaje mi się, że to sen... I to jest sen, prawda? To nie jest prawda, to powstało w mojej głowie, a ja teraz posłusznie to przeżywam. Ale niektóre fragmenty... niektóre fragmenty... – Kręcę głową, bo nie wiem, co powiedzieć. – Niektóre rzeczy w tym świecie mają sens i są wspaniałe – kontynuuję. – Lars, mój mąż, jest fantastyczny. Naprawdę fantastyczny. Nigdy nie spotkałam drugiej takiej osoby. Kocham go całym sercem. – Mówiąc to, czuję, jak zalewa mnie fala błogości, a na myśl o moim pięknym mężu mimowolnie się uśmiecham. – No i dzieci. Hmm, dwoje z nich, Mitch i Missy, są takie kochane. A Michael jest... Michael jest...

Bradley kiwa głową, a kiedy nie mogę dokończyć, mówi miękkim głosem:

– W porządku, panno Kitty. Wiem, jaki jest Michael.

Zrozumienie ze strony tego życzliwego mężczyzny daje mi ukojenie większe niż wszystko inne, czego doświadczyłam w tym świecie ze snu – nie licząc całkowitego oddania Larsa. Mam tak wielką ochotę uściskać Bradleya, że muszę mocno trzymać ręce przy sobie, aby tego nie zrobić.

– Dziękuję – mówię cicho. – Dziękuję za... – sama nie wiem, co powiedzieć, więc dodaję tylko: – ...herbatę.

Bradley posyła mi uśmiech.

– Zawsze do usług.

– Daje pan radę... bez... bez najemcy?

Wzrusza ramionami.

– Tak. Budynek jest od dawna spleacony. Muszę tylko pilnować podatków i opłat za usługi komunalne, a na to wystarczy czynsz od Bennettów i za mieszkanie obok. Moi synowie chcą, żebym to wszystko sprzedał, ale mnie się tu podoba. Nie chcę się stąd wynosić i nie chcę... – Uśmiecha się szeroko. – Bóg mi świadkiem, że kocham swoje wnuki. Ale *nie chcę* z nimi mieszkać.

Oddaję mu uśmiech, a potem nachylam się i dotykam jego szorstkiej ręki.

– Gdzie jest Frieda? – pytam miękko. – Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Frieda i nasza księgarnia?

Bradley ściska moją dłoń, a potem wstaje i sięga po swoją pustą filiżankę.

– Pnie się w górę – odpowiada. – Znalazła sobie coś większego i lepszego. – Kręci głową, wyglądając za okno. – Nie powiem pani dokładnie gdzie, bo tego nie wiem – ciągnie. – Przeniosła sklep stąd do tego nowomodnego centrum handlowego na Colorado Boulevard. – Przenosi wzrok na mnie. – Ale wygląda na to, że to był tylko początek. Tak przynajmniej mówią ludzie, bo ona sama już tu nie zagląda.

Po wizycie u Bradleya wracam do cadillaca. Wkładając kluczyk do stacyjki, rzucam ostatnie spojrzenie na ten cichy, stary budynek. Ale zobaczyłam już wszystko, co było tam do zobaczenia, więc odwracam głowę, wrzucam bieg i odjeżdżam.

Skręcam za róg w Washington Street i jadę na południe. Kilka przecznic dalej parkuję po drugiej stronie mojego starego bliźniaka. Tutaj też panują spokój i cisza. Zamiast tych połyskujących, fioletowych zasłon, które wiszą w moich oknach w prawdziwym świecie, widzę inne – jasnoniebieskie w stokrotki. Wydają mi się przesłodzone, ja nigdy bym takich nie wybrała.

Rolety w mieszkaniu Hansenów – o ile nadal tam mieszkają – są opuszczone. Wczoraj, w prawdziwym świecie, w ich oknach było ciemno, gdy wracałam z kolacji z Friedą, więc nie miałam okazji zobaczyć się z Gregiem i wyrazić żalu z powodu porażki Gigantów w ostatnim meczu World Series. Zastanawiam się, czym w takim razie zdołam go teraz zainteresować. Może piłką nożną? Miejmy nadzieję, że tak... Czy to nie zabawne, że o tym myślę? W końcu futbol mało mnie obchodzi. No ale jeśli Greg będzie zainteresowany, to i ja się zainteresuję.

Ciekawa jestem, jak radzi sobie z czytaniem w tym świecie ze snu. Czy pomaga mu ktoś inny, skoro mnie tu nie ma?

Kilka lat po wojnie oglądałam z Kevinem pewien film zatytułowany *To wspaniałe życie*. Jego akcja toczy się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Jimmy Stewart gra męzczyznę, który chce popełnić samobójstwo w Wigilię i nieoczekiwanie ma okazję przekonać się, jak wyglądałby świat bez niego – gdyby w ogóle się nie urodził. Gdy po seansie wyszliśmy z kina, Kevin powiedział, że jego zdaniem ten film był okropnie sentymentalny, akcja przewidywalna, a postacie mało wiarygodne. Całość nazwał świąteczną tandetą, której twórcy mieli jeden cel: sprzedać jak najwięcej biletów.

Zgodziłam się z nim, ale dodałam, że ta historia skłania też do refleksji.

– Warto się zastanowić nad własnym życiem – dodałam – i nad tym, jaki wpływ wywieramy na innych.

Kevin pokręcił głową i przewrócił oczami.

– Takie filmy kręci się dla kobiet – zawyrokował. – Wasza pleć jest zbyt romantyczna, Kitty.

Uśmiecham się teraz na wspomnienie tamtej rozmowy i samego filmu. Myślę o wczorajszym spotkaniu z Kevinem w C.J.'s i zastanawiam się, czy nie zmieniłby zdania, gdyby obejrzał ten film dzisiaj, po tylu latach.

A ja? Co ja o tym myślę? Czy wywieram na innych taki wpływ, jak bym chciała? W prawdziwym świecie pomagam Gregowi. I w dodatku sprawia mi to wielką frajdę.

Szczerze mówiąc, nic innego – ani „Dwie Siostry”, ani Frieda, ani nawet myśl o rodzicach wracających wkrótce do domu – nie daje mi tyle przyjemności, co widok Grega uczącego się czytać i odkrywającego świat literatury.

Rzucam ostatnie spojrzenie na bliźniak i odjeżdżam. Mijając dom pana Morrisa, zwalnim i oglądam się, żeby sprawdzić, czy mój dziewięćdziesięcioletni sąsiad siedzi na werandzie w swoim fotelu na biegunach. Nie widzę go tam, więc znowu przyspieszam, zostawiając Washington Street i moją starą dzielnicę w tyle.

W centrum handlowym kieruję się od razu do lokalu, który wcześniej był pusty i który upatrzyliśmy sobie z Friedą. Oczywiście nie spodziewam się, że w tym świecie też będzie pusty.

Okazuje się, że jednak jest to księgarnia, a w dodatku lokal jest dwa razy większy niż w prawdziwym świecie. Frieda musiała wynająć dwa sąsiednie pomieszczenia. Nad wejściem wisi okazały szyld: „Green. Książki i prasa”.

Oczywiście. Księgarnia należy do niej, do Friedy Green, nie do nas. Nie jest własnością dwóch niedoszłych siostr. Nic dziwnego, że Frieda zmieniła nazwę.

Próbując nie rzucać się w oczy, zaglądam przez szybę do środka. W sklepie roi się od ludzi, klienci przeglądają zawartość dziesiątek regałów pełnych wszelkiego typu publikacji: książek, czasopism i gazet. Po prawej widzę młodego sprzedawcę, który pomaga komuś zdjąć książkę z wysokiej półki. Obok mnie w dziale z beletrystyką dwie kobiety w średnim wieku porównują okładki powieści, najwyraźniej próbując zdecydować, która jest ciekawsza. Jedna z nich trzyma książkę z Gwiazdą Davida i drukowanymi literami na okładce. Zezując i wyciągając szyję, udaje mi się odczytać tytuł: *Ludzie króla*. Kobieta otwiera tom i przebiega wzrokiem kilka pierwszych stron, po czym mówi coś do swojej koleżanki, która wzrusza ramionami i sama bierze książkę do ręki. Przekartkowuje ją i rzucając jakiś komentarz, wkłada ją sobie pod pachę, najwyraźniej zamierzając ją kupić. Obie panie – wyprostowane, pochylające ku sobie głowy i gawędzące o książkach – przypominają mi Friedę i mnie samą. To znaczy, Friedę i mnie w prawdziwym życiu. Gdy tak na nie patrzę, robi mi się smutno. Przygryzam wargę i odwracam się.

Zerkam w stronę kasy. Serce zaczyna mi bić szybciej. Spodziewam się, że ujrzę Friedę, jak z fantastyczną fryzurą i pewnością siebie prowadzi swój interes. Ale nic z tego. Friedy w ogóle tu nie ma, a przynajmniej nigdzie jej nie widzę. Za ladą na wysokim stołku siedzi młoda ekspedientka, która coś sobie czyta.

Biorę głęboki oddech i wchodzę do księgarni. Podchodzę do kasy z dziarskim, mam nadzieję, uśmiechem.

– Mogę pani w czymś pomóc? – pyta sprzedawczyni.

Już nie tak odważna, nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– Ja tylko... szukałam... – Rozglądam się bezradnie, jakbym miała dostrzec jakąś podpowiedź gdzieś w głębi tego jasno oświetlonego sklepu. Odwracam się z powrotem do dziewczyny i wzruszam ramionami. – Chyba przejrzę sobie książki.

Uśmiecha się i robi zachęcający gest.

– Bardzo proszę. Jeśli zechce pani o coś zapytać, chętnie odpowiem – zapewnia, po czym przenosi uwagę na klienta, który czeka za mną w kolejce.

Podchodzę do regałów ustawionych najbliżej wejścia. Tamte dwie kobiety już odeszły, więc mogę się tu spokojnie rozejrzeć. Półki są pełne bestsellerów, romansów i książek z kolorowymi okładkami. Natychmiast dostrzegam antologię J. D. Salinger, o której słyszałyśmy, że ma wyjść na początku 1963 roku. W swej nowej, jasnej księgarni Frieda ma na wystawie prawie cały rząd egzemplarzy tej książki z jej musztardową okładką ozdobioną jedynie tytułem wydrukowanym prostą, nowoczesną czcionką. Widzę wiele egzemplarzy *Siedmiu dni w maju*, thrillera wojskowego, który w moim prawdziwym świecie zaczynał zdobywać coraz większą popularność. Jest też półka z inną powieścią o wojnie nuklearnej, zatytułowaną *Czerwona linia*. W prawdziwym świecie zdecydowałyśmy się zamówić dwadzieścia egzemplarzy tej książki, która ma wyjść lada dzień. Najwidoczniej ta powieść jest przebojem w mojej urojonej wersji roku sześćdziesiątego trzeciego. Może nawet, myślę z rozbawieniem, powinnam zamówić więcej egzemplarzy, kiedy wrócę do tamtego świata.

Biorę do ręki książkę, którą oglądały przede mną tamte dwie kobiety, z których jedna kupiła *Ludzi króla* Joanne Greenberg. Na półce stoi jakiś tuzin egzemplarzy. Z lewej strony do sztalugi przypięto niewielki plakat: „Nowość! Miejscowa autorka!”. Obok zdjęcia kobiety o dość poważnym wyglądzie na plakacie umieszczono też entuzjastyczną recenzję *Ludzi króla*, która ukazała się w „Denver Post” 17 lutego 1963 roku. Nigdy nie słyszałam ani o tej powieści, ani o Joanne Greenberg, ale postanawiam, że dowiem się o niej czegoś więcej po powrocie do prawdziwego życia. Uśmiecham się w duchu: zabawnie jest móc przewidywać przyszłość – choćby urojoną – i to tak szczegółowo i wyraziście! Może jeśli sobie odpuścę i pozwolę, by sen mnie prowadził, tak jak na początku, całe to przeżycie stanie się przyjemniejsze.

Między dwoma wysokimi regałami wisi duża reprodukcja kolażu Henriego Matisse’a, przyciągająca mój wzrok głęboką czernią, błękitem, zielenią i żółcią. Natychmiast rozpoznaję to dzieło, znam nawet jego tytuł: *Smutek króla*. Powstało w 1952 roku, u schyłku życia artysty, kiedy już nie malował, lecz tworzył wycinanki. Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiem; nigdy wcześniej nie widziałam tego kolażu. Jest bardzo adekwatny, idealnie wpisuje się w gusta Friedy.

I nagle przypominam sobie, że jednak już go widziałam. Litografia *Smutek króla* była wystawiona w oknie galerii w Paryżu podczas mojego miesiąca miodowego z Larsem. Pamiętam, że stałam na ulicy pod rękę z moim świeżo poślubionym mężem i wpatrywałam się w nią. Oboje milczeliśmy, owładnięci pięknem prostych kształtów, barw i czerni pośrodku.

– Zapada w pamięć – wyszeptał Lars. – Nawet gdy zamkniesz oczy, Katharyn, ten

obraz zostanie pod powiekami. Wciąż będziesz widziała te kolory.

Zamknęłam oczy i ścisnęłam go za ramię.

– Frieda byłaby nim zachwycona – mówię, otwierając oczy. – Muszę jej o nim opowiedzieć, kiedy wrócimy do domu.

Tak, pamiętam ten obraz.

Zerkam na ladę, gdzie ekspedientka właśnie skończyła obsługiwać klienta. Jeszcze raz do niej podchodzę.

– Cóż za piękna księgarnia – mówię. – Długo tu pani pracuje?

Wzrusza ramionami.

– Od kilku miesięcy. Przyjemne miejsce pracy, zwłaszcza jeśli lubi się książki. – Uśmiecha się. Ma ładny uśmiech i bielusiętkie zęby. – Powiedziała mi o nim koleżanka, która pracuje w Green w Bear Valley. Poradziła złożyć tu podanie o pracę. Tak zrobiłam i przyjęto mnie.

– Pracuje w... – Kręcę głową, zdezorientowana.

– W Bear Valley – cierpliwie powtarza dziewczyna. – No wie pani, w tym centrum handlowym w Lakewood.

Marszczę brwi.

– Przykro mi, ale nie słyszałam o nim.

Dziewczyna rzuca mi dziwne spojrzenie.

– Mamy tam jeden z sześciu oddziałów.

– Z sześciu oddziałów?

– To znaczy księgarnię „Green. Książki i prasa” – wyjaśnia.

Przez chwilę nie dociera do mnie sens jej słów.

– Chwileczkę, chce pani powiedzieć, że...

– Jest ich sześć – dopowiada, wręczając mi ulotkę. – Ta tutaj była pierwsza.

Zerkam do ulotki. Oprócz księgarni w University Hills jest druga w centrum Denver, trzecia – o której wspominała ekspedientka – w Bear Valley, kolejna w dzielnicy Thronton na północy Denver i jeszcze dwie w Colorado Springs. Na zdjęciach widać lśniące wnętrza wszystkich oddziałów działających w centrach handlowych albo przy ruchliwych ulicach handlowych.

Oczywiście nie ma wśród nich małej, marnej i od dawna nieczynnej księgarenki przy Pearl Street.

– To miejsce stało się baaaardzo popularne – wzdycha dziewczyna. – W zeszłym tygodniu pani Green wystosowała list do wszystkich pracowników z informacją, że wiosną zostanie otwarty kolejny oddział, w Boulder. Napisała, że ciągle się rozwijamy.

– Pani Green... To znaczy Frieda Green?

– Tak, to ona. Zna ją pani?

– Kiedyś znałam – odpowiadam powoli. – Dawno temu. – Podnoszę wzrok nad ulotki, stukając w nią palcem. – Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę panią Green? Pracuje w jednej ze swoich księgarni?

– Oczywiście, że nie – odpowiada ze śmiechem. – Ma duże biuro w centrum miasta. Jak to się mówi? Główna siedziba firmy. W tej samej okolicy mieści się jedna z naszych księgarni. Byłam tam na firmowym przyjęciu świątecznym. – Uśmiecha się nieśmiało. –

Czułam się jak mysz kościelna, wszyscy byli tacy elegancyści.

Biorę kolejny oddech i podejmuję przepytanie.

– A czy wie pani... Może to głupie pytanie, ale czy słyszała pani, że pani Green miała kiedyś współniczkę? Panią Miller. Kitty Miller...

Dziewczyna patrzy na mnie z kwaśną miną.

– *Wszyscy* wiedzą o pani Miller.

– Och – wciągam gwałtownie powietrze. – Naprawdę? A co o niej wiedzą?

Dziewczyna rozgląda się konspiracyjnie.

– Nie powinnam tak plotkować z klientką, ale co mi tam. – Pochyliła się do przodu.

– Kilka lat temu pani Miller i pani Green strasznie się pokłóciły. Pani Miller... To znaczy wtedy już była mężatką i nazywała się pani Andersson, a choć nie znam całej tej historii, to myślę, że właśnie o to im poszło... O jej małżeństwo, rodzinę i tak dalej. – Ścisza głos.

– W każdym razie miały kiedyś wspólną księgarńkę, która nie przynosiła żadnego zysku. Wpadły w poważne długi i pokłóciły się o to. I pani Andersson po prostu odeszła. Cały ten bałagan zostawiła na głowie pani Green. – Wzrusza ramionami. – A pani Green uratowała sytuację i, jak widać, odniosła wielki sukces. Ale słyszałam, że nigdy nie wybaczyła swojej dawnej współniczce. – Spuszcza wzrok na książkę, wyraźnie speszona swoim gadulstwem, a potem znówu na mnie zerka. – Ale nie mam pojęcia, co się stało z panią Andersson. Czy też panią Miller, jeśli woli ją pani tak nazywać.

Siedzę za kierownicą cadillaca, trzymając się za głowę. Wszystko, o czym myślałam, rozglądając się po księgarni Friedy – że te sny nic nie znaczą, że istnieją tylko dla mojej rozrywki – okazało się złudzeniem, które teraz opadło ze mnie jak obumarły, jesienny liść.

Friedo, Friedo, co ja narobiłam?

Co się z nami stało?

ROZDZIAŁ 18

Zrywam się z łóżka. W mojej sypialni panują egipskie ciemności. Zegar wskazuje 2:45. Oczywiście Aslan leży przy mnie, błogo mrużąc. Czasem chciałabym być kotem.

Wkładam fioletowy szlafrok i kapcie, a potem potykając się w ciemnościach, idę do salonu. Zapalam lampkę i siadam przy biurku. Sięgam po telefon i wykręcam numer Friedy.

Odbiera chyba po siódmym sygnale. Zawsze ciężko było ją dobudzić.

– Haaaal... – mamrocze coś pomiędzy powitaniem i westchnieniem.

– Freeds – mówię niecierpliwie. – Freeds, przepraszam, że tak późno...

– Kitty? Co się stało? Dobrze się czujesz? – W jednej chwili jej głos staje się czujny, co sprawia, że robi mi się cieplej na sercu. Świadomość, że pod wpływem mojego głosu Frieda potrafi błyskawicznie przenieść się z odmętów snu na szczyt troskliwej czujności, uspokaja mnie tak bardzo, że czuję odprężenie w całym ciele.

– Przepraszam – powtarzam. – Wszystko w porządku. Ja tylko... – Przysuwam słuchawkę bliżej ust i szepczę: – Miałam zły sen. – Brzmi to śmiesznie, więc szybko dodaję: – Naprawdę straszny. – I zaraz się uśmiecham, bo oczywiście mój sen nie był straszny w zwykłym znaczeniu tego słowa: nie było w nim potworów, zamaskowanych bandytów z bronią ani tornad zrywających dachy z domów.

– Och – Słyszę, że Frieda oddycha z ulgą i opada na poduszkę. Oczywiście wyobraźni widzę ją zwiniętą w łóżku pod stertą koców: rolety w oknie jej sypialni są opuszczone i pali się lampka nocna. Słyszę szczęknięcie zapalniczki, a potem długie zaciąganie się dymem papierosa. – Chcesz mi o nim opowiedzieć?

Czy chcę? Bardzo ciekawe pytanie. Nie mam pojęcia, czy chcę to zrobić. Z jednej strony wspaniale byłoby się komuś zwierzyć. Zwłaszcza komuś takiemu jak Frieda, która by mnie wysłuchała i coś poradziła – może dzięki temu skończyłaby się wreszcie ta senna męka. Z drugiej strony absurdalność całej tej sytuacji sprawia, że waham się przed takim wyznaniem. Mimo że chodzi o Friedę, której przecież mogłabym powierzyć swoje życie.

– Kitty? Jesteś tam? Śniła ci się ta sytuacja na Kubie? Chodzi o to, co prezydent mówił w wiadomościach o rosyjskich pociskach? Tego się przestraszyłaś? – Wzdycha, a ja prawie czuję, jak zaciska zęby. – Bo szczerze mówiąc, cała ta sprawa jest po prostu przerażająca.

Wykrzywiam usta w sztucznym uśmiechu, bo przecież wcale nie chce mi się śmiać.

– To akurat – wyznaję Friedzie – wcale mnie nie martwi.

Nie potrafię jej wyjaśnić, dlaczego nie niepokoi mnie Kuba. Wszyscy są przerażeni do szpiku kości. A ja jestem spokojna. Nie wiem skąd, ale mam przekonanie, że wszystko się uspokoi – i to wkrótce.

– Nie to cię martwi? – W głosie Friedy brzmi zaskoczenie. – Więc co? – Urywa. – Na pewno wszystko w porządku, siostrzo?

Wbijam wzrok w ciemność za oknem. Nie mogę jej powiedzieć. Muszę mieć nadzieję, że te sny znikną samoistnie. Może po prostu jest w tej historii coś jeszcze, czego powinnam się dowiedzieć. A kiedy już się dowiem, sny się skończą.

– Nic mi nie jest – mówię w końcu. – Ja tylko... musiałam usłyszeć twój głos. Żeby się upewnić, że się obudziłam. Że jestem bezpieczna.

– Pozamykałaś drzwi? – pyta Frieda, wydmuchując dym z papierosa.

Wybucham śmiechem. Szkoda, że pozamykane drzwi nie mogą mnie uchronić przed tym, co wdziera się do mojego świata.

– Tak – odpowiadam. – Aslan i ja mamy tu jak u pana Boga za piecem.

– No to w porządku. Wracaj do łóżka i postaraj się porządnie wyspać. Zobaczymy się rano.

– Okej – odpowiadam, czując się jak uspokozone przez matkę dziecko. – Friedo...

– Tak, siostrze?

– Dziękuję – szepczę. – Do zobaczenia rano.

ROZDZIAŁ 19

Wracam do łóżka i zamykam oczy, czekając na sen. Mam nadzieję, że zapadnę w ciemność, czern, pustkę. Ale nic z tego. Znów wchodzę w swój świadomy sen. W mój drugi świat.

Sam powrót do życia ze snu już mnie nie szokuje. Zaskakujące jest to, że nadal siedzę w cadillacu na parkingu przy centrum handlowym. To chyba wciąż ten sam dzień, a nawet ta sama godzina. Słońce tak samo chyli się ku zachodowi. Mam na sobie ten sam karmelowy płaszcz i rękawiczki, a samochód zaparkowany jest dokładnie w tym samym miejscu. Zupełnie jakby nie upłynęła ani sekunda. Ale przecież czas wcale nie musi tutaj płynąć – tutaj, gdzie wszystko, co dobre i co złe, jest urojone.

Uruchamiam silnik, wyjeżdżam z parkingu i wracam na Springfield Street. Lars z dziećmi już wrócili; widzę kombi zaparkowane na podjeździe. Wchodzę do domu, gdzie otrząsam się z zimna i odwieszam płaszcz do szafy w holu. Czapkę, rękawiczki i torebkę odkładam na półkę nad wieszakami.

– Mamo! – Mitch i Missy obejmują mnie w pasie. Pochylam się i mocno je przytulam. Robię to z zaskakującą wręcz żarliwością, zanurzając przy tym nos w ich pachnące czystością lniane włosy i upajając się ich wonią. W prawdziwym życiu nie przytulam tak dzieci. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że to tak przyjemne uczucie. W mojej rzeczywistości jest niewiele dzieci. Oczywiście jest Greg Hansen, ale łączy nas relacja nauczyciel – uczeń pozbawiona kontaktu fizycznego. Od czasu do czasu widuję bratanice i bratanków Friedy, a do księgarni regularnie zaglądają wnuki Bradleya. Ale przecież żadnego z tych dzieci nie mogłabym z takim zapałem przytulać. Gdybym to nagle zrobiła, z pewnością byłoby to krępujące dla obu stron.

Jednak tych dwoje nie tylko pragnie, ale wręcz oczekuje ode mnie tego rodzaju więzi. Na tę myśl serce bije mi mocniej.

Po chwili wypuszczam ich z objęć i pytam:

– Dobrze się bawiliście, kochani?

– *Bardzo* dobrze – odpowiada Missy. – Ja wygrałam pierwszą grę, a tatuś drugą.

– A ja zdobyłem *strike*! – dodaje Mitch, aż podskakując z emocji. – Mamo, straciłem wszystkie kręgle za jednym zamachem!

– Brawo, świetnie się spisaliście – chwale ich. – A gdzie tatuś i Michael?

– Na górze – mówi Missy. – Tata go kąpie.

W środku dnia? To dość dziwne. Wchodzę na półpiętro i pukam do drzwi łazienki.

– To ja.

– Wejź – mówi Lars. Powoli, rytmicznie polewa nagie, chude plecy Michaela wodą z dwóch plastikowych kubków. Małeńkie kręgi jego kręgosłupa odznaczają się pod skórą jak sznur paciorków. Michael nuci sobie cicho z zamkniętymi oczami i uśmiechem na twarzy. Patrzę na Larsa pytająco.

– Nie czuł się najlepiej – wyjaśnia cicho – więc wróciliśmy do domu. Wiesz, jak uspokaja go ciepła woda.

Kiwam głową, ale nie dlatego, że znam ten sposób na uspokojenie Michaela – po prostu wydaje mi się sensowny. Mnie też pomaga kąpiel, gdy nie czuję się najlepiej. Nic nie koi lepiej niż to uczucie ciepła i łagodny plusk wody.

– Miło spędziłaś czas? – pyta Lars.

– Tak, ja... – Siadam na zamkniętym sedesie i rozglądam się wokół. Ta łazienka jest mniejsza od naszej wspólnej, ale szafki mają fronty tak samo skośne do dołu, z tą różnicą, że są białe. Ściany są lazuruowo błękitne, a wzdłuż najdłuższej z nich ciągnie się rząd białych kalkomanii przedstawiających rybki i zabawne bąbelki. Zlew, wanna i sedes są jasnoniebieskie, a posadzka nieskazitelnie biała.

Przez chwilę przyglądam się, jak strumień wody spływa po plecach Michaela.

– Pojechałam do księgarni – mówię, zdobywając się w końcu na odwagę – którą kiedyś prowadziłam... z Friedą.

Lars kieruje na mnie wzrok.

– Naprawdę? – Z jego spokojnego tonu nie potrafię odgadnąć, co o tym myśli.

– Już jej nie ma. – W lustrze nad umywalką moje oczy wyglądają na zapadnięte. – Zamknęła naszą księgarenkę na Pearl Street. Otworzyła za to sześć innych i zmieniła nazwę na: Green. Książki i prasa, ale gdy zajrzałam do jednej z nich, do tej w centrum handlowym, Friedy tam nie było, i... – Urywam. Pewnie w jego uszach brzmi to idiotycznie.

Lars nie odrywa ode mnie oczu.

– Katharyn – odzywa się w końcu. – To dawne dzieje. – Przenosi wzrok na Michaela. – Sama wiesz. Pamiętasz, prawda?

Kręcę głową.

– Nie pamiętam. Przykro mi, Larsie, ale ja wciąż... ja nie... – Przygryzam wargę i wbijam spojrzenie w swe ponure odbicie w lustrze. – Nie pamiętam wielu... szczegółów.

– No cóż – mówi tonem neutralnym, ale łagodnym. – To zrozumiałe, kochana.

– Och, Larsie. – I nagle się rozklejam. Łzy ciekną mi po policzkach.

Lars wstaje i podchodzi do mnie. Kładzie mi rękę na ramieniu i zaczyna delikatnie masować.

– W porządku, kochana – szepcze. Wiem, że ci z tym źle. Choć minęło już tyle lat.

– Co ja zrobiłam? – pytam, wiedząc, że uzna to pytanie za retoryczne. A przecież chciałabym usłyszeć odpowiedź.

– Zrobiłaś to, co musiałaś – mówi spokojnie Lars. – Zrobiłaś to dla swojej rodziny, dla swego dziecka... – Podnosi mój podbródek, abym spojrzała mu w oczy. – Wiem, że zrezygnowałaś z wszystkiego dla nas... dla niego – dodaje szeptem, wskazując oczami Michaela, który bawi się w wannie kubkami, nucąc coś pod nosem. – Wiem, co poświęciłaś. Nawet przez chwilę nie powinnaś wątpić w moją głęboką wdzięczność, Katharyn.

Idę do sypialni się położyć. Jeśli zasnę, to obudzę się w świecie, do którego należę. Gdzie wszystko ma sens i nic nie jest tak zagmatwane, jak tutaj.

Ale nie mogę zasnąć. Zamykam oczy, ale sen nie przychodzi.

Ku mojemu zdumieniu przychodzą za to wspomnienia. Jak wtedy, gdy leżałam

w zielonej wannie, albo tego wieczoru w restauracji z klientem Larsa i jego żoną. Nagle wyraźnie coś sobie przypominam.

Pamiętam tę, zdawałoby się, rutynową wizytę u położnika. Pamiętam nawet datę: 6 lipca 1956 roku. Minęło kilka tygodni drugiego trymestru ciąży; dziecko miało przyjść na świat w czasie świąt Bożego Narodzenia. Niepokoiło mnie, że mam już tak wielki brzuch. Mówiłam lekarzowi, że wciąż jestem zmęczona i źle się czuję, jakbym już miała zacząć rodzić, choć przede mną jeszcze kilka ładnych miesięcy.

– Sprawdźmy jeszcze raz bicie serca – powiedział doktor Silver. – Wiem, że próbowaliśmy już na samym początku i drugi raz przy poprzedniej wizycie kilka tygodni temu. Ale teraz już na pewno powinniśmy je usłyszeć. – Przykładał stetoskop w kilku miejscach do mojego brzucha, za każdym razem uważnie nasłuchując. Trwało to całe pięć minut, w czasie których nie odezwał się ani słowem. Wreszcie wstał.

– Zaraz wrócę, pani Andersson – powiedział. – Chciałbym, aby doktor Enright też tego posłuchał.

Leżałam tam, odchodząc od zmysłów. Nie słychać tętna, myślałam. Nie słyszy bicia serca i boi się, że dziecko jest martwe. Chce, aby potwierdził to inny lekarz.

Gdy lekarze wrócili, doktor Enright pochylił się ze stetoskopem nad moim brzuchem. Spojrzeli na siebie i pokiwali głowami, a potem naradzali się przez chwilę, odwrócieni do mnie plecami. Zaczęłam płakać, nie mogłam nic na to poradzić. Martwiłam się, jak powiem Larsowi, że nasze dziecko umarło. Będzie zdruzgotany.

Lekarze odwrócili się do mnie równocześnie. Widząc moje łzy, doktor Silver ujął moją rękę w obie dłonie.

– Proszę nie płakać, pani Andersson. Mamy dobrą wiadomość. Chciałbym jako pierwszy pani pogratulować. Doktor Enright i ja jesteśmy całkowicie pewni, że urodzi pani bliźniaki!

Wracałam do domu jak na skrzydłach. Od emocji aż mi się kręciło w głowie. Bliźniaki! Czy los mógł być dla nas łaskawszy? Poznaliśmy się tak późno – gdy oboje na dobrą sprawę straciliśmy już nadzieję na znalezienie drugiej połowy. Mało brakowało, a nie usłyszałabym w słuchawce, że z Larsem dzieje się coś złego i nie zdążyła go uratować. Okazało się, że idealnie do siebie pasujemy i zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. Błyskawicznie się pobraliśmy i wkrótce potem założyliśmy rodzinę. A teraz jeszcze to! Czy życie może być piękniejsze?

Byłam przekonana, że urodzę chłopca i dziewczynkę.

Oczywiście wtedy pracowałam jeszcze w Dwóch Siostrach, ale zadzwoniłam do Friedy i powiedziałam jej, że jestem zmęczona po wizycie u lekarza, i pojechałam do domu odpocząć. Nie zdradziłam jej nowiny o bliźniakach. Ledwo się powstrzymałam, ale przecież to Lars powinien dowiedzieć się pierwszy.

Wróciwszy do naszego małego mieszkanka, poszłam do kuchni i przygotowałam porcję białego ciasta, którą podzieliłam na dwie części. Do jednej dodałam kilka kropli czerwonego barwnika spożywczego, aby ciasto nabrało różowego koloru, a drugą część zabarwiłam na jasnoniebiesko. Rozlałam je do dwóch foremek i upiekłam, a kiedy ciasto ostygło, ułożyłam jedną warstwę na drugiej i polałam całość obfitą warstwą białego lukru.

Potem zrobiłam obiad: sałatkę ze świeżych warzyw, kotlety schabowe nadziewane

bułką tartą i szpinakiem, i purée z ziemniaków. Po obiedzie postawiłam na stole ciasto.

– Przekrój je – poleciłam Larsowi – a dowiesz się, czy będziemy mieć chłopca czy dziewczynkę.

Lars spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Myślałam, że byłaś dzisiaj u lekarza, a nie u wróżki. – Niemniej z uśmiechem wziął do ręki nóż. Nie spuszczałam go z oka, gdy odkroił kawałek ciasta i spojrział na mnie zdezorientowany.

– Gratulacje, tatusiu – zawołałam. – Będziemy mieli bliźniaki!

Roześmiał się i pokręcił głową.

– To niesamowite. – Posadził mnie sobie na kolanach, a między nami sterczał mój wielki brzuch. – A skąd moja piękna żona ma taką pewność, że to nie dwaj chłopcy? Albo dwie dziewczynki?

Uśmiechnęłam się.

– To się czuje. Tutaj. – Dotknęłam serca. A potem położyłam dłoń na jego piersi i dodałam szeptem: – I tutaj.

Szkoda, że nie pamiętam reakcji Friedy na wiadomość, że będę miała bliźniaki. Dzięki temu na pewno lepiej rozumiałabym, co się między nami stało. Ale nie pamiętam, co powiedziała. Wiem za to, że zanim sama usłyszałam tę wielką nowinę, gdy jeszcze myślałam, że będę miała jedno dziecko, planowałam przynosić je ze sobą do Dwóch Sióstr. Frieda, jeśli mnie pamięć nie myli, nie widziała w tym problemu. Wyobrażałam sobie, że podczas gdy my będziemy zajmować się sklepem, moje dzieciątko będzie sobie smacznie spało w stojącej w kącie kołysce.

– Kiedy maluszek zacznie być bardziej ruchliwy, wynajmę opiekunkę – zapewniłam Friedę. – Będzie dobrze. Tutaj wszystko zostanie po staremu.

Skinęła głową.

– Cieszę się. – Ścisnęła moją dłoń. – Nie zostawiaj mnie, siostro. Nie porzucaj mnie.

– Nigdy – odparłam stanowczo. – Wszystko się ułoży.

– W odpowiedniej chwili pomogę ci kogoś znaleźć – zaproponowała. – Wykorzystamy koneksje moich rodziców. To musi być ktoś z doskonałymi kwalifikacjami, Kitty. Ktoś kompetentny, komu będziesz mogła zaufać. Pomogę ci. Chcę, abys była pewna swojej decyzji.

Kiwnęłam głową z wdzięcznością.

– To wspaniale. Dziękuję ci, Friedo.

Tak. Tę rozmowę dobrze pamiętam.

Informując mnie, że spodziewam się bliźniąt, doktor Silver ostrzegł mnie, że nie powinnam się przemęczać. Przekonał mnie, by ograniczyć pracę w księgarni do kilku porannych godzin. Obiecałam Friedzie, że postaram się, aby wszystko wróciło do normy jak najszybciej. Przyrowadzanie do pracy dwójki dzieci nie wchodziło w grę, ale stwierdziłyśmy, że po prostu trzeba będzie szybciej zatrudnić opiekunkę.

Pamiętając o mojej obietnicy, Frieda nie przejęła się zbyt, gdy lekarz położył mnie do łóżka w dwudziestym ósmym tygodniu ciąży. Nie musiałam bez przerwy leżeć, ale nie wolno mi było wychodzić z mieszkania. Rano mogłam przynosić się z łóżka na kanapę. Od czasu do czasu mogłam się przejść z pokoju do pokoju, aby rozprostować

nogi. Mogłam też zrobić sobie lunch, jeśli akurat byłam sama.

Ale rzadko bywałam sama. Moja matka odwiedzała mnie niemal codziennie. Opiekowała się mną, przyrządzała posiłki, dotrzymywała towarzystwa. Pamiętam, że często jej za to dziękowałam, na co ona odpowiadała:

– Nie musisz mi dziękować, kochanie. Każda matka zrobiłaby to samo. Jak myślisz, na co czekałam przez te wszystkie lata? W końcu zostanę babcią!

Co wieczór po powrocie z pracy Lars zasypywał mnie pocałunkami i uśmiechami. Często przynosił mi kwiaty, a także powieści albo krzyżówki, żebym miała się czym zająć. Dzwonił do mnie wiele razy dziennie, żeby zapytać, jak się czuję.

– Po prostu chciałem usłyszeć twój głos – mówił, gdy odbierałam telefon.

Aslan, mój drogi Aslan, wiernie mi towarzyszył, leżąc obok mnie i mrucząc z zadowoleniem.

– Gdyby to od niego zależało – mówiłam żartobliwie Larsowi i mamie. – To już na zawsze zostałabym na tej kanapie, wiecznie w ciąży.

Czy Frieda odwiedzała mnie w moim kanapowym więzieniu? Nie mogę sobie tego przypomnieć – chociaż przecież musiała wpadać od czasu do czasu. Jak często? Nie mam pojęcia.

Wertowałam książeczki z dziecięcymi imionami i co wieczór rozmawiałam na ten temat z Larsem. Uparłam się, by wybrać tylko jedno imię dla dziewczynki i jedno dla chłopca, bo tak bardzo byłam pewna, że dobrze przewidziałam płeć naszych dzieci. Po wielu dyskusjach zgodziliśmy się na Mitchella Jona i Melissę Claire. Postanowiliśmy nadać Mitchellowi drugie imię po ojcu Larsa, a Melissie – po mojej matce. Uznaliśmy, że będziemy je nazywać Mitchem i Missy.

Mimo moich wysiłków, aby donosić ciążę do końca, udało mi się wytrzymać jedynie do trzydziestego czwartego tygodnia – czyli nieco ponad siedem i pół miesiąca. Wieczorem dwunastego listopada, gdy leżałam na kanapie, oglądając z Larsem telewizję, nagle odeszły mi wody. A potem poczułam pierwszy bolesny skurcz.

– Larsie, dzieci... Chyba się zaczęło – wykrztusiłam.

– Niemożliwe! – zawołał. W jego zazwyczaj spokojnym głosie usłyszałam panikę.

– To za wcześnie.

Wzruszyłam ramionami. Nawet się roześmiałam.

– Im to powiedz.

W szpitalu powiedziano nam, że trzeba będzie wykonać cesarskie cięcie.

– Dzieci nie przeżyłyby naturalnego porodu – zakomunikował nam doktor Silver surowym tonem.

Próbowałam racjonalnie wmówić sobie, że wcale nie chciał mnie zbesztać – ale tak właśnie to zabrzmiało.

Pamiętam, że Lars trzymał mnie za rękę i powoli rozluźniał uścisk, gdy odwożono mnie na salę operacyjną. Pamiętam anestezjologa, starszego pana o życzliwym wyrazie twarzy.

– Proszę odliczać od dziesięciu, moja droga – powiedział. Doliczyłam do sześciu i nic więcej nie pamiętam.

Kiedy się obudziłam, byłam już w zwykłej sali szpitalnej. Czulałam palący ból

brzucha. Krzywiąc się, odwróciłam głowę na bok i zamknęłam oczy. Gdy je ponownie otworzyłam, ujrzałam Larsa siedzącego przy moim łóżku.

– Dzieci... Są zdrowe? – wyszeptałam słabo.

Uśmiechnął się ze znużeniem.

– Zdrowe. Są na intensywnej terapii, bo ich małe płuca wymagają wspomagania.

Ale dobrze sobie radzą i lekarz jest dobrej myśli.

– Miałam rację, prawda? Chłopiec i dziewczynka?

Pokręcił głową.

– *Prawie* miałaś rację.

– Prawie? Co to znaczy?

– Dziewczynka, kochanie. I chłopiec. I... chłopiec.

Przez chwilę się nie odzywałam. Nie byłam pewna, czy właściwie zrozumiałam jego słowa. I nagle zaczęło do mnie docierać.

– Chcesz powiedzieć, że to były... trojaczki?

– Były i są. Tak jest. Trojaczki. Lekarz uważa, że jeden malec schował się za pozostałą dwójką, dlatego słyszeli bicie tylko dwóch serduszek. – Lars wypuścił powietrze z płuc i ujął mnie za rękę. – Więc mamy Mitcha i Missy. A jak nazwiemy tego trzeciego koleżkę?

Leżę w łóżku w naszej zielonej sypialni, wspominając to wszystko, jakby wydarzyło się wczoraj.

Jakby wydarzyło się *naprawdę*.

Myślę o Michaelu i o tym, że na zawsze został „tym trzecim koleżką”.

Tym nieplanowanym. Wręcz zupełnie nieoczekiwanym.

A kiedy już się pojawił na tym świecie, z pewnością nikt nie spodziewał się, że będzie taki, jaki jest.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy się budzę, jestem w domu – jeśli tak można nazwać to ciche mieszkanie z optymistycznymi, żółtymi ścianami i fałszywym poczuciem spokoju.

„Fałszywym?”, zadaję sobie pytanie, wstając z łóżka. Jakaś częśćka mnie zaczęła się zastanawiać, co jest prawdą, a co urojeniem. Czy to możliwe, że coś tak realnego jak ten świat, który dzielę z Larsem i dziećmi, jest urojony?

Otrząsam się z tej myśli i zaparzam sobie kawę na wyostrenie umysłu. Jest poniedziałkowy ranek. Wczoraj, całe szczęście, Rosjanie zgodzili się wycofać swoją broń nuklearną z Kuby, a wszyscy Amerykanie odetchnęli z ulgą. Łącznie ze mną, rzecz jasna; wybrałam się do Friedy i razem obejrzałyśmy retransmisję wiadomości, siedząc obok siebie na kanapie przed telewizorem i popijając czarną herbatę z miodem, bez śmietanki. Frieda nigdy nie ma w domu śmietanki, co nieodmiennie mnie irytuje.

– Dzięki Bogu – skomentowała, paląc jednego salema za drugim i prawie nie ruszając swojej herbaty. – Dzięki Bogu.

Pomimo ulgi, jaką odczuwam wraz z innymi Amerykanami, to, co powiedziałam Friedzie w środku nocy w zeszłym tygodniu, było prawdą – nigdy nie przerażała mnie ta sytuacja na Kubie. Przecież nikt nie mógł nic na to poradzić, a chyba zbyt trudno było mi wyobrazić sobie, że faktycznie może dojść do wybuchu trzeciej wojny światowej. A może po prostu mój umysł jest za bardzo pochłonięty tymi osobliwymi snami, by mógł dostrzegać szerszą perspektywę. Tak czy owak, to zagrożenie nigdy nie wydawało mi się tak poważne i nieuniknione, jak reszcie społeczeństwa.

Popijając kawę, układam sobie w głowie ostatnie wydarzenia. Pamiętam, że w nocy zadzwoniłam do Friedy, i pamiętam, że mnie pocieszała. Pamiętam, że wczoraj usłyszałam o konflikcie na Kubie i wybrałam się do przyjaciółki, aby obejrzeć telewizję. Ale co się działo pomiędzy tymi zdarzeniami? Kręcę głową. Nie potrafię sobie tego przypomnieć. Nie mam pojęcia, co robiłam, z kim rozmawiałam ani o czym myślałam.

Biorę ostatni łyk kawy, czując ogarniającą mnie panikę. Jak to możliwe? Przeszukuję pamięć, ale nie znajduję żadnych wspomnień. Zaglądam do kosza na śmieci, ale jedyną gazetą, jaką tam znajduję, jest wczorajszy „Post”, wymięty i pognieciony pod warstwą tartej bułki i opakowania po batoniku Hershey’s. Nawet nie pamiętam, abym go jadła. Kiedy to się stało? Gdzie byłam, co robiłam, gdzie kupiłam ten batonik? Czuję, że koniecznie muszę przypomnieć sobie te wszystkie szczegóły, ale w głowie mam pustkę.

Muszę się pozbierać, myślę, wychodząc po pocztę. W skrzynce czeka na mnie pocztówka od matki. Musiała ją napisać, zanim skończyła się ta sytuacja na Kubie.

Droga Kitty,

przypuszczam, że słyszałaś już o tej broni na Kubie. To straszne, prawda? Muszę przyznać, że czujemy się tu bardzo odizolowani. I boję się o Ciebie, kochanie. Nie sądzę, aby ten szalenięć Castro wycelował swoje pociski w Hawaje. Raczej w stany kontynentalne. A chociaż Ty, dzięki Bogu, mieszkasz tysiące kilometrów od wschodniego

wybrzeża, bardzo się z ojcem martwimy.

Zamiast wracać do domu w przyszłym tygodniu, sprawdzimy loty, abys Ty mogła tu do nas przylecieć.

Uściski

Mama

Kręcę głową. Uwielbiam moją matkę i miło mi, że się o mnie niepokoi. Ale czy ona naprawdę sądzi, że tak po prostu spakuję się i wyjadę? Wsiądę do samolotu i zostawię Friedę, księgarnię, Aslana i całe moje życie? Dobrze, że ten cały kubański kryzys już się skończył.

Na szczęście dzisiaj mam wolne i nie muszę iść do pracy. Postanowiłam, że pojedę przewietrzyć dom rodziców. Poodkurzam pokoje i może jeszcze zgrabie liście w ogródku. Chcę, aby wszystko było idealne, kiedy wrócę do domu. Skoro kryzys na Kubie został zażegnany, nie będą zmieniać swoich planów; wyjadą z Honolulu w środę wieczorem, a tutaj dotrą w czwartek.

Wkładam stare rybaczki i wystrzępioną, dzinsową bluzę, związuję włosy chustką i wyciągam mój rower z szopy za bliźniakiem. Jest chłodny, pochmurny dzień. Jadę Downing Street, przejeżdżam przez most nad Valley Highway, potem trochę pod górę, skręcam w prawo i dalej Louisiana Avenue, wzdłuż południowego skraju Parku Waszyngtona – tego, w którym byłam z Michaelem kilka snów temu.

Mijam liceum South High, moją Alma Mater. Jej dzwonnica wznosi się ponad domami i drzewami, a zegary umieszczone na każdej ścianie wskazują godzinę ósmą. Słychać cichy gwar uczniów spieszących do szkoły na poranne lekcje. Wydają się niezwykle przygaszeni jak na tak wczesną godzinę – pamiętam, że za moich czasów o tej porze panowało tu hałaśliwe ożywienie i niecierpliwe oczekiwanie na to, co przyniesie rozpoczynający się dzień.

Zatopiona w myślach przyglądam się tym młodym ludziom, mijając ich na rowerze. Gdy sama byłam uczennicą – typową zbuntowaną nastolatką – uważałam tę szkołę za coś w rodzaju sali tortur wymyślonej tylko po to, by jeszcze wzmocnić moją mękę. Nic nigdy nie układa się po mojej myśli, biadoliłam, czując się bardziej sponiewierana przez życie niż wszyscy bohaterowie Dickensa razem wzięci. Podobałam się niewielu chłopcom i w przeciwieństwie do większości koleżanek z klasy nie otaczał mnie wianuszek wiernych psiapsiółek. Nawet niektórzy nauczyciele nie bardzo mnie kojarzyli. Pamiętam pewien szczególnie krępujący incydent, kiedy moja nauczycielka algebry panna Parker przez pomyłkę zwróciła się do mnie imieniem jednej z najbardziej nielubianych dziewczyn w całej klasie, Melviny Jones, która na dokładkę była w tym dniu nieobecna. Melvina była niechlujna, miała nadwagę i nosiła okulary; no i jeszcze to imię – nic dziwnego, że biedaczka była skazana na towarzyską porażkę. Na moje nieszczęście

miała kręcone włosy w kolorze rudawego blondu, podobne do moich. Nikt nie miał wątpliwości, o kogo chodzi nauczycielce, gdy spojrzała na mnie i wymówiła imię Melviny.

– Och! – dodała szybko panna Parker, uświadomiwszy sobie swój błąd. – Ty nie jesteś Melvina. Chciałam powiedzieć Kitty... Przepraszam, Kitty. Zadanie dwunaste ze strony dziewięćdziesiątej ósmej. Podejdź do tablicy i zapisz rozwiązanie.

Gdy z rumieńcem wstydu wykonałam jej polecenie, panna Parker uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. Grzecznie skinęłam głową, ale mleko już się rozlało – o czym niezbitcie świadczyło rozbawienie całej klasy.

Gdyby nie Frieda, te lata byłyby dla mnie nie do zniesienia. Przypominam sobie, jaką wtedy była osobą i jak jej pewność siebie wpłynęła na mnie – jak czarodziejski pył na nieśmiałą dziewczynkę z bajki. Byłam przekonana, że jedynie przyjaźń z Friedą różniła mnie, przynajmniej troszeczkę, od wszystkich Melvin Jones tego świata.

Pewnego dnia przeczytałam fragment z psychologicznej części podręcznika do lekcji o zdrowiu, w którym napisano, że jeśli człowiek ma choć jednego prawdziwego przyjaciela, to nie jest nienormalny. Odetchnęłam wtedy z ulgą. Miałam Friedę, więc uznałam, że dopóki będę się jej trzymała, dopóty wszystko będzie dobrze.

Z nostalgią myślę o tamtych czasach. Szkoda, że nie mogę wrócić i powiedzieć piętnastoletniej sobie, że ten fragment mówił prawdę. Że wszystko będzie dobrze. Że dorosnę i będę szczęśliwa. Że pewnego dnia będę miała wszystko, czego pragnę.

Ale czy tak jest? Już nie jestem taka pewna, czy rzeczywiście „wszystko”. Owszem, jestem zadowolona. Musiałam zmierzyć się z cierpieniem i ze stratą, ale to, co mam – księgarnię, Friedę, rodziców, Aslana, moje nieskomplikowane życie – wydaje mi się wystarczające.

A to drugie życie? Jakie jest?

Kręcę głową i zaczynam szybciej pedałowac. Chcę jak najszybciej dojechać do domu rodziców, a tam jak najszybciej ubrudzić się i spocic. Muszę skupić się na konkretnym, realnym świecie, który mnie otacza. Muszę skończyć z tymi jałowymi spekulacjami.

W domu panuje duszna i ciężka atmosfera jak w grobowcu. Ta posepność wywołuje we mnie niepokój, więc czym prędzej odsuwam zasłony i otwieram wszystkie okna.

Wyglądają na brudne, więc wlewam do wiadra ciepłą wodę, ocet i sok z cytryny i przecieram szyby starą ścierką. Chłód i wilgoć późnej jesieni mi nie pomagają, ale nie ustaję w wysiłkach. Lekka bryza i cytrynowy zapach sprawiają, że dom pachnie świeżo jak dziecko po kąpielu. To mimowolne porównanie wywołuje na mojej twarzy uśmiech. A skąd ja niby wiem, jak pachnie wykąpane dziecko? Nigdy w życiu żadnego nie kąpałam.

Nagle widzę na ulicy zbliżającą się Friedę. Nie umawiałyśmy się, że przyjdzie, ale jej wizyta mnie nie dziwi. Wiedziała, że będę tu dzisiaj sprzątać, a przecież często spotykamy się nawet w te dni, kiedy mamy wolne. Gdy podchodzi bliżej, wychylam się z okna i wołam ją po imieniu, a ona macha do mnie i przyspiesza kroku, skręcając z chodnika na ścieżkę prowadzącą do domu. Opuszczam swój posterunek i idę się z nią

przywitać.

– Jak się masz, siostrze? – Nachyłam się, aby ją mocno uściskać.

– Kapitalnie – odpowiada, oddając mi uścisk, który rozluźnia dopiero po chwili. – Cieszę się, że się zachmurzyło. Zabawne, ale to miła odmiana po tych wszystkich słonecznych dniach. – I prawie jednym tchem dodaje: – Spójrz, udało mi się kupić chyba najdoskonalsze jabłka na świecie. – Zanurza rękę w swej dużej, szarej, skórzanej torebce i wyjmuje dwa czerwono-zielone jabłka. – Widziałaś kiedyś coś równie boskiego?

Kręcę głową.

– Cudowne.

Podaje mi jedno i już po chwili zajadamy się, siedząc obok siebie na sofie.

– Gotowa na wielkie powitanie rodziców? – pyta Frieda.

Uśmiecham się.

– Czy to nie żalosne? – pytam. – Mam trzydzieści osiem lat i nie mogę się doczekać, kiedy moi rodzice wrócą do domu z wakacji.

Wzrusza ramionami.

– Nic w tym żalosnego. Moim zdaniem to miłe.

Frieda nie jest tak blisko ze swoimi rodzicami, jak ja ze swoimi. Nie chodzi o to, że pokłóciła się z Margie i Lou, po prostu nie łączy jej z nimi zbyt wiele. Margie nigdy nie rozumiała ambicji Friedy, by zostać bizneswoman. Była rozczarowana, że jej córka nie znalazła sobie „porządnego męża” – nadzianego, młodego człowieka należącego do elity Denver – mimo że na przestrzeni lat Frieda miała wiele propozycji, a jej rodzice powitaliby w rodzinie każdego z tych kandydatów z otwartymi rękami.

– To nie w porządku – powtarzała Margie przy niejednej okazji. – Taka ładna dziewczyna, masz wszystko na wyciągnięcie ręki, a marnujesz się w jakimś sklepiku. – Nigdy nie mówi tego wprost, ale nietrudno się domyślić, że jej zdaniem taki los jest w sam raz dla mnie.

Co do Lou, bardziej interesują go jego synowie i ich rodziny, a zwłaszcza wnuki, niż księgarski świat Friedy. Lou grał w futbol w college’u i był nawet w drugim składzie Niedźwiedzi, pierwszej profesjonalnej drużyny piłkarskiej z Denver, zanim rzucił profesjonalny sport i został biznesmenem. Na zjazdach rodzinnych zwykle można go było znaleźć na podwórku, gdzie grał w piłkę z chłopcami. Życie Friedy, które kręci się głównie wokół sklepu, książek i mnie, niewiele go interesuje. Sama Frieda nieraz próbowała połączyć te dwa światy, przynosząc mu książki o sportach, wędkarstwie i myślistwie; zawsze uprzejmie za nie dziękuje i natychmiast gdzieś odkłada. Frieda znajduje je później równo ułożone na półce w pokoju rodziców, przykryte warstwą kurzu.

Jednak to nie wszystko – są jeszcze pieniądze. Bez wsparcia finansowego jej rodziców nie osiągnęłybyśmy tego, co mamy obecnie.

Kiedy otwierałyśmy „Dwie Siostry”, moi rodzice dołożyli nam niewielką sumkę, choć był to z ich strony raczej miły gest niż znacząca pomoc, bo nie mieli zbyt wielkich oszczędności. To wkład rodziców Friedy pozwolił nam wystartować. Pamiętam dzień, w którym podpisałyśmy umowę kredytową – siedziałam w banku obok Friedy i jej ojca, a za biurkiem przed nami zasiadał urzędnik.

– A zatem chce pan zaryzykować w imieniu tych dziewczyn – powiedział urzędnik.
– Czy to aby rozsądne? – Uśmiechnął się niby zartobliwie, ale nietrudno było odgadnąć, że to nie do końca żart. Bez wątplenia, jego zdaniem, nie było w tym nic rozsądnego.

– Żona by się z panem zgodziła – szorstko odparł Lou. – Ale i tak to zrobimy.

Co miesiąc sumiennie spłacamy nasz kredyt, choć czasem spóźniamy się z płatnością przez zwykły brak przepływu gotówki. Rodziców spłaciłyśmy najszybciej, jak się dało. Nigdy więcej nie poprosiłyśmy nikogo o pieniądze. Moi rodzice nie mieli oszczędności, a rodzice Friedy... Cóż, ich majątek ją krępował. Zdecydowanie wolałaby, abyśmy otworzyły naszą księgarnię bez niczyjej pomocy – gdyby to było możliwe.

– Tylko ten raz – wyszczała, jak tylko wyszłyśmy z banku, nie czekając na jej ojca, który wymieniał z bankierem uścisk dłoni. – Ten jeden raz, Kitty. Nigdy więcej.

Kilka lat temu wpadłyśmy w tarapaty finansowe. Było to tuż po zamknięciu linii tramwajowej, kiedy nasze zyski gwałtownie spadały, a długi rosły. Pamiętam, że spytałam Friedę, czy zgodziłaby się poprosić rodziców o kolejną pożyczkę, a ona odmówiła.

– Coś wymyślimy – oznajmiła stanowczo. – Będziemy musiały.

Może był to przypadek, a może przeznaczenie, nie wiem, ale wkrótce potem zmarł mój dziadek ze strony matki, zostawiając tysiąc dolarów dla każdego ze swoich wnuków, w tym dla mnie. Dzięki tym pieniądzą zachowałyśmy wypłacalność, spłaciłyśmy zaległe raty kredytu i uregulowałyśmy czynsz za dwa ostatnie miesiące. Wprowadziłyśmy pewne zmiany w księgarni i wykupiłyśmy kilka reklam w lokalnej prasie, ale miałyśmy też trochę szczęścia – niedaleko nas otwarto sklep z kanapkami, a przecnicę dalej restaurację z prawdziwego zdarzenia. Te lokale przyciągnęły do nas nowych klientów, z których część zaglądała do nas regularnie. Na szczęście zdołałyśmy utrzymać się na powierzchni.

Dzięki mojemu małemu spadkowi Frieda nie musiała prosić rodziców o pieniądze. Wiem, że była mi za to wdzięczna.

– Zrobię wszystko, bylebym tylko nie była im nic winna – powiedziała mi. – Wszystko. – Wyciągnęła rękę nad ladą w Dwóch Siostrach, ujęła moją dłoń i mocno ją ścisnęła. – Dziękuję, Kitty – dodała.

Siedząc na sofie w domu moich rodziców, w zamyśleniu wbijam zęby w jabłko.

– Przypominasz sobie, żebym jadła wczoraj jakiś batonik? – pytam Friedę. – Albo przedwczoraj?

Kręci głową.

– Co takiego?

– Batonik Hershey's. – W moim głosie słychać zniecierpliwienie – idiotyczne, nielogiczne. – Mleczno-czekoladowy batonik Hershey's. Czy jadłam go w twojej obecności wczoraj lub przedwczoraj?

Uśmiechając się, Frieda odgryza następny kęs jabłka.

– Naprawdę nie przypominam sobie takiego zdarzenia.

– A co sobie przypominasz? – dopytuję się. – Co pamiętasz z ostatnich dwóch dni?

– Rozglądałam się po znajomym salonie mojej matki; widzę zdezelowane, lecz wygodne krzesła obite aksamitem, porysowane, lecz schludne, wiktoriańskie stoliki, wytarty

dywanik. – Bo ja nie pamiętam prawie nic.

Frieda wzrusza ramionami.

– Wczoraj przyszedł do mnie i przez cały dzień oglądałyśmy telewizję. To chyba pamiętasz? – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Proszę, powiedz, że pamiętasz, że nasz kraj nie jest już zagrożony bezpośrednim atakiem nuklearnym.

Przytakuję.

– To pamiętam. Ale nic więcej. Co robiłyśmy w sobotę albo w piątek? Albo kilka dni wcześniej? Nie pamiętam niczego od tamtego wieczoru, kiedy wpadłyśmy na Kevina.

Frieda patrzy mi prosto w oczy.

– Wszystko w porządku, sestro? – pyta łagodnie.

I znowu kusi mnie, żeby opowiedzieć jej o wszystkim. O moich snach, o tych beładnych wspomnieniach. Ale nie mogę. Wzruszam ramionami.

– Jasne. Jest okej. Pogadajmy o czymś innym.

Frieda rozgląda się po pokoju.

– Nieźle to wygląda.

– Miną wieki, zanim skończę sprzątać – jęczę.

Kręci głową.

– Nie, już jest dobrze. Będą zadowoleni. – Znowu się do mnie szczerzy. – Ale wiesz, że wcale nie musisz tego robić, prawda?

Owszem, wiem. Ale tak to już jest, że człowiek zawsze chce zadowolić rodziców. Nawet gdy jesteśmy dorośli, nawet gdy sami jesteśmy już prawie w średnim wieku. To pragnienie nie znika, przynajmniej w moim przypadku.

Frieda dojada jabłko.

– Dobra, ja znikam – mówi, wstając. – Muszę zrobić zakupy. W Penney's jest wyprzedaż. Chcę nowy płaszcz zimowy.

Kiwam głową.

– Szkoda, że nie mogę pójść z tobą. Baw się dobrze.

Obejmuje mnie.

– Ty też, sestro.

Po wyjściu Friedy, rzucam się w wir pracy i do południa cały dom aż lśni. Rozglądam się z wyrazem zadowolenia na twarzy. Odwaliałam kawał dobrej roboty. Będą zadowoleni.

Na myśl przychodzi mi ten pełen zakamarków dom przy Springfield Street. Ciekawe, jak moje drugie ja utrzymuje w nim porządek, nawet z pomocą wiernej Almy. I nagle parskam śmiechem.

Łatwo utrzymać porządek w urojonym domu, prawda?

Wbrew postanowieniu, aby nie skupiać się na życiu ze snu, znów ciągnie mnie do Southern Hills.

Wmawiam sobie, że to nic wielkiego, sposób na spędzenie chłodnego, lecz jeszcze nie mroźnego wieczoru. Z domu rodziców wracam do siebie na rowerze, ale jestem zbyt zmęczona, by dalej pedałowac, więc do Yale Avenue jadę autobusem, a potem idę na południe i skręcam na wschód.

Włóczę się po okolicznych ulicach. Wyobrażam sobie mieszkańców tych

wszystkich domów. Rozmyślam o ich życiu, rodzinach, dzieciach. W tamtym domu, tym z czerwonej cegły, z krzakami jałowca przy podjeździe, na pewno mają nastoletnie dzieci. Nad drzwiami garażowymi wisi obręcz do koszykówki, a na trawniku przed werandą leży sterta rowerów, za dużych dla małych dzieci. Co do rodziny z domu o brązowych okiennicach – myślę, że ich samochód jest nowiuteńki: czerwony z białym dachem i połyskiem jak z salonu wystawowego. Pan domu stoi obok i czule gładzi ręką jego bok, jak rodzic gładzący policzek noworodka.

Ci ludzie mają swoje imiona, których nie znam. Mają swoje historie. Wychowywali się prawdopodobnie w staroświeckich dzielnicach jak Myrtle Hill, gdzie sama dorastałam. Chodzili do liceum, może do college'u. Poznali swoje drugie połowy, spłodzili dzieci. Uznali, że właśnie to osiedle nowo wybudowanych domów zapewni ich rodzinom wygodę, przytulność i bezpieczeństwo.

Lars i ja z tego wyimaginowanego świata myślimy zapewne tak samo.

Gdyby ten świat ze snu był prawdziwy, to właśnie ci ludzie byłiby moimi znajomymi i sąsiadami. Przechodzę obok domu Nelsonów, ciesząc się irracjonalnie, że znam nazwisko choć jednej tutejszej rodziny, mimo iż w tym życiu oni mnie nie znają. George grabi liście na podwórku. Pani Nelson – wciąż nie wiem, jak ma na imię – właśnie wychodzi z domu. Z nadgarstka zwisa jej torebka, w ręku trzyma kluczyki do samochodu. Ich mały spaniel podbiega do mnie, szczekając.

– Buster – woła George, a kiedy piesek wraca do jego nogi, dodaje: – Przepraszam panią.

Małżonkowie lekko unoszą dłonie, gdy ich mijam. Tak, jak się pozdrawia nieznajomych, nie sąsiadów.

Kręcąc głową, podchodzę do pustej działki, na której we śnie stoi mój dom. I nagle przyspieszam kroku.

Muszę skończyć z tym wariactwem, besztam się.

Tak się cieszę, że rodzice wracają do domu. Naprawdę czas zająć się czymś innym.

ROZDZIAŁ 21

I nagle zdaję sobie sprawę, że choć stoję w tym samym miejscu, na tej samej ulicy, nie jestem już w realnym świecie. Teraz mam przed sobą swój dom, patrzę na niego, a obok mnie stoi moja rodzina. Jest dość ciepło, ale wciąż trwa zima. Co prawda na drodze nie ma śniegu, ale jego resztki topnieją na trawniku, zamieniając się w kałuże brei. Cienie na śniegu wskazują, że prawdopodobnie jest popołudnie.

Ale jakim cudem znalazłam się w tym śnie? Nie pamiętam, abym wracała autobusem do domu. Nie przypominam sobie gotowania obiadu, czytania, oglądania telewizji ani uczenia Grega, czyli tego wszystkiego, co zwykle robię wieczorami. Nie pamiętam gaszenia światła na werandzie, karmienia Aslana ani rozbierania się do snu. Czy potem zamknęłam oczy i zasnąłam? Przecież musiałam to wszystko zrobić.

Albo cokolwiek innego. Cokolwiek.

Mitch i Missy niepewnie jeżdżą na rowerkach bez podpórek – jego jest zielony, a jej różowy. Lars pomaga im, krążąc od jednego do drugiego. Podpórki zdjęto pewnie niedawno, bo dzieci wciąż jeszcze się przewracają. I to często.

Missy upada, lądując na łokciu.

– Au!

Zanim zdążę zareagować, Lars podbiega i pomaga jej wstać. Kilka razy delikatnie porusza jej ręką, aby upewnić się, że łokieć działa prawidłowo.

– Nie poddawaj się – mówi do córki, podnosząc rowerek i pomagając jej wsiąść na siodełko. – Trzeba sporo ćwiczyć, żeby się nauczyć.

Lars patrzy na mnie z uśmiechem. A potem odwraca się bokiem i robi zamach ręką, jakby uderzał piłeczkę tenisową. Automatycznie robię to samo. Lars jest mańkutom, a ja jestem praworęczna, więc wyglądamy jakbyśmy grali z wyimaginowanymi przeciwnikami. Nagle uświadamiam sobie, że często odgrywamy z Larsem taką pantomimę. Dzięki temu bez słów przypominamy sobie, że gramy w tej samej drużynie – nie tylko w tenisie, ale i w życiu. Daję mu znak skinieniem, a on wraca do Mitcha i Missy.

Wtedy zauważam, że Michael nie jeździ. Siedzi na podjeździe, wpatrując się w pomarszczoną tkaninę swoich spodni. Obok niego stoi niebieski rowerek – ten wciąż ma założone podpórki.

Przyglądam mu się przez chwilę, a potem podchodzę i siadam obok Michaela.

– Michaelu? – pytam z wahaniem. – Nie chcesz sobie pojeździć?

Kręci głową, nie podnosząc wzroku.

– Możesz spróbować, wiesz? – przekonuję go łagodnie. Wierzę, że słusznie. Wiem, że wielu rzeczy nie umie zrobić, ale *może* nauczyć się jeździć na rowerku. Jestem tego pewna.

Jeszcze raz kręci głową – bez słowa, nie patrząc mi w oczy.

Uważnie przyglądam się jego rowerkowi. Jest bardzo ładny i wygląda na zupełnie nowy – aż lśni i nie ma ani jednej ryski. Przypominam sobie, że trojaczki urodziły się w listopadzie, więc może te rowerki to prezent na ich szóste urodziny.

Duże, podwójne drzwi garażu stoją otworem.

– Zaraz wrócę – obiecuję Michaelowi, wstając i otrzepując spódnice.

Wchodzę do garażu i rozglądam się. Stoi tu i kombi, i cadillac. Garaż jest tak duży, że oprócz samochodów mieszczą się w nim także sanki, rowery i kosiarka.

Swój rower znajduję bez trudu. To ten sam, poobijany schwinn, który mam w prawdziwym życiu. Podejrzewam, że Lars proponował mi kupno nowego roweru, ale ja pewnie nie chciałam. Samochód, wytworne stroje i pierścionek z brylantem – proszę bardzo, ale mój rower to co innego. Jesteśmy razem już od jakiegoś czasu, mój schwinn i ja; kupiłam go na początku swojej nauczycielskiej kariery, abym mogła dojeżdżać do szkoły. Niełatwo przyszłoby mi się z nim rozstać.

Wyprowadzam go z garażu i podjeżdżam do Michaela. Zatrzymuję się, lekko wciskając pedał hamulca.

– Mama pojeździ razem z tobą – namawiam chłopca.

Michael nie odpowiada.

Wiem, że powinnam dać spokój, ale po prostu nie mogę. Bardzo mi zależy – z powodów, których nie potrafię odgadnąć – aby zbudować między nami tę więź.

Aby ze mną pojeździł. Aby właśnie rower stał się tym, co nas łączy.

Chwytam go za ramię i próbuję podnieść.

Chyba jednak powinnam już wiedzieć, że to nie jest dobry pomysł.

Wrzask, który z siebie wydaje, sprawia, że cofam się o krok, rzucam rower i zasłaniam sobie usta dłońmi, jakbym w ten sposób mogła uciszyć Michaela. Missy i Mitch zatrzymują się i gapią się na nas w milczeniu. Lars szybko do nas podchodzi, piorunując mnie wzrokiem.

– Miałam nadzieję... Myślałam, że go przekonam... – Urywam.

Lars pochyła się, chwyta chłopca za ramiona i zaczyna nucić. Po chwili Michael przestaje krzyczeć i wtóruje Larsowi, aż obaj wpadają w lekki śpiewny trans. Jakby na świecie nie było nikogo poza nimi dwoma.

Przygryzam wargi i odwracam się.

Podnoszę swój schwinn i podchodzę do Missy i Mitcha.

– Tatuś zajmie się Michaeliem – mówię, wsiadając na swój rower. – A wy pokażcie mi, czego się nauczyliście.

ROZDZIAŁ 22

W środę po południu mam umówioną wizytę u Linnei.

W drodze do jej salonu piękności zastanawiam się, co robiłam od poniedziałku do środy. Tak jak kilka dni temu, kiedy nie pamiętałam niczego, co wydarzyło się od połowy zeszłego tygodnia do początku bieżącego, tak i teraz nie przypominam sobie zbyt wielu szczegółów. Nie przypominam sobie, jak i kiedy skończył się mój ostatni sen, ten o jeździe na rowerach z dziećmi, po którym obudziłam się w swym bezpiecznym łóżku. Nie pamiętam, abym wstawała we wtorek rano. A przecież musiałam wstać, zrobić śniadanie, nakarmić Aslana. Musiałam zrobić zakupy i pójść do pracy. Na pewno obsługiwałam klientów, zajmowałam się zamówieniami, układałam książki na półkach i rozmawiałam z Friedą. O czym? Nie pamiętam. *Wydaje mi się*, że mówiłyśmy o tym lokalu do wynajęcia w centrum handlowym. *Wydaje mi się*, że omawiałyśmy kwestie finansowe, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Czy postanowiłyśmy umówić się na spotkanie w banku, aby porozmawiać na temat prolongaty naszej pożyczki? Być może, ale nie pamiętam z tej dyskusji nic konkretnego.

Czekając na zmianę świateł przy przejściu dla pieszych, szczelnie otulam się kołnierzem płaszcza przed wietrzną i pochmurną pogodą. Wiem, że ten brak wspomnień powinien mnie niepokoić, ale po dłuższym zastanowieniu uświadamiam sobie, jak niewiele chwil – z wczoraj, z zeszłego tygodnia, miesiąca i roku – mogę odtworzyć w pamięci naprawdę szczegółowo. Tak naprawdę zapamiętujemy niewiele detali.

Życie składa się nie tyle ze szczegółów, myślę, przechodząc przez Jewell Avenue na Broadwayu, co raczej z punktów kulminacyjnych. Czy pamiętam, co jadłam na lunch w zeszły czwartek? Czy przypominam sobie każde słowo z ostatniej lekcji z Gregiem? Czy wiem, jaka była pogoda trzy tygodnie temu w niedzielę? Oczywiście, że nie. Życie płynie naprzód, sprawy ważniejsze przeplatają się z tymi mniej ważnymi, część zostaje nam w pamięci, ale większość szybko zapominamy.

Otwieram drzwi do „Beauty on Broadway” i wchodzę do środka. Stojąca przy swoim stanowisku Linnea wita mnie uśmiechem.

– Miło panią znowu widzieć, Kitty. Przepraszam, że nie zdążyłam jeszcze zajrzeć do pani księgarni. Naprawdę chcę ją zobaczyć. – Delikatnie dotyka moich włosów, marszcząc przy tym brwi. – Dobry Boże, za to pani powinna częściej odwiedzać *mnie*. Jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Ma pani całkowitą rację. – Uśmiecham się szeroko. – Rzeczywiście powinnam przychodzić częściej.

Po umyciu mi włosów zaczyna nawijać je na wałki. Rozsiadam się wygodnie i odprężam się. Z okazji dzisiejszego Halloween Linnea ozdobiła swoje stanowisko, przyklejając na lustrze małego, czarnego, papierowego kota i ustawiając na konsolcie salaterkę pełną biało-różowych pudełeczek z cukierkami Good & Plenty.

Patrzę w lustro, przyglądając się jej pięknym dłoniom, które przypominają mi dłonie Larsa. Tak bardzo chciałabym ich dotknąć, że muszę spleść ręce jak do modlitwy,

aby się powstrzymać.

Cieszę się jednak, że ona dotyka mnie. To cudowne uczucie.

– Słusznie wybrała pani zawód wymagający zdolności manualnych. – Wypowiadam tę niemądrą uwagę i milknę, zawstydzona.

– Och, mam silne, chłopskie ręce – z uśmiechem odpowiada Linnea. – Sporo się napracowały przez te wszystkie lata. Kiedy razem z moim bratem Larsem przeprowadziliśmy się do Kolorado... byliśmy jeszcze dziećmi. Nie mieliśmy nic i braliśmy każdą pracę, jaka się nawinęła. Na zmywaku, przy kopaniu ziemniaków, w piekarni. On przez jakiś czas pracował jako murarz, a potem naprawiał tramwaje. Zarobione pieniądze pozwoliły mu skończyć college. – Marszczy brwi. – Lars był naprawdę złotą rączką. Wszystko umiał naprawić i zbudować. Uwielbiał pracować rękami.

Potakuję. Nie widziałam tego na własne oczy, ale bez trudu potrafię sobie wyobrazić, jak coś buduje albo naprawia.

I wtedy nagle coś przychodzi mi do głowy. Wspomnienie, skojarzenie albo wyobrażenie. Nie mam pojęcia, skąd się wzięło, ale jest bardzo wyraźne.

Oczywiście to Lars zaprojektował nasz wyjątkowy dom. Nietrudno się tego domyślić, zważywszy na jego zawód i entuzjazm, z jakim mówił o tworzeniu niepowtarzalnych projektów. Ale to przecież on sam własnoręcznie wykonał całe wyposażenie naszego domu. Te ukośne szafki w łazience i gładkie w kuchni – to dzieło Larsa.

Nie wiem, skąd to wiem, ale tak właśnie jest. Zamykam oczy, pozwalając, aby wizje i wspomnienia z mojego wymyślanego życia zalały mój umysł.

Kiedy się pobraliśmy, zrezygnowałam z mieszkania w bliźniaku, a Lars ze swej kawalerki, i zamieszkaliśmy razem w mieszkaniu z dwiema sypialniami na Lincoln Avenue. Mogłam stamtąd chodzić pieszo do księgarni, a Lars jeździł tramwajem do centrum miasta, gdzie niedawno założył swoje biuro architektoniczne. Zapewniał mnie, że przeprowadzimy się, jak tylko jego firma zacznie przynosić zyski.

– Wtedy zbuduję ci dom – powiedział, rozglądając się po jasnym, lecz małym salonie w naszym mieszkaniu. – Zbuduję ci wspaniały dom, Katharyn.

To w mieszkaniu na Lincoln Avenue przeleżałam ciężę. I to właśnie tam przywieźliśmy nasze dzieci, kiedy mogły wreszcie opuścić szpital.

Po niespodziance w postaci trojaczków zamiast bliźniaków, Lars pośpiesznie przemeblował obie sypialnie, przenosząc nasze podwójne łóżko i potężną komodę do mniejszej z nich, w której kilka miesięcy wcześniej urządziliśmy pokój dziecienny dla chłopca i dziewczynki. Pamiętam bladożółte ściany oraz rymowanekę, którą wymalował tuż nad przewijakiem znajomy artysta mojej matki, wynajęty specjalnie w tym celu. Był to uroczy pokój dziecienny, w sam raz dla dwójki maluchów, ale za mały na trzy łóżeczka i wszystkie inne akcesoria potrzebne dla trojaczków. Lars wybrał trzecie łóżeczko w Guys and Dolls, sklepie z meblami dla dzieci, w którym kupiliśmy też dwa poprzednie. Wszystkie trzy – a także przewijak i fotel bujany – wstawił do sypialni, która jeszcze niedawno była nasza. Uprzedził mnie o tych wszystkich zmianach, a jednak pamiętam swoją konsternację, gdy zobaczyłam je na własne oczy, wróciwszy z dziećmi ze szpitala.

Nie było czasu na przemalowanie mieszkania; wyrafinowany fiołkowy róż na ścianach naszej sypialni doskonale komponował się z kolorem pościeli, ale zupełnie nie pasował do trójki niemowląt. Mimo wszystko dziecinne meble ledwo mieściły się w większej sypialni i musieliśmy stawać bokiem, by wyjąć Mitcha z jego łóżeczka.

Nasza „nowa” sypialnia była równie dziwaczna. Wierszyk na ścianie wyglądał śmiesznie. Meble musieliśmy ułożyć w taki sposób, że gdy leżałam w łóżku, napis znajdował się dokładnie nad moją głową, a krowa przeskakująca księżyc była odtąd ostatnią rzeczą, jaką przed zaśnięciem oglądały moje umęczone oczy. Byliśmy jednak zbyt zmęczeni i przytłoczeni, by coś z tym zrobić. Próbowaliśmy tylko przetrwać każdy kolejny dzień i każdą kolejną noc.

Po kilku miesiącach niezbędne akcesoria dla niemowląt zajmowały już całe mieszkanie. Niedługo potem potrzebowaliśmy już trzech wysokich krzesełek dziecięcych i trzech chodzików. Wózek – ogromny, dość duży, aby zmieściło się w nim dwoje dzieci obok siebie i trzecie przy ich stópkach – praktyczniej było trzymać w salonie niż w schowku na tyłach domu. Dawno temu, kiedy jeszcze naiwnie myśleliśmy, że będziemy mieć tylko jedno dziecko, Lars zbudował piękną kołyskę z wypolerowanego drewna. Ją też trzymaliśmy w salonie, bo kładłam do niej jedno dziecko, kiedy ręce miałam zajęte pozostałą dwójką.

Biedny Aslan krył się po kątach przed tym pandemonium. Czasem zapomniałam go nakarmić i wtedy w nocy głośno miauczał mi do ucha, akurat w chwili, kiedy w końcu udawało mi się zasnąć. Byłoby dla niego lepiej, gdybym oddała go jakiejś miłej, niezamężnej pani, którą sama kiedyś byłam. Mógłby wtedy wrócić do spokojnego życia, które kiedyś prowadził. Ale Frieda miała alergię na koty, a ja nie znałam nikogo innego, kto mógłby go wziąć. Więc został z nami i mogłam mieć tylko nadzieję, że nie rozżłości się na mnie na tyle, by uciec.

– Potrzebujemy tego domu – powiedziałam pewnego dnia, kiedy dzieci miały już trzy miesiące. – Potrzebujemy tego domu, Larsie, i to jak najprędzej.

Karmiliśmy maluchy przed snem. Ja trzymałam Missy, Lars Michaela. Mitch już dostał swoją butelkę i teraz smacznie drzemał sobie w kołysce, w naszym zagraconym salonie.

– Też tak myślę – zgodził się Lars.

– Wiem, że mieliśmy trochę poczekać, ale chyba już dłużej nie damy rady – ciągnęłam. – Jeśli nie stać nas jeszcze na budowę domu, to powinniśmy jakiś kupić, a własny wybudujemy za kilka lat.

Lars stanowczo pokręcił głową.

– Nic z tego – odparł. – Musimy tylko znaleźć odpowiednią działkę. – W jego błękitnych oczach pojawiła się zaduma. – Gdy taką znajdziemy, będziemy wiedzieli, że to ta.

Rozmarzył się, owładnięty swoją wizją.

– Ale czy nas na to stać? – Mówiłam z wahaniem; nie chciałam wytrącać go z jego zadumy.

Wzruszył ramionami.

– Tak, jeśli zrobimy to z głową. Dom nie musi być ogromny, ale na tyle duży

i wygodny, aby te trzy maluszki mogły w nim spokojnie dorastać.

– Jednak indywidualny projekt...

– Część rzeczy mógłbym zrobić sam – przerwał mi, oglądając się na Mitcha. – To ja zbudowałem tę kołyskę, prawda?

Nie chciałam go zniechęcać, ale kołyska to nie to samo, co dom.

– W Szwecji pomagałem ojcu przy budowach – ciągnął Lars. – Zresztą tutaj też, na początku. – Zamyślił się. – Zaniedbałem te umiejętności. Ale chyba ich nie straciłem. To jak jazda na rowerze.

Pokręciłam głową, ogarnięta tęsknotą. Od urodzenia trojaczków upłynęło tylko kilka miesięcy, ale prawie rok minął, odkąd ostatnio jeździłam na rowerze. Wciąż jednak czekał na mnie w schowku na tyłach domu. Nie mogłabym się go pozbyć.

– A co z twoim sercem? – spytałam z powątpiewaniem. – Chyba powinieneś unikać tak wielkiego wysiłku, Larsie.

– Ciężką pracę zostawię innym – zapewnił mnie. – Zajmę się tylko wnętrzem, wykończeniem. – Delikatnie położył sobie Michaela na ramieniu, aby mu się odbiło. – Samymi drobiazgami, obiecuję. – Posłał mi uśmiech. – Zbuduję ci taką zieloną łazienkę, jakiej sobie zażyczyłaś, gdy byliśmy w Paryżu.

Też się uśmiechnęłam. Zdawało się, że nasz miesiąc miodowy skończył się wieki temu, a przecież nie minęło nawet półtora roku.

Spojrzałam na słodką twarzyczkę Missy. Miała półprzymknięte oczy, a że smoczek butelki wypadł jej z ust, mleko spływało jej po brodzie. Wytarłam ją naramiennikiem do odbijania.

– Chyba już się najadła – wyszeptałam.

Lars się roześmiał.

– On też. – Wstał powoli i pocałował Michaela w czółko. – Czas do łóżeczka, maluszki.

Skoro już podjęliśmy decyzję, zaczęliśmy oglądać działki w zachodniej i południowej części miasta, gdzie budowano dużo nowych domów. Znalezienie odpowiedniego miejsca zajęło nam trochę czasu.

– To jeszcze nie to – powtarzał Lars za każdym razem, gdy wracaliśmy do samochodu po obejrzeniu jakiejś pustej działki – dzieci zostawialiśmy pod opieką moich rodziców, bo kto chciałby targać ze sobą na takie wycieczki trzy niemowlęta? Dzięki Bogu za moich młodych, energicznych i chętnych do pomocy rodziców.

Pamiętam, jak znaleźliśmy działkę na Springfield Street. Wcześniej obejrzelśmy kilka innych w Southern Hill, ale kiedy ujrzelśmy właśnie tę, wiedzieliśmy, że nasze poszukiwania są zakończone. Podobało nam się jej usytuowanie na lekkim wzniesieniu; Lars powiedział, że dzięki temu będziemy mogli zbudować dwupoziomowy dom, którego wyższa część będzie wtulona we wzgórze. Zaledwie kilka przecznic dalej znajdowała się nowo otwarta, publiczna szkoła podstawowa. W okolicy było wtedy tylko kilka domów, ale już rozpoczęto budowę kolejnych, więc nie było obaw, że zamieszkamy na odludziu.

– To dobre miejsce dla dzieci – oświadczył Lars z zadowoleniem, gdy obchodziliśmy pustą działkę. – Będą miały prawdziwy dom. – Zapatrzył się w pustą przestrzeń, ciągnącą się aż po góry na horyzoncie. – Będą miały to, czego ja nigdy nie

miałem.

Ujęłam go za rękę. Tak bardzo chciałam, aby tak się stało, aby miał szansę stworzenia czegoś trwałego – zbudowania ciepłego rodzinnego gniazda.

Po zakupie działki Lars całymi nocami pracował nad projektem domu. Ślęczał nad szkicami i planami w naszym saloniku na Lincoln Avenue, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Starając się nie wchodzić mu w drogę, zaszywałam się w maleńkiej kuchni albo sypialni, czasem jednak, z tego czy innego powodu, musiałam przejść przez salon. Za każdym razem, kiedy mijałam Larsa, podnosił na mnie oczy błyszczące zapalem i miłością.

Przy rozpoczęciu budowy byliśmy wszyscy: Lars i ja, dzieci, moi rodzice, brygadzysta i ekipa budowlana. Wszyscy klaskali, kiedy zawył silnik koparki i gdy jej łyżka po raz pierwszy wbiła się w ziemię.

Pamiętam, że nieopodal przechadzali się sąsiedzi – Nelsonowie. George i – no tak, *oczywiście*, ona ma na imię Yvonne; jak mogłam o tym zapomnieć? George i Yvonne podeszli do nas, aby się przedstawić, i wskazali na swój dom na rogu, przy najbliższej przecznicy.

– Cóż za śliczne maleństwa – zachwyciła się Yvonne trojaczkami. Była młoda, powiedziałabym, że ledwo po dwudziestce. Miała brązowe, kręcone włosy, długie rzęsy i oczy w kolorze indygo jak Elizabeth Taylor.

– Jeśli chodzi o rodzinę, to Kitty... Chciałam powiedzieć Katharyn, wygrała los na loterii – powiedziała moja matka, przytulając Missy do piersi. Uśmiechnęłam się; mama starała się mówić do mnie Katharyn, ale ja wiedziałam, że dla niej zawsze będę Kitty. – Mojej przebojowej córce wystarczyły dwa lata, aby z bizneswoman zmienić się w matkę trojga dzieci.

Skrzywiłam się. Wiedziałam, że chciała dobrze, ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, ku czemu zmierza moja kariera zawodowa. Nadal pracowałam w księgarni, a dziećmi zajmowała się wtedy albo moja matka, albo różne wynajęte opiekunki. Kilka razy próbowaliśmy zatrudnić pełnoetatową nianię, ale nic z tego nie wyszło; zazwyczaj odchodziły już po kilku dniach, stwierdzając, że to zbyt wymagająca praca. Za każdym razem mama natychmiast rzucała się na pomoc i zajmowała się wnukami, dopóki nie znaleźliśmy kogoś innego. Ale taka rotacja opiekunek dawała nam się mocno we znaki – mnie samej, mamie, dzieciom, a także, choć nigdy tego nie przyznał, Larsowi.

Frieda też miała już dość tej całej niepewności. I nie mogłam jej za to winić.

– Musisz się wreszcie zdecydować – powtarzała ze złością, biorąc się pod boki, gdy po raz kolejny musiałam wcześniej wyjść z pracy, aby zażegnać taki czy owaki kryzys rodzinny. – Musisz coś wybrać, Kitty. Czego chcesz? Bo, uwaga, uwaga, siostró, nie możesz mieć wszystkiego.

Yvonne wyrwała mnie z tych przytłaczających myśli.

– My wciąż mamy nadzieję, że Bóg pobłogosławi nas małym dzieciątkiem... Kiedyś – powiedziała tęsknym głosem, ostrożnie głaszcząc Mitcha palcem po jasnych włoskach.

Skinęłam głową i spytałam, czy chce go potrzymać. Chciała. Wzięła dziecko na rękę z taką wdzięcznością, jakby ofiarowano jej nieoczekiwany dar. Mitch obdarzył ją

uroczym uśmiechem, zachichotał i pociągnął ustami za kosmyk jej ciemnych włosów.

Pamiętam, że kiedy wróciliśmy do mieszkania, pomodliłam się – do kogoś, kto mógłby mnie wysłuchać – aby Yvonne wkrótce doczekała się dziecka. Ta modlitwa miała się ziścić dopiero po kilku latach, ale w końcu na świat przyszedł Kenny.

Wreszcie wszystko zaczyna do siebie pasować. Tak wiele sobie przypomniałam i tyle spraw zrozumiałam.

Ale jak to możliwe, że pamiętam o wydarzeniach z życia, które nigdy nie miało miejsca?

Głos Linnei sprowadza mnie z powrotem na ziemię.

– Dobry Boże, ależ się pani rozmarzyła – mówi. – Uwijałam się jak krówka, a pani błądziła myślami gdzieś daleko.

Uwijała się jak krówka? Patrzę na nią ze zdziwieniem, dopóki sobie nie przypominam, że zdarza jej się mieszać powiedzonka. Pewnie chodziło jej o mrówkę.

Linnea uśmiecha się żartobliwie do mojego odbicia w lustrze, zawiązując mi na głowie foliową chustkę.

– Teraz proszę usiąść pod suszarką, a potem dokończymy rach-ciach.

– Linneo. – Sięgam przez ramię i dotykam jej ciepłej, jędrnej dłoni. Kobieta milknie, zaskoczona.

– Chciałam powiedzieć... ja tylko... przykro mi – bąkam.

– Dlaczego pani przykro, Kitty?

– Z powodu pani brata – odpowiadam pośpiesznie. Muszę to powiedzieć, choćby w jej uszach miało to zabrzmieć absurdalnie. – Czuję, że... nie wiem, Linneo, sama nie wiem, dlaczego, ale czuję, że coś mnie łączy z nim i z panią... i jest mi... – Spuszczam wzrok, a potem patrzę w lustro, gdzie napotykam jej spojrzenie. – Jest mi przykro... nigdy go nie spotkałam. Na pewno był wspaniałym człowiekiem. Myślę... myślę, że polubilibyśmy się.

Linnea powoli kiwa głową.

– Lars powinien mieć w swoim życiu kogoś takiego jak pani – mówi. – Szkoda, że tak się nie stało. Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Wzrusza ramionami ze smutkiem i wysuwa dłoń z mojego uścisku.

ROZDZIAŁ 23

I znowu nie pamiętam, abym zasypiała, ale kiedy się budzę, stoję przy biurku Larsa w jego gabinecie w domu przy Springfield Street. W rękę trzymam nożyczki. Przez chwilę wpatruję się w nie, zastanawiając się, co zamierzałam z nimi zrobić.

Rozglądam się, zdeorientowana, i wtedy sobie przypominam. Oczywiście. Na biurku leżą szkolne fotografie Mitcha i Missy. Przeglądam je, wyszukując zestawy zawierające zdjęcia formatu trzy na pięć cali, czyli pasujące do ramki na biurku Larsa, tej z trzema otworami.

Mitch i Missy wyglądają na szkolnych fotografiach jak idealne rodzeństwo. Mitch jest ubrany w musztardową koszulę z kołnierzykiem na guziki i brązową kamizelkę. Włosy ma krótko przycięte i starannie zaczesane na jedną stronę. Ktoś, zapewne Linnea, musiał go ostrzyć na krótko przed zrobieniem tego zdjęcia. Missy nosi brązową sukienkę z białym kołnierzykiem i szeroką kokardą, która kolorystycznie pasuje do ciemnożółtej koszuli Mitcha. Włosy ma zaplecione w warkoczyki i związane brązowymi wstążkami. Oboje są wesoło uśmiechnięci i mrużą oczy, które wyglądają niczym szparki w ich okrągłych buziach.

Wycinam jedno zdjęcie każdego z nich i starannie umieszczam je w ramce – Mitch z lewej strony, a Missy w środku. Potem przeglądam fotografie i papiery na biurku, szukając zdjęć Michaela.

To, które znajduję, nastraja mnie melancholijnie. Oczywiście nie jest to zdjęcie szkolne. Ale ubrałam go – ja, bo któżby inny? – tak samo jak Mitcha, po czym sfotografowałam go na tle pustej ściany w domu. Pewnie wypstrykałam całą rolkę, aby uzyskać to zdjęcie, które teraz trzymam w rękę.

Nie jest takie złe. Michael nie patrzy w obiektyw i nie jest uśmiechnięty, ale przynajmniej się nie krzywi. Ma obojętny wyraz twarzy. Włosy schludnie uczesane, a kołnierzyk nieprzekrzywiony. Oczy patrzą zza okularów nieodgadnionym wzrokiem, ani wesoło, ani ponuro. Ale przynajmniej nie wydaje się zdenerwowany. Mam nadzieję, że nie wymęczyłam go zanadto, próbując zrobić to zdjęcie.

Wkładam fotografię Michaela do prawego otworu w ramce i zbieram wszystkie ścinki. Robię krok do tyłu, aby sprawdzić efekt, kiedy słyszę dzwonek do drzwi. Zaraz potem dobiega mnie podekscytowany głos Missy, wykrzykującej:

– Przyjechali!

Rozlega się tupot dziecięcych stóp na schodach, a potem Lars woła z drugiego końca korytarza:

– Katharyn, gdzie jesteś? Przyjechali!

Zastanawiając się, kim są ci „oni”, przyspieszam kroku. Idąc korytarzem, rzucam okiem na zdjęcie sceny w górach, to, które widać przez drzwi głównej sypialni. Nie wiem, skąd bierze się ta myśl, ale nagle po prostu wiem, gdzie zrobiono to zdjęcie: na szczycie przełęczy Rabbit Ears Pass, niedaleko miasteczka Steamboat Springs w północno-zachodniej części Kolorado. A jednak to miejsce nic dla mnie nie znaczy; nigdy tam nawet

nie byłam. Kręcę głową, próbując dostrzec w tym jakiś sens. Żadne olśnienie nie nadchodzi, więc idę dalej, aż docieram do całej rodziny zgromadzonej przy drzwiach frontowych. Właśnie wchodzi Linnea, a za nią chudy, sympatyczny mężczyzna i dwoje patykawatych nastolatków, chłopak i dziewczyna. Linnea trzyma blachę do ciasteczek przykrytą folią aluminiową.

– Przyniosłam bułeczki – oznajmia, wręczając mi ją. – Wystarczy je podgrzać przez jakieś dwadzieścia minut. – Nachyla się, aby ucałować mnie w policzek. – Jak zwykle wyglądasz pięknie.

Uśmiecham się i oddaję jej pocałunek.

– Dobrze wiesz, że to twoja zasługa.

– Phi! Wcale nie. Wyglądałabyś pięknie, nawet gdybyś w ogóle nie czesała włosów, a myła je raz na miesiąc.

Śmieję się wesoło, zaskoczona tym, jak radośnie się czuję.

– Z tym się nie zgodzę.

Linnea nie reaguje na mój sprzeciw.

– Oddaję książkę – mówi, podając mi tom w twardej oprawie. Zerkam na okładkę: *Wiek niewinności* Edith Wharton. – Naprawdę mi się podobała. Dzięki za pożyczenie.

– Nie ma za co. Pomyślałam, że to coś w twoim guście. – Przytrzymuję książkę pod blachą pełną bułeczek.

– Proszę, wejdźcie dalej. – Lars prowadzi całą gromadkę do salonu. – Dzieci, wy idźcie na dół się pobawić. Mama przyniesie wam za chwilę colę.

Serio? Zresztą, niech będzie, przyniosę.

– Glorio, idź z nimi – mówi Linnea, zdejmując płaszcz. – Pobaw się z maluchami, dobrze?

Gloria przewraca oczami.

– Nie jestem dzieckiem, mamu – protestuje. – Wolałabym zostać w kuchni z tobą i ciocią Katharyn. Naprawdę muszę iść do dzieci?

Jej matka stanowczo potwierdza, otwierając drzwi szafy w holu, aby odwieść swoje okrycie.

– Musisz. Wiesz, jak uwielbiają się z tobą bawić, *käresta*. – Linnea sięga po płaszcz męża, a Gloria wzdycha ciężko i dramatycznie, jak to nastolatka. Odnoszę nieodparte wrażenie, że ta scena rozgrywa się tu nie po raz pierwszy.

Chłopak – zdaje się, że ma na imię Joe; tak mówiła Linnea w tym drugim życiu – zdejmuje kurtkę i mokasyny, jednocześnie mierzwiąc włosy Missy.

– Nie martw się, siostrzyczko, ja też pójdę – mówi, patrząc na Glorię nad głowami dzieci. Podaje kurtkę Linnei, a moje dzieci – cała trójka, nawet Michael, co miło mnie zaskakuje – skaczą radośnie wokół niego.

– Kuzyn Joe! Hurra, będziemy się bawić z kuzynem Joem! – woła Mitch.

Mitch, Missy i Michael zbiegają po schodach do piwnicy, a Joe idzie za nimi. Gloria wciąż jest nadąsana, ale chowa kurtkę i buty do szafy, a potem posłusznie schodzi po schodach. Wkrótce potem z dołu dobiega nas gwar, jakby cała piątka przekrzykiwała się, próbując ustalić, w co powinni się pobawić. Mówią z ożywieniem i głośno, ale ich głosy tłumy odległość i wykładzina. Nie jestem pewna, jaką grę wybrali, ale zdaje się, że

wszyscy – nawet Gloria i Michael – dobrze się bawią.

– Chodź ze mną do kuchni – proszę Linneę. – Wstawię te bułeczki do piekarnika, jak tylko wyjmę pieczeń. Chłopcy! – wołam przez ramię. – Może zrobicie nam jakieś drinki?

Boże drogi, kim ja jestem? Po raz pierwszy w tym świecie czuję się tak pewna siebie. Doskonale wiem, co mówić i co robić. Jakim cudem? Czy to dlatego, że jest tu Linnea? Muszę przyznać, że jej obecność i zachowanie – tak samo serdeczne i miłe, jak w prawdziwym świecie – poprawiają mi nastrój bardziej niż wszystko inne, czego tu doświadczyłam.

Linnea opiera się o kontuar i sączy koktajl Brandy Alexander, który przyniósł jej Lars. Miesza lód czerwonym, plastikowym mieszadłem do drinków.

– Trzymasz się jakoś? – pyta.

Cała moja pewność siebie, poczucie, że wreszcie rozumiem wszystko, co się tutaj dzieje, wali się w gruzy. Przez chwilę wydaje mi się, że Linnea pyta, jak sobie radzę w tej osobliwej sytuacji – w tym innym życiu, tutaj we śnie – jakby wiedziała, że to sen. A może wie. Dlaczego nie? Oprócz Bradleya i naszych sąsiadów Nelsonów jest jedyną osobą, która jest ze mną w obu światach.

Ale wystarczy na nią spojrzeć, by stwierdzić, że nie chodzi jej o sny. Z jej poważnego wyrazu twarzy wnioskuję, że kontynuujemy jakąś niedawną, niedokończoną rozmowę. Może układała mi dziś włosy. Dotykam głowy; fryzura rzeczywiście wydaje się idealna, jakby każdy kosmyk był na swoim miejscu.

No cóż. Pewnie chodzi jej o Michaela.

– Mieliliśmy udany tydzień – odpowiadam. – Nie działo się nic niezwykłego. No, może poza kilkoma chwilami... Ale ogólnie rzecz biorąc, było okej. – Otwieram drzwiczki piekarnika i włożywszy rękawice kuchenne, wydaję pokąźną brytfannę. Zwiększam nieco temperaturę, aby podgrzać bułeczki. Skąd ja wiem takie rzeczy?

– Ty i Lars... – nie ustępuje Linnea. – Układa wam się?

Na litość boską, o czym ona mówi? Próbuję sobie przypomnieć tych kilka sytuacji, w których Lars był na mnie zły – za każdym razem chodziło o Michaela. Dobry Boże, czy to znaczy, że niedawno, w czasie, którego nie pamiętam, poważnie się o niego pokłóciliśmy? W duchu ganię się za ten idiotyczny pomysł. A nawet jeśli tak było, to co z tego? Przecież to tylko wytwór wyobraźni. W końcu co za różnica, czy pokłóciłam się z Larsem?

A jednak nie mogę spojrzeć Linnei w oczy.

– Jasne. – Wzruszam ramionami, wpatrując się w pomarańczowy blat. – Wszystko w porządku.

Linnea milczy. Po chwili pyta, czy wstawiłam ziemniaki.

– Oczywiście. Lars nie uznaje bez nich obiadu. – Unoszę pokrywkę znad dużego garnka stojącego na tylnym palniku i sprawdzam ziemniaki widelcem. Są już prawie gotowe do odsączenia i utłuczenia. Rety, czy ja naprawdę gotuję obiad dla dziewięciu osób? Od podstaw?

Wyjmuję z lodówki pięć butelek coli. Naprawdę pozwalam dzieciom to pić? Tak, przypominam sobie nagle. Przy wyjątkowych okazjach, na przykład gdy ich kuzyni

przychodzą na obiad. Niech będzie.

– Zniosę je na dół – mówię Linnei, sięgając do szuflady po otwieracz. Robię to niemal bezwiednie. Linnea wyprostowuje się.

– Masz pełne ręce roboty. Ja pójdę. – Bierze butelki i otwieracz i znika za wahadłowymi drzwiami.

Rozglądam się wokół. Wygląda na to, że mam wszystko pod kontrolą. Mięso, ziemniaki, bułeczki, a teraz zauważam jeszcze garnek z groszkiem, który gotuje się na wolnym ogniu. Jeszcze sos do pieczeni i za parę minut możemy zaczynać. Stół nakryty? Otwieram drewniane okiennice i okazuje się, że tak. W salonie są Lars i Steven, oglądają w telewizji wyścig bolidów. Pochyleni do przodu, z drinkami w ręku, bacznie śledzą akcję na ekranie. Od czasu do czasu któryś z nich rzuca jakąś uwagę na temat samochodu albo zawodnika obejmującego prowadzenie. Z piwnicy dobiegają entuzjastyczne piski dzieci; pewnie Linnea rozdaje colę.

Istna sielanka rodzinna w domowym zaciszu. Więc inni tak właśnie spędzają niedzielne popołudnia.

Nagle zaczynam się zastanawiać, gdzie są moi rodzice. Czy dogadują się z Linneą i jej rodziną? Na pewno. Przecież Linnea jest tak samo urocza, jak moja matka. A Steven wydaje się spokojnym, miłym mężczyzną. Jak mój ojciec.

Ciekawe, czy czasem spotykają się tu obie części rodziny – ze strony Larsa i mojej. Nie mamy zbyt licznych krewnych, ale jestem pewna, że ta garstka dobrze się czuje w swoim towarzystwie i najprawdopodobniej spotykamy się właśnie u nas.

To najlepsze miejsce.

Wzdycham z zadowoleniem. W powietrzu unoszą się smakowite zapachy; mężczyźni popijają drinki i dyskutują o sporcie. Linnea pojawia się na szczycie schodów i robi kółeczko z kciuka i palca wskazującego na znak, że wszystko w porządku – cóż, przynajmniej ten gest opanowała bezbłędnie. Ktoś musiał ją tego nauczyć, pewnie Gloria.

Tak, Linneo, masz rację. W tym świecie wszystko jest w *najlepszym* porządku.

ROZDZIAŁ 24

Mimo tej rodzinnej idylli w moim ostatnim śnie, niezmiernie się cieszę, kiedy następnego ranka budzę się w prawdziwym świecie. Wreszcie jest czwartek, dzień, w którym powitam rodziców na lotnisku w Stapleton. Do domu wrócimy taksówką – ich bagaż nie zmieściłby się w autobusie – ale stąd na lotnisko pojedę właśnie autobusem, bo tak będzie prościej, nie mówiąc już o tym, że oszczędniej. Zastanawiałam się, czy nie lepiej wziąć samochód ojca. Pewnie dałabym sobie radę, zważywszy na moje nowo odkryte we śnie zdolności kierowcy. Tata zostawił mi kluczyki i pozwolił korzystać z auta, kiedy zechcę. W ostatniej chwili uznałam jednak, że to dla mnie za daleka wyprawa.

Na lotnisku okazuje się, że ich samolot, połączenie z Los Angeles, jest opóźniony. Niecierpliwie czekam przez prawie dwie godziny, przeglądając asortyment sklepu z pasmanterią i żałując, że nie wzięłam ze sobą żadnej książki. Kupuję magazyn „Woman’s Day” i przeglądam go, siedząc jak na szpilkach na jednym z plastikowych krzeseł. Znajduję cały dział poświęcony ręcznie robionym ozdobom świątecznym i przez chwilę zastanawiam się, czy w tym moim drugim życiu wykorzystałabym te pomysły, aby zrobić prezenty – bo najwidoczniej w tamtym świecie jestem utalentowaną szwaczką.

Wzdycham i odkładam magazyn na siedzenie obok. I tak nie mogę się na nim skupić; może bardziej zainteresuje jakiegoś przechodnia.

Z torebki wyjmuję pocztówkę. Jest na niej widok z lotu ptaka na Honolulu, wzdłuż plaży ciągną się hotele, jeden wyższy od drugiego, jak rząd wysokich książek, które ustawiamy z Friedą na dolnej półce w księgarni – albumy malarstwa i książki podróżnicze, które nie mieszczą się w zwykłych regałach.

To już ostatnia pocztówka, jak podkreśla matka.

Najdroższa Kitty,

już po raz ostatni piszę stąd do Ciebie. Właśnie się pakujemy, a w środę wieczorem wylatujemy. Muszę powiedzieć, że trochę boję się latać. Kto wie, gdzie są i co wyczyniają ci wszyscy komuniści? Może akurat czają się na jakimś statku na Pacyfiku, czekając na nasz samolot? Twój ojciec mówi, że pomysł, jakoby Rosjanie mieli zestrzelić samolot pełen turystów, jest niedorzeczny. Pewnie ma rację.

Cóż za ponure myśli! Mam nadzieję, że kiedy się już zobaczymy, znów będę cała w skowronkach. Na pewno tak będzie – jak mogłoby być inaczej, skoro zobaczę moją córeczkę po tej zbyt długiej rozłące?

Ściskam gorąco

Mama

Czytam te słowa raz za razem, aż wreszcie słyszę zapowiedź lądowania samolotu z Los Angeles. Spieszę do bramki numer 18.

Stoję przy oknie i niecierpliwie przyglądam się kołującemu samolotowi. Widzę rodziców schodzących po schodkach i przechodzących przez drogę kołowania. Podskakuję i macham do nich przez szybę. Matka mnie zauważa i też zaczyna machać. Ma na sobie granatowy płaszcz i kapelusz, który przytrzymuje na głowie, aby nie zerwał go wiatr.

– Kitty! – Mama ściska mnie wylewnie, ledwo wchodzi do środka, a ja mocno się do niej przytulam, wdychając zapach jej perfum Chanel No. 5, których używa, odkąd pamiętam. Ciekawa jestem, czy ona nadal czuje to samo ciepło w piersi, które czuję ja, gdy tulę Mitcha i Missy. (Kto wie, jak czułabym się, przytulając Michaela? I kto wie, czy kiedykolwiek będę mogła to zrobić?) Ściskając mamę, zastanawiam się, czy tulenie własnego dziecka zawsze jest tak cudownym i potężnym uczuciem, nawet kiedy to dziecko jest już dorosłe. Podejrzewam, że tak.

Niechętnie, czując, że za chwilę ludzie zaczną się na nas gapić, wypuszczam ją z objęć. Kolej na ojca. Na tę specjalną okazję, jaką jest podróż samolotem, włożył garnitur i krawat, które teraz, po całonocnym locie z Honolulu i przesiadce w Los Angeles, są nieco pomięte. Gdy się przytulamy, uwierają mnie jego guziki. Choć zwykle przygarbiony od wieloletniego pochylania się nad linią montażową, w moich objęciach prostuje się szarmancko.

Wszyscy troje chwytamy się za ręce – ja jestem w środku – i idziemy odebrać bagaż. Wiem, że to dziecinne, ale tak bardzo się cieszę, że ich widzę. Nigdy w życiu nie czułam takiej euforii, jaka ogarnia mnie tego popołudnia na widok moich rodziców.

Ciekawe, czy tamta ja, w moim drugim życiu, też tak bardzo za nimi tęskniła, gdy wyjechali. O ile w ogóle wybrali się w tę podróż. Sądzę jednak, że to zrobili, bo przecież planowali ją od ponad dziesięciu lat, odkąd wuj Stanley i ciotka May przeprowadzili się do Honolulu.

– Nie spodziewaliśmy się tak wielkiego opóźnienia – mówi mama, gdy czekamy przy taśmociągu na bagaż. – Ale mogło być gorzej. Słyszałaś o tym wtorkowym locie z Honolulu? – Kręci głową. – To nie Rosjanie. Okazuje się, że matka natura też potrafi być straszna. Prawie uciekłam z lotniska, kiedy o tym usłyszeliśmy, ale twój ojciec przypomniał mi, że podróż statkiem trwałaby wieki. – Z nagłym błyskiem w oku zmienia temat. – Tom, jest mój kuferek, złap go. – Ojciec zabiera bagaż i zaraz potem podjeżdżają ich dwie walizki, jedna za drugą. – Mamy szczęście! – cieszy się matka.

Ojciec dźwiga większą z nich, ja niosę tę mniejszą, a mama swój kuferek. Wychodzimy na zewnątrz, aby złapać taksówkę.

– Mieliśmy dolecieć wcześniej. – Matka zerka na zegarek. – Boże, już prawie pora kolacji.

– W porządku. Liczyłam na kolację z wami. – Uświadamiam sobie, że za mocno ściskam jej dłoń, więc rozluźniam uścisk, ale nie puszczam. – Choć myślałam, że przedtem zdążycie trochę odsapnąć.

Podjeżdża taksówka.

– Mam nadzieję, że nie planowałaś gotować. – Ojciec wręcza walizkę taksówkarzowi, a przed nami otwiera tylne drzwiczki. – Bo ja marzę o steku w Buckhorn. – Aż ślinka mu cieknie. – Na Hawajach dostaniesz tyle Mai Tai, ile dusza zapagnie, ale dobrego steku nie uświadczysz.

W przeciwieństwie do matki, która słała mi jedną pocztówkę za drugą, ojciec napisał do mnie tylko dwa razy. Tę skromną liczbę nadrobił jakością swoich wiadomości, pisał bowiem wielostronicowe listy, w których opisywał swoje ulubione dołki na polu golfowym, wędrowkę z wujem Stanleyem na górę zwaną Diamond Head, surfowanie u północnych wybrzeży wyspy. No i jedzenie; opowiadał mi o wszystkim, czego tam próbował: o sałatkach owocowych, grillowanych rybach i słodkich bułeczkach. W obu listach zaznaczał, że choć kuchnia hawajska jest „ciekawa”, tęskni za „dobrym, tradycyjnym, czerwonym mięsem”.

Ale kiedy teraz oznajmia, że chce zjeść w restauracji, trochę rzednie mi mina.

– Masz ci los, a ja zaplanowałam domową kolację.

– Naprawdę? Jaka szkoda. – Wsiada do taksówki, teatralnie kręcąc głową i lekko się uśmiechając.

Ja też się śmieję. Nigdy nie uda mi się go nabrać; za dobrze mnie zna.

– Zaraz, zaraz, tato, nie dałeś mi dokończyć – besztam go żartobliwie. – *Moją* kolację zaplanowałam na jutro.

Ujmuje mnie za rękę.

– Zuch dziewczyna! – Podnosi wzrok i podaje taksówkarzowi adres swojej ulubionej restauracji ze stekami.

Buckhorn Exchange to najstarsza restauracja w Denver – została założona w 1893 roku. Należy też do najbardziej znanych; parę lat temu w „Life” ukazał się artykuł na jej temat. Pamiętam, jak ojciec z dumą mi go pokazał i oznajmił: „Spójrz, moja droga, teraz Denver jest sławne!”. Przypuszczam, że redakcja wspomniała o długiej historii tego miejsca, wybornych stekach, które tu serwują, i typowo zachodnim klimacie wnętrza. Na ścianach niewielkich, wyłożonych ciemną boazerią pomieszczeń wiszą stare fotografie, a tu i ówdzie są rozstawione siodła i inne akcesoria jeździeckie. W części jadalnej stoją proste stoły i krzesła, a w części wypoczynkowej wygodne, aksamitne sofy. Całość jest kiczowata, ale mojemu ojcu się podoba.

– Ach, jestem w domu! – mówi, gdy zasiadamy przy stole w tylnej sali. – Na cudownym dzikim Zachodzie.

Kolacja jest wyśmienita. Potem zamawiamy drinki, a następnie dwie butelki wina – którego, co ze wstydem przyznaję, wypijam całkiem sporo. Rodzice z ożywieniem opowiadają o Hawajach.

– To przepiękne miejsce – zachwyca się matka, ścisząc głos, jakby mówiła o katedrze. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Kwiaty wielkie jak talerze. Wszędzie palmy. Nowiuteńkie, strzeliste hotele wzdłuż całej plaży Waikiki. A ocean... Powinnaś zobaczyć ten błękit...

– A dziewczyny – dodaje ojciec. – Powinnaś zobaczyć, jak boskie są tam dziewczyny.

– Tom! – matka lekko szturcha go w ramię.

Drocą się, oczywiście. Tata nigdy nie spojrzał na inną kobietę. Pewnego dnia, kiedy razem oglądaliśmy jakąś piękną paradę w telewizji, powiedział mi, że gdyby do pokoju weszła Miss Ameryki, proponując mu romans, odprawiłby ją z kwitkiem. „Nawet gdyby miała nogi do nieba, nie mogłaby się równać z twoją matką – powiedział z błyskiem w oczach. – Ani wtedy gdy twoja matka była w jej wieku, ani teraz”.

Pamiętam, że ogarnęła mnie wtedy lekka melancholia: czy ktoś kiedyś będzie i mnie tak uwielbiał?

Po kolacji ojciec prosi kelnerkę o zamówienie taksówki. Wino uderzyło mi do głowy; jak przez mgłę słyszę głos ojca: „Cieszymy się życiem – to ostatni wieczór wakacji!”. Siadam na tylnym siedzeniu taksówki, zajmując miejsce w środku. Wtulona między rodziców czuję się tak bezpiecznie, że natychmiast przysypiam w tym maleńkim niebie, które tu dla mnie tworzą.

ROZDZIAŁ 25

I nagle śpiewam moim dzieciom.

„Śpij, dziecino, oczka zmruż... Śpij do wschodu rannych zórz”.

Jestem w pokoju chłopców, gdzie dotąd nie zaglądałam w swoich snach. Jak można się domyślić, ściany są pomalowane na niebiesko, w odcieniu pośrednim między kolorem nieba a królewskim błękitem. Obok siebie stoją dwa łóżka przykryte niebiesko-czerwonymi narzutami w szkocką kratę, a ozdobne poduszki z kompletu leżą na podłodze, bo chłopcy szykują się już do snu. Nad łóżkiem Mitcha wisi kilka oprawionych w ramki obrazków przedstawiających statki i pociągi – starannie wybranych przeze mnie, rzecz jasna – a nad nimi parę rysunków o podobnej tematyce, które najprawdopodobniej są jego dziełem. Jego szafka nocna jest zastawiona ilustrowanymi książeczkami, a łóżko zarzucone najróżniejszymi pluszowymi zwierzątkami. Pośród tego niedbałego bogactwa siedzi Mitch otulony kołderką, która już jest pomięta, chociaż chłopiec ledwo co znalazł się w łóżku.

Po stronie Michaela pokój wydaje się pusty. Żadnych ozdób na ścianie, żadnych zabawek na łóżku, żadnych książeczek, które mógłby przeglądać, gdyby obudził się wcześniej i nie mógł zasnąć. Jedyнным przedmiotem leżącym na jego szafce nocnej jest futerał na okulary. Chłopiec siedzi wyprostowany w łóżku, oparty o równo ułożoną za jego plecami poduszkę, i do połowy starannie okryty kołderką. Lekko się kołysze. Ma otwarte oczy, ale bez okularów jego spojrzenie wydaje się nieobecne.

Obaj chłopcy mają na sobie zielone, flanelowe piżamki z kontrastową niebieską lamówką. Mimo tego identycznego stroju, podobnej cery i rysów twarzy bardzo się od siebie różnią.

Siedzę w bujanym fotelu między ich łózkami. Nagle nawiedza mnie wspomnienie z okresu, kiedy chłopcy uczyli się chodzić. Nawet wtedy kontrast między nimi był uderzający. Siadywałam w tym samym pokoju i w tym samym fotelu, a Mitch radośnie podskakiwał w swoim łóžeczku, aż bałam się, że z niego wypadnie. Wtedy też miał wokół siebie mnóstwo pluszaków. Założył się, że niektóre z nich to te same zwierzaki, które teraz leżą na jego łóżku.

Natomiast Michael układał się pośrodku swojego nieskazitelnego, pozbawionego zabawek łóžeczka i leżał tam, cicho i nieruchomo, gdy czytałam im bajkę na dobranoc. Nie patrzył na mnie i nie domagał się jak Mitch, by pokazywać mu każdy obrazek na każdej stronie. Wpatrywał się w swoje stópki w piżamce-pajacyku, nie okazując żadnych emocji i nie zwracając uwagi ani na bajkę, ani na Mitcha, ani na mnie.

Kołyszę się powoli, nucąc *Kołysankę* Brahmsa. Mitch przykrywa się kołderką i zamyka oczy. W przyćmionym świetle lampki stojącej na komodzie jego czuprynka jasnych loczków zdaje się lekko lśnić. Włosy wyglądają na wilgotne, jakby chłopiec brał przed chwilą kąpiel, a ja nie mogę się powstrzymać, aby nie nachylić się i nie powąchać jego głowy pachnącej czystością i szamponem Johnson's Baby. Mitch uśmiecha się, otwiera oczy i bezgłośnie porusza ustami, mówiąc: „Kocham cię”.

„Ja też cię kocham”, odpowiadam w ten sam sposób. Mitch znowu zamyka oczy i mości się wygodnie w pościeli.

Odwracam się do Michaela, który wciąż siedzi wyprostowany z szeroko otwartymi oczami. Po raz pierwszy widzę, że ma równie uderzająco błękitne oczy jak wszyscy w tej rodzinie. To pewnie przez te okulary zwykle wydają się takie zamglone.

Boję się powiedzieć mu, aby się położył, bo jestem przekonana, że cokolwiek w tej chwili robi, stanowi to część jego wieczornej rutyny. Nie chcę go dotykać, żeby go nie zdenerwować, ale czuję, że powinnam coś zrobić. Poprzestaję na wygładzeniu dłonią narzuty na jego łóżku, z dala od jego ciała.

– Śpij dobrze, Michaelu – mówię cicho. – Kocham cię.

Nie porusza się ani na mnie nie patrzy. Gaszę lampkę nocną i teraz mrok sypialni rozprasza już tylko lekka poświata minilampki włączonej do gniazdka przy fotelu bujanym. Wychodząc na palcach, zamykam za sobą drzwi.

W korytarzu spotykam Larsa, opuszczającego właśnie pokój Missy.

– Śpią? – pyta.

– Prawie. – Choć żaden z chłopców jeszcze nie śpi, mam przeczucie, że już niewiele im brakuje, aby zapadli w głęboki sen. Wskazuję głową na drzwi do sypialni Missy. – A ona?

– Mocno śpi. – Uśmiecha się. – Ta jazda na rowerku tak ją wyczerpała.

– Idzie jej coraz lepiej. Oboje dobrze sobie radzą.

Lars nie odpowiada, ale ja i tak wiem, o czym myśli, bo ja myślę dokładnie o tym samym. Że bezwiednie powiedziałam „oboje”. Bo dwojgu z nich „idzie coraz lepiej”. A jednemu być może nigdy się to nie uda.

– Napijesz się? – pyta Lars, gdy schodzimy na dół.

– To rozumiem!

Idzie do gabinetu, żeby zrobić drinki, a ja czekam na sofie w salonie. Jak wiele rzeczy w tym domu, sofa jest elegancka i nowoczesna, obita beżowym tweedem w delikatne prążki i ozdobiona poduszkami w żywych odcieniach pomarańcza, żółci i kobaltowego błękitu.

Lars wraca z dwiema szklaneczkami szkockiej z lodem. Podaje mi jedną i siada obok, obejmując mnie i delikatnie masując mi ramiona.

– Wyglądasz na zmęczoną, kochana – mówi z taką troską w głosie, że aż drzę.

Zamykam oczy.

– Jestem wykończona – przyznaję. – I przytłoczona. – Może we śnie to brzmi śmiesznie, ale dlaczego nie miałabym tego powiedzieć, skoro to prawda?

– To zrozumiałe – odpowiada. – Czy może być coś bardziej stresującego?

– Chyba nie całkiem rozumiem, co masz na myśli...

Pociąga łyk szkockiej.

– Czuję się tak samo, wiesz? – dodaje. – Kiedy mnie to spotkało. – Zniża głos. – Oczywiście moi nie odeszli równocześnie, ale... wiesz przecież, że była to kwestia kilku dni.

Nie mam zielonego pojęcia, o czym on mówi, więc tylko kiwam głową i czekam na ciąg dalszy.

– On nie mógł bez niej żyć – ciągnie Lars łamiącym się głosem. – Po prostu nie mógł. Więc... – Zaciska usta. – Więc... to zrobił.

Dotykam jego dłoni.

– Wiem. – Oczywiście *nie* wiem, ale chcę, aby mówił dalej. – Czy rozmowa o tym... – waham się przez chwilę – pomaga?

Podnosi na mnie wzrok.

– Pomaga rozmowa z tobą – odpowiada. – Zawsze. – Kręci szklaneczką z drinkiem. – Byłaś taka wyrozumiała i... *niewstrząśnięta*, kiedy po raz pierwszy opowiedziałem ci o tej... o tej straszliwej rzeczy, która wydarzyła się w mojej rodzinie. *Straszliwej*. Nie da się tego inaczej opisać. I dlatego mówiłem o tym tak niewielu ludziom. Ale od początku wiedziałem, odkąd się poznaliśmy, że tobie mogę o tym opowiedzieć i nie stanie się nic złego. – Uśmiecha się, ale na jego twarzy wciąż maluje się rozpacz. – Czulem, że mogę wyznać ci całą prawdę.

– Możesz – zapewniam go miękkim głosem.

– Ona była taka chora – kontynuuje, splatając palce z moimi. – Kołatanie serca, kaszel, bóle w piersi. Prawdopodobnie chorowała na to samo, co ja, i też miała nieregularny puls, ale wtedy nie diagnozowano takich chorób. W każdym razie... to ją wyczerpało, wyssało z niej życie. Do cna. A przecież miała go w sobie tyle, choć wcale nie było jej łatwo. Ciężko pracowała... Zresztą oboje się zapracowywali i...

Ściskam jego dłoń.

– Dobrze, że nie cierpiała długo – podejmuje. – Oczywiście przy takich bólach w piersi powinna była pójść do lekarza, ale wiesz, w tamtych czasach i w tamtym miejscu... Mieszkaliśmy wtedy w rolniczym Iowa, gdzie nie znaliśmy prawie nikogo i ledwo mówiliśmy po angielsku. Nie miała zbyt wielkich szans na leczenie. – Dopija drinka i przez chwilę ssie kostkę lodu. – Przynajmniej szybko się to dla niej skończyło. Nie mogliśmy jej pomóc. – Kręci głową. – Życie mojej matki było krótsze, niż powinno – dodaje ponuro. – Krótkie i nieusłane różami. – Wstaje. – Idę po następny – oznajmia, unosząc szklaneczkę. – Chcesz?

Podaję mu swoją szklankę i odprowadzam go wzrokiem, gdy wychodzi na korytarz.

Kiedy przynosi nowe drinki, obawiam się, że teraz zmieni temat i nie wróci już do tamtej historii. A jednak dzieje się inaczej.

– Od pogrzebu minęło ledwie kilka dni, kiedy uznał, że tego nie znieś. – mówi Lars. – Wziął śrutówkę i poszedł do szopy. Tam znalazła go Linnea. – Pociąga porządny łyk szkockiej. – Miała zaledwie szesnaście lat, była jeszcze dziewczynką. Nikogo, żadnego dziecka, nie powinno spotkać coś takiego.

O, nie. Linnea zrobiła jakąś aluzję na ten temat, ale o tych ponurych szczegółach nie wspomniała.

– Co wtedy zrobiłeś? – Wiem, że nie powinnam zadawać tego pytania; przecież powinnam już znać na nie odpowiedź. Mam nadzieję, że jest zbyt pochłonięty tą historią, aby zwrócić na to uwagę.

– To, co zrobiłby każdy starszy brat – odpowiada. – Zająłem się wszystkim. Pochowaliśmy ojca obok matki. Sprzedaliśmy wszystko, co mieliśmy, a nie było tego

dużo. Wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy na zachód, bo żadne z nas już nigdy więcej nie chciało oglądać Iowa.

– I przyjechaliście tutaj.

– I przyjechaliśmy tutaj. Pociąg zatrzymał się na Union Station wczesnym rankiem. Kupiliśmy bilety tylko do Denver. Gdybyśmy chcieli pojechać jeszcze dalej na zachód, musielibyśmy kupić następne i przesiąść się do innego pociągu. Nie zrobiliśmy tego. Wysiedliśmy i rozejrzeliśmy się; zobaczyliśmy góry w oddali i słońce oświetlające miasto, które właśnie budziło się do życia. Spojrzeliśmy na siebie i postanowiliśmy, że to miejsce będzie równie dobre, jak każde inne.

– Od tego czasu wiele osiągnąłeś – mówię. – Linnea również.

Lars przytakuje.

– Mieliśmy szczęście – stwierdza. – Szczęśliwym trafem po tych kilku okropnych zajęciach, których oboje się imaliśmy, próbując jakoś związać koniec z końcem, Linnea znalazła w końcu pracę w piekarni. Szczęśliwym trafem pewnego dnia do sklepu wszedł Steven, któremu tak bardzo spodobała się ekspedientka za ladą, że odtąd raz po raz wracał, aby ją znowu zobaczyć. I szczęśliwym trafem spodobał się Linnei tak samo, jak ona jemu.

Tak, teraz przypominam sobie tę historię. Pamiętam, jak Linnea opowiadała mi ją z błyskiem w oku, który nie przygasł nawet po tylu latach wspólnego życia. Było to w październiku pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy po raz pierwszy robiła mi fryzurę. Nie w moim prawdziwym życiu, w którym jestem Kitty. Nie, to było w tym świecie, gdy byłam Katharyn. Wtedy po raz pierwszy odwiedziłam ją w Beauty on Broadway. Lars leżał jeszcze w szpitalu, dochodząc do siebie po ataku serca.

– I to Steven przekonał cię, że stać cię na więcej niż naprawianie tramwajów przez resztę życia – dodaję. – To on pomógł ci złożyć podanie na studia. – Czuję, jak serce mi przyspiesza, kiedy to sobie przypominam. Kiedy uświadamiam sobie, że to wiem.

Lars przytakuje.

– Zachęcał mnie, abym się nie poddawał, kiedy nachodziły mnie wątpliwości, czy to jest warte tych wszystkich wysiłków i wydatków. Tak, bez niego nie osiągnąłbym niczego. Pewnie nadal naprawiałbym tramwaje na Colfax Avenue.

– Na pewno nie – wtrącam z niejakim żalem, myśląc o Dwóch Siostrach i opustoszałej Pearl Street. – Tramwaje już tamtędy nie jeżdżą. Teraz naprawiałbyś autobusy.

Lars parska śmiechem.

– No cóż, pewnie masz rację. Sama widzisz, jak szczęśliwie się dla mnie złożyło, że Steven i Linnea się poznali. – Ujmuje mnie za rękę. – I oczywiście: jak szczęśliwie się złożyło, że ty, Katharyn, pojawiłaś się w moim życiu właśnie w tamtej chwili.

– Szczęśliwie – powtarzam miękko. – Chyba pod wieloma względami *mieliśmy* wiele szczęścia.

W jego oczach pojawia się współczucie.

– Wiem, że w tej chwili wydaje ci się inaczej – mówi. – Wiem, jak trudno sobie wyobrazić, że wszystko może się znowu ułożyć po tym, co stało się zeszłej jesieni.

Co stało się zeszłej jesieni? Czekam w milczeniu.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć – dodaje Lars, ściskając moją dłoń. –

I wiesz, że rozumiem, jak ciężko jest komuś, kto stracił rodziców.

Komuś, kto... co?

Zaczynam gorączkowo kręcić głową, rozpaczliwie usiłując się obudzić.

Siedzę na sofie, kołysząc się w przód i w tył, i szlocham. Lars obejmuje mnie za ramiona, podaje chusteczkę, przytulając swój policzek do mojego.

– Muszę się stąd wydostać – mówię do niego, mocno zaciskając oczy. – Chcę wrócić do domu.

– Katharyn, *jesteś* w domu. To jest twój dom.

– Nie. – Kręcę głową. – Ty nic nie rozumiesz. Ja nie jestem stąd. To wszystko są urojenia, a ja muszę wrócić tam, gdzie moje miejsce. – Wstaję i zaczynam nerwowo chodzić po pokoju. Lewym obcasem zahaczam o turkusową wykładzinę. Może jest naderwany i wymaga reperacji, myślę, wyszarpując nogę. Muszę uważać, żeby się nie przewrócić. Cóż to za absurdałna myśl w takiej chwili.

Lars wstaje i chce położyć mi rękę na biodrze, ale odpycham go.

– Jesteś bardzo miły – mówię. – Nawet bardziej niż miły. Jesteś takim mężczyzną, o jakim zawsze marzyłam. – Zaczynam się śmiać, a w gardle czuję posmak goryczy. – Moim wyśnionym mężczyzną. Ale to nie jest prawda. To wszystko tylko sen. A w prawdziwym świecie moi rodzice żyją. Rozumiesz? Oni tam *żyją* i muszę tam wrócić!

– Mamo? – Z podestu schodów dobiega cienki głosik. – Mamo, wszystko w porządku?

Lars podbiega do podnóża schodów.

– Wszystko gra, koleżko – mówi. – Wracaj do łóżka.

– Mama jest smutna – niepokoi się Mitch, a ja wbrew sobie czuję, jak bardzo kocham to swoje wspaniałe, wyimaginowane dziecko. – Mamo, wszystko w porządku?

Ocieram oczy i chwiejnym krokiem podchodzę do klatki schodowej. Patrzę na niego z dołu, na tę jego czuprynkę czyściutkich włosków i mięciutką, zieloną piżamkę.

– Mamie nic nie jest, kochanie – udaje mi się wykrztusić. – Tylko trochę mi smutno.

– Z powodu babci i dziadka?

Nie potrafię się opanować; z mojej piersi wyrywa się gwałtowny szloch. Mitch zbiega po schodach i obejmuje mnie w pasie. Schylam się i przytulam go mocno do siebie. Lars stoi obok nas w milczeniu.

– Ja po prostu... ja nie sądziłam, że ich stracę... tak szybko – szepczę mojemu synkowi.

Przytula się do mnie jeszcze ciaśniej.

– Wiem, mamusiu. Przykro mi. Wiem, że ci ciężko. – Pociąga nosem. – Chociaż jesteś dorosła.

Kiwam głową, zanurzając twarz w jego włosach.

– Tak – przyznaję. – Chociaż jestem dorosła.

Zamykam oczy i czekam. Teraz już na pewno wrócę do domu. Pogodziłam się z tym, prawda? Pogodziłam się z tą szaloną nowiną, którą zafundował mi sen; jestem dorosła i zachowuję się jak należy. Chyba zasługuję na powrót do mojego łóżka we własnym mieszkaniu, prawda?

A jednak wciąż jestem tutaj i wciąż przytulam mojego synka. Po kolejnej chwili

wypuszczam go z objęć.

Lars robi krok w naszą stronę.

– Chodź, położę cię z powrotem do łóżka, koleżko – mówi, biorąc Mitcha za rękę, a potem zwraca się do mnie: – Połóż się na sofie, Katharyn, odpocznij. Zaraz do ciebie przyjdę.

Ale ja zamiast wrócić na sofę idę popatrzeć na wiszącą w korytarzu fotografię, przedstawiającą moich rodziców i mnie jako dziecko. Wciąż się w nią wpatruję, kiedy wraca Lars.

– Miała wtedy dwadzieścia lat – mówię zachrypniętym głosem. – Urodziła mnie, mając dwadzieścia lat. On miał dwadzieścia dwa. – Nie patrzę na Larsa. – Teraz ma dopiero pięćdziesiąt osiem lat, a on ledwo skończył sześćdziesiąt. Wiem, że kiedyś umrą. Wiem o tym. Każdy traci kiedyś swoich rodziców. Ale jeszcze nie teraz. To za wcześnie.

– Katharyn...

– Nie nazywaj mnie tak! – wołam, odwracając się do niego gwałtownie. – Nie nazywam się Katharyn. Jestem Kitty. Mam na imię Kitty Miller i jestem starą panną, która prowadzi księgarnię ze swoją najlepszą przyjaciółką. Prowadzę bardzo proste życie. Bez wielkich niespodzianek. W niczym nie przypomina *tego* życia.

– Okej. – Lars niepewnie kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi w stronę salonu.

– Usiądźmy.

Siadam posłusznie, pod łagodnym naciskiem jego dłoni.

– Opowiedz mi dokładnie, co im się stało – proszę, gdy zajmuje miejsce obok mnie.

– Katharyn. – Jego oczy są pełne smutku.

– Nie. – Wyprostowuję się, zdecydowana, by tego wysłuchać. – Opowiedz. Nieważne, czy twoim zdaniem już o tym wiem. *Nie* wiem. Musisz mi powiedzieć.

Wzdycha i pociąga łyk szkockiej.

– Lecieli samolotem – mówi. – Wracali do domu ze swojej wielkiej podróży na Hawaje z okazji czterdziestej rocznicy ślubu. Rozpętała się burza i... – Znowu wzdycha.

– Katharyn, ich samolot spadł do oceanu. Zginęli wszyscy na pokładzie.

– To nieprawda – zaprzeczam. – Polecili na Hawaje, ale wrócili do domu cali i zdrowi. Ich samolot wcale się nie rozbił. Nic takiego się nie stało.

Nie odpowiada. Czeki.

– Kiedy to było? – pytam. – Podaj datę.

Zastanawia się, marszcząc brwi.

– To była środa, Halloween – odpowiada. – Lecieli z wtorku na środę, więc musieli wyruszyć z Honolulu wieczorem trzydziestego. W środę rano mieli wylądować w Los Angeles i tam przesiąść się na samolot do Denver. To znaczy, że był halloweenowy poranek.

– No i proszę! – Wstaję z miejsca. – Przecież oni wcale nie wrócili do domu w Halloween, tylko dzień *po* Halloween. Pamiętam dokładnie.

– Nie – zaprzecza stanowczo. – Nie, to na pewno było w Halloween, bo bardzo chcieli zobaczyć dzieci w kostiumach.

Wybucham śmiechem. Nie mogę się opanować. Kręcę głową i zanoszę się niemal histerycznym śmiechem.

– Dobrze się czujesz? – pyta Lars.

– Oczywiście – odpowiadam, z trudem łapiąc oddech. – Ale widzisz, to po prostu absurd. Niemożliwe, aby moi rodzice wrócili na Halloween po to, by zobaczyć dzieci w kostiumach. Bo w tym prawdziwym świecie, Larsie, *nie ma* żadnych dzieci! Nie rozumiesz? – Zataczam ręką po pokoju. – Nie ma tam niczego, co jest tutaj. Niczego. Nie ma domu ani Mitcha, ani Missy, ani Michaela. Ani ciebie.

I wtedy markotnieję, bo nagle zdaję sobie sprawę, co to oznacza dla niego. Jest taki uroczy, przystojny i doskonały – przecież nie chciałabym, aby ten cudowny mężczyzna umarł w tak młodym wieku, w jakim był tego październikowego wieczoru w 1954 roku, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

Podnoszę na niego wzrok.

– Przepraszam – szepczę. – Wybacz mi. Nie chcę, aby tak to wyglądało. – Znowu się śmieję, tym razem nieco cynicznie. – Wolałabym już, abyś był tym, za kogo zawsze cię uważałam: draniem, który wystawił mnie do wiatru. A nie kimś, kto umarł samotnie w swoim mieszkaniu.

Lars marszczy brwi.

– O czym ty, do licha, mówisz?

– Ty umarłeś – szepczę. – Bardzo mi przykro, naprawdę, ale w prawdziwym świecie, Larsie, nasza pierwsza rozmowa skończyła się wcześniej. Umówiliśmy się na spotkanie, pożegnaliśmy się i odłożyliśmy słuchawki. Dwa dni później przyszedłam do kawiarni, ale ty się nie pojawiłeś. Tamtego wieczoru miałeś atak serca i umarłeś. Tuż po moim telefonie.

Dopija swojego drinka.

– To najbardziej szalona rzecz, jaką kiedykolwiek w życiu słyszałem.

– Wcale nie! – Kładę dłoń na jego kolanie i ściskam, aby poczuć jego ciało przez materiał spodni. – *To* jest szalone, Larsie. To wszystko. Jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni. Ten dom i ta rodzina, i Alma, i sąsiedzi, i kłótnia z Friedą, i śmierć moich rodziców, to wszystko jest szalone, Larsie. A nie tamten prawdziwy świat. Nie świat, w którym żyję i w którym może nie wszystko jest idealne, ale przynajmniej ma sens.

Obejmuję go za szyję i zaczynam całować. Pragnę na zawsze wyryć sobie w pamięci i w sercu dotyk jego ust i ciała. Nie chcę o nim zapomnieć, ale też nie chcę tu wracać – już nigdy.

Wreszcie odrywamy się od siebie. Na pożegnanie rzucam mu smutne spojrzenie.

– Teraz idę do łóżka – mówię, wstając. Położę się w tym wymyślonym łóżku, w wymyślonym domu i zapadnę w wymyślony sen, a potem obudzę się w prawdziwym świecie. Dotykam kosmyka włosów za jego uchem, czule, jakbym dotykała któreś z dzieci. – Żegnaj, mój kochany – szepczę.

ROZDZIAŁ 26

Kiedy się budzę, nie wiem, gdzie jestem. Łóżko jest wąskie i wysokie. Podwójne okno jest zasłonięte, więc w pokoju panuje ciemność. Pod miękką, szenilową narzutą jest ciepło i przyjemnie.

Nagle dociera do mnie zapach pieczonej dyni z lawendą, który rozpoznałabym wszędzie – i wtedy zdaję sobie sprawę, że jestem w domu. Nie w *moim* mieszkaniu w bliźniaku, ale u moich rodziców. W mojej dziecięcej sypialni w domu przy York Street.

Odrzucam kołdrę, po cichu podchodzę do okien i rozsuwam zasłony. Na zewnątrz jest jeszcze ciemno i mglisto. Sama nie wiem, czy to pochmurny dzień, czy po prostu słońce jeszcze nie wzeszło. Nie mam pojęcia, która jest godzina; w pokoju nie ma zegara. Postanawiam przypomnieć mamie, aby uzupełniła ten brak.

Kilka lat temu, po mojej wyprowadzce, matka urządziła tu pokój gościnny. Zdjęła moje szkolne transparenty i plakaty filmowe – Clark Gable i Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*, Deanna Durbin w *Wiecznej Ewie*, William Holden i Martha Scott w *Naszym mieście*. Niegdyś zielone ściany przemalowano na bardziej neutralny beż. Starą, różowo-żółtą patchworkową kapę i pasujące do niej zasłonki zastąpiono surową, szenilową narzutą w kolorze zgaszonego błękitu i draperiami w podobnym stylu. Na ścianach powieszono kilka niedużych reprodukcji obrazów francuskich impresjonistów: baleriny Degasa, sceny kawiarniane Renoira. „Idealny pokój dla gości”, oznajmiła, gdy wszystko było gotowe. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, aby rodzice kiedykolwiek kogoś u siebie gościli, niemniej matka miała rację: ten pokój doskonale spełniłby swoją rolę, gdyby tylko ktoś ich odwiedził.

Teraz oglądam swój strój: mam na sobie za dużą, białą koszulę nocną z koronkowym kołnierzykiem pod szyją. Bez wątplenia należy do mojej matki. Co się stało? Czyżbym była tak pijana, że nie pozwolili mi wrócić do własnego domu? Wielkie nieba, to dopiero upokorzenie.

Chciwie wypijam całą szklankę wody, którą matka zapobiegliwie zostawiła na stoliku nocnym. Trochę boli mnie głowa. Otwieram drzwi i wymykam się na korytarz.

Zerkam na zamknięte drzwi do sypialni rodziców. Mam wielką ochotę otworzyć je z impetem i wpakować się do ich łóżka, jak mogłaby zrobić sześciolatka. Jak *zrobiła* pewna sześciolatka w *moim* urojonym świecie, przypominam sobie zgryźliwie.

Nagle wracają do mnie potworne słowa Larsa ze snu. Z moich ust wyrывa się krótki, ledwo słyszalny okrzyk. Staję jak wryta w ciemnym korytarzu, obejmując się ramionami, aby dodać sobie otuchy.

Matka wspominała, że wtorkowy lot z Honolulu był „straszny”, więc wygląda na to, że Lars miał rację. Samolot lecący z Hawajów musiał rozbić się podczas burzy, choć w prawdziwym świecie nie słyszałam o takim wypadku. Ogarnia mnie smutek na myśl o tych, którzy stracili życie, i tych, którzy stracili swoich bliskich. Co za ulga, że na pokładzie nie było moich rodziców.

Próbuję sobie wyobrazić to życie, moje prawdziwe życie, bez nich. Wiem, że takie

rzeczy się zdarzają – samoloty się rozbijają, ludzie giną. I wiem, że niespodziewana śmierć spowodowana chorobą lub wypadkiem *może* dotknąć każdego – moich rodziców, Friedę, kogoś bliskiego. Rzecz w tym, że *nie* dotknęła. Ani mojej matki, ani ojca. Nie w moim życiu.

Ciemnym korytarzem idę w stronę kuchni, marząc o kawie. To nie ma znaczenia, myślę. Nie zamierzam wracać do tego wymyślanego świata. Nie za bardzo wiem, jak miałabym zrealizować to postanowienie, ale jedno jest pewne: już tam nie wrócę. Po prostu nie mogę pozwolić, aby mój umysł znów się tam zapuścił, powtarzam sobie, napełniając zaparzaczkę wodą.

Jestem przerażona. Jeśli znów tam wyląduję, mogę już nigdy nie wrócić do domu.

Oczywiście nie powiem o tym rodzicom. Kto chciałby usłyszeć coś takiego o sobie? Przygotowuję śniadanie i czekam, aż się obudzą. Przedwczoraj wybrałam się na targ i napełniłam ich lodówkę świeżymi produktami, aby niczego im nie zabrakło pierwszego dnia po powrocie do domu. Kupiłam sok pomarańczowy, bochenek chleba, śmietanę i jajka. Budzi ich zapach kawy i wkrótce oboje wychodzą z sypialni, zawiązując paski szlafroków i węsząc w powietrzu.

– Kitty. – Matka przygląda mi się z uwagą. – Kochanie, czy ty w ogóle spałaś? Cóż to za worki pod oczami. – Sięga po filiżankę i nalewa sobie kawy. – Przepraszam, że nie odwieźliśmy cię do twojego mieszkania – ciągnie spokojnym tonem. – Pomyśleliśmy, że lepiej...

– Nie szkodzi – przerywam z zażenowaniem. – To ja przepraszam.

– Nie ma potrzeby. – Ojciec siada przy stole, a matka napełnia śmietanką znajomy porcelanowy dzbanuszek w różyczki, nieodzowny element śniadania w tym domu, i stawia go przed nim razem z filiżanką. – Każdemu się zdarza, kochanie. – Nalewa sobie śmietanki do kawy, dorzuca kostkę cukru i miesza. I głośno kicha, jak to on. Bardziej przypomina to szczeknięcie dużego psa, labradora albo doga niemieckiego, niż zwykłe kichnięcie. Znam ten dźwięk, a jednak aż nieruchomieję z zaskoczenia. Zdaję sobie sprawę, że w tamtym świecie – gdybym wbrew swojej woli miała kiedyś do niego wrócić – już nigdy nie usłyszę tego zwykłego przecież, codziennego odgłosu.

Ojciec wyjmuje z kieszeni szlafrocka chusteczkę i wydmuchuje nos.

– Chcieliśmy się upewnić, że nic ci nie będzie, więc uznaliśmy, że lepiej przywieziemy cię tutaj – wyjaśnia, chowając chustkę.

Siadam obok niego i przeczesuję sobie włosy palcami.

– Wstyd mi, tak czy owak.

– Kochanie. – Ojciec kładzie mi rękę na ramieniu. – To *my* – mówi. – Nigdy nie musisz się wstydić przy mnie i przy mamie. – Upija łyk kawy. – Przecież wiesz, Kitty.

Po śniadaniu rodzice odwożą mnie do mojego bliźniaka. Nadal jest pochmurno, ale ciepło jak na początek listopada. Oboje czekają na werandzie, a ja idę się odświeżyć. Niestety, wyglądam jak trzy ćwierci do śmierci i nawet mocny makijaż niewiele może tu pomóc.

Przebieram się i robię, co mogę, z moją wymizerowaną twarzą, a potem rodzice odprowadzają mnie do księgarni, aby przywitać się z Friedą. Jest pochmurno i od czasu do czasu spada na nas parę kropli deszczu. Niemniej drzwi naszego sklepu są otwarte, aby

wpuścić do środka trochę ciepłych podmuchów wiatru.

– Pewnie niedługo już nie będziemy mogły zostawiać otwartych drzwi – wita nas Frieda. Wymieniamy spojrzenia, a ja wiem, że obie myślimy o tym samym: być może to już ostatnia taka okazja w tym miejscu. Kiedy (i jeśli) przeniesiemy księgarnię do centrum handlowego, też będziemy mogły otwierać drzwi, ale będą to szklane, rozsuwane drzwi otwierające się na nieskazitelnie czysty, betonowy pasaż, a nie kruszejący miejski chodnik.

Frieda wstaje zza lady i podchodzi do nas, aby ucałować moich rodziców.

– Wyglądasz cudownie, kochana – mówi moja matka, odsuwając ją na długość ramienia i mierząc wzrokiem. Krzywię się, wiedząc, że sama nie wyglądam w tej chwili za dobrze.

– Ty i Tom również. – Frieda zakłada niesforny kosmyk za ucho i zwraca się do mojego ojca: – Tomie, musisz mi powiedzieć: czy Hawaje są źródłem młodości?

Nic na to nie poradzę, ale gdy słyszę te słowa, ściska mi się serce. Z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że prawdopodobnie Hawaje *były* dla nich źródłem młodości. Zimy w Kolorado bywają surowe, zwłaszcza dla starszych ludzi – a choć nie uważam rodziców za staruszków, nie stają się przecież coraz młodszy. Zdaję sobie sprawę, że lepiej czuliby się w cieplejszym klimacie, tak jak wuj z ciotką.

A po drugie, ponieważ w świecie ze snu to wszystko – Hawaje, ich wspaniałe wspomnienia z podróży życia oraz to, co mają tutaj, w domu – zostało im tak brutalnie wydarte.

Zresztą nie tylko im – mnie również.

Po tej krótkiej wizycie rodzice żegnają się i wychodzą. Nie chcą, aby złapała ich burza, która wciąż wisi w powietrzu. Poza tym muszą się rozpakować, twierdzi matka, no i jest mnóstwo rzeczy do prania.

– Muszę ci coś powiedzieć – mówię do Friedy po ich wyjściu. – Uprzedzam, że to zabrzmi, jakbym oszalała.

– Więc najpierw zróbmy kawę – stwierdza z szerokim uśmiechem.

Po chwili zasiadamy za ladą z filiżankami w dłoniach. Frieda zapala salema i zaciąga się głęboko. Odwraca się, by wypuścić dym, po czym wraca do mnie wzrokiem. Jej roześmiane oczy wskazują, że jest w dobrym humorze. Uświadamiam sobie, jak często zaraża mnie swoim nastrojem. Jeśli ona posepnieje, to ja też. Kiedy ona jest radosna, i ja czuję się dobrze. Ale dzisiaj jej pogoda ducha jakoś mi się nie udziela.

– Od kilku tygodni dzieje się ze mną coś dziwnego – zaczynam. – Kiedy zasypiam, czasem śni mi się, że prowadzę inne życie. – Biorę oddech. – Jest zupełnie inne niż to tutaj, ale ja to wciąż ja i wszystko dzieje się w teraźniejszości... A mówiąc ściślej, kilka miesięcy później, bo jest tam chyba początek marca i... – Urywam. Sama nie wiem, jak mogłabym jej to wyjaśnić w jakiś rozsądny sposób.

Frieda upija łyk kawy i stuka papierosem o leżącą na ladzie popielniczkę.

– Każdy ma czasem takie sny – mówi. – Zeszłej nocy śniło mi się, że byłam aktorką śpiewającą na Broadwayu. Szkoda, że mnie nie słyszałaś... Wykonywałam łzawą interpretację *Soon It's Gonna Rain* z musicalu *The Fantasticks*.

Uśmiecham się.

– To nie całkiem tak. Te sny, Friedo... one są tak realne. Trudno to wyjaśnić. To wszystko mogłoby się wydarzyć. Punktem zwrotnym dla całego mojego życia w tych snach było pewne zdarzenie, które miało miejsce osiem lat temu.

– Wybacz, moja droga – kręci głową Frieda – ale nie nadażam.

Więc wyjaśniam. Opowiadam o Larsie i naszej rozmowie telefonicznej, o tym, jak w świecie ze snów nie rozłączyliśmy się i dzięki temu, mówiąc krótko, uratowałam mu życie. Kiedy teraz o tym mówię, brzmi to dość ckliwie. Pewnie dlatego, że takie właśnie jest, stwierdzam w duchu.

W trakcie mojego długiego wywodu Frieda zapala drugiego papierosa; teraz gasi go i zwraca się do mnie żartobliwym tonem:

– To pewnie ten twój mąż, co to umarł dawno temu.

Marszczę brwi.

– Co masz na myśli?

– Nie pamiętasz? – Kręci pustą filiżanką na ladzie. – Kilka lat temu zastanawialiśmy się, dlaczego żadna z nas nie spotkała swojego wyśnionego mężczyzny. Wpadłaś wtedy na niezły pomysł. Powiedziałaś... Zdaje się, że użyłaś dokładnie tych słów: „Cóż, jedyne sensowne wyjaśnienie brzmi tak, że umarł, zanim zdążyłam go poznać”.

Przez chwilę w milczeniu przetrawiam tę informację. *Pamiętam* tę rozmowę. Toczyłyśmy ją pewnego wieczoru przy drinkach, w centrum miasta; zdaje się, że świętowałyśmy sprzedaż pięćsetnej książki albo coś w tym rodzaju.

– To niesamowite, że powiedziałam coś takiego.

– A jednak. – W zamyśleniu dotyka swojej filiżanki palcem. – No i jak kończy się ta bajka?

– Tak jak można by się spodziewać – wzruszam ramionami. – Zakochujemy się i pobieramy. Dość szybko, w ciągu roku, a wkrótce potem zachodzę w ciążę i spodziewamy się bliźniąt, ale okazuje się, że mamy trojaczki.

Frieda wybucha śmiechem.

– Święty Jezu, robi się coraz lepiej – woła. – Powiedz jeszcze, że potem robisz się gruba jak świnia, *blagam*.

– Już jestem gruba – zaznaczam z uśmiechem.

– Gdzie tam – kręci głową Frieda. – Wcale nie jesteś gruba, Kitty. – Dolewa sobie kawy i podsuwa mi dzbanek. – Po prostu masz czym oddychać, siostrze.

Przewracam oczami, przyjmuję dolewkę i czekam, aż Frieda z powrotem usiądzie.

– Chodzi o to – kontynuuję – że na początku to wszystko rzeczywiście wyglądało na sielankę. On był wspaniały. Dom był doskonały. Dzieci były idealne – no, w pewnym sensie, ale to już inna historia. A teraz im więcej czasu tam spędzam, tym mniej...

Urywam, bo nie umiem tego wytłumaczyć. Ani stanu Michaela i związanego z nim poczucia winy, które, co czuję nawet z perspektywy całkowicie innego świata, strasznie mnie dręczy w tamtym wyimaginowanym życiu. Ani tego, jak potoczyła się moja przyjaźń z Friedą. Jak mam jej wyjaśnić, że nawet już ze sobą nie rozmawiamy?

A już na pewno nie mogę jej wyjaśnić tego, co spotkało tam moich rodziców.

– ...tym mniej doskonały wydaje mi się ten świat – dodaję i na takim zakończeniu

poprzestaję.

Frieda kładzie dłoń na mojej dłoni.

– Och, kochana – mówi. – Nie wiem, dlaczego tak bardzo cię to porusza. – Wygląda przez okno, a potem przenosi wzrok na mnie. – Ostatnio wszyscy przeżywamy ciężkie chwile. Ta sprawa na Kubie, niepewność jutra, tego, co nas czeka w wymiarze globalnym i w naszych małych światkach. Ale ten twój świat ze snu... to zwykła ucieczka, Kitty. Urojenie.

– Ale ja *czuję* jego realność! – wołam. – Wydaje się całkowicie rzeczywisty i kiedy w nim jestem, nie mogę pozbyć się myśli... Martwię się... – Kręcę głową i zerkam za okno. – Boję się, że pewnej nocy zasnę i zostanę tam już na zawsze. I już nigdy tu nie wrócę.

Proszę. Powiedziałam to na głos.

Frieda wstaje i podchodzi do okna, po czym przywołuje mnie skinieniem.

– Połóż tu rękę – mówi, przyciskając swoją dłoń do szyby. Robię tak samo. – Czujesz ciepło? – pyta. – Czujesz słońce?

Ma rację. Kiedy zdążyło się zrobić tak słonecznie? Wydawało się, że chmury, które zasnuwały niebo przez cały ranek, nie rozwieją się przez cały dzień, a jednak teraz przebija się przez nie słońce i szyba jest prawie gorąca. Spoglądam na Friedę i przytakuję.

Bierze mnie za rękę i prowadzi do regału. Każe mi koniuszkami palców dotknąć jakiejś nowej książki w twardej oprawie – eleganckiej, ze złoceniami i szeleszczącymi stronicami.

– To też czujesz, prawda?

Znowu przytakuję.

Teraz idziemy do drzwi i wychodzimy na chodnik. Mija nas ciężarówka, zostawiając za sobą śwąd spalin.

– Nie powiesz mi, że tego nie poczułaś – mówi Frieda. – A kawa? Czulaś jej smak, prawda? Tak jak poczułaś pocałunek matki na do widzenia i uścisk ojca. Czujesz pończochy na nogach i klipsy ściskające ci uszy. Prawda?

Wzdycham.

– Friedo, wszystko to czuję. Ale rzecz w tym, że to samo czuję w tamtym świecie.

– Nie – mówi, kręcąc głową. – Masz wspaniałą wyobraźnię, Kitty. To świetnie. A aktywny umysł, nawet we śnie, to oznaka inteligencji. – W jej oczach widzę życzliwość. – Ale tamten świat ze snu nie jest rzeczywisty. Tutaj... – Zatacza ręką wokół, jakby obejmowała otaczającą nas przestrzeń, *naszą* przestrzeń. Po czym obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie. – Tutaj – szepcze. – Właśnie tu jest twoje miejsce.

ROZDZIAŁ 27

Tak jak mówiłam Friedzie, tej nocy boję się zasnąć.

Odwlekam tę chwilę najdłużej, jak to możliwe. Zgodnie z obietnicą przygotowuję pełny obiad dla rodziców: lasagne, chleb czosnkowy i sałatkę. Pijemy też wino, ale uważam, aby poprzestać na jednym kieliszku. Siedzimy do późna w nocy – rozmawiamy, wspominamy stare czasy, a gdy wyjmuję z biurka album, śmiejemy się ze starych zdjęć, na których ja wyglądam niezgrabnie, a oni tak młodo.

Wreszcie o jedenastej ziewają i stwierdzają, że czas się pożegnać. Przy drzwiach oboje mocno mnie przytulają.

– Witajcie w domu – szepczę. – Cieszę się, że wróciliście.

Po ich odjeździe siadam wyprostowana na sofie i robię szkic następnej książeczki dla Grega. Postanowiłam, że będzie opowiadała o tym, co baseballiści robią poza sezonem. Oczywiście odwiedzają wtedy swoich najlojalniejszych kibiców, takich jak Greg Hansen. Docieram do środka opowiadania, do chwili, kiedy Willie Mays staje na progu naszego bliźniaka przy Washington Street. Podkreślam słowa, które Greg powinien moim zdaniem zapamiętać: sezon, ulica, taksówka. Nie wiedząc jeszcze, jak zakończyć tę historyjkę, z wielkim namysłem gryzę ołówek. Ale nie mogę się skupić.

W końcu odkładam wszystkie kartki na bok i zaczynam czytać powieść o wojnie nuklearnej *Czerwona linia*, którą od niedawna mamy w księgarni. Dostała wspaniałą recenzję w „Denver Post” z zeszłej niedzieli, więc spodziewam się, że czytelnicy zaczną wkrótce o nią pytać. Treść tej książki niespecjalnie mnie interesuje, ale muszę ją przeczytać, aby móc odpowiadać na pytania klientów.

Wbijam wzrok w jej stronicę i czytam raz po raz ten sam fragment, od czasu do czasu rzucając tęskne spojrzenie w stronę niskiego stolika, na którym leży egzemplarz *Pełni życia panny Brodie* pióra Muriel Spark. Przeczytałam tę powieść w zeszłym roku, kiedy się ukazała, ale była tak dobra, że chcę ją sobie przypomnieć. Powtarzam, że choć muszę być na bieżąco z nowościami, które tak lubią klienci, to jednak przede wszystkim nie mogę zasnąć. Odkładam *Czerwoną linię* i sięgam po *Pannę Brodie*.

Mija kolejne pół godziny. Niestety, mimo że wybrałam książkę, która bardziej mi się podoba, oczy same mi się zamykają. Idę do kuchni, aby zaparzyć sobie mocnej, czarnej herbaty. Z filiżanką w zasięgu ręki moszczę się z powrotem na sofie, z powieścią Spark w dłoni. Popijam herbatę i czytam jeszcze kilka stron, walcząc z nadchodzącym snem.

Nie mogę rzec, że jestem zaskoczona, budząc się w domu przy Springfield Street. Ledwo otwieram oczy, widzę zieloną sypialnię i z gardła wyrzywa mi się jęk. Zaciskam powieki z nadzieją, że dzięki temu wizja zniknie, ale wiem, że nic z tego. Wzdycham i ponownie podnoszę powieki.

Sądząc po świetle wpadającym przez drzwi tarasowe, jest późny poranek. Zerkam na zegar na szafce nocnej Larsa – tak, jest po jedenastej. Leżę w łóżku sama, a drzwi do sypialni są zamknięte. Wstaję i po cichu przemykam się do kuchni. Zastaję w niej siedzącą przy stole Almę. Pewnie ma przerwę na kawę; czyta gazetę, a przed nią stoi

filiżanka.

Kiedy wchodzę, Alma podnosi wzrok.

– Jak się pani czuje, *señora* Andersson? – pyta, a ja jestem wzruszona autentyczną troską, którą słycać w jej głosie.

– Ja... Dobrze. – Nalewam sobie kawy z zaparzacza. – Gdzie pan Andersson i dzieci?

– *Señor* Andersson, on bierze wolny dzień w pracy. Aby pani wypoczywała. Zawozi Mitcha i Missy do szkoły. Mówi, że będzie na dworze z Michaeliem tak długo, jak może. Dzięki temu w domu jest cicho. – Wstaje. – Ja staram się robić cicho dziś rano – dodaje. – Nie przeszkadzam pani. Nie?

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową. – Nie przeszkadzasz mi. Dziękuję.

– *Señor* Andersson, on mówi, że pani noc była *difícil*.

Potakuję i siadam przy stole.

– Pani chce, żebym co zrobiła? Jajka i tosty?

– Tak – mówię, popijając kawę. – Byłoby wspaniale. *Gracias*.

Zaczyna krzątać się przy kuchence. Rzucam okiem na pierwszą stronę gazety datowanej na poniedziałek 4 marca 1963 roku. „Trzy osoby giną pod lawiną w pobliżu Ouray”, informuje nagłówek. Większą część strony zajmuje zdjęcie ukazujące ratowników próbujących ocalić ofiary lawiny na przełęczy górskiej w południowo-zachodniej części stanu.

– Almo – mówię, gdy kładzie przede mną talerz. – Możemy chwilę porozmawiać? Wzrusza ramionami.

– *Sí*. Jeśli pani chce.

– Dolej sobie kawy.

Unosi brwi, ale nie protestuje.

– Potrzebuję kilku informacji – wyjaśniam, gdy zajmuje miejsce naprzeciwko mnie.

– Pewnie pomyślisz, że zwariowałam, bo chcę cię zapytać o sprawy, o których wszystko powinnam wiedzieć. Ale nie pamiętam ich i musisz mi pomóc.

Przechyla głowę z ciekawością i czeka.

– Po pierwsze, kiedy zaczęłaś dla nas pracować?

– Hmm. Chyba w maju. W pięćdziesiątym ósmym. Ten dom, on jest *nuevo* – odpowiada. – Pani i *señor* Andersson, i *los niños* właśnie się wprowadzili. Pani mnie wynajmuje, bo ten dom za duży dla pani zajmować się bez pomocy. Zresztą pani pracuje w tamten czas, *señora*.

– Naprawdę? A co jeszcze możesz mi o tym powiedzieć?

– Ma pani *tienda de libros*. Księgarnię. Z tą drugą panią, *señorita* Green. Pani chodzi do księgarni codziennie i zostawia tu *los niños*. One są wtenczas *bebés*, niecałe dwa lata.

– I ty się nimi opiekowałaś?

Śmieje się.

– Nie ja – odpowiada. – To trzy urwisy. Nie może się nimi opiekować, jak ktoś prowadzi dom. Gotuje posiłki. Nie, *señora*, pani ma *la niñera*. Pani nie pamięta Jenny?

Kręcąc głową.

– Zresztą nieważne... Opowiedz mi o niej, jakbym jej nie pamiętała.

– Ona myśli, że taka ważna i zadziera nosa. Ale po mojemu to ona jest *chafa*. Nic dobrego. – Alma wykrzywia usta. – Jenny ma naukowy stopień z *psiquiatria infantil*... Nie wiem, jak to jest po angielsku. To znaczy, że leczy głowy *los niños* w środku. Ale nie znajduje takiej pracy. Jak by mnie pani spytała dlaczego, to ja nie wiem. Ale potem, jak ją już lepiej znam, to chyba wiem. Więc tu przychodzi, pracuje dla pani i señora Anderssona. – Alma waha się przez chwilę, po czym dodaje: – *No es mi lugar, señora*, ale powiedziałam pani wtedy i teraz powtarzam. Miałam dużo *güisa*, koleżanek, co wychowywały *los niños*, własne i cudze też, i one starały się o pracę tutaj. Ale Jenny, ona jest „profesjonalna”. Tak pani mówi wtedy, *señora*. – Alma prychnie. – *Los niños pobres*. Ich *mamá* nie może tu być. Okej. Więc potrzebują kogoś innego, co będzie jak ich *mamá*. Nie potrzebują kogoś, żeby je traktował jak *ratas de laboratorio*.

Czuję, jak mi rzędzie mina, a Alma niepewnie dotyka mojej dłoni.

– *Lo siento* – dodaje szybko. – Nie powinnam tak mówić. To okrutne tak powiedzieć.

Wzruszam ramionami.

– W porządku. Mów dalej.

– Jenny pracuje u pani dłużej niż ja. Myśli, że wie wszystko o tej rodzinie. Ale ja myślę, że Jenny była *estricto* dla *los niños*. – Odsuwa rękę. – Zwłaszcza dla Michaela. Jenny myśli, że... – Alma upija łyk kawy i waha się przez chwilę. – Myśli, że coś nie tak z jego głową. *¿Eh? loco. Sí.* Okej, tu ma rację. *Lo siento decir, señora*, ale tak jest. Ale myśli też, że może go wyleczyć. Michael nie chce robić rzeczy, które robią *los otros niños*. Rzeczy, które robią *todos los niños*. Rzucac piłki, słuchać muzyki, czytać książek. To go nie interesuje. On siedzi w kącie i nuci. A Jenny wyciąga go za te chude ramionka i każe bawić się z *los otros niños*. Chwyta go za rękę i trzyma *apretado*. – Alma tak mocno ściska jedną dłoń drugą, aż czerwienieje jej skóra pod palcami. Rozluźnia uścisk i oddycha z ulgą, a ja razem z nią. – Jenny zmusza Michaela, aby bawił się z innymi – kontynuuje. – Chce go zmusić, żeby śpiewał *Stary niedźwiedź mocno śpi*. – Ciągnie go, *que todo se derrumbe*. Kiedy on płacze, ona... – Alma zagryza wargi. – Pani naprawdę nie pamięta, *señora*? Nic pani nie pamięta?

Z trudem przetykam ślinę.

– Mów dalej.

– Daje mu klapsa – mówi Alma cicho. – *Señora Andersson, mi corazón pęka*, jak to widzę. Jenny daje klapsa, a on głośniej krzyczy, to ona go podnosi i stawia do kąta i zatyka buzię, żeby nie krzyczał. A on jest *un niño pequeño*, mały chłopiec. *Los otros niños*, takie słodkie jak teraz, stoją tam, trzymając się za rączki, nie wiedzą, co robić. Biegną po mnie i ciągną za spódnicę. Nie znają wiele słów, ale ja wiem, co chcą powiedzieć: *Almo, zrób coś! I ja wznoszę ręce, bo co mogę zrobić? ¿Y qué?* Ta kobieta, ona jest *mono*, ale to nie moja rzecz. Moja praca to sprzątać *los baños* i gotować, a nie wychowywać *los niños*.

– Czy my... – pytam cicho. – Czy pan Andersson i ja... Czy my o tym wiedzieliśmy?

– *El niño* był *loco*, nie całkiem dobrze z głową. *Lo siento decir*. I wszyscy to

wiedzą. *Señor* Andersson wie przed panią. On błaga, żeby pani poszła z Michaeliem do doktora. Ale pani mówi, że Michael jest zdrowy, tylko trochę nieśmiały, i *lento*, nie umie robić różnych rzeczy tak szybko, jak *los otros niños*. Pani mówi, że z czasem będzie lepiej.

– Ale nie wiedzieliśmy... że on był... że ona go...

Alma zaprzecza.

– Nie. O tym państwo nie wiedzą. Ja powinnam powiedzieć. Wcześniej, niż powiedziałam. – Spuszcza wzrok. – Ale Jenny przyszła tu przede mną. Ja byłam nowa. Wtedy się boję coś mówić. Że stracę pracę.

– Ale powiedziałaś... w końcu.

– *Sí*. Minął więcej niż rok. Wtedy to mówię. – Patrzy ponurym wzrokiem. – A wtedy pani zwalnia Jenny *como un rayo* jak... – Macha ręką w powietrzu, jakby rysowała błyskawicę. – Ja się z tego cieszę. *¡Adios!* – Odstawia filiżankę. – A wtedy pani zabiera Michaela do doktorów. Żeby zobaczyć, co powiedzą.

– I co powiedzieli?

– Powiedzieli, że to pani wina, *señora*. – Alma wstaje. – Powiedzieli, że on ma chorobę, autyzm, i że nie umieją go wyleczyć. I jeszcze że to dlatego, że on potrzebuje swojej *mamá*, kiedy jest mały. Ale jej przy nim nie ma, jak jest potrzebna.

Marszczę brwi.

– Wierzysz w to, Almo? Wierzysz, że to moja wina?

Alma zabiera ze stołu mój pusty talerz.

– *Señora*, ja mówię za dużo. Mam pracę do zrobienia. Włączam odkurzacz, skoro pani już wstała. *¿Bueno?*

No dobrze, mówię sobie. Chciałabym zamknąć oczy, zasnąć i obudzić się w domu, ale wiem, że to niemożliwe, jeszcze nie teraz. Okej, w końcu to opinia tylko jednej osoby. Zgoda, Alma jest świadkiem bardzo wiarygodnym. Mimo wszystko to nie może być cała prawda.

Gdyby to była moja wina, przekonuję siebie samą, myjąc filiżankę w zlewie, to dlaczego nic nie dolega Mitchowi i Missy? Jeśli autyzm Michaela wynika stąd, że jestem taką okropną matką, to dlaczego moje pozostałe dzieci nie są autystyczne?

Natychmiast karzę się za tak ograniczone rozumowanie. To nie takie proste, strofuje mnie mój wewnętrzny krytyk. W przeciwnym razie na świecie byłoby znacznie więcej autystycznych osób. Bo przecież tak wiele jest okropnych matek.

Prawda jest taka – myślę sobie, wracając do głównej sypialni, aby się ubrać – że musi w tym być jakiś element przypadku. I cokolwiek dotknęło Michaela – *Przyznaj szczerze, Kitty, że tym, co „dotknęło Michaela”, było twoje okropne macierzyństwo* – jakimś cudem ominęło Mitcha i Missy. Uniknęli fatum i nic im nie jest.

Ale czy na pewno? Alma przerwała swoją opowieść na zwolnieniu Jenny i zdiagnozowaniu Michaela. Mogę jednak dopowiedzieć sobie resztę. To wtedy musiałam odejść z Dwóch Sióstr. Zostawiłam Friedę, pewnie z dnia na dzień. Utknęłam tutaj, w domu z dziećmi, aby odprawić swoją pokutę. Modląc się i mając nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Że jakkolwiek krzywdę wyrządziłam Michaelowi, zdołam ją odwrócić. I licząc na to, że taki sam los nie spotka pozostałej dwójki.

W sypialni rzucam okiem na łóżko. Jest wciąż niezasałane, a pościel bezładnie

rozrzucona, jakby śpiący był bardzo niespokojny. Może Lars i ja tak właśnie spaliliśmy. Podchodzę do łóżka, wygładzam pościel i narzutę, przetrzepuję poduszki. Zdaje się, że śłanie łóżka nie należy do mnie, przynajmniej nie w te dni, kiedy jest tu Alma. Niemniej czuję, że muszę to zrobić.

Otwieram drzwi szafy i przeglądam ubrania, próbując coś wybrać. Jednak to nie stroje zaprzatają mój umysł. Zamiast nich przed oczami zaczynają mi się przesuwac strzępy mojego życia z ostatnich kilku lat.

Niektóre z tych dni pamiętam. Nie wszystkie, ale niektóre.

Dzieci miały dwa i pół roku, gdy zwolniłam Jenny i postanowiłam poświęcić się ciałem i duszą swojej rodzinie. Byłam pewna, że zdołam się zmienić na lepsze. Że Michael mnie pokocha. Że będzie normalny jak jego rodzeństwo.

Uznałam, że wszystkim nam posłuży praca na świeżym powietrzu, w ogródku za domem. Tamtej wiosny założyliśmy warzywnik: starannie wysiewaliśmy nasionka sałaty i marchewki w równych rzędkach w bryłkowatej glebie; tyczkowe sadzonki pomidorów kupione w sklepie ogrodniczym przy moim starym bliźniaku posadziliśmy na tyłach ogródka, wzdłuż ogrodzenia. Musiałam przywołać do porządku Mitcha i Missy, którzy walczyli ze sobą na miecze sadzonkami pomidorów, ale w końcu wykonaliśmy zadanie, jak należy.

– Świeża żywność – powiedziała Larsowi z satysfakcją, gdy wróciliśmy do domu. – Świeża żywność i świeże powietrze. To wszystko zmieni.

Pamiętam jego pełen wdzięczności uśmiech. Wyraźnie podobała mu się ta nowa wersja żony.

– Rolniczka Katharyn – mawiał. – I jej pomocnicy.

Razem z trojaczkami urządziliśmy klomby przed domem. Pozwoliłam dzieciom wybrać paczuszki z nasionami i odtąd z niecierpliwością czekaliśmy, aż kwiaty wykiełkują i rozjaśnią nasze podwórko. Mitch i Missy uwielbiali paprać się w tej błotnistej, ciepłej ziemi, czuć, jak przesypuje się przez palce. Michael tego nie znosił i zaczynał piszczeć, ilekroć jakieś drobinki dostawały mu się za paznokcie.

Gdy nadeszła jesień i musieliśmy spędzać więcej czasu w domu, wymyśliłam, że zabawy wymagające wyobraźni pomogą Michaelowi wyjść ze swojej skorupy – a ponadto Missy chciała dorosnąć i zostać księżniczką. Więc bawiliśmy się w przebieranki. W soboty, kiedy Lars przejmował na kilka godzin opiekę nad dziećmi, ja szperałam w sklepie charytatywnym Armii Zbawienia i znosiłam do domu ałasowe i koronkowe skarby. Za pomocą maszyny do szycia i dzięki szczypcie magii przerabiałam je później na różne kostiumy. Maszyna do szycia była nowym nabytkiem, który miał mi pomóc zmienić się w idealną panią domu.

Missy uwielbiała te zabawy; przebierała się dwadzieścia razy dziennie, zmieniając się z Kopciuszką w Śpiącą Królową i w wymyśloną przez siebie księżniczkę, którą nazwała Claire, czyli swoim drugim imieniem nadanym jej po mojej matce. Księżniczka Claire chciała wyjść za księcia Jona – tak nazwała Mitcha – którego, wśród wspólnych chichotów, usiłowała zmusić do noszenia korony z folii aluminiowej i aksamitnego płaszczyka. Próbowali wciągnąć do tej zabawy Michaela.

– Księżniczka może poślubić tylu książąt, ilu zechce – przekonywała nas Missy.

Ale Michael brutalnie zrywał z siebie te królewskie atrybuty i biegł do swojej sypialni, gdzie siedział skulony w kącie za łóżkiem.

Myślałam, że jeśli wyjdziemy do ludzi, to Michael nauczy się nawiązywać kontakty. Więc zaczęliśmy chodzić na wycieczki: do zoo, do parku, do biblioteki. Mimo że miałam swoje kombi, czasem jeździliśmy autobusem, bo Mitch, choć miał zaledwie trzy lata, już zaczynał przejawiać wielkie zamiłowanie do pojazdów. Te wycieczki były jednak wyczerpujące, bo nigdy nie wiedziałam, jak Michael na coś zareaguje ani czy i jak zdołam go uspokoić. Tak jak ta kobieta, która weszła do Dwóch Sióstr z autystyczną córką.

Teraz dobrze ją rozumiałam. Gdy wychodziłam z Michaeliem z domu, czułam się tak samo, jak ona. Miło spędzaliśmy dzień, a nagle, bez żadnego ostrzeżenia, coś się działo – Michael był głodny, a ja zapakowałam nie tę przekąskę, którą mu obiecałam, albo inne dziecko w parku wdrapywało się na tę huśtawkę, ku której on właśnie zmierzał, albo na dworze, wbrew telewizyjnym prognozom, nagle robiło się zimno i pochmurno. Wtedy zaczynały się krzyki i wycie. Pozostała dwójka zaczynała płakać, a ja razem z nimi. Nie mogłam zrobić nic więcej, więc czym prędzej wracaliśmy do domu przy Springfield Street.

Gdy wieczorem wracał Lars, ja byłam już wyczerpana. Byłam w stanie jedynie siedzieć na kanapie z przytulonymi do mnie Mitchem i Missy i czytać im książeczki.

O ile dobrze pamiętam, co wieczór z radością oddawałam Michaela Larsowi. Otwarcie zapowiedziałam mężowi, że gdy tylko przestępuje próg, to on zajmuje się Michaeliem.

Mimo szczerego pragnienia, aby wynagrodzić Michaelowi wcześniejsze zaniedbanie – aby go zmienić, wyleczyć – pod koniec dnia nie byłam w stanie znieść go ani sekundy dłużej.

We wrześniu, zanim dzieci skończyły cztery lata, Mitch i Missy zaczęli chodzić trzy razy w tygodniu do przedszkola. Logicznie rzecz biorąc, dzięki temu powinno mi być łatwiej. Opieka nad jednym dzieckiem, nawet takim jak Michael, powinna być znacznie łatwiejsza niż nad trojgiem dzieci, prawda? Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że w te dni, kiedy Mitch i Missy szli do przedszkola, było mi jeszcze trudniej. Michael tęsknił za nimi tak samo, jak ja, i żadnemu z nas nie podobało się, że zostajemy tylko we dwoje. Choć nie mógł wyrazić tego słowami – mówił niewiele, a gdy już coś powiedział, zwykle trzeba było zgadywać, o co mu chodzi – Michael nie rozumiał, dlaczego nie może iść do przedszkola z rodzeństwem. Nie rozumiał też, dlaczego nie można zatrzymać Mitcha i Missy w domu.

– Michael idzie – upierał się za każdym razem, kiedy ich odwoziłam. Dziko kręcił głową, wbijając palce w moje ramię, gdy zatrzymywałam go w drzwiach, jednocześnie próbując dać pozostałej dwójce całusa na pożegnanie, co rzadko mi się udawało. – Michael też idzie! Ale nie tam idzie. Nie, nie, nie idzie! – Wpadał w szal i okładał mnie swoimi małymi piąstkami, gdy ciągnęłam go w stronę samochodu, aby jak najszybciej stamtąd odjechać, a inne matki gapiły się na nas i coś do siebie szeptały. Wracając do domu, nie odzywałam się, choć Michael płakał i miotał się na fotelu obok. Wiedziałam, że powinnam mu pomóc, pocieszyć go. Ale nic, co mówiłam i robiłam – ani dotyk, ani

żadne słowa czy gesty – nie docierało do niego. Więc nauczyłam się patrzeć na drogę i w milczeniu przetykać łyżę poczucia winy. Nie mogę pomóc swemu dziecku, myślałam. Co się stało, to się nie odstanie, już za późno. I to wszystko moja wina.

W końcu poprosiłam, aby to Lars odwoził Mitcha i Missy do przedszkola. Pomogło, ale i tak bałam się za każdym razem, kiedy ich odbierałam, bo nie wiedziałam, jak Michael zachowa się w tym chaotycznym tłumie dzieci i matek. Niestety, nie mogłam tego uniknąć; Lars o tej porze pracował.

Gdy dzieci były w przedszkolu, zdawało mi się, że czas wlecze się niemiłosiernie. Robiłam, co mogłam, aby zająć czymś Michaela: czytałam mu na kanapie, spacerowaliśmy po okolicy, powoli, miarowo, tak jak lubił, a w pogodne dni chodziliśmy na plac zabaw, gdzie godzinami huśtałam go na huśtawce. Uwielbiał to, a ja mogłam wtedy odetchnąć, oczyścić umysł. Miarowy, niezawodny ruch huśtawki uspokajał i Michaela, i mnie.

Mitch i Missy byli zachwyceni nauką w przedszkolu. Uwielbiali muzykę, więc w drodze do domu zwykle prosili, aby włączyć radio, i śpiewali wpadające w ucho piosenki. Poznali wszystkie litery i głoski, szybko też nauczyli się liczyć do dwudziestu. Cieszyłam się z ich osiągnięć, widząc, że uczą się równie łatwo i chętnie, jak ja w ich wieku.

Moja radość była jednak zaprawiona kroplą goryczy. Gdy oni rozkwitali u progu swej szkolnej kariery, Michael i ja coraz bardziej wędliśmy.

Rok później, kiedy dzieci poszły do zerówki, sprawy jeszcze się pogorszyły. Byłam zadowolona, że Mitch i Missy chodzili wcześniej do przedszkola; gdy zaczęła się zerówka, nie mieli jeszcze pięciu lat, więc byli młodszy od większości dzieci w swojej grupie. Na szczęście było ich dwoje, no i mieli już na swoim koncie pewne szkolne doświadczenia, więc poradzili sobie znakomicie. Nauczyli się pisać swoje imiona i umieli rozpoznać niektóre słowa w swoich ilustrowanych książeczkach. Zamiast gryzmolić, teraz rysowali postacie złożone z kresek, a także dające się rozpoznać domki, słońeczka i gwiazdki. Gdy wracali do domu, pamiętali, aby odwiesić kurtki do szafy i starannie ułożyć buciki, tak jak robili to w szkole. Lars i ja zachwycaliśmy się tym, jak mądre są nasze dzieci i jak cudowne robią postępy.

A potem milkliśmy, myśląc o Michaelu.

Nie było mowy o posłaniu go do szkoły. W każdym razie nie do zwykłej. Prawo nie wymagało, aby uczył się w szkole publicznej, a my uważaliśmy, że umieszczanie go na siłę w typowej klasie byłoby nie w porządku wobec nauczycielki, innych dzieci i samego Michaela. Wiedzieliśmy, że zakłócałby porządek i tak niewiele się ucząc, a nauczycielka, mając w klasie wiele innych małych dzieci, nie mogłaby poświęcać Michaelowi tyle uwagi, ile chłopiec wymaga.

Oczywiście braliśmy pod uwagę inne rozwiązania. Odwiedziliśmy kilka szkół specjalnych, prywatnych placówek przygotowanych do pracy z dziećmi, które nie mogą funkcjonować w zwykłej szkole. Ale były to albo szkoły dla dzieci wybitnie uzdolnionych, gdzie Michael nie miałby żadnych szans, albo dla znacznie poważniej upośledzonych, gdzie oferowano przede wszystkim dzienną opiekę nad nimi, aby ich matki mogły odpocząć.

– Mogę go uczyć w domu – powiedziałam Larsowi. – Mam kwalifikacje i doświadczenie.

Posłał mi sceptyczne spojrzenie.

– Mogę to robić – upierałam się. – Miewałam trudniejsze dzieci w moich klasach.

– Ale nie takie jak Michael, prawda? I żadne z nich nie było twoje.

– To prawda – przyznałam. – Ale tak naprawdę, Larsie, czy mamy inny wybór?

W czasach zerówki Mitcha i Missy nie udzielałam Michaelowi typowych lekcji, po prostu zaczęliśmy pracować nad kilkoma najważniejszymi umiejętnościami. Wiedząc, że kreślenie równych kółek, kwadratów i trójkątów jest podstawą nauki pisania liter, zachęcałam go do rysowania. Czasami lubił to zajęcie, chociaż zazwyczaj w jego rysunkach trudno było dopatrzeć się jakichś konkretnych obiektów. Dość często mu czytałam, mając nadzieję, że w końcu zakocha się w tych historyjkach jak większość dzieci, którym regularnie czyta się na głos. Michael nie przepadał za tym tak bardzo jak inne dzieci, ale nie protestował, jeśli nie trwało to zbyt długo.

Dopiero kiedy Mitch i Missy zaczęli chodzić do pierwszej klasy, uznałam, że nadszedł czas, aby zacząć udzielać Michaelowi lekcji z prawdziwego zdarzenia. Może i uczył się wolniej, ale, przekonywałam sama siebie, mamy przecież mnóstwo czasu. Tyle, ile będzie trzeba.

Wstawiłam do jadalni małe biurko. Sadzałam go tam, kładłam przed nim papier i uczyłam go pisać litery. Zaczęliśmy od A. Nie wymagałam niczego więcej – miał tylko przepisywać tę literę i wyszukiwać A w książeczkach, które mu czytałam. Na początku robił to chętnie, ale z czasem coraz mniej go to interesowało.

Byłam zrozpaczona. Myślałam, że nigdy niczego się nie nauczy. Umiał wyrecytować alfabet, który jednak nic dla niego nie znaczył. Tak jak i słowa w książce. Kręcił głową, ilekroć pytałam, czy widzi gdzieś literę A lub jakąś inną. Był posłusznym, a nawet pilnym uczniem; nie protestował, kiedy mówiłam, że czas na lekcje. Siadał przy swoim małym biurku i pisał A, wpatrując się w pustą ścianę i czekając w milczeniu, aż powiem, że na dzisiaj koniec i może wstać z miejsca. Co w końcu robiłam – czasem dwie lub trzy wyczerpujące godziny później, kiedy sama miałam już dosyć.

Nie mogłam tego pojąć.

– Umie to robić – powiedziałam Larsowi. – On po prostu nie chce.

– W końcu zechce.

Działo się to w połowie października zeszłego roku. Tuż przed Halloween. Tuż przed... tamtym tygodniem.

Wyjmuję z szafy parę ciemnych spodni i szary sweter. Pasują do mojego nastroju. Ubieram się, wkładam też podkolanówki i parę czarnych, skórzanych butów na płaskim obcasie, zaczesuję włosy do tyłu i przytrzymuję opaską.

Wracam do salonu. Alma już tu skończyła odkurzać, co widać po równych liniach odznaczających się na dywanie. Stąpając po nim, zostawiam odciski stóp. Podchodzę do okna i wypatruję samochodu Larsa.

Kiedy podjeżdża pod dom i otwierają się drzwiczki, ze środka wysiada Michael z ponurą miną, pociągając nosem. To mnie zaskakuje, bo zawsze wydaje się weselszy przy Larsie niż przy mnie. Idę przywitać ich w drzwiach wejściowych.

Lars pomaga chłopcu zdjąć okrycie.

– Idź na górę – mówi, a Michael bez słowa wykonuje polecenie.

– Nie wiem, jak ty to znosisz przez cały dzień, i to codziennie – kręci głową mój mąż.

Wzruszam ramionami.

– Ja też nie wiem.

Idzie do kuchni i nalewa sobie z dzbanka jeszcze ciepłej kawy.

– Chcesz trochę?

– Nie, dzięki. – Nalewam sobie szklanek wody, a Lars idzie do swojego gabinetu.

Wypijam wodę, a potem stoję przy schodach i nasłuchuję. Na górze panuje cisza; może Michael odpoczywa. Idę do gabinetu Larsa.

Stojąc w drzwiach, przyglądam się, jak rozmawia przez telefon.

– Dobrze, ale dzisiaj nie dam rady – mówi. – Okej... nie, rozumiem. – Zerka na mnie. – Zaczekaj, Gladys. – Zasłania słuchawkę i zwraca się do mnie: – Jestem potrzebny w biurze – mówi proszącym tonem. – Nie masz nic przeciwko temu?

Jeszcze raz wzruszam ramionami.

– Nie, w porządku. Muszę tylko... chciałabym najpierw z tobą porozmawiać.

Przysuwa słuchawkę do ust.

– Gladys, powiedz im, że będę o wpół do drugiej. – Rozłącza się i przechodząc obok mnie, dodaje: – Muszę się przebrać. Możemy porozmawiać w trakcie?

Zgadzam się i idę za nim do sypialni.

Stoi tam fotel klubowy obity ciemnozielonym tweedem, który stanowi przyjemny kontrast z szarzielonymi ścianami. Siadam w nim, przyglądając się, jak Lars wkłada spodnie i białą koszulę, a potem zawiązuje krawat. Nawet z drugiego końca pokoju czuję bijący z jego ubrań zapach świeżości. Podziwiam jego opięte koszulą szerokie ramiona i muskularną klatkę piersiową. Jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Uroczym, doskonałym. Wiem, że powinnam być wdzięczna losowi, że tu z nim jestem.

Realny czy nie, powinnam się cieszyć.

Patrzy na moje odbicie w lustrze.

– Czujesz się już lepiej?

– Trzymam się.

– Wczoraj wieczorem byłaś w kiepskim stanie.

– Larsie. – Wstaję i podchodzę do niego, gdy zakłada krawat na szyję. – Musisz coś dla mnie zrobić. To może być trudne.

Odwraca się od lustra i obejmuje mnie.

– Dla ciebie wszystko.

Zamykam na chwilę oczy, upajając się jego zapachem i bliskością. Szkoda, że nie mogę zatracić się w tej rozkoszy, zapominając o wszystkim innym. Ale nie mogę. Otwieram oczy.

– Po prostu... – wzdygam. – Po prostu opowiedz mi, jak to było – szepczę. – Z nimi. Z moimi rodzicami.

Przechyla głowę na bok.

– Kochanie, przecież wiesz.

– Nie. – Kręcę głową. – Chodzi mi o to, co było później. – Odsuwam się o krok. – Jak się dowiedzieliśmy? Co zrobiliśmy? Jak powiedzieliśmy o tym dzieciom? Jak... – Zagryzam wargi. – Jaki był pogrzeb?

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Potem zaczyna zawiązywać krawat – powoli, starannie, nie spiesząc się.

Usatysfakcjonowany tym, jak wygląda, odprowadza mnie z powrotem na fotel i łagodnym naciskiem skłania mnie, abym usiadła. Sam siada na łóżku naprzeciwko.

– Było ciężko – mówi, kręcąc głową.

Przytakuję. Jasne, że było ciężko.

– Tego ranka wziąłem wolne w pracy, nie posłaliśmy Mitcha i Missy do szkoły. Pojechaliśmy na lotnisko twoim samochodem – ciągnął – aby odebrać babcię i dziadka. Dzieci miały na sobie halloweenowe kostiumy; szalały z ekscytacji. – Patrzy na mnie ze smutkiem. – Ty też, kochana. – Kładzie mi rękę na kolanie. – Katharyn, może nie powinienem ci tego mówić, ale tego ranka w samochodzie... wtedy chyba po raz ostatni widziałem cię naprawdę szczęśliwą.

Wyglądam przez werandowe drzwi na zaśniewane podwórko. Nie pamiętam tego, ale mogę to sobie wyobrazić. Domyślam się, w co były ubrane dzieci. Pewnie Missy była księżniczką, bo ona zawsze jest księżniczką. Mitch mógł się przebrać za włóczęgę, czarodzieja, maszynistę albo kowboja – tu możliwości były nieograniczone, jak jego wyobraźnia. Może nawet Michael wczuł się w nastrój i dał się namówić na jakieś proste przebranie. Ubrałabym go w coś wygodnego i nieograniczającego ruchów – tak, już wiem, byłby szczeniaczkiem o zwisających uszach zrobionych z filcu i przyczepionych do miękkiego, luźnego kaptura. Do tego wystarczyłaby zwykła para brązowych spodni i brązowa bluza, no i cętkowany ogon z filcu przypięty do siedzenia spodni.

Teraz widzę też siebie, aż zarumienioną z niecierpliwości. Gdy jechaliśmy do Stapleton, zerkałam na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Poprawiałam włosy, choć musiały wyglądać pięknie jak z obrazka ułożone zręcznymi dłońmi Linnei.

Lars siedział za kółkiem, pogwizdując i rozśmieszając dzieci żarcikami. Było pochmurno, tak samo jak tego dnia w prawdziwym świecie, ale to nie zepsuło nam szampańskiego humoru.

Mogę sobie wyobrazić, jak docieramy na lotnisko, parkujemy, wchodzimy do środka. Przechodnie uśmiechają się i szturchają nawzajem, przyglądając się naszym rozkosznym dzieciom w ich kostiumach. Widzę, jak idziemy w stronę wyjścia numer 18.

Tego samego, przez które kilka dni temu w prawdziwym świecie weszli do środka moi rodzice.

– Mieli się przesiąść w Los Angeles – kontynuuje Lars. – Samolot przyleciał punktualnie. Czekaliśmy, wyglądając przez okno i machając do każdego, kto z niego wysiadał. Czekaliśmy, aż wszyscy pasażerowie weszli do budynku. Czekaliśmy, dopóki przy wyjściu numer 18 nie zrobiło się pusto. „Pewnie spóźnili się na to połączenie”, powiedziałaś. „Jestem zaskoczona, że nie zadzwonili”.

– Tak – szepczę. – Zadzwoniliby.

Lars przytakuje.

– Przy wyjściu stała stewardesa, więc podeszliśmy, aby się czegoś dowiedzieć.

Skierowała nas do biura obsługi. A tam... chyba już na nas czekali. Kilka osób, mężczyzna i dwie kobiety. Gdy podeszliśmy bliżej, jedna z nich spytała: „Państwo Anderssonowie? Próbowaliśmy się z państwem skontaktować, ale zapewne byli już państwo w drodze na lotnisko. Niezmiernie nam przykro poinformować państwa, że samolot, którym lecieli państwo Miller z Honolulu...”. – Lars urywa, by po chwili podjąć: – No cóż, wiesz, co nam powiedzieli.

– Och – gwałtownie wciągając powietrze – ale chyba nie przy dzieciach?

Kręci głową z oburzeniem.

– Byłem zły z tego powodu. Pomyślałem... że powinni odprowadzić nas na bok albo coś...

– I co... co potem?

– No cóż, było źle – odpowiada. – Wszyscy płakaliśmy. Ty, dzieci, nawet ja. Ja...

– Unosi ręce. – Byli wspaniałymi ludźmi, Katharyn. Kochałem ich. Wiesz, że kochałem ich jak własnych rodziców.

Urywa, a wtedy ja przypominam sobie naszą pierwszą rozmowę telefoniczną, gdy Lars powiedział mi, że dostał kategorię E i nie służył w czasie wojny, a ja zastanawiałam się, co pomyślałby o tym mój ojciec. I nagle czuję, że już wiem, że właściwie zawsze to wiedziałam: byłoby mu to całkowicie obojętne. Wiem, że moi rodzice uwielbialiby Larsa. Widzieliby, jak bardzo mnie kocha, jak oddany jest naszej rodzinie, i tylko to by się liczyło. A Lars czułby to samo w stosunku do nich.

– Moi rodzice odeszli tak dawno temu... a ja zawsze czułem... dzięki Tomowi i Claire czułem się tak, jakbym znów miał rodziców.

I nagle odkrywam na temat żałoby coś, o czym dotąd nie wiedziałam. Kiedy jako dziecko, a potem młoda kobieta traciłam dziadków, przyjaciół na wojnie czy moje ulubione zwierzęta – nie mówiąc już o tym strasznym dniu, w którym ojciec powiedział mi, że zmarł mój braciszek – za każdym razem czułam nieopisaną wręcz rozpacz. Ale była to moja rozpacz. Czasami musiałam uczestniczyć w pogrzebach i składać kondolencje. Ale nie musiałam przejmować się uczuciami nikogo innego. Zawsze mogłam wrócić do domu i wypłakać się do woli. Nie musiałam brać się w garść, aby pomagać innym.

W tym drugim życiu stanowią centrum swojego świata. Oczywiście kocham swoich bliskich i zależy mi na nich – a mam ich wielu. Ale koniec końców to, co myślę i co robię, wpływa przede wszystkim na moje własne życie i emocje.

Tu jest inaczej. Moje życie i moja miłość są czymś więcej. Nawet w żałobie muszę myśleć o innych.

Mocno ściskam dłonie Larsa.

– Opowiedz mi... jeśli to nie nazbyt trudne... opowiedz mi o pogrzebie.

Wzrusza ramionami.

– Nie... Hmm, oczywiście nie było ciał. Ani trumien. Właściwie niczego, oprócz... fotografii i kwiatów. – Uśmiecha się. – Było naprawdę dużo fotografii i dużo kwiatów. Chciałaś, aby było ich jak najwięcej.

– Bo tylko tyle mogliśmy zrobić – dopowiadam, choć nie chcę się zastanawiać, co to właściwie znaczy.

Wzrusza ramionami.

– Nabożeństwo było piękne. Przyszło wielu ludzi. – Odwraca na chwilę wzrok. – Bardzo wielu, Katharyn. Nie mogłem w to uwierzyć. Mężczyźni i kobiety, z którymi twój ojciec pracował przez te wszystkie lata. Wszyscy znajomi twojej matki z czasów, kiedy była wolontariuszką w szpitalu. Wszyscy wasi sąsiedzi z Myrtle Hill i nasi stąd. Wiele osób, z twoich szkolnych lat, z czasów liceum i studiów. Ludzie, których poznałaś, pracując w swojej księgarni. – Uśmiecha się do mnie. – Wszyscy, Katharyn. Byli tam wszyscy.

Jestem niezmiernie wdzięczna każdemu, kto przyszedł. Ale jest tylko jedna osoba, której imię chcę usłyszeć.

– Larsie – mówię cicho.

– Tak?

– Czy... była też Frieda?

Lars wstaje raptownie i kładzie swe dłonie na moich.

– Katharyn – odpowiada. – Nie dręcz się tym.

Kręcę głową z niedowierzaniem.

– Więc nie przyszła... Nie przyszła na pogrzeb moich rodziców.

– Moja kochana. – Klęka przede mną. – Niektórych spraw nie da się zmienić. –

Wstaje. – Myślę, że nie mogłaś zrobić nic więcej... absolutnie nic... aby sprawy między wami potoczyły się inaczej.

Odchyłam się w fotelu, starając się powstrzymać łzy.

Lars kładzie mi dłoń na ramieniu. Widzę, że zerka na zegar stojący na szafce nocnej.

– W porządku – szepczę. – Wiem, że musisz już iść.

– Nie chcę cię zostawiać w tym stanie. – Patrzy mi prosto w oczy. – Katharyn – mówi błagalnie. – Myślę, że powinnaś z kimś porozmawiać. Z psychiatrą. Proszę, pozwól, że zadzwonię...

Psychiatra. Lekarz. Przypomina mi się wszystko, co kiedykolwiek słyszałam od lekarzy – wszystkie te ich „prawdy”. Matce mówili, aby nie miała więcej dzieci. Larsowi i mnie, że nasze dziecko cierpi na nieuleczalną chorobę i że to moja wina. A mnie samej – przed wieloma laty, gdy odtrącił mnie Kevin, nie tyle mi to mówiąc, co raczej okazując – że nie nadaję się na żonę lekarza.

Spoglądam na Larsa zdecydowanym wzrokiem.

– Żadnych lekarzy. Poradzę sobie. – Wstaję i obejmuję go. – Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś – mówię. – Wiem, że to dziwne... że nie pamiętam.

– Wystarczy, że powiesz, czego ci potrzeba – odpowiada łagodnie. – Zrobię dla ciebie wszystko, Katharyn, wszystko.

Uśmiecham się. On jest fantastyczny, idealny.

Ale nie może dać mi jednej rzeczy, której pragnę.

Nie może zwrócić mi ludzi, których – w moim prawdziwym życiu – kocham najbardziej.

Gdy Lars wychodzi z domu, idę do kuchni i proszę Almę, aby przygotowała lunch dla Michaela.

– A co dla pani? – pyta, marszcząc brwi.

– Nic – odpowiadam. – Nie jestem głodna.

Podchodzę do schodów i wołam Michaela, a gdy pojawia się w drzwiach swojego pokoju, mówię:

– Zejdź na dół i zjedz lunch, kochanie. Alma z tobą posiedzi. – Po czym zwracam się do niej: – Gdy skończy, może pooglądać telewizję. W ten sposób nie będzie ci przeszkadzał. Nie masz nic przeciwko?

Wzrusza ramionami i kiwa głową, a wtedy dodaję, że idę się położyć.

W zielonej sypialni kładę się na łóżku i przykrywam się afganem kolorystycznie pasującym do tapety. Sam afgan nie wygląda znajomo, ale jest na nim wzór, który bardzo lubi moja matka. To pewnie jedna z jej robótek na drutach, którą podarowała nam, gdy wprowadziliśmy się do tego domu. I swoim zwyczajem wybrała takie kolory, które pasują do naszej sypialni.

Zamykam oczy i czekam, doskonale wiedząc, gdzie się obudzę.

ROZDZIAŁ 28

Gdy otwieram oczy, świeci słońce. Leżę na sofie, we własnym salonie. Jestem przykryta znajomym, miękkim afganem – oczywiście też z ulubionym wzorem mojej matki, tyle że w kolorach fioletowym i niebieskim, które sama wybrałam. Przy mnie leży zwinięty w kłębek Aslan.

Ze zdziwieniem stwierdzam, że w fotelu po prawej stronie siedzi moja matka. Słyszę, jak cicho stukają druty, na których robi, zdaje się, sweterek dla dziecka. Niebieski, dla chłopca.

– Cześć – mówię. – Co ty tu robisz?

Z uśmiechem podnosi na mnie wzrok.

– Cóż, dzień dobry, słoneczko. – Zerka na swój zegarek. – Już prawie druga.

– Wielkie nieba. – Odrzucam afgan i podrywam się gwałtownie. Aslan również się podnosi, zaniepokojony moim nagłym ruchem. Wygina grzbiet w pałąk, po czym mości się na skraju sofy, skąd ma dobry widok na połyskujące druty, na których dzierga moja matka. – Jak mogłam tak długo spać?

Mama wzrusza ramionami.

– Frieda zadzwoniła do nas, kiedy nie pojawiłaś się w księgarni o jedenastej. Najpierw kilka razy dzwoniła tutaj, ale nie odbierałaś. Więc poprosiła, żebyśmy do ciebie zajrzeli. – Marszczy brwi. – Nie zamknęłaś drzwi na klucz, Kitty. To niebezpieczne, zwłaszcza, gdy jest się samotną kobietą. Prawie dostałam zawału, widząc, że tak leżysz tu na kanapie. Już się baliśmy, że udusił cię jakiś włamywacz.

– Ojoj, przepraszam – mówię, krzywiąc się. – Musiałam spać kamiennym snem.

– Przecieram oczy. – Chyba zasnęłam, czytając, gdy wczoraj wieczorem poszłście z tatą do domu.

– Najwidoczniej. Musiałaś być wyczerpana. Kiedy zobaczyliśmy, że tak mocno śpisz, postanowiliśmy cię nie budzić. Zadzwoniliśmy do Friedy z wyjaśnieniem. Powiedziała, że nie ma sprawy, że powinnaś zrobić sobie wolne i odpocząć. Ojciec już poszedł, bo chciał sprawdzić hamulce w samochodzie. Podobno to niedobrze, że auto tak długo stało bezczynnie w garażu, gdy nas nie było. No i hamulce nie działały, jak trzeba...

– Znowu wzrusza ramionami. – A ty dalej spałaś, więc usiadłam tu sobie i dziergam, czekając, aż się obudzisz.

To dokładnie w stylu mojej matki: przewidująco zabrać ze sobą robótkę, gdy jedzie sprawdzić, czy jej dorosła córka jeszcze żyje.

– Spałaś tak głęboko. Zupełnie jakby cię tu wcale nie było – dodaje, żartobliwie stukając mnie w czoło drutem.

Odsuwam się z uśmiechem.

– Dla kogo to?

Patrzy na swoją robótkę.

– Dla córki mojej sąsiadki Rose. – odpowiada – Znasz Rose i Harry'ego; wprowadzili się do dawnego mieszkania Freemanów, mniej więcej wtedy, gdy ty

przeniosłaś się tutaj. Ich córka, Sally, rodzi w styczniu. Rose upiera się, że to będzie chłopiec. Sally ma już dziewczynkę, więc Rose twierdzi, że teraz to *musi* być chłopiec. – Matka puszcza do mnie oko. – Ale robię też różowy, tak na wszelki wypadek.

Też puszczam do niej oko.

– Sprytnie – chwalebę ją i wyglądam przez okno. – Z płcią dziecka nigdy nie wiadomo.

– Święta racja – kręci głową mama, nie patrząc mi w oczy, a ja wiem, że myśli o moich trzech braciszkach, którym niedane było przeżyć.

– Mamo. – Patrzę na nią, wsuwając nogi pod afgan. Podnosi na mnie wzrok. – Czy ty... Czy nie martwi cię... – Urywam, by po krótkim wahaniu dodać: – Że nie wyszłam za mąż i nie mam dzieci?

Matka przenosi spojrzenie z powrotem na swoją robótkę.

– To niewłaściwe pytanie – odpowiada. – Czy mnie to martwi? Dość dziwnie to ujęłaś. – Kończy rządęk i spogląda na mnie. – Czy *chciałam*, abyś wyszła za mąż i miała dzieci? Oczywiście, że tak. Która matka nie pragnęłaby tego dla swojej córki? Ale czy mnie „martwi”, że tak się nie stało? Głuptasie. Chcę, abyś była szczęśliwa, a wydajesz się... – Zaczyna nowy rządęk. – Ty i Frieda, obie wydajecie się szczęśliwe.

Zaczynam się śmiać.

– To dopiero zabrzmiało dziwnie! – Przeciagam się, aby rozluźnić napięte mięśnie barków. – Frieda i ja nie jesteśmy kochankami, mamo.

Rumieni się.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chodziło mi... Nie to miałam na myśli, Kitty.

– Ale są takie kobiety – dodaję żartobliwie.

– Wiem o tym, kochanie. Nie urodziłam się wczoraj.

– Ale nie Frieda i ja. Nie czujemy tego do siebie. – Ta rozmowa przybrała nieoczekiwany zwrot i teraz ja czuję, że się rumienię. Zawsze umiałyśmy z matką rozmawiać ze sobą otwarcie, ale z całą pewnością mogę stwierdzić, że w ciągu tych trzydziestu pięciu lat, odkąd nauczyłam się werbalizować swoje myśli, nigdy nie mówiłyśmy o lesbijstwie ani na poziomie osobistym, ani nawet czysto teoretycznie.

– Cóż. – W zamyśleniu odkłada druty na bok. – Ty i Frieda jesteście prawdziwymi bratnimi duszami. Nieczęsto zdarza się coś takiego. Niektórzy ludzie szukają tego przez całe życie. Wielu żeni się lub wychodzi za mąż, ale nie znajdują tego w małżeństwie.

Myślę o moim związku z Larsem. Czy łączy nas to tam, w tym innym świecie? Czy jesteśmy „prawdziwymi bratnimi duszami”, jak ujęła to moja matka? Szczerze mówiąc, sądzę, że tak. Prawie czyta mi w myślach, jakby znał mnie od wieków. Tak samo jak Frieda w tym życiu.

Na kogo mogę liczyć w tamtym świecie, jeśli nie na Larsa? Oczywiście, że polegam na nim bardziej niż na kimkolwiek innym. Jak bez niego poradziłabym sobie z Michaeliem? Jeśli moje wspomnienia w życiu ze snu o czymś świadczą, to bez wątpienia o tym, że nie byłam i nie jestem dobrą matką dla Michaela. A byłabym jeszcze gorszą, gdyby nie Lars.

Ale nagle uświadamiam sobie, że w tamtym świecie muszę polegać na kimś jeszcze.

Na moich rodzicach, rzecz jasna. Oni są tam moimi mistrzami.

Moimi i – co ważniejsze – Michaela.

Do głowy przychodzi mi kolejne wspomnienie, a może tylko urojenie? Czy jeszcze dostrzegam różnicę? Tak czy owak, widzę nas w wyobraźni: dzieci, siebie i matkę.

Jesteśmy w bibliotece. To Decker Branch Library, która znajduje się niedaleko mojego mieszkania w bliźniaku i księgarni „Dwie Siostry”. Czy nie ma żadnej biblioteki bliżej Southern Hills? Tyle się tam buduje, można by pomyśleć, że będzie i biblioteka. Ale może na razie jeszcze nie ma. A może i jest, ale ja w tamtym życiu wolę tę starą.

Jesteśmy w dziale książek dla dzieci, gdzie właśnie trwa „Godzina z bajkami”. Wszyscy razem – mama, Mitch, Missy, Michael i ja – siedzimy po turecku na wykładzinie. Są tam też inne matki z dziećmi, które wyglądają na rówieśników moich, mają trzy lub cztery lata.

Bibliotekarka zaczyna czytać. Książka nosi tytuł *Ania umie latać* i opowiada o dziewczynce, która może latać z tatą w jego samolocie jednosilnikowym. Leci między innymi na obóz letni. Szczęściara.

Dzieci słuchają z zapartym tchem – czasem któreś poruszy się lub powierci, ale opowiadanie jest fascynujące, a bibliotekarka czyta z takim zapałem, że skupia na sobie uwagę wszystkich.

Wszystkich oprócz Michaela.

Chłopiec siedzi przy mnie z nogami zgiętymi w kolanach i oczami wbitymi w podłogę. Kołysze tułowiem z boku na bok. Wiem, że to pomaga mu się skupić i ignorować wszelkie bodźce, które mogłyby go rozpraszać. Kołysze się rytmicznie, miarowo i w milczeniu, ale zauważam, że jego ruchy stają się coraz bardziej zamaszyste i dramatyczne. On sam chyba nie zdaje sobie sprawy, że porusza się coraz gwałtowniej.

Nie tylko ja to zauważam. Kilka innych matek, które siedzą najbliżej mnie, rzuca mi gniewne spojrzenia. Dwie z nich pochylają się ku sobie i szepczą, a potem znowu na mnie patrzą. Dobrze wiem, co sobie myślą: co z tym dzieckiem jest *nie tak*?

Moja matka wpatruje się w bibliotekarkę, a po obu jej stronach siedzą Mitch i Missy. Obejmuje ich ramionami, a oni przytulają się do niej.

Teraz Michael kołysze się z jeszcze większym impetem; przy każdym ruchu w prawo czy w lewo prawie dosięga barkiem podłogi. Muszę przyznać, że to *naprawdę* przeszkadza. Spuszczam głowę – nie wstydzę się za Michaela, lecz za siebie. Wstydzę się, że tak bardzo pragnę, aby mój syn był po prostu *zwyczajny*.

Jedna z matek nachyla się ku mnie.

– Proszę pani, to kołysanie się bardzo przeszkadza dzieciom się skupić. – Posyła mi znaczące spojrzenie. – To chyba nie jest odpowiednie miejsce dla tego chłopca, prawda?

Wpatruję się w nią, niezdolna do jakiegokolwiek odpowiedzi. Połykam łzy.

Zanim udaje mi się coś z siebie wykrztusić, moja matka – wciąż dziarska, mimo swoich pięćdziesięciu kilku lat – wsuwa się między nas, tak że Michael i ja siedzimy teraz po jej lewej stronie, a inne matki i dzieci po prawej. Obejmuje mnie ramieniem i wyciąga rękę, aby delikatnie zmierzwić Michaelowi włosy.

– Ten chłopiec – mówi ostrym szeptem do tamtej kobiety – ma takie samo prawo

do wysłuchania tej bajki jak każde inne dziecko. I on, i jego matka są w odpowiednim miejscu. – Toczy groźnym spojrzeniem po pozostałych kobietach. – Tak jak wszystkie obecne tu matki z dziećmi. – Unosi rękę i po kolei wskazuje palcem każdą z nich. – Proszę nie zapominać – dodaje – że wszystkie dzieci są dziećmi bożymi.

Mama podaje mi chusteczkę.

– Otrzyj oczy, moja piękna – zwraca się do mnie. – Ci ludzie nie są warci twoich łez.

Patrzę na matkę z wdzięcznością, przypominając sobie tamtą chwilę. Dzięki temu wspomnieniu rozumiem, że w tamtym świecie wspiera nie tylko mnie, lecz także moje dziecko.

I nagle wraca do mnie świadomość, że w tamtym świecie już jej nie ma. Nigdy jej tam nie zobaczę.

Nie chcę o tym myśleć. Wolę wrócić do naszej bieżącej rozmowy. O czym to mówiłyśmy? Nie o dzieciach, bo w tym świecie nie mam dzieci.

A, tak. Już sobie przypominam. O bratnich duszach.

– Zgadza się – mówię cicho. – W małżeństwie najważniejsze jest spotkanie bratniej duszy.

Matka potakuje, przyglądając się sweterkowi leżącemu na jej kolanach.

– To prawda – potwierdza. – Wiesz, te inne sprawy... cielesne... nie zawsze wyglądają potem tak, jak się zapowiadały.

Rety. Czy ona naprawdę mi to mówi?

– To znaczy, że... ty i tata...

– Boże drogi, Kitty, o tym na pewno nie będę dyskutować z własną córką. – Ciągnie za koniec włóczki, której kłębek trzyma w torbie, a Aslan natychmiast próbuje ją złapać. – Uciekaj stąd. – Mama odpycha łapkę kota, który zeskakuje na ziemię i idzie do kuchni, bez wątplenia zastanawiając się, czy w jego miseczce zostało jeszcze coś do jedzenia.

– Ale wszystko w porządku, tak? – Patrząc na nią, wsuwam stopy w kapcie. – U ciebie i taty wszystko gra? Jesteście szczęśliwi, prawda? – Mój głos przechodzi w ochryply szept. – Proszę, powiedz, że jesteście szczęśliwi.

Uśmiecha się.

– Jesteśmy małżeństwem od wielu lat i mamy to szczęście, że wciąż lubimy spędzać ze sobą czas. Na szczęście umiemy znaleźć wspólny język. Czy chcę przebywać z nim przez cały boży dzień? Czy on tego chce? Wielkie nieba, nie. On ma swojego golfa i lektury, swoich przyjaciół i mnóstwo zajęć. A ja mam swoje dzierganie, koło pań, wolontariat w szpitalu. Wieczorami mamy siebie. Prawdziwe bratnie dusze? Tak, jesteśmy nimi. Ale to nie oznacza, że musimy spędzać ze sobą każdą chwilę. I właśnie tak – wyciąga z torby jeszcze trochę włóczki – powinno być. – Marszczy brwi. – Warto mieć przy sobie wiernego towarzysza, tak. Ale lepiej, żeby nie był dla nas całym światem, Kitty.

– Nie – mówię powoli. – Nie, nawet w małżeństwie... powinno być coś więcej. Nie tylko mąż, nie tylko dzieci. – Mrugam parę razy. – Rodzina jest ważna, wręcz najważniejsza. Ale nie może być wszystkim. Bo inaczej... – odwracam wzrok w stronę okna. – Jeśli życie rodzinne nie układa się tak, jak się spodziewasz... czeka cię wielkie

rozczarowanie. Jeśli nie masz niczego innego.

– Właśnie. – Matka ostrożnie składa robótkę i chowa ją do torby. – A dlaczego, twoim zdaniem, zajmuję się tymi wszystkimi biednymi, schorowanymi dzieciaczkami w szpitalu? – pyta. – Dlaczego spędzam tam tyle czasu? Sądzisz, że robiłabym to, gdyby wszystko ułożyło się inaczej? Gdybyś nie była jedynaczką?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ona należy do pokolenia, w którym pracujące mężatki były rzadkością – nie żeby teraz całe zastępy matek pracowały zawodowo, ale na pewno jest ich więcej niż wtedy, gdy byłam dzieckiem. Taki tryb życia był dla mojej matki nie do pomyślenia – tak jak i dla większości ówczesnych kobiet. Jednak jako matka jedynaczki – która pragnęła mieć więcej dzieci – co miała zrobić ze swoim czasem, kiedy podrosłam na tyle, by pójść do szkoły? Czasu poświęcała mi aż nadto. A przecież byłam dobrym, niewymagającym dzieckiem. Zawsze to powtarzała, a ojciec się z tym zgadzał. Przy jednym takim dziecku miała masę wolnego czasu. Więc poświęcała go innym maluchom, bo one zastępowały jej własne dzieci, których nie miała szansy wychować.

– A teraz – dodaje z werwą, wstając z fotela – skoro wiem już, że nic ci nie jest, zadzwonię do twojego ojca. Powinien już być w domu, więc może tu po mnie przyjechać.

Po wyjściu matki dzwonię do Friedy z przeprosinami.

– Nic się nie stało – zapewnia mnie. – Cieszę się, że wszystko w porządku.

– Zaraz przyjdę – obiecuję.

– Nie musisz, Kitty. Ruch jest niewielki.

A czy w ostatnim czasie bywa inaczej?

– Nieważne – nalegam. – Będę za dziesięć minut.

Idąc do sklepu, nie przestaję myśleć o rozmowie z matką. Zastanawiam się przy tym nad moim drugim życiem, nad wszystkim, co w nim mam, i nad tym, czego mi brakuje. Decyzja o rozstaniu z Friedą, o rezygnacji z księgarni i reszty tego życia, aby móc poświęcić się dzieciom, była słuszna, nie mogłam postąpić inaczej. Zrozumiałam to, żyjąc tamtym życiem, widząc to wszystko na własne oczy i we wspomnieniach. Rozumiem, że nie miałam innego wyboru.

W tamtym życiu niewątpliwie mam wiele zgryzot: obarczam się winą za stan Michaela, boję się, że Frieda na zawsze zniknęła z mojego życia, no i – rzecz jasna – dręczy mnie żal po stracie rodziców. To bolesne trio przyćmiewa wszystko, co w tamtym życiu dobre.

Kręcę głową. Nawet tutaj, w tym zupełnie innym świecie, mam bolesną pewność, że nie poradzę sobie z tą trójcą, która usuwa w cień wszystko inne.

Tego wieczoru po zamknięciu księgarni idę z Friedą na drinka. Jest sobota, ale żadna z nas nie ma ochoty na jakieś dalsze wyprawy, więc idziemy po prostu do Stadium Inn, tawerny na Evans Avenue, niedaleko uniwersytetu. Kiedy chodziłyśmy do college'u, w każdą sobotę po meczu studenckiej drużyny futbolu amerykańskiego ta knajpka pękała w szwach. Nie było wolnych stolików, a w środku ledwo dało się ruszyć. Ale w zeszłym roku uniwersytet zlikwidował sekcję futbolu ku zgrozie znacznej części studenckiej społeczności, a także właścicieli lokalnych spelunek.

Jest tuż po piątej, a gości niewiele, więc mamy prawie całą tawernę dla siebie.

Siadamy w boksie z tyłu. Nie widać żadnego kelnera ani kelnerki, więc proponuję, że sama pójde do baru po drinki. Barman, uśmiechnięty starszy mężczyzna, przypomina mi nieco Bradleya. Zamawiam martini dla Friedy, a dla siebie kieliszek wina.

– Na koszt firmy – mówi barman, stawiając przede mną kieliszki.

Unoszę brwi.

– Na koszt firmy? Dlaczego?

Wzrusza ramionami, patrząc na mnie z sympatią.

– Proszę to uznać za mój dzisiejszy dobry uczynek.

Kręcę głową, nie rozumiejąc.

– Cóż, dziękuję – mówię, zostawiając mu napiwek w postaci dolara.

Wracam z kieliszkami do naszego stolika i opowiadam Friedzie, co przed chwilą wydarzyło się przy barze.

– Dziwne – odpowiada. – Ale cóż, darowanemu koniowi w zęby się nie zagłada. –

Upija łyk martini i przymyka oczy. – Mmm, tego mi było trzeba.

Uśmiecham się bez słowa. Mam zamiar powoli sączyć swoje wino. Ostatnio stanowczo za dużo piję i tutaj, i w tym drugim świecie.

Frieda odstawia kieliszek i zapala papierosa.

– Kitty – mówi spokojnym tonem. – Musimy podjąć decyzję. Nasza umowa najmu wygasa z końcem listopada. Mogłybyśmy od razu powiedzieć Bradleyowi, że nie zamierzamy jej przedłużyć. Wiem, że jest parę dni po pierwszym, ale on zrozumie. – Upija kolejny łyk. – Zadzwoiłam wczoraj – oświadcza – do spółki zarządzającej tym centrum handlowym. Tamten lokal nadal jest do wzięcia. – W jej oczach widzę rozmarzenie. – Mogłybyśmy otworzyć jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Wypijam kilka łyków wina, choć wiem, że nie powinnam. Do diabła z tym. Potrzebuję odwagi.

– Freeds – mówię w końcu. – A jeśli... co byś powiedziała... gdybym już nie chciała tego zrobić?

Wytrzeszcza na mnie oczy.

– O czym ty mówisz?

Wzdycham.

– Chcę powiedzieć – odpowiadam – że ja wiem, że to postęp, powiew przyszłości. Wiem, że „Dwie Siostry” nie mogą tu przetrwać. Wszystko to wiem. – Kolejny łyk wina. – Ale dużo o tym myślałam – ciągnę. – I chociaż to wszystko prawda... Sama nie wiem, Friedo, nie mam już do tego serca.

– Nie masz serca? – Zaciąga się i wydmuchuje dym w kierunku sufitu. Potem przenosi wzrok na mnie. – To są interesy, siostró.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nawet jeśli to interesy... – Rozglądam się rozpaczliwie, jakby właściwie słowa miały pojawić się przed moimi oczami, jak na teleprompterze. – Trzeba to kochać – mówię w końcu. – Trzeba kochać to, co się robi. A ja chyba... Chyba nie... – Ściszam głos. – Po prostu nie sądzę, że tam mi się spodoba.

Frieda dopija drinka. Przy barze stoi kelner, który najwidoczniej właśnie zaczął swoją zmianę. To młody chłopak z college'u. Jest tak samo patykowaty, jak kiedyś był Kevin, a właściwie jest nadal, o czym przekonaliśmy się nie tak dawno. Frieda daje mu

znak, że zamawiamy następną kolejkę, a kelner kiwa głową i wchodzi za bar.

– Boisz się zmian – rzuca prowokująco Frieda.

– Wcale nie. Zupełnie nie o to chodzi. Przeciwnie, ja właśnie *chcę* coś zmienić.

– Och, doprawdy? A co?

Wodzę palcem po krawędzi pustego kieliszka.

– Myślałam... Cóż, mam dwa pomysły. Mogłabym udzielać prywatnych lekcji, tak jak Gregowi Hansenowi. Pracować z uczniami, którzy mają trudności z nauką czytania. Takich dzieci jest bardzo wiele. Nie uczą się, a przecież *muszą* się uczyć, bo w dzisiejszych czasach bez nauki ani rusz. Analfabeci nie poradzą sobie w świecie, Freeds. A ja mogłabym... mogłabym pomóc takim dzieciom. Byłabym w tym dobra. *Jestem* w tym dobra. Mogłabym pracować prywatnie albo w różnych szkołach. Czasami niektóre szkoły zatrudniają kogoś, nauczyciela albo kogoś innego z odpowiednimi kwalifikacjami, kto specjalizuje się w indywidualnym nauczaniu czytania. Mogłabym się tym zajmować.

Kelner przynosi nam drinki – ciekawe, czy i te dostaniemy za darmo? Frieda upija łyk swojego.

– Mogłabyś. Mogłabyś się w tym wyspecjalizować. – Słyszę, że stara się opanować emocje. – Mogłabyś to robić, Kitty, i byłabyś w tym dobra. – Odstawia kieliszek. – A ten drugi pomysł?

– Cóż... pisuję dla Grega książeczki. Są o sporcie, ale napisane bardzo prostym językiem, aby sam mógł je przeczytać i zrozumieć. I wiesz co, to naprawdę działa. Ma do czytania coś, co go interesuje, napisane językiem na jego poziomie... To dało mu motywację do nauki. Myślę... – Patrzę w bok, po czym znów przenoszę wzrok na przyjaciółkę. – Myślę, że potrzebni są autorzy książek dla dzieci, którzy potrafią pisać w ten sposób.

– Cóż. – Frieda zaciska usta. – To naprawdę dobre pomysły, Kitty.

Potakuję. Przez chwilę obie milczymy.

W zamyśleniu kręci kieliszkiem ze swoim martini.

– Nie rozzłościł się, jeśli coś ci powiem?

– Jasne, że nie – odpowiadam ze śmiechem. – Dlaczego miałabym się rozzłościć?

Spuszcza głowę.

– Ja... kogoś poznałam, Kitty. Mężczyznę.

– Serio? – Siadam wyprostowana. – Gdzie? Kiedy?

– Przede wszystkim – odpowiada – wiedz, że nie jestem pewna, czy coś z tego wyniknie. Sama nie wiem, co o tym sądzić. – Uśmiecha się. – On wyraźnie dał mi do zrozumienia, co czuje, ale ja jeszcze nie jestem pewna. Ale jest jedna rzecz... – Jej oczy aż lśnią. – On jest inwestorem, Kitty. Inwestuje w małe firmy. Wykłada pieniądze i pomaga rozkręcić interes.

– Och – mówię. – No tak... to rzeczywiście stwarza możliwości, Friedo.

– Nie chciałam cię narażać na ryzyko – wyjaśnia. – Bałam się o tym mówić, bo wiem, czym to może grozić. I w interesach, i w życiu prywatnym. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę, a przecież nie mogłam wymagać tego od ciebie. Ale skoro chcesz zrezygnować... – Odwraca wzrok. – Cóż, to ułatwia sprawę. Teraz to będzie *moja*

odpowiedzialność. *Moje ryzyko.*

– Gdzie poznałaś tego mężczyznę?

– U mojego brata Roba, wyobrażasz to sobie? Na urodzinach Donny’ego. To ojciec jednego ze szkolnych kolegów Donny’ego. Rozwiedziony. A jednak przyprowadził syna na urodziny kolegi w niedzielne popołudnie. Czy to nie wspaniałe?

– Jasne – zgadzam się. – Niesamowite. Jak się nazywa?

– Jim Brooks. On... – Nagle wydaje się speszona. To urocze i zupełnie do niej niepodobne. – To dobry człowiek, Kitty. Jest bardzo mądry i wie mu się w życiu, ale przede wszystkim to naprawdę dobry człowiek. Ja nigdy... – Podnosi wzrok i uśmiecha się. – Spotkać kogoś teraz, gdy mam trzydzieści osiem lat... Nigdy nie sądziłam, że może przytrafić mi się coś takiego. Myślałam, że ten rozdział jest już zamknięty.

A niby dlaczego? Przecież wciąż jest urocza. Owszem, ma parę zmarszczek wokół oczu i kilka siwych pasemek wśród ciemnych włosów. Ale nadal nosi się jak królowa, dokładnie tak samo jak w czasach liceum. Czy inteligentny, odnoszący sukcesy mężczyzna i dobry człowiek mógłby tego nie dostrzec?

Czysty przypadek zdecydował, że nigdy wcześniej Frieda nie znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie.

Tak samo było ze mną. Przynajmniej w tym świecie.

Dotykam jej dłoni.

– Życzę ci szczęścia – zapewniam ją. – Czy skończy się na interesach, czy będzie z tego coś więcej. Tak czy owak, brzmi to naprawdę dobrze. – Dopijam wino. To tyle, jeśli chodzi o postanowienie, by mniej pić.

– Może los się do mnie uśmiechnie, Kitty. – Frieda wyjmuje z torebki portfel i kładzie na stoliku kilka banknotów, ale gdy patrzy na kelnera, ten kręci głową, pokazując, by schowała pieniądze. – Dziwne – mówi Frieda, marszcząc brwi i wkładając banknoty z powrotem do portfela. Patrzy na mnie. – Może los się do mnie uśmiechnie – powtarza w zamyśleniu.

– Ale nigdzie nie wyjeżdżasz, prawda? – W swoim głosie słyszę błaganie. – Ten mężczyzna, ten Jim Brooks, mieszka tutaj, ma tu dziecko. Nawet jeśli... nawet jeśli nie będziemy już razem prowadziły interesów, pozostaniemy bliskimi przyjaciółkami. Prawda?

Kręci głową z pogodnym uśmiechem.

– A jak to jest w tych twoich snach? Która w tamtym świecie odchodzi i zaczyna nowe życie? Która z nas porzuca drugą? – Śmieje się. – Nie martw się, kochana – mówi, ściskając moją dłoń. – Moje serce zawsze będzie należało do ciebie. – Dopija drinka. – Ale mam wielkie serce – dodaje. – Znajdzie się w nim miejsce jeszcze dla kogoś.

ROZDZIAŁ 29

Gdy się budzę, w głównej sypialni w domu na Springfield Street panuje ciemność. Nie wiem, jaki jest dzień ani ile czasu minęło. Nie jestem już ubrana w szare spodnie i sweter, które miałam na sobie, gdy się kładłam. Teraz noszę bordową spódnicę i białą bluzkę. Z tego wynika, że w jakimś momencie musiałam wstać i czymś się zajmować. Na tę myśl wybucham śmiechem. Bo to przecież nie jest prawdziwe życie. To tylko urojenie.

Idę do salonu. Lars siedzi na tweedowej kanapie otoczony całą trójką dzieci i czyta *Jedną rybę, dwie ryby*. Za oknem jest ciemno i prószy śnieg. Ciekawe, czy przespałam kolację. Nie tę, która ominęła mnie w poprzednim śnie, rzecz jasna, lecz inną, bo to przecież inny dzień. Kto wie, jak płynie tutaj czas? Może to następny dzień, może dwa tygodnie później, a może już kolejny miesiąc? Lekkomyślnie zaczynam się śmiać, a kiedy Lars podnosi na mnie wzrok, pytam:

– Jaki dziś dzień?

Rzuca okiem na zegarek.

– Pytasz, która godzina? Jest siódma, kochanie.

– Nie. – Chichoczę. – Pytam, jaki to dzień. – Przysiadam na oparciu kanapy obok Missy. – Mylą mi się dni, kiedy śpię – wyjaśniam. – Wstaję i ledwo kojarzę, gdzie jestem.

– Katharyn. – Odkłada książeczkę na stolik do kawy i łagodnie odsuwa Mitcha, robiąc mi miejsce obok siebie. Siadam między nimi. Michael siedzi po drugiej stronie Larsa. Przychodzi mi do głowy, że wyglądamy, jakbyśmy pozowali do uroczego, rodzinnego portretu.

– Jesteś znerwicowana, kochanie – mówi Lars łagodnym głosem.

– Tato, co to znaczy „znerwicowana”? – pyta Mitch.

– Zmartwiona – odpowiadam mu. – Tatuś myśli, że mama się martwi.

– A czym się martwisz?

Znowu wybucham śmiechem.

– Niczym, słoneczko. Absolutnie niczym. Bo nie ma się czym martwić. Ani trochę.

– Mama myśli, że nie jesteśmy prawdziwi – mówi cichy głos.

– Co? – ostro pyta Lars. – Co powiedziałaś, Michaelu?

Wszyscy patrzymy na Michaela.

– Ona myśli, że nas wymyśliła – odpowiada chłopiec, pukając się w czoło. –
W głowie.

Milczę oszołomiona. Ostatnia osoba w tym domu, po której spodziewałabym się zrozumienia, trafiła w samo sedno.

– Wystarczy – mówi Lars, wstając. – Czas szykować się do snu.

Zaczyna się wieczorna krzątania: kąpanie dzieci, pizamki dla Mitcha i Michaela, koszula nocna dla Missy i szczytkowanie jej włosów. Przy tej ostatniej czynności dziewczynka jest niezwykle cierpliwa, mimo burzy loków na głowie. Pamiętając, jaką torturą były dla mnie te chwile w dzieciństwie, kiedy matka próbowała rozplątać moje niesforne włosy, staram się oszczędzić córeczce męczarni.

Najwyraźniej nie przestrzegamy z Larsem zasady, że on usypia dziewczynkę, a ja chłopców, bo dzisiaj to ja mam ułożyć do snu Missy. Mości się pod kołderką i spogląda swoimi wielkimi oczami na śnieg proszący za oknem.

– Myślisz, że jutro pójdziemy do szkoły?

Wzruszam ramionami.

– To zależy, ile napada przez całą noc.

Czy jeszcze tu będę, żeby się o tym przekonać? Nie mogę być tego pewna w żaden sposób. Trochę mnie to smuci.

Czytam Missy *Kopciuszka* – jej ulubioną bajkę, jak twierdzi – potem ją przytulam, całuję i śpiewam dwie piosenki, a wreszcie otulam ją kołderką i życzę dobrej nocy.

– Śpij smacznie, księżniczko Claire – mówię cicho.

Missy szeroko otwiera oczy.

– Już dawno tak o sobie nie mówię, mammo.

– Nie. – Kręcę głową. – Ale dla mnie zawsze będziesz księżniczką.

Przypomina mi się, co sobie pomyślałam tamtego dnia – teraz wydaje mi się on taki odległy – kiedy byliśmy na zakupach z Missy i Mitchem i kupowaliśmy dla nich buty. Pomyślałam wtedy, że dałabym wszystko, aby Missy była prawdziwa.

Wszystko, Kitty? Naprawdę poświęciłabyś dla niej wszystko?

Trzęsącą się dłonią odsuwam kosmyk włosów z czoła Missy. Nachylam się, by z czułością szepnąć jej do ucha:

– Kocham cię.

Uśmiecha się.

– Ja ciebie też kocham, mamusiu.

Czekam na dole, dopóki Lars nie skończy usypiać chłopców. W salonie panuje cisza. Biorę do ręki leżący na stoliku do kawy egzemplarz „Denver Post”. Nagłówek na pierwszej stronie głosi: „Trzy gwiazdy Opry giną w katastrofie lotniczej”.

Drżącymi rękami unoszę gazetę wyżej, by spojrzeć na datę: środa, 6 marca 1963.

Szybko przebiegam wzrokiem tekst. Wypadek wydarzył się wczoraj – we wtorek, około szóstej wieczorem. Zginęły gwiazdy muzyki country Cowboy Copas, Hawkswah Hawkins... i Patsy Cline.

– Nie. – Mój szept przerywa panującą w pokoju ciszę. – Och, nie. Proszę, nie.

Lecieli małym samolotem. Pilotował Randy Hughes, jej menażer.

Była burza. Zginęli wszyscy na pokładzie.

Czuję, jak w moich oczach wzbierają łzy. To takie niesprawiedliwe, myślę. Dobrzy ludzie, którzy tak wiele mogliby jeszcze przeżyć, nie powinni w ten sposób umierać.

– Patsy, będzie mi ciebie brakowało – mówię na głos w ciszy salonu. Postanawiam, że po powrocie do prawdziwego świata przejrzę jej kalendarz koncertów. Może zdążę zobaczyć jej występ, zanim zginie.

I wtedy kręcę głową, czując lekki podziw dla przewrotności własnej wyobraźni. Przecież to urojenie, mityguję się. To zrozumiałe, że wymyślam katastrofę lotniczą, w której ginie jedna z moich ulubionych piosenkarek. W ten sposób próbuję poradzić sobie z tak samo urojonymi okolicznościami śmierci rodziców. Ale to nie znaczy, że coś takiego faktycznie się wydarzy.

Lars schodzi na dół i w milczeniu siada obok mnie na kanapie. Drżącą ręką pokazuję mu gazetę.

– Patsy Cline zginęła.

– Wiem – przytakuje. – Rozmawialiśmy o tym dzisiaj przed kolacją. Nie pamiętasz?

Kręcę głową.

– W ogóle tego nie pamiętam. Wiem tylko, że w tej gazecie napisano, że nie żyje jedna z moich ulubionych piosenkarek.

– Tak mi przykro, kochana. Wiem, jak ją uwielbiałaś.

– Ale przecież ja to tylko wymyślam. – Rozchmurzam się. – Ona wcale nie zginie. Nic takiego się nie wydarzy, więc nie ma sensu się tym przejmować.

Wzdycha.

– Katharyn...

Ściskam jego dłoń.

– Wiesz, pod pewnymi względami chciałabym, aby to *było* prawdziwe – przyznaję. – Rozpaczliwie chciałabym, aby niektóre rzeczy z tego świata były prawdą. Ale inne... – Kręcę głową, postukując palcem w gazetę. I myśląc o rodzicach.

Ujmuje moją twarz i kieruje ją ku sobie.

– Jak mam ci pomóc, Katharyn? Jak cię przekonać, że to *jest* prawdziwe życie?

Wyrywam mu się.

– Nie możesz. Nie bardziej niż Frieda może przekonać mnie o tym samym w tamtym świecie. – Zastanawiam się przez chwilę. – Powiedz mi – mówię. – Jaka jestem tutaj przez większość czasu? Mówisz, że rozmawialiśmy dzisiaj o Patsy. Nie pamiętam tego. Ale przecież nie zawsze tak jest, prawda? Że nie pamiętam? Że myślę, że mam inne życie?

– Nie zawsze – potwierdza Lars. – Ogólnie rzecz biorąc, zachowujesz się tak jak zazwyczaj. Opiekujesz się dziećmi, prowadzisz dom. Nie... – Przygryza wargę. – Rzadko mówisz o swoich rodzicach, Katharyn. Kiedy ktoś o nich wspomni, zwykle zmieniasz temat. Dzieci mnie o to pytają, a ja mówię im, że... – Wzrusza ramionami. – Mówię, że mama potrzebuje trochę czasu.

Potakuję, choć nic z tego nie pamiętam. Próbuję wyobrazić sobie, jak sobie radzę w tym świecie – a właściwie, jak radzi sobie Katharyn. Jak spędza kolejne dni, jak opiekuje się dziećmi. Jak wpada na sąsiadów w centrum handlowym, znając ich imiona. Jak chodzi do sklepu spożywczego, nie potrzebując podpowiedzi, jak do niego trafić. Trudno mi to sobie wyobrazić.

A jednak część mnie tego pragnie. Część mnie rozpaczliwie chciałaby wiedzieć, jak to jest. Jak to jest być naprawdę mną – tą mną, która mieszka w tym świecie przez cały czas.

– A czy... od jak dawna... tak się zachowuję? – pytam.

Marszczy brwi.

– Od kilku tygodni – odpowiada. – Przez pewien czas wydawało się, że dobrze sobie radzisz po... po tym, co się stało... Urządziliśmy urodziny dzieciom, potem było Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie... Ale może tylko mi się wydawało, że

wszystko w porządku. Może to były tylko pozory, może po prostu próbowałaś sobie z tym jakoś poradzić. Dopiero dwa tygodnie po Nowym Roku... – Urywa.

Kiwam głową. To brzmi sensownie. Urządzenie urodzin dzieci i świąt po stracie rodziców wyzułoby mnie z resztek sił emocjonalnych. Zrobiłabym wszystko co trzeba, ale mechanicznie, jak robot. Dopiero po tym wszystkim, stojąc w obliczu nowego roku, w którym nic dobrego na mnie nie czekało, pozwoliłabym sobie zmierzyć się ze swoją rozpaczą.

To właśnie w takim momencie moja wyobraźnia przejęłaby kontrolę.

– A czy ty zauważasz... – pytam Larsa – kiedy przenoszę się do tego drugiego świata?

– Zwykle tak – odpowiada. – Często zdarza się to w nocy, tuż przed zaśnięciem, albo wcześniej rano – czuję wtedy, że się obudziłaś, ale nie jesteś jeszcze całkiem przytomna, jakby nie do końca obecna. Czasem dzieje się to w ciągu dnia. Masz wtedy taki zamglony wzrok... Zwykle trwa to tylko kilka chwil, a potem otrząsas się z tego stanu i na powrót stajesz się sobą.

Wybucham śmiechem.

– Gdy tutaj mija kilka chwil, w tamtym życiu spędzam nawet parę dni.

Lars nie komentuje tej uwagi. Zadaje mi za to pytanie, które kompletnie mnie zaskakuje.

– Jak tam jest, w tym twoim drugim życiu?

Więc mówię mu o swoim mieszkaniu, przytulnym domu, który dzielę z Aslanem. Opowiadam o Gregu Hansenie: o tym, że ledwo potrafił przeczytać proste zdanie, zanim zaczęłam go uczyć, i o jego wielkich postępach. O przyjemności, jaką sprawia mi indywidualna praca z tym chłopcem i pisanie dla niego książeczek o baseballu, o Williem Maysie i o Gigantach z San Francisco.

Lars kiwa głową.

– Cóż, w tej dziedzinie jesteś prawdziwym ekspertem.

Wybucham śmiechem. Ale Lars ma poważną minę.

– Żartujesz, tak? – pytam. – Nic nie wiem o baseballu, poza tym, czego się nauczyłam, gdy zaczęłam pisać dla Grega.

– Katharyn. – Lars uśmiecha się pogodnie. – Ależ ty wiesz *wszystko* o baseballu. Zainteresowałaś się nim, bo ja lubię ten sport. I nasze dzieci. Zeszłej jesieni wszyscy śledziliśmy finał World Series, jakby od tego zależała cała nasza przyszłość. – Patrzy na mnie ze zdumieniem. – Ty naprawdę tego nie pamiętasz?

Wzruszam ramionami.

– Naprawdę tego nie pamiętam.

Kręci głową.

– No dobrze – mówi. – Opowiedz mi coś jeszcze o twoim drugim życiu.

Opowiadam mu o radosnym powrocie rodziców do domu, o naszych długich, przyjemnych kolacjach. Z uśmiechem relacjonuję popołudniową rozmowę z matką, podczas której robiła na drutach.

I nagle zdaję sobie sprawę, że – przynajmniej z perspektywy tego świata – tamte chwile są dla mnie wielkim darem. Niezwykłym darem, który ofiarował mi mój umysł.

Dzięki swej żywej wyobraźni mogłam spędzić trochę więcej czasu z rodzicami i z Friedą. Nawet lekcje z Gregiem były ważne, bo pomogły mi zrozumieć, kim chcę być i czym chcę się zajmować.

Mówię Larsowi o księgarni „Dwie Siostry”, o której, rzecz jasna, wiedział, ale nie miał pojęcia, jak wygląda teraz. Opowiadam mu o tych wszystkich dzbankach kawy, które wypijamy tam z Friedą, o lunchach ze sklepu z kanapkami, o wstępowaniu na drinka po zamknięciu sklepu i o naszych rozmowach. Wspominam o możliwości przeniesienia księgarni z Pearl Street do centrum handlowego, a także o moich oporach przed takim rozwiązaniem i o entuzjastycznym nastawieniu Friedy.

– Zachodzą tam różne zmiany, to jasne – przyznaję. – Ale mimo to... cóż, mam tam spokój. – Wzruszam ramionami. – Tak, rozstajemy się z Friedą. Ale po przyjacielsku. Ja będę... – Głupio się czuję, mówiąc mu o tym, bo to nie pasuje do Katharyn tak dobrze, jak do Kitty. – Myślę, że poszukam pracy jako korepetytorka albo specjalistka od nauki czytania – wyznaję. – Okazało się, że uwielbiam indywidualną pracę z uczniem. Właśnie za tą częścią pracy w szkole tęsknię. – Wzdycham, słysząc w swoim głosie nutkę szczęścia i entuzjazmu. – I chcę pisać książki dla dzieci – dodaję. – Dla takich dzieci jak Greg. I dla wszystkich innych dzieci... – Mam na myśli Michaela. – Dla wszystkich dzieci z trudnościami w nauce.

– Naprawdę? – Lars się uśmiecha, ale nie dlatego, że jest rozbawiony. Zdaje się, że jest pod wrażeniem. – Prywatne lekcje. I pisanie. Właśnie tym chciałabyś się zajmować?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Tutaj, w tym świecie, nie wydaje się to możliwe, prawda?

– Dlaczego nie? – Wyprostowuje się i ujmuję moją dłoń. – Jesteś taka bystra, Katharyn. Potrafisz działać z takim zdecydowaniem. Przynajmniej tak było, dopóki... – Zaciska usta. – Przepraszam. Nie powinienem był tego powiedzieć.

– Nie, w porządku. Masz rację. – Przychodzi mi do głowy to smutne trio. – W tym świecie zamknęłam się w sobie. Życie mnie przytłoczyło. Michael, Frieda, strata rodziców...

– Ale nie musi tak być – mówi Lars. – Możesz zajmować się, czym tylko zechcesz, kochana. Nie chcę, abyś czuła się uwiązana w naszym domu.

– Cóż. – Jeszcze raz zerkam na gazetę, a potem przenoszę wzrok na Larsa. – Przekonamy się.

Tej nocy kochamy się namiętnie. Niespiesznie dotykamy swoich ciał, powoli błędząc dłońmi po skórze i badając każdy jej skrawek, jakbyśmy robili to po raz pierwszy. Zapamiętuję kształt i ciepły dotyk jego ciała. Opierając głowę na jego piersi, upajam się jego zapachem. Kładę dłoń na jego sercu – jego pięknym i cudownym sercu. W bezgłośniejszej modlitwie proszę, aby było jeszcze długo, dopóki się razem nie zestarzejemy.

Potem wtulam się w niego całą powierzchnią mojego ciała. Chcę, aby zawsze był przy mnie.

– Nie wiem, gdzie będę, gdy się obudzę – szepczę mu do ucha. – Kiedy tu zasypiam, czuję, że powinnam się z tobą pożegnać, bo może już nigdy się nie zobaczymy.

Śnieg za oknem sprawia, że sypialnia wydaje się jaśniejsza niż zwykle i w tej

poświacie widzę jego błyszczące, błękitne oczy.

– Chyba każdy może tak powiedzieć? – odpowiada pytaniem. – Każdy z nas może zniknąć w jednej chwili. – Patrzy na sufit. – Nie myśl, że sam się nad tym nie zastanawiam... nieustannie – dodaje. A potem powtarza schrypniętym głosem: – Nieustannie.

Zasypiamy w swoich objęciach.

ROZDZIAŁ 30

Stoję przed księgarnią. Poranek jest mglisty. Ledwo widzę przed sobą ulicę, na której zaparkowanych jest kilka samochodów. Patrzę w lewo, na północną część Pearl Street. Widzę niewyraźny zarys sklepu z kanapkami, kina Vogue, drogerii. Wszystko jest na swoim miejscu. Oglądam się za siebie i patrzę przez okno do wnętrza księgarni. Widzę swoją pieczołowicie skomponowaną wystawę książek w przytulnym otoczeniu barw jesieni. W głębi pomieszczenia, przy kasie, siedzi Frieda. Podnosi wzrok, jakby wyczuła, że na nią patrzę, uśmiecha się i macha mi na powitanie. Automatycznie oddaję jej uśmiech, czując, jak mocniej bije mi serce.

– Kocham cię – szepczę, choć oczywiście nie może mnie usłyszeć przez szybę. – Bardzo cię kocham, siostrze. Bardziej niż ci się zdaje.

A potem nagle ogarnia mnie irracjonalna złość. Coś, co zrobiła, wywołuje we mnie wściekłość. Czuję się zdradzona, jakbym już nigdy nie mogła jej zaufać. Nie mam pojęcia, skąd biorą się we mnie te uczucia, więc staram się z nich otrząsnąć.

Nie wiem, dlaczego stoję na ulicy. Gdzieś się wybierałam? Chyba nie. Jest zimno, a ja nie mam na sobie płaszcza ani czapki. Nie mam też przy sobie torebki. Obejmuję się ramionami, wsuwając dłonie pod rękawy swetra.

Na ulicy nie ma ruchu. Panują cisza i spokój. Czy już zawsze tak będzie na Pearl Street? Na myśl o opuszczeniu tego miejsca i o tym, jak wszystko się zmienia, robi mi się smutno. Wiem, że tak musi być; wiem, że to właściwa droga. Tutaj nie ma przyszłości. Przyszłość przeniosła się do wielkich centrów handlowych, do rozległych domów parterowych w stylu ranczo i na ciągnące się w nieskończoność autostrady.

Czy to tylko chwilowa moda czy trwałe zmiany? Czy to przyszłość Denver? A może całej Ameryki? Chciałabym spojrzeć w kryształową kulę i przekonać się, jak będzie wyglądał świat za pięćdziesiąt lat. Ale nie jestem wróżką.

Myślę o świecie, w którym żyję z Larsem i dziećmi. Gdybym miała kryształową kulę, co powiedziałyby mi o przyszłości tamtego świata? Co stanie się z moimi dziećmi? Mitch i Missy na pewno odkryją swoje życiowe pasje. Mam nadzieję, że założą rodziny. Że będą cenić uczciwość, wzajemne oddanie i miłość, tak jak ich tego uczymy, ja i Lars.

A Michael? Nie sądziłam, że może mi się zrobić jeszcze zimniej, ale na myśl o Michaelu przeszywa mnie dreszcz. Co by się z nim stało, gdyby tamten wymyślony świat był prawdziwy?

Przypominam sobie kobietę, która weszła do naszej księgarni ze swoją autystyczną córką. Chciałabym z nią teraz porozmawiać. Byłabym bardziej uprzejma. Uśmiechnęłabym się i przyjaźnie powitałabym ją w moim sklepie. A potem zajęłabym się swoimi sprawami, zamiast gapić się na jej dziecko.

Może rozsądniej ułożyłabym tamten niestabilny stos książek. A nawet jeśli nie i dziewczynka jednak by go potrafiła – cóż, przynajmniej nie zadawałabym niegrzecznych pytań jej matce, gdy ta chciała jak najszybciej wyjść. Wręczyłabym jej egzemplarz *Statku szaleńców*, jako prezent. A potem spójrzałabym jej w oczy i bez słów

spróbowałabym jej powiedzieć, że rozumiem.

Odwracam się i wchodzę do środka. Rozlega się wiszący nad drzwiami dzwonek. Frieda podnosi wzrok z niemym uśmiechem drgającym w kącikach ust. Talerz gramofonu obraca się bezgłośnie i miękko; skończyła się ostatnia z przygotowanych płyt. Frieda obraca się na swoim stołku, wybiera nowy zestaw płyt i umieszcza je na podajniku. Pierwsza płyta opada na talerz, a gdy igła dotyka jej powierzchni, wewnątrz księgarni wypełnia głos Patsy Cline.

„If you got leavin’ on your mind... Tell me now, get it over...”*

Kręcę głową. Ta piosenka jeszcze nie istnieje. W tamtym drugim świecie, we włoskiej restauracji, w której jedliśmy kolację z klientami, Lars powiedział mi, że to najnowszy utwór Patsy Cline.

A to działo się w lutym. Czyli za trzy miesiące od teraz.

– Patsy Cline zginie, wiesz? – mówię Friedzie zaskakująco spokojnym tonem. Czuję się tak, jakbym słuchała własnego głosu dobiegającego z odległości kilku stóp. – Stanie się to już za kilka miesięcy – ciągnę. – Zginie w katastrofie lotniczej.

Frieda potakuje, jakbym mówiła jej coś, o czym już wie.

– Ale wcześniej zdąży nagrać tę piosenkę – dodaję jeszcze.

Powoli – jak mogę być aż tak spokojna? – skręcam w kierunku regałów z bestsellerami. Mój wzrok pada wprost na antologię Salingera. Obok widzę *Ludzi króla* Joanne Greenberg, miejscowej autorki, na temat której postanowiłam dowiedzieć się czegoś więcej, kiedy przeglądałam książki w wielkiej księgarni Friedy w tamtym drugim świecie.

Te książki jeszcze nie ukazały się drukiem. Na razie nigdzie nie można ich kupić. A jednak tu są, w naszej małej księgarni.

Przesuwam dłonią po okładce książki Salingera. Czy to jej Frieda kazała mi dotknąć kilka dni temu, aby przekonać mnie, że ten świat jest prawdziwy? Kręcę głową, próbując pozbierać myśli. Możliwe, że tak; *wydaje się*, że to mogła być ta książka.

Nie pamiętam.

I nagle przypominam sobie o rzeczach, które wydarzyły się w ciągu ostatnich kilku tygodni, które wówczas wydawały mi się po prostu miłe i sprzyjające. Ciche, spokojne poranki w domu i tutaj, w sklepie. Czytanie uroczych, wzruszających pocztówek od mamy. Natknięcie się na nekrolog Larsa, niby przypadkiem, lecz jakże fortunnym. Spotkanie Kevina, którego niedola dowodziła, że słusznie postąpiłam, kiedy wiele lat temu postawiłam mu ultimatum. Dziwne, darmowe drinki, które zeszłego wieczoru dostałyśmy, nie wiadomo dlaczego, w Stadium Inn.

I wreszcie moi rodzice, którzy szczęśliwym trafem wsiedli do właściwego samolotu. Akurat tego, który nie runął do Pacyfiku podczas burzy.

„Don’t leave me here, in a world... Filled with dreams that might have been... Hurt me now, get it over... I may learn to love again...”**.

Przenoszę wzrok na Friedę, która patrzy na mnie znacząco. Jakby czekała na to, co powiem.

– Siostró – zaczynam i nie dodaję nic więcej.

* Jeśli chcesz odejść... Powiedz mi o tym teraz, zakończ to (ang.) (przyp. tłum.).

** Nie zostawiaj mnie tu, w świecie marzeń o tym, co mogłabym mieć... Zrań mnie teraz, zakończ to już... Może kiedyś znów nauczę się kochać... (ang.) (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 31

Budzę się gwałtownie. Wciąż leżę w ramionach Larsa, dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy zasypiałam w zielonej sypialni.

Lars otwiera oczy.

– Wszystko w porządku?

Drżąc na całym ciele, biorę głęboki oddech, aby się uspokoić. Powoli mówię:

– To... jednak... *ten*. – Przecieram oczy, rozglądam się wokół. – To ten świat jest prawdziwy. Prawda, Larsie?

Odwracam głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

– Jak to możliwe? Jak tamten drugi świat mógł się wydawać tak bardzo prawdziwy, choć taki nie był?

Odsuwa się ode mnie i z namysłem przechyla głowę.

– Nie wiem, kochana.

Myślę o tych wszystkich wizytach w świecie, w którym jestem Kitty. Uważałam, że wtedy w tym świecie śpię. Sądziłam, że muszę tu zasnąć, aby wrócić do domu i obudzić się w świecie, do którego naprawdę należę.

A jednak – z wyjątkiem epizodu z zeszłej nocy, kiedy czułam, że jestem we śnie i najwidoczniej *byłam* we śnie – wcale wtedy nie spałam. Teraz to wiem. Cały czas byłam tutaj, rojąc sobie w wyobraźni różne scenariusze, które pomagały mi radzić sobie z rzeczywistością. Byłam tutaj – a mimo to, *nie było* mnie tu. Innym ludziom musiałam się wydawać totalnie nieobecna.

Z trudem przełykam ślinę.

– Przepraszam – mówię do Larsa. – Tak bardzo mi przykro.

Obejmuje mnie.

– W porządku. Rozumiem. W porządku.

Czuję, jak w kącikach oczu wzbierają mi łzy.

– Nie wiem, czy zdołam to znieść – mówię. – Nie wiem, czy mogę być taka, za jaką mnie uważasz. Nie wiem, czy mogę tu być. Być tak naprawdę, tak jak powinnam, skoro to właśnie jest rzeczywistość.

Mocno zaciskam powieki, próbując zobaczyć siebie jako Kitty – ale ona jest tylko wytworem wyobraźni.

– Możesz – zapewnia mnie Lars. – Możesz tu być i będziesz. – Przeczesuje mi dłonią włosy, a ja otwieram oczy, by na niego spojrzeć. – Chcę, żebyś tu była – dodaje. – Wszyscy tego chcemy. – Z trudem przełyka ślinę. – Potrzebujemy cię, Katharyn.

Patrzę w jego piękne oczy. *Potrzebują* mnie, myślę. *Potrzebują* mnie tutaj.

– Dobrze – mówię powoli. – Spróbuję.

Uśmiecha się i całuje mnie głęboko.

Kiedy odrywamy się od siebie, odwracam głowę.

– Spójrz na dwór – mówię, wskazując za szklane, rozsuwane drzwi. Niebo jest niewiarygodnie błękitne i bezchmurne, a słońce niemal oślepia swoim blaskiem

odbijającym się od śniegu na podwórku. – Jaki piękny, świeży śnieg przykrył wszystko.

Wstaje i podchodzi do drzwi.

– Piękny – zgadza się. – Ale Missy i Mitch będą rozczarowani. Jest go za mało, by odwołali lekcje w szkole.

Właściwie sama jestem trochę rozczarowana. Dzień z trojgiem dzieci w domu brzmi całkiem przyjemnie.

Siadam na łóżku, opuszczając stopy na podłogę i, wtedy zauważam książkę w twardej oprawie leżącą na mojej szafce nocnej.

– Lars – mówię, sięgając po nią i odwracając tak, by widzieć okładkę. – Czy ja to czytałam?

Odwraca się i podchodzi bliżej.

– Owszem – potwierdza, pochylając się nad moim ramieniem i zerkając na książkę. – Mówiłaś, że nawiedza cię w snach.

Z uśmiechem muskam palcami okładkę, na której widać jakieś niewyraźne kształty oraz ognistoczerwone, faliste litery układające się w upiorny napis, tytuł tej książki autorstwa Raya Bradbury'ego: *Jakiś potwór tu nadchodzi*.

– Rzeczywiście – przyznaję. – Naprawdę zapada w pamięć.

Mitch i Missy trochę się dąsają przed pójściem do szkoły. Mitch żałuje, że nie odwołano lekcji, bo – jak wyjaśnia – planował spędzić cały ten dzień w piwnicy, rozkładając tam tory swojej kolejki.

– A teraz wszystko na nic! – wykrzykuje dramatycznie wysokim głosem, aż czerwienieją mu policzki. – Cały dzień zrujnowany!

Ku mojemu zaskoczeniu to Michael zaczyna go pocieszać.

– To nic – mówi łagodnie. – Za dwa dni będzie weekend. Wtedy możesz wszystko rozłożyć. Nie patrzy na Mitcha, ale podchodzi do niego nieco bliżej. I równie łagodnym tonem dodaje: – Pomogę ci.

Missy z kolei złości się, że musi iść do szkoły w śniegowcach.

– Są ohydne – krytykuje swoje wiśniowe, podbite futrem buty, a na znak pogardy podnosi do góry swój zadarty nosek. – To wstrętne buciska, mamó. Muszę mieć nowe.

Kręcę głową.

– Kupiliśmy je kilka miesięcy temu – protestuję stanowczo. – Są takie, jak trzeba. Ciepłe, w dobrym rozmiarze i nie przemakają. Wkładaj je.

Niechętnie wciąga buty jeden po drugim, cały czas piorunując mnie wzrokiem, ale ja pozostaję nieugięta.

Lars, Mitch i Missy wychodzą z domu o ósmej. Gdy Mitch i Missy zaczęli chodzić do podstawówki kilka przecznic od domu, ja i Michael prawie każdego ranka ich tam odprowadzamy, a po południu idziemy ich odebrać. Od czasu, kiedy Mitch i Missy chodzili do przedszkola, a Michael bardzo przeżywał rozłąkę z nimi, upłynęło już kilka lat i chłopiec dojrzał na tyle, że teraz te codzienne rozstania nie były już dla niego niespodzianką i potrafił sobie z nimi poradzić. Niemniej w śnieżne dni Lars zwykle odwozi dzieci samochodem. To niektóre z tych domowych zwyczajów, o których po prostu wiem, bez pytania o nie.

Po ich wyjściu zatrzymuję się w przejściu między jadalnią i kuchnią, przytrzymując

ramieniem wahadłowe drzwi i rozglądając się wokół. Mój wzrok zatrzymuje się na Michaelu, siedzącym w milczeniu na kanapie w salonie i wpatrującym się w podłogę.

– Michaelu.

Nie podnosi wzroku.

– Michaelu – powtarzam, przechodząc przez pokój i zatrzymując się przed nim. – Pora na twoje lekcje.

Tym razem udaje mi się zwrócić jego uwagę. Nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, ale odzywa się:

– Nie mieliśmy lekcji od ponad trzech miesięcy, mamó.

– Cóż. – Dziarskim krokiem zawracam do jadalni, kierując się ku biureczku pod ścianą. Może i nie było ostatnio używane, ale nie jest zakurzone. Z pewnością Alma utrzymuje je w czystości, tak jak i resztę domu. Ze środka wyjmuję otwarty zeszyt. Jedną linijkę na kartce zajmują nagryzmołone ołówkiem duże litery A. Kolejne literki są coraz mniej staranne, a ostatnia pozostała niedokończona – jest tylko pierwsza ukośna kreska, nic więcej.

Przez chwilę wpatruję się w zeszyt. Przypomina mi się Greg Hansen i te zszywane książeczki, które dla niego robiłam w tamtym świecie. Te nieudolne ilustracje, które dla niego rysowałam. Ten plik kart katalogowych związanych sznurkiem.

– Michaelu. – Odkładałam zeszyt na biurko, po czym wracam na kanapę i siadam obok chłopca. – Pamiętasz, jak prosiłam cię, żebyś nauczył się literki A? Możesz wymienić jakieś słowa, które zaczynają się od A?

– Ananas – odpowiada apatycznie i milknie.

– Dobrze – kiwam głową. – Ale pomyślmy o ciekawszych słowach na A. Może... poczekaj chwilkę. – Biegnę na górę. Wiem, czego potrzebuję i gdzie to znajdę. Idę prosto do pokoju Missy i z półki na książki zdejmuję *Obrazkowy słownik dla dzieci*. Wracając na dół, otwieram go i odnajduję sekcję z wyrazami na literę A.

– Weźmy ten wyraz – mówię, kładąc książkę na kanapie między nami. – *Above**. To znaczy, że coś znajduje się nad czymś innym, popatrz... – Przynoszę z biurka ołówek i zeszyt. Siadam obok Michaela i rysuję samolot lecący nad kilkoma wysokimi budynkami. Obok obrazka piszę dużymi literami ABOVE. – Widzisz, samolot leci *nad* miastem. *Above*.

Czekam, wstrzymując oddech. Michael przygląda się uważnie temu, co napisałam i narysowałam.

– *Above* – powtarza cicho.

– Właśnie – potwierdzam. – Każde słowo ma jakieś znaczenie, a jeśli zapamiętasz, co oznacza, i wyobrazisz to sobie... i jeszcze zapamiętasz literki, z których składa się ten wyraz... to będziesz mógł go przeczytać za każdym razem, kiedy go zobaczysz. Spróbujmy teraz z innym słowem. – Powoli odwracam stronę słownika. – To chyba już znasz – mówię. – *Add***. Jak w dodawaniu liczb. – W zeszycie zapisuję: $1 + 1 = 2$, a poniżej piszę ADD.

– *Add* – powtarza po mnie Michael. – *Add*. To słowo znaczy „dodawać”.

– Tak. Masz rację.

– Co to za książka, którą oglądasz, mamó? – pyta. – Mogę zobaczyć?

– Oczywiście. – Odsuwam się, żeby mógł się przyjrzeć.

– To znam – mówi, wskazując wyraz *anchor****, obok którego umieszczono rysunek kotwicy. – To *anchor*, prawda? Czyli kotwica statku.

– Tak! – wykrzykuję. – Właśnie tak, Michaelu. Udało ci się! – Nie mogę się powstrzymać i przyciągam go – i zeszyt, i słownik, i resztę – do siebie, na kolana, aby go z całej siły przytulić.

Chłopiec krzyczy i wyrывa się z mojego uścisku.

– Za mocno! – woła i ucieka do swojego pokoju.

Oj – zepsułam to, myślę sobie. Dobra robota, Katharyn.

Ale i tak się uśmiecham. Co mi tam. *Nauczył się*. Nauczył się czegoś i to właśnie *ja* go tego nauczyłam. Wzdycham i opadam na oparcie kanapy, tuląc w objęciach słownik, upojona własnym szczęściem.

Po chwili idę na górę do pokoju chłopców i namawiam Michaela, aby wrócił ze mną na dół.

– Nie chcę już czytać, mamó – odpowiada, gdy prowadzę go do biurka w jadalni.

– Czytanie mnie męczy.

– Okej. – Widzę, że nie ma sensu go do tego zmuszać. Muszę działać powoli. Jeśli chcę to zrobić, jeśli chcę nauczyć Michaela czytać, to muszę dążyć do tego małymi krokami. – Zajmijmy się matematyką – proponuję. – Umiesz liczyć?

– Zabawne pytanie, mamó. – Siada przy biurku i zaczyna liczyć na głos. Dochodzi do stu w niespełna trzy minuty. Przerywam mu, mówiąc, że może przestać.

– A jak z dodawaniem? – pytam. – Wiesz, ile jest dwa plus dwa?

– Mamó. – Przewraca oczami. – Wiem, ile jest dwieście dwa *razy* dwa!

– Naprawdę? – Uśmiecham się. – Więc ile?

Wzdycha znudzony.

– Czteryście cztery.

– Okej – mówię, odwracając się od biurka. – Więc teraz będziemy liczyć pieniądze.

– Prawdziwe pieniądze? – pyta z przejęciem.

Ekscytacja w tonie jego głosu wywołuje mój uśmiech. Michael tak rzadko odnosi się do czegoś z entuzjazmem.

– Jasne – odpowiadam. – Najprawdziwsze. Chodź ze mną.

W kuchni opróżniamy stół z drobnymi, który stoi na parapecie okna. Siedząc przy stole, liczymy wszystkie monety. Jestem zdumiona jego skupieniem i łatwością, z jaką pojmuje nominały, sumując ich wartości w pamięci.

– Trzydzieści trzy dolary i szesnaście centów! – ogłasza triumfalnie po skończeniu.

– Sporo forsy.

– Co to „forsa”, mamó?

– Pieniądze.

Wybuchu śmiechem, tym cudownym śmiechem, który przypomina mi moją matkę. Móc usłyszeć ten dźwięk to prawdziwy dar.

– Forsa to bardzo śmieszne słowo.

– Masz rację. – Wstaję. – Pójdę sprawdzić, czy Alma może już przygotować ci lunch.

Idąc korytarzem w poszukiwaniu Almy, mijam fotografię górskiej przełęczy Rabbit Ears Pass. I nagle, nareszcie, rozumiem jej znaczenie: to właśnie w tym miejscu Lars mi się oświadczył.

Byliśmy wtedy parą od około pół roku. Nasz związek był zupełnie wyjątkowy; miałam wrażenie, że nie potrafimy się sobą nasycić, jakbyśmy musieli nadrobić cały ten czas, który straciliśmy, aby siebie odnaleźć. Dzwonił do mnie po kilka razy do księgarni, a gdy odbierałam, brakowało mi tchu, jakbym była podlotkiem. Frieda przewracała oczami, ale odchodziła na bok, szanując moją prywatność.

Spędzałam z Larsem niemal każdy wieczór – na kolacji u niego lub u mnie, w kinie, a czasami na tańcach.

– Już się nie widzimy poza pracą – narzekała Frieda, z pewną irytacją, jakbyśmy zaplanowali z Larsem nasz kwitnący romans tylko po to, aby ją zdenerwować. – Tęsknię za tobą, siostrze – dodawała błagalnym tonem. – Znajdź dla mnie trochę czasu, dobrze? – Kiwałam głową i przeproszałam ją, obiecując, że możemy gdzieś wyskoczyć wieczorem w tygodniu, po zamknięciu Dwóch Sióstr. Ale wtedy dzwonił albo zjawiał się w drzwiach księgarni Lars, a ja zapomniałam o obietnicach złożonych przyjaciółce.

Oświadczył mi się pewnej pięknej niedzieli, późną wiosną. Wybraliśmy się na przejażdżkę, bez konkretnego celu. Pojechaliśmy w góry autostradą nr 40, która prowadzi przez Winter Park, Grandby i Kremmling. Podziwialiśmy majestatyczne łańcuchy górskie, maleńkie miasteczka i topniejący śnieg. W pewnej chwili, gdy mieliśmy za sobą już kilka godzin podróży, powiedziałam, że chyba powinniśmy zawrócić. Lars tylko wzruszył ramionami.

– Po co? – spytał, a ponieważ nie umiałam na to pytanie odpowiedzieć, jechaliśmy dalej.

Zaparkował na szczycie przełęczy Rabbit Ears Pass i poszliśmy jeszcze kawałek w górę wzniesienia, aby stamtąd podziwiać widok. Było późne popołudnie i słońce ogrzewało moje odkryte ramiona, ale czułam też chłodny powiew bryzy. Lars okrył mnie swoim swetrem.

– Zaczekaj – powiedział, sięgając do kieszeni. – Nie mogę oddać ci swetra, jeśli najpierw nie dam ci tego. – Uklęknął na jedno kolano i otworzył przede mną pudełeczko na biżuterię. – Wyjdiesz za mnie, Katharyn? – zapytał. – Proszę, powiedz, że tak.

Spojrzałam na pierścionek, a potem w jego błękitne oczy.

– Jak mogłabym powiedzieć, że nie? – odparłam. – Oczywiście, że za ciebie wyjdę. – Zarzuciłam mu ręce na szyję. – Tak – wyszeptałam. – Na zawsze tak.

Teraz, odwróciwszy się od fotografii, kręcąc głową i z uśmiechem na ustach skręcam do naszej sypialni.

Alma właśnie sprząta naszą łazienkę. Nagle opada mnie poczucie winy. Nie przeszkadza mi widok Almy prasującej ubrania albo zmywającej naczynia – sama chętnie to robiłam w moim drugim życiu, tym wymyślonym, i nie uważałam tego za ciężką pracę. Ale sprzątanie łazienki? Chyba nikt nigdy nie sprzątał za mnie łazienki, oprócz mojej matki, gdy byłam dzieckiem. Jednak Alma nie wydaje się tym speszona. Pracuje z uśmiechem, nucąc coś pod nosem. Ze zdumieniem rozpoznaję tę melodię: *De Colores*. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek słyszała tę piosenkę w moim drugim życiu,

ale jestem absolutnie pewna, że Alma uczyła jej moje dzieci. Opowiada o kolorach, o wszystkim, co na świecie kolorowe.

„De colores, de colores... Se visten los campos en la primavera. De colores, de colores... Son los pajaritos que vienen de afuera”.

I wtedy nagle przypominam sobie różne rzeczy o Almie, o których dotąd nie pamiętałam. Wiem, że ma czterdzieści siedem lat. Wiem, że ona i Rico dorastali razem w niewielkim miasteczku w Sonorze, w północno-zachodniej części Meksyku, i że pobrali się młodo. Pamiętam, jak jej oczy zaszły łzami, gdy kilka lat temu opowiadała mi o dwójce swoich najstarszych dzieci, chłopcu i dziewczynce. Gdy były jeszcze małe, pewnej letniej nocy znalazły się uwięzione w płonącym domu krewnych. Wiem, że choć Alma i Rico rozpaczali po swojej stracie, później mieli jeszcze dwoje dzieci. Niedługo potem Rico za namową braci wyemigrował do Denver, gdzie razem z nimi pracował w restauracjach. Przez cztery lata oszczędzał pieniądze, aby wreszcie sprowadzić do siebie Almę i córeczki. Dzieci były jeszcze małe, kiedy cała rodzina znalazła się w komplecie, więc wykształcenie zdobyły w większości tu, w Stanach. Wiem, że Alma jest z nich bardzo dumna – starsza, studiująca na Uniwersytecie Kolorado w Denver, zamierza zostać dziennikarką, a młodsza, która wyszła za mąż zaraz po szkole średniej, niedawno urodziła Almie pierwszego wnuka.

Przypominam sobie, jak po raz pierwszy ujrzałam Almę – ten pierwszy raz, kiedy zaczęłam odwiedzać tamten drugi świat, ten, w którym byłam Kitty. Myślę o tym, że jako Kitty niezupełnie rozumiałam ten system, ten świat, w którym ludzie o ciemniejszej skórze służą u ludzi o jaśniejszej skórze. Nie rozumiałam tego, bo Kitty nie przyzwyczajała się do tego stopniowo, na przestrzeni wielu lat, tak jak Katharyn. Jako Kitty zostałam gwałtownie wrzucona w wir tego stylu życia i – co zrozumiałe – poczułam się nim zbulwersowana.

Ale w rzeczywistości jestem Katharyn, nie Kitty, już od dłuższego czasu. Więc czy takie spojrzenie na ten świat oczami Kitty – nowa świadomość, że nawet jako Katharyn nie muszę traktować kogoś, kto pracuje dla mojej rodziny, jako gorszego ode mnie – to też jeden z darów? Taki, jak wyimaginowane rozmowy z moją matką? Sądzę, że tak.

Prawda jest taka, że bardzo wiele zawdzięczam Almie. Gdyby nie jej interwencja, kiedy zorientowałabym się, jak Jenny traktuje Michaela? Ile czasu upłynęłoby, zanim wreszcie zdałabym sobie z tego sprawę? Jak wiele okrucieństwa musiałoby doświadczyć jeszcze moje dziecko, gdyby nie ta kobieta, która teraz szoruje podłogę w mojej łazience?

– Almo – mówię.

Wstaje i patrzy na mnie.

– Dziękuję. – Rozglądam się wokół, nagle czując się głupio, że tak przerywam jej pracę. – Dziękuję ci za wszystko, co robisz – dodaję pospiesznie. – Za opiekę nad moją rodziną, choć musisz też zajmować się własną.

Kiwa głową.

– *Sí, señora.*

– Jak się miewają twoi bliscy? – Gdy tylko zadaję to pytanie, czerwienieją mi policzki. W tej sytuacji, kiedy ma pracę do wykonania, Alma z pewnością uzna moją pogawędkę za niemądrą i niepotrzebną.

Ale ona się uśmiecha, wyraźnie zadowolona z mojego pytania.

– *Bebé* jest już taki duży – odpowiada. – Już siada, całkiem sam.

Szczerze się cieszę, słysząc o postępach jej wnuka.

– Och, uwielbiam ten etap – mówię. – Kiedy dzieci uczą się siadać i można posadzić je na kocyku na podłodze z kilkoma zabawkami, a one siedzą sobie zadowolone jak nie wiem co.

Alma przytakuje.

– *Sí*, ja też to kocham. I jego *mamá*.

– *Almo* – pytam – kiedy ostatnio dostałaś podwyżkę?

Zamyśla się na chwilę.

– Chyba rok temu – przypomina sobie. – *Señor Andersson*, on podnosi mi z jednego dolara i pół za godzinę do jednego dolara i siedemdziesiąt pięć.

Jestem wstrząśnięta.

– Tylko tyle ci płacimy? Powinnaś zarabiać więcej. Od dzisiaj podwajamy twoją płacę.

Przechyla głowę na bok.

– Pani rozmawia o tym z *señor Andersson*, *señora*? Tak?

– Nie. – Kręcę głową stanowczo. – Ale możesz mi wierzyć, nie będzie oponował.

Po lunchu, który jem z Michaellem, pytam Almę, jakie ma plany na popołudnie.

– *No mucho* – odpowiada. – Myślę, że szuflady w kuchni. Potrzebują *organización*.

I mycia.

– A może popilnowałabyś Michaela przez parę godzin?

Przygląda mi się podejrzliwie.

– Pani pewna, *señora*?

– *Almo*. – Kładę dłoń na jej ramieniu. – Jeśli kiedykolwiek zachowywałam się tak, jakbym ci nie ufała... Proszę, uwierz mi, to nie była twoja wina. – Patrzę na nią błagalnym wzrokiem. – To przeze mnie. To moja wina i... to moje życie. – Cofam dłoń z jej ramienia, ale nie odwracam wzroku. – Myślę, że Michael spędzi z tobą przyjemne popołudnie. – Odwracam się, by spojrzeć na wciąż siedzącego przy stole chłopca. – Prawda, koleżko?

Nie podnosi wzroku.

– Mogę jeszcze raz policzyć pieniądze?

Miałam nadzieję, że zechce poprzeglądać słownik, ale cóż, liczenie pieniędzy jest lepsze niż nic.

Małe krocзки, Katharyn, przypominam sobie. Małe krocзки.

– Jasne – odpowiadam mu. – Dlaczego nie?

Kiwa głową.

– Dobrze, to myślę, że spędzę z Alną przyjemne popołudnie.

I w ten właśnie sposób, dokładnie kwadrans po pierwszej po południu, w czwartek na początku marca 1963 roku, otwieram drzwi do garażu w wielkim domu na Springfield Street i siadam za kierownicą swojego zielonego kombi.

Zapalając silnik i czekając, aż się rozgrzeje, zahaczam wzrokiem o rowery rzucone w kąt pod wschodnią ścianą garażu. Wśród nich leży niebieski rower Michaela, tuż obok

mojego starego schwinna. Przyglądam się im, wspominając dzień, w którym z taką determinacją chciałam nauczyć Michaela jeździć. Dlaczego wydawało mi się to takie ważne? Już nie pamiętam. Co za różnica, czy nauczy się jeździć na rowerze teraz, kiedy ma sześć lat? Co za różnica, czy w ogóle się tego nauczy? Wzruszam ramionami. Może nigdy. A może pewnego dnia sam uzna, że jest na to gotowy – tak jak dziś rano z własnej woli zajrzał do słownika i samodzielnie znalazł w nim słowo „kotwica”.

Tak czy owak, nie do mnie należy decyzja. Jestem matką Michaela, ale nie mogę kontrolować tego, kim jest. Kiedy próbuję to robić, tylko utrudniam życie i jemu, i sobie.

Pamiętam, jak bardzo poczułam się wykluczona tamtego dnia – a było to zaledwie w zeszłą niedzielę – patrząc, jak Lars uspokaja naszego synka. Jestem pewna, że rzadko kłócę się z mężem, ale kiedy to robimy, powodem niemal zawsze jest Michael. Czy Lars obarcza mnie winą za jego stan? Nie, nie sędzę. Myślę, że raczej irytuje go moja niecierpliwość i błędy, które popełniam. Ja natomiast złoścę się, że Lars nie zdaje sobie sprawy, jak irracjonalna i niesprawiedliwa jest ta jego irytacja. Przecież to nie on codziennie opiekuje się naszym synem.

Przygryzam wargę. Nie mogę zmienić błędów popełnionych w przeszłości. Mogę tylko iść naprzód, na spotkanie tego, co niesie ze sobą przyszłość.

Wrzucam bieg i wycofuję z garażu. Ruszam na północ w stronę University Boulevard, a potem wjeżdżam na autostradę Valley Highway i kieruję się do centrum.

Przed wyjściem z domu sprawdziłam jej adres w książce telefonicznej: „Green. Książki i prasa”, biuro firmy, Osiemnasta Ulica, centrum miasta.

Czy ją zastanę, czy uda mi się z nią zobaczyć – czy w ogóle zechce mnie widzieć – to już inna historia.

Znalazszy miejsce do parkowania kilka przecznic dalej, idę do biura Friedy. Tak jak wspominała sprzedawczyni, z którą rozmawiałam w University Hills, po przeciwnej stronie ulicy znajduje się jedna z księgarń sieci Green – pośród dość skromnych, jednopiętrowych sklepików. Druga strona ulicy, ta z biurami, wygląda zupełnie inaczej. Zadzierając głowę, by objąć wzrokiem strzelisty budynek, zastanawiam się, czy zaprojektowała go firma Larsa. Ledwo przeszło mi to przez myśl, a już wiem, że to nie jest projekt Larsa, lecz biura architektonicznego z innego stanu, i że budynek powstał dwa lata temu. Jak przez mgłę przypominam sobie rozmowę z mężem na ten temat. Pamiętam, jak był zawiedziony, że nie dostał tego zlecenia, choć się o nie starał. Pamiętam też, że to Lars powiedział mi, po rozpoczęciu budowy, iż słyszał, jakoby firma „Green. Książki i prasa” planowała wynająć tam biuro. To betonowy budynek o wielkich oknach, charakteryzujący się czystą formą i nowoczesną konstrukcją. Przed nim znajduje się niewielki plac z fontanną, obok której stoi kilka ciężkich, betonowych rzeźb geometrycznych – sześciąt postawiony na jednym rogu, piramida z balansującą na jej szczycie kulą – jak olbrzymie klocki przeczące prawu grawitacji.

Biurowiec ma piętnaście pięter, a biura firmy Green znajdują się na jedenastym. Jadąc windą na górę, nerwowo dotykam włosów, nakładam świeżą szminkę i poprawiam pończochy.

W recepcji pytam o Friedę Green i dowiaduję się, że ma zaplanowane spotkania do końca dnia.

– Naprawdę, nie znajdzie ani chwili? – pytam. – Jestem... jej dawną przyjaciółką. Bardzo chciałabym się z nią spotkać, choćby tylko na kilka minut.

Recepcjonistka przygląda mi się podejrzliwie.

– Jest pani pisarką?

Uśmiecham się w duchu. Nie jestem pisarką. Ale chciałabym nią być.

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową. – Jak powiedziałam, jestem... przyjaciółką.

– Wiele osób przychodzi tu prosto z ulicy, bo chcą sprzedawać swoje książki. W naszych księgarniach – mówi lekceważąco. – Ale my wszystkie książki kupujemy wyłącznie u wydawców i dystrybutorów. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

Niecierpliwie postukuję stopą.

– Doskonale wiem, jak księgarnie pozyskują książki. – Pochyliłam się naprzód, kładąc dłonie na biurku. – Chcę się zobaczyć ze starą przyjaciółką.

Rzuca mi zrezygnowane spojrzenie.

– Pani nazwisko?

Milczę przez chwilę.

– Andersson – mówię miękko. – Proszę powiedzieć, że przyszła pani Andersson. – Zerkam do tyłu, na szklane drzwi, za którymi, zaledwie kilka stóp dalej, widać rząd wind. Tak kusząco lśniących, tak bezpiecznych, jak wielkie, metalowe łona. Mogłabym stąd wyjść i wcisnąć guzik, żeby sprowadzić jedną z nich. Mogłabym zrezygnować z tego niedorzecznego planu, zanim posunę się dalej. – Będzie wiedziała – dodaję odważnie, odwracając się w stronę recepcjonistki i prostując ramiona. – Będzie wiedziała.

Czekam w recepcji pół godziny. Zaczynam się martwić, co z Mitchem i Missy, których mam odebrać ze szkoły. Wiem – w ten sam niewyjaśniony sposób, który kiedyś tak bardzo mnie niepokoił – że odbieranie dzieci ze szkoły należy do mnie. Wiem również, że lekcje kończą się o trzeciej, a ta godzina jest coraz bliżej. Czy dotarłam aż tutaj tylko po to, by teraz wyjść, bo muszę wrócić do swoich obowiązków?

Wreszcie jednak pojawia się druga sekretarka, która daje mi znak. Przechodzimy przez halę maszyn w kierunku narożnego gabinetu. Napis na drzwiach głosi: Frieda Green, Prezes.

– Panno Green – mówi sekretarka, wciskając guzik na biurku. – Pani Andersson do pani.

Zdaje mi się, że mija cała wieczność, zanim w końcu w trzeszczącym głośniku interkomu słyszę głos Friedy:

– Niech wejdzie.

Frieda stoi za biurkiem, wyglądając przez okno. Odwraca się, gdy wchodzę do środka.

W pewnym sensie wygląda tak samo, jak wtedy, kiedy widziałam ją ostatnio – czyli wczoraj. Jej gęste, ciemne włosy są lekko natapirowane, by dodać im objętości, i twarzowo podwinięte. Ciężkie brwi wciąż wyginają się w taki sposób, że nadają jej skoncentrowany wygląd, nawet wtedy, gdy jest rozluźniona. Linia ust jest precyzyjnie zaznaczona jej ulubioną jaskrawoczerwoną szminką.

Jest ubrana oczywiście bardziej elegancko niż kiedyś, w naszej księgarni. Ma na sobie jedwabną, fioletową bluzkę i gustowny, beżowy, wełniany kostium – prostą

spódnicę i krótki zakiet – który wygląda jak spod igły. Duże, srebrne koła w uszach i srebrna szpilka w klapie wzbogacają jej strój o akcent profesjonalizmu i kreatywności. Patrząc na nią, automatycznie kiwam głową z aprobatą. Taka prezencja ma sens. Właśnie tak Frieda powinna wyglądać w tym świecie biznesu.

Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem. W porównaniu z jej szykownym kostiumem, mój strój – zwykła, granatowa sukienka, buty na płaskim obcasie, żadnej biżuterii, nie licząc kompletu ślubnego na lewej dłoni – wydaje się staromodny. Ale nie w tym zabawnym, artystycznym stylu „co mnie obchodzi zdanie innych”, typowym dla Kitty. Raczej w konwencjonalnym stylu gospodyni domowej, jaką jest Katharyn.

Cóż, myślę sobie, nie mogę panować w tym świecie nad wszystkim, ale z całą pewnością mogę zmienić swoją garderobę. Ta niewyszukana kolekcja rozsądnych ubrań w dużej szafie w domu już od dawna prosi się o generalny przegląd. Postanawiam zająć się tym w najbliższy weekend.

– Co cię tu sprowadza? – pyta wreszcie Frieda, zamaszystym gestem wskazując mi krzesło przed swoim biurkiem.

Siadam nerwowo, kładąc torebkę na kolanach.

– Friedo, ja... – Kręcę głową. – Nawet nie wiem, jak to wyjaśnić – mówię cicho. – Ty nigdy byś w to nie uwierzyła, a mnie wciąż jeszcze to wszystko wydaje się takie nierealne. Więc właściwie nie wiem, dlaczego tu jestem.

Siada naprzeciwko mnie, opierając podbródek na dłoniach, jak robi to zawsze, gdy jest zainteresowana tym, co ma przed sobą.

– To wszystko wydaje się takie nierealne – powtarza w zamyśleniu. – Co to właściwie znaczy?

Wzdycham.

– Popraw mnie, jeśli się mylę. W tym świecie jestem żoną Larsa Anderssona, mam sześćoletnie trojaczki i mieszkam w dużym domu w Southern Hills. A ty prowadzisz sześć księgarń, zatrudniasz Bóg jeden wie ilu pracowników i rozwijasz firmę w całym regionie. I zamknęłaś naszą księgarenkę na Pearl Street. Zgadza się?

Przygląda mi się z pogardą.

– Brzmi znajomo, Kitty.

– I nikt już nie nazywa mnie Kitty – ciągnę. – Lars mówi do mnie Katharyn, tak jak każdy, kogo poznałam, odkąd zostałam mężatką. A jedynymi ludźmi, którzy naprawdę mnie znali i kochali w tamtym życiu, w życiu, które wiodłam przed ślubem, byłeś ty... i moi rodzice... – Piekące łzy cisną mi się do oczu.

Wyraz jej oczu łagodnieje.

– Przykro mi z powodu twoich rodziców – mówi. – Słyszałam, co się stało.

– Ale nie przysłaś! – wybucham. – Na ich pogrzeb. Nie przysłaś.

Odwraca wzrok w kierunku okna.

– Przysłałam kwiaty – mówi cicho.

– Kwiaty? – powtarzam, patrząc na nią z niedowierzaniem. – Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, a ty przysyłaś kwiaty?

Ledwo zauważalnie zwiesza głowę.

– Myślałam, że nie życzysz sobie mojej obecności.

– Niby dlaczego? – Sięgam do torebki po chusteczkę, aby wytrzeć nos. Jestem wściekła, że dałam się ponieść emocjom, ale nic na to nie poradzę. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Friedo. Dlaczego miałabym nie życzyć sobie twojej obecności na pogrzebie moich rodziców?

– Kitty. – Wstaje i wyciąga rękę nad biurkiem, zupełnie jakby zamierzała ucisnąć moją dłoń. Wstrzymuję oddech w oczekiwaniu. Ale wtedy jej spojrzenie znowu twardnieje i mam wrażenie, że coś zgasło, jakaś szansa minęła, zanim zdążyła się w pełni uformować.

Frieda prostuje ramiona i dość pospiesznie siada z powrotem na swoim miejscu.

– To ty mnie zostawiłaś, Kitty – mówi. – Ty odeszłaś. – Znowu zerka za okno. – Nie ja.

Kręcę głową.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Patrzy na mnie sceptycznie.

– Doskonale wiesz dlaczego. – Dla podkreślenia swoich słów stuka w blat biurka swoimi długimi, wypielęgowanymi paznokciami. – A przynajmniej znasz powód, który mi podałaś.

Jestem kompletnie zbita z tropu.

– Nie pamiętam – mówię cicho. – Nie znam tamtego powodu, Friedo... Ale jaki by nie był, jestem pewna, że zaszło nieporozumienie.

– Nieporozumienie. Taa... – Zaciska usta. – Niezłe to ujęłaś, Kitty.

Brzęczy interkom, a potem rozlega się głos sekretarki, której niewyraźnych słów nie rozumiem.

– W porządku – odpowiada Frieda, nachylając się do interkomu. – Połącz mnie. – Podnosi na mnie wzrok. – Przepraszam na chwilę, ale muszę odebrać. – Zaczynam wstawać, a ona niecierpliwie macha ręką. – Możesz zostać – mówi do mnie. – To tylko interesy. – Patrzy znacząco, a ja spuszczam wzrok.

Gdy rozmawia przez telefon, ze wszystkich sił staram się sobie przypomnieć. Co ja tu robię? Co się stało? Czego nie pamiętam?

Zamykam oczy, próbując się skupić.

* *Above* (ang.) – nad (przyp. tłum.).

** *Add* (ang.) – dodawać (przyp. tłum.).

*** *Anchor* (ang.) – kotwica (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 32

Kitty.

Otwieram oczy, ale nic nie widzę. Gdziekolwiek jestem, jest jasno – bardzo jasno. Zbyt jasno, by dostrzec cokolwiek innego.

– Kitty, słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Nie czuję się dobrze, nie czuję się dobrze. Powtarzam te słowa, ale Frieda ich nie słyszy. Nie mogę się na niej skupić. Nie widzę wyraźnie rysów jej twarzy. Czuję na ramieniu jej uścisk, ale nie umiem poruszyć mięśniami. Nie jestem w stanie wyciągnąć ręki i dotknąć jej dłoni.

– Kitty, posłuchaj mnie. Musisz mnie posłuchać.

Mój głos jest tak niewyraźny, jakby dobiegał z oddali:

– Słucham cię, Friedo.

– Musimy o tym porozmawiać – mówi. – To ważne. – Na ramieniu czuję znajomy, kojący dotyk jej palców. – Tam, w tym prawdziwym świecie – musimy porozmawiać.

Przypomina mi się tamten dzień w naszej księgarni, kiedy Frieda próbowała przekonać mnie, że moje życie z Larsem i dziećmi jest urojone, a prawdziwy jest świat, w którym jestem Kitty. To ciekawe, że wtedy wydawała mi się taka przekonująca, a dzisiaj mówi coś zupełnie przeciwnego.

Ale oczywiście to ja wymyśliłam tamtą Friedę, prawda? W tamtym świecie mogę uczynić ją tak wiarygodną, jak tylko uznam za stosowne.

Mogę nadać jej dowolne cechy według własnego upodobania. Może być tak kochająca, miła i serdeczna, jak tylko zapragnę.

W wymyślanym świecie Frieda może być tym, kim zechcę.

– Słyszysz mnie, Kitty? – mówi nagłym tonem. – Rozumiesz?

– Tak – szepczę. – Rozumiem.

ROZDZIAŁ 33

I nagle znowu jestem w jej gabinecie. Frieda wciąż rozmawia przez telefon. Siedzi lekko odwrócona ode mnie i owinięta kablem telefonicznym w pasie. Znow wszystko jest wyraźne. Widzę błyski słońca na plastikowym kablu. Słyszę, jak Frieda mamrocze coś do słuchawki, czasem podnosząc głos i ostrym tonem odpowiadając swemu rozmówcy. Czuję wyraźny zapach jej perfum i dymu z papierosów.

I kiedy tak siedzę, patrząc na jej plecy, wracają do mnie wspomnienia. Wszystko sobie przypominam.

Działo się to jakieś cztery lata temu, wiosną 1959 roku. Księgarnia „Dwie Siostry” znalazła się na rozdrożu. Interesy szły kiepsko, zalegałyśmy z czynszem i ze spłatą kredytu. Musiałyśmy albo całkowicie zrezygnować z interesów, albo się przenieść, albo *coś* zrobić. W tamtym drugim, wymyślonym życiu, uratował nas mój niewielki spadek po dziadku. Ale w tym świecie, w chwili, którą teraz sobie przypominam, ani Frieda, ani ja nie wiedziałyśmy jeszcze, że wkrótce pojawią się pieniądze.

Frieda zaczęła więc mówić to samo, co w tamtym życiu powtarzała od wielu lat: że powinnyśmy zamknąć sklep na Pearl Street i przenieść się do centrum handlowego. Ale nie było nas na to stać.

Pewnego dnia kazała mi usiąść i powiedziała prosto z mostu:

– Musisz poprosić Larsa o pieniądze. Tylko w ten sposób możemy sfinansować przeprowadzkę. – Zapaliła salema i dmuchnęła dymem w moją stronę. – Musi się na coś przydać, nie?

Uśmiechnęłam się.

– Przydaje się do wielu rzeczy – odparłam. – Ale nie wiem, czy chciałby wchodzić w nasze interesy. – Wzruszyłam ramionami. – Zawsze powtarza, że to mój biznes, nie Anderssonów.

Frieda przewróciła oczami.

– Hmm, zawsze mi się wydawało, że małżeństwo oznacza partnerstwo. – Patrzyła na mnie prowokująco spod zmarszczonych powiek.

Pamiętam, że jeszcze raz wzruszyłam ramionami. Partnerstwo? Tak, Lars i ja byliśmy partnerami – w sprawach związanych z dziećmi, z wyborem kościoła, do którego będziemy chodzić, i z tym, kogo zaprosić na kolację. Ale nie w interesach. On miał swoją firmę, a ja swoją. Ustaliliśmy to dawno temu, tuż po zaręczynach. I oboje całkowicie się z tymi ustaleniami zgodziliśmy.

– No, nie wiem... – wyjąkałam.

– Weź byka za rogi i zapytaj go, Kitty.

Więc tak zrobiłam. Przyjął to zaskakująco dobrze, lepiej, niż sądziłam.

– Jestem zainteresowany – powiedział, popijając swoją wieczorną szkocką. – Zwłaszcza, jeśli ty tego chcesz... Jeśli to cię uszczęśliwi.

Jeśli ja tego chcę? Nie miałam pojęcia, czego chcę. Nie wiedziałam, jak być szczęśliwą. Zawsze zdawało mi się, że jeśli ktoś *inny* będzie zadowolony – Frieda, Lars,

dzieci – to ja też.

Frieda była wyraźnie niezadowolona z istniejącego stanu rzeczy. Ale gdybyśmy wprowadziły zmiany, zrobiły to, czego pragnęła – cóż, wtedy byłaby szczęśliwa, prawda? Powtarzałam sobie, że mogę to dla niej zrobić, namawiając Larsa do sfinansowania tego poważnego dla nas kroku.

Wydawało się, że Lars nie ma nic przeciwko temu, że jest zadowolony. Ale on taki już jest. Jego optymizm i całkowite przekonanie, że gdy mnie poznał, znalazł prawdziwy skarb, pozwalały mu iść naprzód, bez względu na wszystko. Podziwiałam go za to, ale nigdy nie potrafiłam mu w tym dorównać.

A dzieci? Cóż. Małe dzieci zawsze są szczęśliwe, prawda? Nasza trójka miała wówczas dwa i pół roku – już nie niemowlęta, ale jeszcze nie duże dzieci. Zdawało się, że dobrze się rozwijają – ogólnie rzecz biorąc. Mitch i Missy mówili, biegali, wspinali się. Oglądali książeczki, ćwiczyli wyobraźnię.

Michael był... Musiałam przyznać, że sama nie wiem, jak to jest z Michaeliem. Wiedziałam, że nie jest taki jak pozostała dwójka. Mówił tylko kilka słów. Siedział w kącie. Bawił się sam, wykonując w kółko te same, proste czynności. Układał klocki lub książki w równe stosiki albo ustawiał samochodziki w jednym rzędzie. Nie patrzył na nikogo. Głowę zawsze miał spuszczoną w dół.

Ale chyba wszystko było z nim w porządku. Dla niektórych dzieci takie zachowania są normalne. Od roku zatrudnialiśmy Jenny, a przecież ona była ekspertem, prawda? Gdyby coś było nie tak, na pewno by nam o tym powiedziała.

Przypominając sobie o tym wszystkim teraz, po latach, wiedząc to wszystko, co teraz wiem, czuję, jak ogarnia mnie wściekłość. Jak mogłam tego nie dostrzegać? Jak mogłam przymykać na to oko?

Co ze mnie była za matka?

Niemniej wtedy chciałam uszczęśliwić wszystkich. Więc przytaknęłam Larsowi.

– Nowy sklep, nowa przyszłość. Właśnie tego chcę – powiedziałam.

– No cóż. – Wstał z kanapy. – Powinniśmy się wszyscy spotkać i porozmawiać, ty, Frieda i ja. Zaprośmy ją na kolację, a gdy dzieci pójdą spać, omówimy interesy.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i objęłam go.

– Dziękuję – wyszeptalam mu do ucha.

Następnego dnia obudziłam się wcześniej rano i szybko się ubrałam, bo już nie mogłam się doczekać, by pójść do sklepu i opowiedzieć o wszystkim Friedzie. Pamiętam, jak szykowałam się do wyjścia, jak z ożywionym uśmiechem niecierpliwie szukałam kluczy, jak trzymałam w objęciach jakieś książki i materiały biurowe.

I wtedy poczułam na ramieniu niepewny dotyk dłoni. To była Alma.

– *Por favor* – powiedziała cicho, zerkając ukradkiem w stronę klatki schodowej i pokoików dzieci, gdzie była Jenny z trojaczkami. – *Por favor, señora* Andersson, jest coś, co muszę pani powiedzieć. – Stała z zaciśniętymi pięściami, a opuszczone ręce przylegały do czystego, świeżo wyprasowanego fartuszka. – Dłużej nie mogę milczeć. *Señora*, muszę pani powiedzieć o Jenny.

Patrzę na Friedę, siedzącą w swoim wielkim gabinecie na jedenastym piętrze, ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha.

– Tak, zgadzam się – mówi. – Tak, ale uważam, że musimy to jeszcze przedyskutować. – Przerzywa, zerkając na mnie. – Mogę oddzwonić za dziesięć minut? Mam tu kogoś w biurze.

Rozłącza się, a wtedy mówię:

– Już sobie przypominałam.

Wybuchają śmiechem.

– W samą porę – mówi szyderczo.

Przygryzam wargę.

– Przykro mi! – wykrzykuję. – Przykro mi, że cię to śmieszy. – W ustach czuję gorzki posmak. – Ale przypominałam też sobie, dlaczego *nie* mam powodu, aby cię przeproszać.

– O, doprawdy? – Pochyliła się do przodu, przyciskając obie dłonie do blatu biurka.

– To ty odeszłaś. Zostawiłaś mnie w samym środku tej kabały.

– Musiałam odejść – wyjaśniam. – Moje dziecko mnie potrzebowało. Zrobiłam to dla swojej rodziny.

Kręci głową, sięgając po leżącą na biurku paczkę salemów.

– Wtedy w twoich ustach brzmiało to gorzej, niż było w rzeczywistości. Prawda jest taka, że z *ulgą* przyjęłaś tę wymówkę, żeby odejść. Nie byłaś szczęśliwa. Cały czas myślałaś tylko o tym, że nie jesteś z nimi. Powiedziałaś... – Wyciąga z paczki papierosa i zapalając go, zaciska usta. – Powiedziałaś, że w tej księgarni tracisz tylko czas. – Wydmuchuje dym w moją stronę. – To też pamiętasz, Kitty?

Tak. To też pamiętam. I pamiętam, dlaczego to powiedziałam. Bo to Frieda znalazła dla mnie Jenny. Ona przekonała mnie, że Jenny z jej wszystkimi kwalifikacjami będzie najwłaściwszą osobą do opieki nad moimi dziećmi.

Powiedziałam Friedzie, że to jej wina, że Michael jest taki, jaki jest.

– Gdybym była w domu, wszystko byłoby z nim w porządku! – krzyknęłam. – Gdybym nie zatrudniła Jenny, tej okropnej baby, którą *ty* znalazłaś, Friedo, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale to ty mnie przekonałaś, że powinnam zostać w księgarni, to ty mnie przekonałaś, że Jenny powinna zająć się moimi dziećmi, a ja ci zaufałam, zaufałam ci, Friedo. Wierzyłam, że pomożesz mi postąpić słusznie. Ale wszystko poszło nie tak. I spójrz teraz, co się z nim stało. – Opadłam na swój stołek za ladą, drżąc na całym ciele. Wzięłam oddech i podniosłam wzrok. – Chcę odejść – powiedziałam stanowczo. – Nie obchodzi mnie, co zrobisz, ale chcę odejść. To nie jest zajęcie dla mnie i bądźmy szczerze, dla ciebie też nie. Radź sobie sama, Friedo. To twoja wina, nie moja. Więc posprzątaj swój bałagan, jeśli zdołasz. Idź na całość, osiągnij te swoje wielkie sukcesy. Ja mam to gdzieś.

– Niby jak mam to zrobić? – rzuciła. – Nie mam pieniędzy, Kitty.

Skrzyżowałam ramiona na piersi.

– To – odparłam – nie mój problem.

I to naprawdę *nie był* mój problem – zadbałam o to. Odeszłam i trzymałam się z daleka. Teraz to pamiętam. Pieniądzy, które odziedziczyłam wkrótce po mojej kłótni z Friedą, nie poświęciłam w tym świecie na ratowanie naszej księgarni. Co z nimi zrobiłam? Wzruszam ramionami i wtedy sobie przypominam. Prawie wszystkie wydałam

na prawnika, który wyplątał mnie ze zobowiązań wobec Dwóch Sióstr. A reszta? Uśmiecham się krzywo. Ta ładna kanapa i inne meble w salonie na Springfield Street – w tym świecie to na nie poszła reszta pieniędzy dziadka.

Frieda podeszła do okna wystawowego Dwóch Sióstr i przez kilka chwil wyglądała na pustą Pearl Street. Potem odwróciła się do mnie.

– A ty co będziesz robić? – spytała. Ale nie brzmiało to miło, jakby naprawdę ją to interesowało. Drwiła ze mnie. – Pani gosposia, co? Świetnie. W końcu zawsze tego chciałaś.

– Nieprawda. Po prostu tak wyszło. Tak się ułożyło. – Wstałam z miejsca i zaczęłam wyginać dłonie. – Wszystko zmieniło się w jednej chwili, Friedo. Na miłość boską, przecież mało brakowało, a w ogóle bym go nie spotkała. Ten biedak mógł umrzeć.

Zachichotała.

– Tak. To ci dopiero historia. Powinna się znaleźć w gazetach. Uroczą historią z życia wziętą.

– A jak się skończy?... – spytałam cicho.

– Cóż. – Znowu się odwróciła, żeby nie patrzeć mi w oczy. – O tym się dopiero przekonamy, prawda?

Siedząc teraz naprzeciwko mnie, w swoim gabinecie, Frieda rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Zostawiłaś mnie z niczym – mówi. – Prawie z niczym. Ze stertą rachunków. Z kilkoma setkami książek w magazynie. Z wyposażeniem księgarni. I bez grosza, by móc coś z tym zrobić.

Spuszczam wzrok.

– Mogłaś poprosić o pomoc rodziców. – Zerkam na nią niepewnie.

– Naprawdę? – Zaciska usta. – Tak myślisz? Że mogłabym podkulić ogon i przyznać się do porażki? Ja nie... – Odwraca wzrok w stronę okna, a po chwili znów patrzy na mnie. – Ich zdaniem wszystko robiłam źle. Księgarnia okazała się fiaskiem. Nie... – Waha się przez chwilę. – Nie wyszłam za mąż. Nie znalazłam nikogo... kto chciałby dzielić ze mną życie.

Czekam na ciąg dalszy. Ale ona milczy ze spuszczonej oczami. Stuka papierosem o popielniczkę na biurku i kilka drobinek popiołu unosi się przez chwilę w powietrzu, zanim osiada w porcelanowym wnętrzu.

Przychodzi mi na myśl Jim Brooks, mężczyzna, o którym Frieda opowiadała mi w tamtym drugim, wymyślnym świecie. Wydaje się dla niej idealny – w tamtym świecie. No cóż, myślę sobie, to jasne, że w tamtym szczęśliwym świecie wymyśliłam dla Friedy szczęśliwe zakończenie.

Natomiast w tym, prawdziwym, jej życie potoczyło się inaczej i w sferze prywatnej, i zawodowej. Nie wiem, skąd i jakim cudem zdobyła fundusze na rozkręcenie swojej firmy. Nie wierzę, że zwróciła się do swoich rodziców, ale Frieda jest dość bystra i zaradna, by coś wymyślić. Może znalazła inwestora, tak jak w moim wymyślnym świecie. Niemniej wątpię, że w jej życiu tutaj znalazłoby się miejsce dla przemilego i oczarowanego nią Jima Brooksa czy jakiegokolwiek innej, podobnej do niego osoby.

I nagle uświadamiam sobie, dlaczego tak jest.

Frieda nie chce Jima Brooksa ani nikogo podobnego. Nigdy nie pragnęła tego rodzaju partnera. Pragnęła *bratniej duszy*, jak nazwała to moja matka. A nawet czegoś więcej. Czegoś więcej, niż to, co – zdaniem mojej matki – łączy mnie z Friedą w moim wyimaginowanym świecie.

Ja jednak podjęłam inną decyzję. Jak to wpłynęło na nią? Nie na naszą firmę, bo to była inna sprawa, w zasadzie mało ważna.

Ważniejsze, jakie piętno moja decyzja odcisnęła w jej sercu.

Nie mogę uwierzyć, że aż do dzisiaj tego nie zauważyłam.

– Freeds – mówię cicho. – Freeds. Tak mi przykro... Przepraszam.

Spogląda na mnie.

– Cóż – odpowiada, podnosząc papieros do ust. Zaciąga się, a potem przechyla głowę w bok i wydmuchuje dym. – Życie wiedzie nas krętymi drogami, prawda?

Pochylam się do przodu, zaciskając palce obu dłoni na torebce i rytmicznie zamykając i otwierając jej złoty zamek.

– Mam nadzieję... może pewnego dnia uda ci się... – Urywam, bo nie wiem, co powiedzieć.

Frieda przygląda mi się w milczeniu.

– Może masz rację – odzywa się w końcu. – Może mi się uda. – Teraz patrzy mi prosto w oczy. – Może potrzebowałam właśnie tego spotkania. Może łatwiej mi będzie... ruszyć naprzód.

Uśmiecham się nieśmiało.

– Mam nadzieję, że tak, Freeds. Mam szczerą nadzieję.

Wstaje i po raz ostatni zaciąga się papierosem, a potem go gasi.

– Muszę oddzwonić – mówi spokojnie. Obchodzi biurko dookoła i na krótką chwilę kładzie mi dłoń na ramieniu. – Wiedz, Kitty, że naprawdę bardzo mi przykro z powodu twoich rodziców. – W jej oczach, zwykle tak żywych i lśniących, widzę smutek.

Odwracam wzrok, powstrzymując łzy, a potem zmuszam się, by jednak móc na nią znowu spojrzeć, gdy dodaje:

– I przepraszam, że nie przyszłam na ich pogrzeb. Masz rację. Powinnam była przyjść.

Wstaję, czując, jak drżą mi kolana.

– Dziękuję – mówię. – To dla mnie wiele znaczy.

Kiwa głową.

– Dbaj o siebie. I o męża, i o dzieci.

– Ty też dbaj o siebie. Może... – Chwila wahania. – Może spotkamy się jeszcze... kiedyś.

– Może. – Jeszcze raz przenosi wzrok za okno i z powrotem na mnie. Obejmuje się ramionami, wsuwając dłonie pod rękawy. – Moja sekretarka cię odprowadzi. Do widzenia, Kitty.

Frieda z trudem przełyka ślinę i wyraźnie widzę, że nie tylko powinnam, ale *muszę* już iść.

Wychodzę więc, skinąwszy jej głową po raz ostatni.

ROZDZIAŁ 34

Topnieje śnieg na chodniku. Samochody śmigają po Osiemnastej Ulicy, autobus podjeżdża na przystanek i zaraz rusza dalej, bo nikt nie wysiada. Słońce zniża się ku zachodowi, a ja osłaniam oczy, przechodząc przez drzwi obrotowe budynku Friedy.

A tam, na chodniku przede mną, stoją moi rodzice.

– Mamo – szepczę. – Tato.

Uśmiechają się do mnie, a ja chcę do nich podbiec, uściskać ich – ale wiem, że tak naprawdę ich tam nie ma. Są tylko w mojej głowie.

– Wyobrażam was sobie – mówię. – To złudzenie, prawda?

– Kitty. – Matka podchodzi i kładzie mi dłoń na ramieniu. Jak zdumiewająco realnie mój umysł wyczarował jej dotyk, zupełnie jakby naprawdę tu stała, zaciskając palce na moim płaszczu.

Okazuje się, że wyobraźnia potrafi być niezwykle zmyślna i skrupulatna.

– Chcemy się tylko pożegnać, kochanie – mówi ojciec. – To wszystko. Pożegnać się. – Staje u boku matki, kilka cali ode mnie. – I powiedzieć, że cię kochamy.

– Ja też was kocham – szepczę. Kątem oka dostrzegam mężczyznę w ciemnym palcie i kapeluszu, który minąwszy mnie, ogląda się na mnie ze zdziwieniem. Pewnie w jego oczach jestem lekko zblizowaną paniusią, która stoi na chodniku i mówi do siebie.

– Więc już was nie zobaczę? – pytam rodziców. – Już nie... Już tam nie wrócę? – Odwracam się, przygryzając wargę. – Do tamtego świata. Już nigdy tam nie wrócę, prawda?

Zadaję te pytania, choć przecież znam odpowiedzi – bo to ja decyduję o tym, co powiedzą moi rodzice. To znaczy, co powiedzieliby, gdyby naprawdę ze mną rozmawiali.

– Kitty. – Matka dotyka palcem mojego czoła. – Nie to jest ważne – mówi – lecz to. – I dotyka mojego serca.

– Rozumiem – odpowiadam, kiwając głową. – Będę za wami tęsknić.

– Nie musisz – kręci głową ojciec. – Zawsze będziemy przy tobie, tylko w innej postaci.

– Pomożecie mi... opiekować się dziećmi... prawda? – Z trudem przełykam ślinę.

– Nie dam rady opiekować się nimi... Michaeliem... bez was.

Matka wybucha swoim pięknym śmiechem.

– Dasz radę, Kitty. Nie wątp w siebie. Nie wątp w Larsa. A przede wszystkim – uśmiecha się szeroko – nie wątp w Michaela.

Przymykam oczy, połykając łzy.

Kiedy je otwieram, rodziców już nie ma.

ROZDZIAŁ 35

Siedzę w kombi zaparkowanym przed szkołą Mitcha i Missy. Opieram na kierownicy dłoń w rękawiczkach i rozmyślam o tym drugim świecie, w którym byłam Kitty. Pamiętam wyraźny dotyk dłoni mojej matki. Dźwięk jej głosu. Jestem pewna, że zawsze będę słyszała w myślach głosy obojga rodziców.

Zerkam na zegarek. Druga czterdzieści pięć. Mitch i Missy zaraz wyjdą przez te drzwi, te po mojej prawej, podwójne, z przyklejonymi do szyb rysunkami bałwanków. Zobaczą, jak idą z torbami na ramieniu, rozpiętymi kurtkami i dyndającymi na sznureczku rękawiczkami z jednym palcem. Przebiegną przez chodnik, a ich jasne loczki będą połyskiwały w popołudniowym słońcu.

Dziesięć po trzeciej będziemy już w domu przy Springfield Street. Michael wciąż będzie liczył monety. Prawdopodobnie przelicza je raz po raz przez całe popołudnie. Gdybyśmy mu na to pozwolili, większość dni spędzałby nie robiąc nic, poza jedzeniem, spaniem i liczeniem monet.

Alma przygotowuje dla dzieci przekąski: mleko, jabłka i ciastka. Zaparzę dzbanek świeżej kawy i przyłączę się do nich, a Mitch i Missy opowiedzą nam o swoim dniu. Michael będzie nieprzerwanie liczył centy, pięcio- i dwudziestopięciocentówki.

Potem pozwolimy mu dalej zajmować się liczeniem, a Mitch i Missy zajmą się odrabianiem lekcji. Będą ćwiczyć czytanie; w tym roku zrobili ogromne postępy, a ja wiem, że gdybym częściej z nimi ćwiczyła, rezultaty byłyby jeszcze lepsze. Każde z nich będzie mi czytało przez piętnaście minut, a potem będą ćwiczyć pisanie. Alma wstawi kawałki kurczaka do piekarnika i zacznie myć i obierać fasolkę szparagową.

O wpół do piątej pozwolę dzieciom pooglądać przez godzinę *Klub Myszki Miki*. Michael przyniesie do salonu słoje z monetami i będzie je liczył, siedząc na podłodze i od czasu do czasu zerkając na ekran telewizora, gdy pozostała dwójka zacznie się śmiać z czegoś, co powiedział albo zrobił jeden z myszkieterów. W ten sposób spędzimy czas do wpół do szóstej, kiedy wróci Lars i wszyscy razem zasiądziemy do obiadu.

Michael rozleje mleko, bo Michael zawsze rozlewa mleko. A ja posprzątam, bo uważam, że byłoby nie w porządku obarczać tym Alnę.

Wieczorem spróbujemy zagrać całą rodziną w parcheesi*. Albo Lars, albo ja będziemy musieli grać razem z Michaelem, bo on nie wysiedzi do końca gry i nie miałby kto przesuwac jego pionków. W pewnej chwili odejdzie, aby dalej liczyć swoje monety. Po tak długim dniu poczuje się zmęczony, a ja wiem z doświadczenia, że wtedy łatwo wraca do swoich dziecinnych nawyków, których powinien się pozbyć już dawno temu. Będę musiała uważać, żeby nie wkładał sobie monet do buzi.

O siódmej piętnaście dzieci wezmą kąpiel – najpierw Missy, a potem chłopcy. Dziś to Lars będzie usypiał Missy, więc po wyszczotkowaniu jej włosów – to zadanie zostawia mnie – położy ją do łóżka i opowie bajkę na dobranoc.

Ja dopilnuję, aby chłopcy przebrali się w piżamy i położyli się do swoich łóżek. Michael zapyta, czy może spać z monetami, a ja odpowiem, że nie. Zacznie krzyczeć,

więc Lars będzie musiał przyjść i go uspokoić. W ramach kompromisu zgodzimy się, by miał przy sobie pusty słój, a monety przesypujemy do miski, którą następnie zaniosę do naszej sypialni i postawię na najwyższej półce w szafie. Dzięki temu wiem, że Michael się do nich nie doberze, nie budząc przy tym Larsa i mnie.

Gdy położymy dzieci do łóżek, zjedziemy na dół i Lars zrobi nam drinki. Wtedy porozmawiamy o tym, jak spędziliśmy dzień. Ja opowiem mu o spotkaniu z Friedą, a on będzie zaskoczony, że do niej poszłam, ale nie tym, co mi powiedziała. Przytuli mnie i uspokoi, gdy zabraknie mi tchu.

Nie powiem mu wszystkiego; nie mam prawa mówić o uczuciach Friedy, nawet Larsowi.

Gdy dopijemy drinki, rozejdziemy się do swoich zajęć – Lars przejdzie do gabinetu, żeby dokończyć pracę, a ja posprzątam sypialnię i może wrócę do salonu poczytać. Będę szukała wymówek, aby przejść przez korytarz. Będę wpatrywała się w tę fotografię, na której jestem z rodzicami. Przez cały wieczór będę robiła wszystko, aby zrobić to raz, drugi, trzeci. Kiedy Lars mnie na tym przyłapie, stanie za mną, mocno mnie obejmie i razem ze mną będzie wpatrywał się w to zdjęcie.

O dziesiątej pójdziemy do sypialni i będziemy się kochać – namiętnie, lecz powoli, jak zawsze, ze względu na jego serce. Potem położę się obok niego, a on zacznie łagodnie masować mi plecy.

I wtedy zasnę.

Wiem, że tak będzie. Jestem tego całkowicie pewna.

Tak samo pewna, jak wszystkiego, co wydarzyło się w świecie, w którym byłam Kitty.

Tamtego świata już nie ma, wiem o tym. Jestem tutaj. Tu, gdzie moje miejsce.

Otwieram drzwi samochodu, chucham w dłonie i rozmasowuję policzki. A potem podchodzę do szkoły i czekam przed wejściem. Zaraz uściskam moje dzieci.

* Anglosaska odmiana gry w chińczyka (przyp. tłum.).

Podziękowania

Dziękuję Claire Wachtel, mojej fantastycznej redaktorze z wydawnictwa Harper, za jej przenikliwość, entuzjazm i wspaniałe historie. Hannah Wood sprawnie i z wdziękiem trzymała wszystko w ryzach. Czujne oko Mirandy Ottewell dostrzegało nawet najdrobniejsze szczegóły, dzięki czemu książka stała się jeszcze lepsza. Susanna Einstein jest niesamowitą agentką, która zakochała się w mojej powieści od pierwszego przeczytania. Jestem wdzięczna za jej profesjonalizm i przyjaźń. Zespołowi Einstein Thompson Agency dziękuję za pasję i zaangażowanie.

Składam podziękowanie Shanie Kelly, która wskazywała mi właściwy kierunek, a potem stała się nie tylko moją mentorką, lecz także przyjaciółką. Wszystkim w Lighthouse Writers Workshop dziękuję za inspirację, skłaniające do refleksji warsztaty i konferencje oraz niezwykłą społeczność pisarzy. Gary'emu Schanbacherowi i Rose Fredrick za dyskusje o literaturze, kawę i materiały. Susan Wright, Mary Elliott i Jocelyn Scheirer codziennie czytały pierwsze szkice, nie szczędząc mi wskazówek i słów zachęty; mam szczęście, że mogę nazwać je swoimi wirtualnymi siostrami. Cieszę się, że w moim życiu pojawiły się Mary Hauser i Sandra Theunick – obu jestem niewymownie wdzięczna. Moi „przyjaciele mieszkający w komputerze” – dziękuję wam i M4L. Klub Książki, Który Zmienił Świat, zrobił coś więcej – wdzięczna jestem jego członkom, którzy zmienili moje życie na lepsze.

Personel Działu Historii Zachodu w Bibliotece Publicznej w Denver udostępnił mi mapy, stare gazety i książki telefoniczne, a także służył przyjazną pomocą. Książki Phila Goodsteina na temat historii południowego Denver były dla mnie ważnym źródłem wiedzy. Joyce Meskis, właścicielka księgarni Tattered Cover, i Sonya Ellingboe, była właścicielka Book House, opowiedziały mi o wielu cudownych szczegółach dotyczących pracy w małej księgarni w latach 60. XX wieku. Wiedzę o autyzmie czerpałam z licznych podręczników klinicznych, ale szczerze wspomnienia Michaela Blastlanda zawarte w książce *Jedyny chłopiec na świecie. Jak pewien ojciec zgłębiał tajemnice autyzmu* pomogły mi naprawdę zrozumieć wyzwania, z którymi zmierzyć się muszą rodzice autystycznego dziecka. Członkinie Kobiecego Klubu Książki przy Pierwszym Uniwersalistycznym Kościele w Denver podzieliły się ze mną wspomnieniami, dzięki którym mogłam lepiej wyobrazić sobie życie młodej kobiety na początku lat 60. XX wieku – jestem im za to niezmiernie wdzięczna.

Uwaga dotycząca ścisłości historycznej: choć w latach 50. XX wieku wiele gazet publikowało ogłoszenia w kąciку samotnych serc, dziennik „Denver Post” do nich nie należał. Mam nadzieję, że czytelnicy potraktują stworzenie tego fikcyjnego działu ogłoszeń jako *licentia poetica*.

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie zachęta i zaangażowanie czterech niezwykłych osób. Dziękuję wam, Charlie, Dennisie i Jane, za to, że byliście moją inspiracją i bratnimi duszami. Sammy, tobie dziękuję za absolutnie wszystko; tak bardzo się cieszę, że mogłam cię poznać.